Egz. archiwalny

# BESKIDY: JEDEN BÓG A TYLE WYZNAŃ

Biblioteka Śląska EO

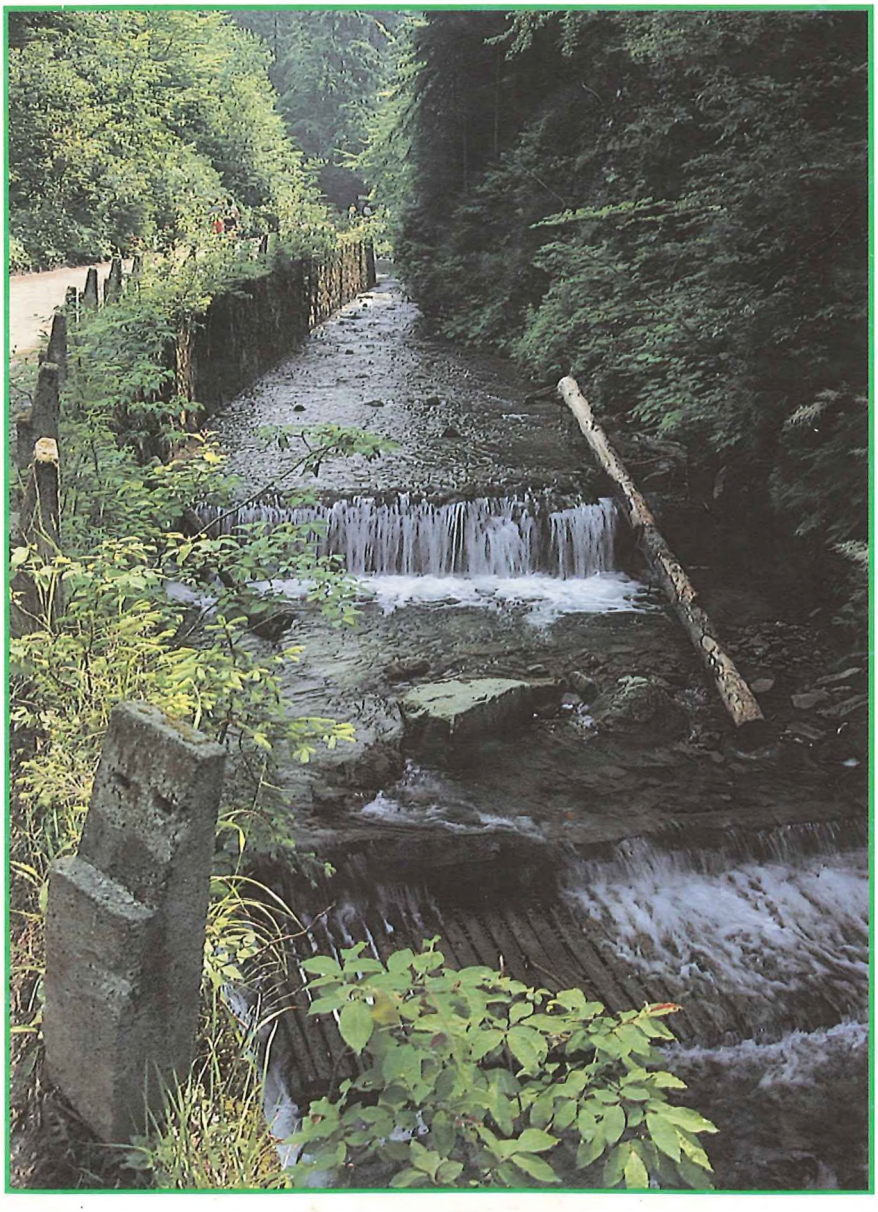
INDEKS 33328X ISSN – 1425-3917

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

# ŚLĄSK

Nr 7/9/ ROK II • LIPIEC 1996 CENA 3 zł /30000 zł

## JERZY PILCH: Szyderstwo jest we mnie



Wisła – rzeka umęczona

Kukuczka i inni

Olimpijczycy ze Śląska

Rzecz o góralach beskidzkich

DZIADUL o procesie „Wujka”

Profesor HADYNA

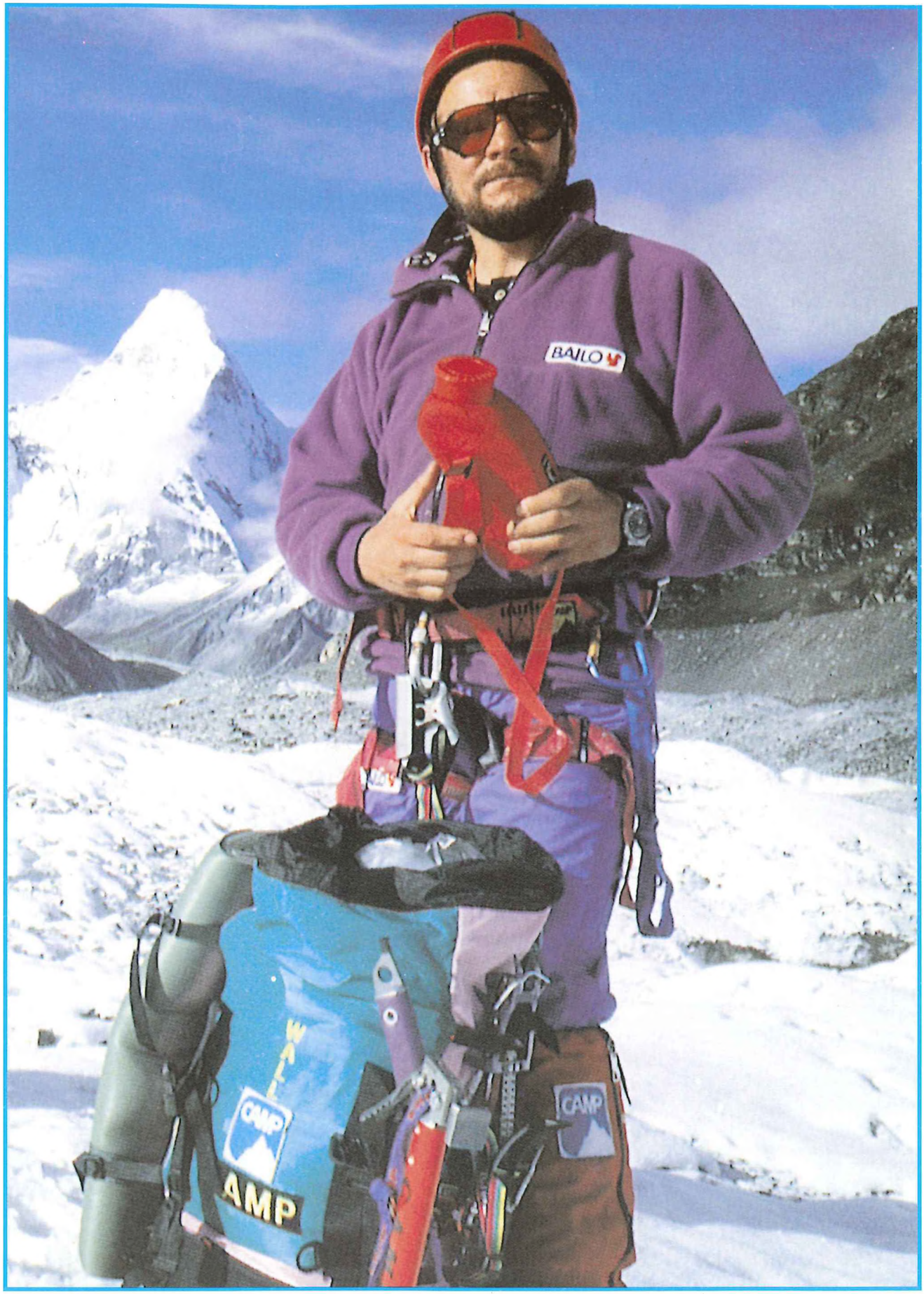



Foto. ARC „Optymista"

**Ostatnia wspinaczka Jerzego Kukuczki – Lhotse, 1989 r.**

*(Więcej o śląskich himalaistach pisze Krzysztof Sas-Nowosielski na str. 50).*

# ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Nr 7(9). Rok II. Lipiec 1996

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE W KATOWICACH

Redaguje zespół:
TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny
FELIKS NETZ
zastępca redaktora naczelnego
WIESŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji
KRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalny
MARIAN KISIEL
dział krytyki i eseju
JAN F. LEWANDOWSKI
dział społeczno-historyczny
WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny
MIROSŁAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny
BARBARA JARKOWSKA
ANNA STRUMIŁOWSKA
korekta

ADRES REDAKCJI:
40-096 Katowice, ul. 3 Maja 7,
tel./fax 106-82-71

Czasopismo wspierane finansowo przez:
MINISTERSTWO KULTURY I SZTUKI, WYDZIAŁ KULTURY URZĘDU WOJEWÓDZKIEGO I URZĄD MIEJSKI W KATOWICACH.

**Druk:** FIBAK MARQUARD PRESS S.A. 40-084 Katowice, ul. Opolska 22, zam. 1491/96

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracania korespondencji.

**Warunki prenumeraty:** - poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU" - na terenie całego kraju. Bezpośrednio - w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłat należy dokonywać na konto: GTL - redakcja miesięcznika „Śląsk", PKO II Oddz. Katowice 27528-746272-136. Prenumerata roczna - 36 zł., półroczna - 18 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza — 3 zł (30.000).
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

**Numer zamknięto 10.06.1996**


## W NUMERZE


**ŚLĄSKI MIESIĄC** ... 2
REPLIKI I KOMENTARZE
*Tadeusz Kijonka* **POLSKI POSEŁ Z CIERLICKA** ... 3
**LISTY** ... 4
*Jan Dziadul* **CIENIE BLISKIEJ PRZESZŁOŚCI** ... 5
*Rozmowa ze Stanisławem Hadyną*
**OAZA FOLKLORU** ... 8
*Maria Lipok-Bierwiaczonek* **RZECZ O GÓRALACH ŚLĄSKICH** ... 10
*Rozmowa z Jerzym Pilchem*
**SZYDERSTWO JEST WE MNIE** ... 16
*Jan Szczepański* **WOLA TRWANIA** ... 18
*Stanisław Gola* **WIERSZE** ... 22
*Krzysztof Karwat* **BLIŻEJ NIEBA** ... 23
*Katarzyna Młynarczyk* **WIERSZE** ... 26
*Jolanta Trojanowska* **RZEKA UMĘCZONA** ... 28
*Władysław Sosna* **GÓRY NASZE DOMOWE** ... 30
*Antoni Halor* PEJZAŻ MITOLOGICZNY
**SKARBY UKRYTE** ... 33
*Tomasz Cichoń* **DEZERTER** *( opowiadanie)* ... 34
*Rozmowa z Jerzym Moskalem*
**„GDZIE JEST MÓJ TEATR?"** ... 38
*Janusz Jeleń* **NASI OLIMPIJCZYCY** ... 40
*Jan F. Lewandowski* WĘDRÓWKI PO KINIE
**POGODA DLA KINIARZY** ... 45
*Edmund Wojnarowski* **STĄD DO WISŁY** ... 46
*Seweryn Wisłocki:* **MAGICZNA SYNTEZA** ... 49
*Krzysztof Sas-Nowosielski* **CI WSPANIALI MĘŻCZYŹNI**
**NA OŚNIEŻONYCH SZCZYTACH HIMALAJÓW** ... 50
*Krzysztof Karwat* ŚCIEŻKI I ROZDROŻA
**DYLEMATY BIENKA** ... 55
*Leszek Szaruga* **WYSPA POEZJI** ... 56
*Tadeusz Kijonka* **POWRÓT Z MIEJSCA URODZENIA** ... 59
**KSIĄŻKA „ŚLĄSKA":** *Jerzy Pilch* **„Inne rozkosze"** ... 60
*Marian Kisiel* STARTY I FALSTARTY
**ROCZNIK SZEŚĆDZIESIĄTY, MÓJ ROCZNIK** ... 61
*Urszula Broll* **ST - 53. JAK BYŁO** ... 62
*Andrzej Urbanowicz* **ST - 53. NIE TAK BYŁO** ... 63
*Krzysztof Kłosiński* CZYTANE PO LATACH ... 64
**ZDOBYCIE WŁADZY**
*Andrzej Urbanowicz* **SYMBOL CZY ALEGORIA?** ... 65
**TEATR**
*Krzysztof Karwat:* **SZLACHETNA PORAŻKA** ... 66
*Mirosława Pindór* **MIĘDZY EPOKAMI** ... 66
**MUZYKA** ... 67
*Magdalena Dziadek* **MUZYCZNY EKUMENIZM** ... 67
**TANIEC**
*Marek Skocza* **BARWY TAŃCA** ... 67
**KSIĄŻKI.** *Recenzje. Noty. Witryna nowości* ... 68
*Marek Baster* **BLOC-NOTES** ... 73
**NOTATNIK KULTURALNY.** *Katowice. Opole. Bielsko. Zaolzie* ... 78
*Wojciech Janota* **GLOSSY GÓRNOŚLĄSKIE** ... 79
*Marta Fox* **LISTY SPOD KAPELUSZA** ... 80
*Seweryn Wisłocki* **DROWNIAK, CZYLI NIKIFOR** ... 80


**W kolorze:**
● Radio O'K Katowice (str. A) ● Jacek Malczewski — wystawa malarstwa w Muzeum Śląskim w Katowicach (str. B) ● Nikifor — wystawa w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu (str. C) ● Jerzy Moskal — projekty scenograficzne (str. D).

**Fotografia na okładce:** Roman Kucia

**Prenumerata zagraniczna: 5 DM, 35 ATS, 17,5 FRF, 20 NOK, 20 SEK, 2 GBP, 80 KČ**

# ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń z miesiąca poprzedzającego zamknięcie numeru

● **GENERAL MOTORS** zawarł z Gliwicami umowę inwestycyjną w bardzo uroczystej oprawie. Umowa warta tego — General Motors wybuduje fabrykę, w której ponad 2 tysiące ludzi będzie produkować ponad 70 tys. opli rocznie.

● **ILE JEST GATUNKÓW KAKTUSÓW?** A kto to może wiedzieć poza specjalistami i p. Józefem Gołąbkiem, który bogaty zestaw swoich okazów zaprezentował na wystawie w Mysłowicach.

● **XXX OGÓLNOPOLSKĄ** Olimpiadę Pielęgniarską wygrała uczennica V klasy Zespołu Szkół Medycznych z Bytomia Elżbieta Sojka, pokonując w Krakowie 18 finalistek wyłonionych spośród 820 startujących.

● **URZĄD GMINY I MIASTA** Ogrodzieniec zakupił książkę meldunkową gminy z lat 1895—1937; eksponat jest w bardzo dobrym stanie.

● **DYPLOMATYCZNY** casus nabrał rumieńców dopiero po fakcie. Podczas pobytu prezydenta RP 2 V br. na uroczystościach związanych z 75-leciem III powstania śląskiego, wśród towarzyszących mu gospodarzy województwa zabrakło gospodarza Katowic. Zamieszczone w publikatorach wyjaśnienie uzasadniało to protokolarne zaniedbanie niewiedzą. Ktoś w którejś kancelarii zawalił.

● **DOPIERO** po 9 dniach strażacy znaleźli zwłoki 8-letniej Kasi z Pszczyny-Woli, która 27 kwietnia utonęła w Wiśle, płucząc kwiaty.

● **NOWYM** rektorem Śląskiej Akademii Medycznej został wybrany światowej sławy kardiochirurg prof. Zbigniew Religa. Konkurowali z nim okulista z Wydziału Lekarskiego w Zabrzu prof. Stefan Pojda i internista z Wydziału Lekarskiego w Katowicach prof. Jan Duława.

● **JAK CO ROKU** — czas matury. 8 maja przystąpiło do pisemnej matury z języka polskiego 12,8 tys. abiturientów w liceach ogólnokształcących i 17,5 tys. w technikach, w sumie ponad 30 tys. młodych ludzi.

● **NA WNIOSEK** prezydenta Rybnika Józefa Makosza radni miejscy odwołali z funkcji wiceprezydenta Mariana Adamczyka, uzasadniając, że wykorzystał swoje służbowe stanowisko do załatwiania prywatnych celów.

● **OBRADUJĄCY** w Sosnowcu amerykańscy i polscy uczeni są zaniepokojeni występującym stężeniem ołowiu we krwi u dzieci, które może spowodować u nich obniżenie inteligencji o trzy, nawet cztery punkty. Mała dla nas pociecha, że stężenie ołowiu na Śląsku jest takie jak w Nowym Jorku.

● **PĘKŁA CHMURA** nad Ostropą, dzielnicą Gliwic. Na krótko — od 16. do 20. — ale groźnie. Wstępne straty oszacowano na 50 tys. zł.

● **TYLKO** na drogach Podbeskidzia odbył się — po czterech latach nieobecności — polski etap Wyścigu Pokoju.

● **KATOWICKI** areszt śledczy uczcił 15. rocznicę reaktywowania duszpasterstwa więziennego uroczystą mszą w odnowionej pięknie kaplicy odprawioną przez metropolitę katowickiego abp. Damiana Zimonia.

● **TYM RAZEM** w Tresnej „bandera poszła w górę", gdzie w bazie Yacht Clubu Bielsko-Biała otwarto tegoroczny sezon wodny.

● **NAD RANEM,** 12 bm. w kopalni „Halemba" w Rudzie Śl. zginął 48-letni sztygar zmianowy Walenty Kubryk.

● **300 MEDALI** pamiątkowych z mosiądzu przygotowanych dla uczestników IV Biegu Fiata skradziono krótko przed imprezą.

● **SZEREGI KSIĘŻY** archidiecezji katowickiej powiększyły się o 21 wyświęconych diakonów Wyższego Śląskiego Seminarium Duchownego.

● **DŁUGO,** bo do końca roku, potrwają prace przy przebudowie Rynku w Żorach, ale jest to optymalny termin jaki uzgodniono z wojewódzkim konserwatorem zabytków.

● **REKTOREM-ELEKTEM** Uniwersytetu Śląskiego został prof. Tadeusz Sławek. Rektor-elekt jest poetą i tłumaczem, profesorem w Instytucie Kultury i Literatury Brytyjskiej i Amerykańskiej UŚl. Jest rodowitym katowiczaninem.

● **PONAD 2000** litrów oleju wyciekło z cysterny podczas karambolu w Pszczynie.

● **JEŚLI ZAKOPANE** nie rozpocznie akcji promocyjnej swojej kandydatury do organizacji olimpiady już w czasie igrzysk w Atlancie, nie ma co marzyć o sukcesie — powiedział Eugeniusz Pietrasik, wiceprezes KKFiT na konferencji prasowej w Katowicach. Pesymiści uważali, że już i tak za późno.

● **CHCĄC STWORZYĆ** wspólną listę w nadchodzących wyborach parlamentarnych, przedstawiciele trzynastu prawicowych partii z naszego regionu reaktywowali porozumienie o współdziałaniu. Poprzednio nie bardzo wyszło (ogólnie); może tym razem będzie lepiej.

● **PROCES TASIEMIEC** w sprawie wypadków grudniowych na „Wujku" trwa. Zeznawał jeden z głównych świadków, b. minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak. — Nie dałem zgody na użycie broni w kopalni „Wujek". Żeby ktoś nie zrobił tego poza moimi plecami, poinformowałem o swojej decyzji moich zastępców — powiedział Cz. Kiszczak.

● **KOLEJNY ŚWIADEK** w tym procesie Jan Maria Rokita b. szef nadzwyczajnej komisji sejmowej badającej działalność MSW w latach 1981—1989 swoje 4,5-godzinne zeznania podsumował wprost: „Przejrzałem wszystkie dokumenty, które mogły mieć znaczenie dla mojej oceny. Mam pewność: w kopalni „Wujek" dopuszczono się zaplanowanego morderstwa". Na ostateczne (?) wyjaśnienie sprawy musimy poczekać do końca procesu. A to jeszcze potrwa.

● **PIEKŁO** kojarzy się nam z ogniem. Ale to co przeżyli mieszkańcy podzawierciańskiego Kromolowa może być nazwane właśnie dantejskim określeniem: piekło. Chociaż spowodowane było przez wodę: ściana wody przeszła przez Kromołów porywając drzewa i ziemię, samochody i pryzmy drewna. Żywioł nie oszczędzał niczego. Nie wiadomo od czego zaczynać szacowanie strat. Dla powodzian uruchomiono pomoc ze strony władz jak i społeczną. Poszkodowani byli nieubezpieczeni.

● **EMERYCI, RENCIŚCI** protestowali na katowickim Rynku przeciwko niezwaloryzowaniu rent i emerytur za IV kwartał ub. roku.

● **106 LAT** ukończyła mieszkanka Katowic p. Stefania Grabala.

● **PANI** prezydent Świętochłowic Krystyna Rawska złożyła rezygnację ze swojej funkcji.

● **ZOSTAŁA** skompletowana 40-osobowa grupa doradców premiera Włodzimierza Cimoszewicza. Wśród nich cztery osoby związane z naszym regionem: dyrektor „Stalexportu" Ryszard Harhala, socjolog z Uniwersytetu Śląskiego prof. Jacek Wódz, reżyser Kazimierz Kutz i poprzedni rzecznik praw obywatelskich oraz wykładowca na U.Śl. prof. Tadeusz Zieliński.

● **10 KILOGRAMÓW** ważył karp złowiony przez p. Krzysztofa Rygusa w katowickiej Dolinie Trzech Stawów.

● **ZACHOROWALNOŚĆ** na pylicę zmniejszyła się w ciągu roku prawie o połowę. Tak twierdzi Wyższy Urząd Górniczy. Uczeni z Politechniki Śląskiej sceptycznie oceniają te dane.

● **RACZEJ** pobłażliwie należy traktować klientów poczty, którzy na kartkach i listach naklejają stare znaczki jeszcze sprzed denominacji (sprzed 15—20 lat). Mają nominały 20, 40, 60 gr. Obecnie na kartkę trzeba nakleić znaczek za 40 gr, na list — 55 gr. Nowoczesne maszyny do stemplowania nie są w stanie wyłapać starych znaczków.

● **KOROWÓD** kilku tysięcy uczniów tyskich szkół podstawowych zainaugurował Dni Włoskie „Festa Italiana '96". Młodzież dopisała — organizatorzy i goście mniej.

● **IMIĘ** rotmistrza Witolda Pileckiego otrzymał Zespół Szkół Zawodowych nr 3 w Zabrzu. Mszę św. w intencji patrona szkół odprawił biskup ordynariusz gliwicki Jan Wieczorek, tablicę poświęconą pamięci rotmistrza odsłoniła jego córka Maria, a kombatanci Armii Krajowej przekazali uczniom sztandar.

● **MIMO DESZCZU** i nie najlepszej pogody ok. 100 tysięcy pątników przybyło do Piekar Śl. na doroczną pielgrzymkę. Zebranych powitał metropolita górnośląski abp. Damian Zimoń, mszę pontyfikalną w koncelebrze z nowo wyświęconymi księżmi odprawił metropolita krakowski kard. Franciszek Macharski, a homilię wygłosił metropolita praski kard. Miroslav Vlk. Już tradycyjnie z Watykanu pozdrowił, kiedyś wielokrotny piekarski pątnik, papież Jan Paweł II. Zebrani wysłali Ojcu Świętemu depeszę z wyrazami czci i synowskiej miłości.

● **AKCJA** Katolicka i Caritas diecezji sosnowieckiej wysłały do Bośni transport z pomocą humanitarną.

● **TOWARZYSTWO** Przyjaciół Dąbrowy Górniczej wydało pierwszy tom liczącej 1027 haseł „Encyklopedii Dąbrowy Górniczej A—Z". Zastosowano system holenderski — kolejne tomy będą uzupełniać materiał zawarty w pierwszym.

● **ANNA STOKŁOSA,** florecistka AZS AWF Katowice, zdobyła złoty medal na Indywidualnych Szermierczych Mistrzostwach Polski w Krakowie.

● **TO BYŁA WYJĄTKOWO** zła zima i wiosna dla pszczół. Padła co trzecia pszczoła. Pozostałe chorują. Pszczelarze z naszego regionu twierdzą, że takiej złej wiosny nie było od 40 lat. W innych regionach też nie lepiej.

● **BOLESŁAW POCHOPIEŃ,** profesor w Instytucie Czasu Rzeczywistego został rektorem-elektem Politechniki Śląskiej w Gliwicach.

● **KOŃCZYMY** akcentem studenckim — jak zwykle pod koniec maja — prezydent Katowic przekazał studentom klucze do miasta i nastał czas JUWENALIÓW!

KRONIKARZ

# Chwała i cisza

Wojciech Kilar, Henryk Bereska, Tadeusz Strugała oraz profesor Fritz Stern z nowojorskiego Uniwersytetu Columbia laureatami tegorocznej Śląskiej Nagrody Kulturalnej. Ta przyznawana od 1977 roku przez rząd krajowy Dolnej Saksonii nagroda, ustanowiona dla uhonorowania osiągnięć niemieckich twórców wywodzących się ze Śląska, od 5. lat przyznawana jest przez niemiecko-polskie jury także Polakom, zaś uroczystości wręczenia nagród odbywają się na przemian we Wrocławiu i Hanowerze.

W tym roku miejscem uroczystości był Wrocław, gdzie 15 czerwca w oprawie wspaniałej Auli Leopoldyńskiej dokonano aktu wręczenia tych prestiżowych nagród (z Polaków w przeszłości otrzymali je m.in. Tadeusz Różewicz, i Kazimierz Kutz). W gronie laureatów obok Fritza Sterna (urodzonego we Wrocławiu w rodzinie żydowsko-niemieckiej, filozofa i historyka, autora prac o odpowiedzialności Niemiec za faszyzm, holocaust i II wojnę światową) znalazło się aż trzech twórców związanych z Katowicami, co nie zostało niestety zauważone w naszym zacnym mieście i województwie.

Katowiczaninem z urodzenia jest Henryk Bereska (ur. w 1926), którego losy wojenne rzuciły na teren Niemiec, gdzie od 1945 roku mieszka — jeden z najznakomitszych tłumaczy literatury polskiej (od Kochanowskiego i Mickiewicza — po Witkacego, Różewicza, Iwaszkiewicza, Rudnickiego i Myśliwskiego), laureat nagrody polskiego Pen Clubu przed 2 laty. Bereska do niedawna utrzymywał żywe kontakty z Katowicami, póki żyła tu bliższa rodzina.

Jest także katowiczaninem znakomity dyrygent i zasłużony organizator polskiego życia muzycznego Tadeusz Strugała (ur. w 1935), absolwent katowickiej Akademii Muzycznej, w latach 70. szef WOSPRiTV, artysta od lat związany z Wrocławiem, gdzie kieruje (od roku 1978!) jednym z najznakomitszych festiwali muzycznych w Europie „Wratislavia Cantans".

Katowiczaninem z życiowego wyboru jest od blisko pół wieku, urodzony w 1932 roku we Lwowie, wybitny kompozytor Wojciech Kilar, którego wielkie międzynarodowe sukcesy od lat rozsławiają polską muzykę, ale i Katowice, miasto gdzie mieszka, żyje i tworzy od czasu nauki i studiów muzycznych — wierny Katowicom, wspierający swym nazwiskiem wiele ważnych przedsięwzięć i wartości w kulturze i sztuce śląskiej.

Trzech katowiczan w Auli Leopoldyńskiej 15 czerwca 1996 roku podczas uroczystości wręczenia prestiżowej nagrody. Lecz jaki oddźwięk tego chlubnego faktu w samych Katowicach? Zdawkowe notki w prasie katowickiej — i cisza. Jakby nic się ważnego, a nawet nadzwyczajnego nie stało.

T.K.

# Polski Poseł z Cierlicka

Polacy na Zaolziu mają znów swego przedstawiciela w czeskim parlamencie. Jednym z 200. posłów jest Wawrzyniec Fojcik (wcześniej obok Danuty Branny zasiadający w Radzie do spraw Narodowości przy Rządzie Republiki Czeskiej). Kandydował z listy Obywatelskiej Partii Demokratycznej (ODS) kierowanej przez Vaclava Klausa. To, że z 11 miejsca na liście partii rządzącej przebił się do czeskiego parlamentu świadczy, iż Polacy tym razem nie roztrwonili głosów. A ubiegało się o mandaty 17 partii, co w przypadku każdej mniejszości narodowej grozi rozproszeniem elektoratu, zaś polska grupa etniczna także i tu nie uchodzi, niestety, za skonsolidowaną, lecz do tego stopnia podzieloną i skłóconą, że aż trudno się rozeznać w mozaice organizacyjnej.

Wawrzyniec Fojcik jest prezesem Rady Polaków w Republice Czeskiej, a także starostą Cierlicka, miejscowości, która przeszła do historii jako miejsce tragicznej katastrofy zwycięzców Challange`u w 1932, pilota Franciszka Żwirki i konstruktora Stanisława Wigury, podążających 11 września tamtego roku samolotem RWD-6 na mityng do Pragi. Legenda tej tragedii stała się odtąd miejscem kultu jednoczącym Polaków na Zaolziu. Strażnikiem. tej pamięci był przez długie lata miejscowy nauczyciel, Józef Stebel, który przekazał dziedzictwo ich kultu swoim wychowankom wielu kolejnych roczników. I to z takim skutkiem, że doprowadzili po latach ofiarnych wysiłków, pod przewodem Jana Przywary, do budowy Domu Polskiego im. Żwirki i Wigury ze stałą ekspozycją im poświęconą (w roku 1990, wraz z posłem Henrykiem Sienkiewiczem zorganizowaliśmy zbiórkę pieniężną na ten cel w sejmie RP).

Wawrzyniec Fojcik jest zapewne uczniem ze szkoły Józefa Stebla. Ma opinię człowieka stanowczego, który nie ustępuje łatwo. Jako starosta spowodował, że obok czeskiej nazwy miejscowości: Terlicko — pojawiła się przed dwoma laty znowu nazwa polska oraz zostało wyegzekwowane prawo zawieszania dwujęzycznych tablic i szyldów w podległej mu gminie (Polacy stanowią tam obecnie trzecią część mieszkańców — niegdyś nie mieszkał w Cierlicku żaden Czech).

Głos polskiego posła z Cierlicka zabrzmi zapewne mocno w kwestiach praw polskiej mniejszości, choć będzie to tylko jeden głos w 200. — osobowym czeskim parlamencie. Ale już sam rezonans może mieć znaczenie, jeśli jego głos z Pragi znajdzie odpowiedni odzew w Warszawie, bo, jak dotąd, nasza skuteczność w dopominaniu się o respektowanie praw polskiej mniejszości jest znikoma. Szczególny zawód sprawiła wizyta w Czechach przed ponad rokiem Lecha Wałęsy, który kilkakrotnie kajał się i bił w piersi za rok 1938 nie podejmując z odpowiednią mocą uzasadnionych roszczeń materialnych i praw moralnych Zaolzian zaś goszcząc w Czeskim Cieszynie niewiele miał im do powiedzenia. Przy okazji po raz kolejny Stolica dała popis żenującej ignorancji nazywając tamtejszych rodaków „Polonią zaolziańską", jakby nie chodziło o społeczność od wieków tu osiadłą.

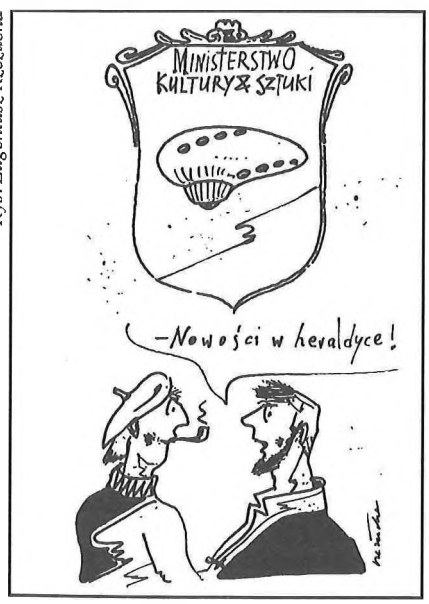
Oczywiście wiele zmieniło się w ostatnich latach na korzyść. Nas musi jednak nadal niepokoić stałe kurczenie się polskiego szkolnictwa w wyniku różnych manipulacji prawnych — a przecież w latach 1922-1938, w wyniku działalności Macierzy Polskiej doszło na Zaolziu do podwojenia uczniów w polskich szkołach, zaś liczba placówek oświatowych wzrosła 4-krotnie. Nadal też znikają polskie szyldy i napisy — nawet w gorolskiej stolicy, w Jabłonkowie. Coraz bardziej też zagrożony jest byt materialny polskich instytucji — wegetują czasopisma i gazety, w coraz trudniejszych warunkach działają polskie organizacje, a język polski nie jest dobrze odbierany w czeskich urzędach.

Kwestią oczywiście najbardziej sporną jest sprawa zwrotu polskiego majątku, stanowiły go szkoły, hotele, banki, domy ludowe, schroniska, drukarnie, grunty, parki... samych remiz Związku Polskich Straży Pożarniczych było 65). Majątek ten skonfiskowany przez hitlerowców został jako „mienie poniemieckie" znacjonalizowany w wyniku dekretów Benesza z roku 1945. A jest to w sumie majątek ogromny, oszacowany na 5 mln dolarów, wypracowany z wielkim poświęceniem przez kilka generacji zaolziańskich Polaków. Już w 1990 r. została przekazana obszerna dokumentacja czeskim władzom — bez rezultatu. Główną barierą są (powiedzmy) zawieszone na tych samych warunkach roszczenia Niemców Sudeckich. Z kolei jednak duże szanse na rewindykcje swoich majątków mają Żydzi i gminy żydowskie.

Zapewne odzyskanie całego majątku polskich instytucji i organizacji nie jest już, po pół wieku, realne, ale w jakichś uczciwych granicach możliwe. Zapewnienie zadośćuczynienia padło zresztą nie tak dawno z ust premiera Vaclava Klausa podczas spotkania z premierem Włodzimierzem Cimoszewiczem w Karpaczu, który oficjalnie stwierdził, że przygotowane są decyzje rządowe w tej sprawie korzystne dla mniejszości polskiej. Ale czy była to tylko polityczna obietnica — okaże czas.

Polski poseł z Cierlicka, Wawrzyniec Fojcik, będzie więc obarczony rozlicznymi zadaniami, zapewne ponad siły. Może jednak stać się trybunem racji zaolziańskich Polaków, które powinny mieć uważny odbiór po obu stronach Olzy. Pełna, jakże oczekiwana normalizacja stosunków polsko-czeskich bez respektowania praw i słusznych roszczeń Polaków zaolziańskich nie będzie możliwa, co wreszcie także Praga zrozumieć powinna. Zbyt wiele nasze narody mogą sobie ofiarować na drodze wielostronnej współpracy wielostronnej i autentycznej przyjaźni, by tak w sumie niewiele mogło tak długo dzielić.

TADEUSZ KIJONKA




*Rys. Eugeniusz Rzęzucha*




***Panie Redaktorze!***

*Mam przed sobą miesięcznik „Śląsk", a w nim dużo ciekawych opisów. M.in. napisane jest o „Wehrmachtowcach". No cóż, my wiemy o tym, że nas opluwają, złorzeczą nam, ale i zazdroszczą. Podziwiać należy, że czynią to byli żołnierze z innych formacji polskich, sowieckich, półsowieckich itp. Dla nas Górnoślązaków, Wehrmacht był też armią obcą. Nasi ojcowie brali udział w pierwszej wojnie światowej. Brali też udział Wielkopolanie, byli też Polacy z centralnej Polski. Była generalicja za Polski sanacyjnej, większość służyła w armii austriackiej, carskiej, węgierskiej. To też były armie obce. Niemcy też służyli w armii polskiej to znaczy obcej. Dla tych żołnierzy na podstawie postanowień haskich i genewskich, rządy tych obywateli zabezpieczyły im byt w okresie powojennym.*

*W Polsce przez szereg lat w polskim ustawodawstwie obowiązywał przepis, który uwzględniał obywatelom Polski służbę we wszystkich obcych armiach, także w Wehrmachcie. W 1983 roku został on zmieniony. W Niemczech osoby służące w polskiej armii mają ten okres wliczony do świadczeń emerytalnych.*

*I wszyscy ci, którzy służyli w obcych armiach otrzymują swoje, i ci z pierwszej wojny światowej też otrzymywali. My zaś, którzy nie znali owego zapisu, w czasie kiedy wcielano nas przymusowo do Wehrmachtu, nie było innej rady tylko czekać na okazję.*

*... Co do mnie, to jechałem pierwszym transportem w roku 1940, 5 lutego. Nim do tego doszło, 8 września 1939 r. wywieziono 1500 ludzi na roboty do Niemiec. Pracowałem przy kanale w okolicy Taciszowa za Gliwicami. Pracowałem w dole 3x3x3. Górą toczono wywrotki i takie 2 wywrotki wpadły do tego dołu, w którym pracowałem. Jedna uderzyła mnie w lewe biodro. Na budowie nie było majstra ni też kierownika. Wyciągano mnie 1,5 godziny. Koledzy przywieźli mnie do domu. Był lekarz, potem gestapo i lekarz niemiecki. Leżałem niecałe 6 tygodni i otrzymałem wezwanie do poboru. I jechałem do Jeleniej Góry, do Wehrmachtu. Dopiero w szpitalu w Heilbronn dowiedziano się w jakim stanie się znajduję. Znaczne uszkodzenie lewego biodra, brak panewki, szyjki i główki. To kalectwo spowodowało, że kręgosłup jest esowaty, dwojako. To była celowa robota, chciano mnie zabić. Po tym fakcie skierowano mnie do koszar w Heilbronn, do służby wartowniczej. Pewnego dnia zawołano mnie i powiadomiono, że przyjechał szef pszczyńskiego gestapo.*

*Znałem go, bo pszczyński Freikorps chciał mnie rozstrzelać. Nie brakowało wiele by do tego doszło. Wyciągnął mnie z tego kolega. Było, że byliśmy ministrantami; on służył do mszy w języku niemieckim, ja w polskim.*

*Później, on był w Turnfereinie, ja w paramilitarnej, półwojskowej organizacji czyli Związku Strzeleckim. Z.zw. PWiWF – przysposobienie wojskowe i wychowanie fizyczne. Lubiłem wojsko i sport...*

*... W 1939 r. weszli Niemcy, rabowali i mordowali. Kiedy weszli Sowieci robili to samo razem z władzami partyjnymi i rządowymi. Obecnie niby że jest demokracja, ale jaka?*

*... Nie tak dawno na Zachodzie ukazała się arcyciekawa książka Richarda Willa „We Europeans", czyli „My Europejczycy" zawierająca wiele uszczypliwości i humoru. Autor nieźle przykłada Polakom. Pisze: „Posiadają wiele cech rosyjskich – wliczając w to heroizm (choć bardziej teatralnego rodzaju). Już Mrożek zauważył, że Polacy hołdują przekonanie we własnej wyjątkowości. I dlatego tak jest".*

*Tak było panie redaktorze. Człowiek stracił młodość i zdrowie tylko dlatego, że kręcił się wśród złych ludzi.*

*Przekazaliśmy nasze przeżycia poważnej części młodzieży, by przekazała następnym pokoleniom.*

KAROL PISAREK
Pszczyna

---

GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE W KATOWICACH
KOŁO CIESZYŃSKO-ZAOLZIAŃSKIE GÓRNOŚLĄSKIEGO TOWARZYSTWA LITERACKIEGO
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA SPOŁECZNO-KULTURALNEGO „ŚLĄSK"
*przy współudziale*
WYDZIAŁU KULTURY URZĘDU WOJEWÓDZKIEGO W KATOWICACH
pod patronatem
SEJMIKU SAMORZĄDOWEGO WOJEWÓDZTWA KATOWICKIEGO
*organizują*

## KONKURS LITERACKI

**na cykl wierszy lub poemat w języku polskim i czeskim**

## O NAGRODĘ SKRZYDŁA IKARA

Konkurs ten nawiązujący do pamięci ostatniego lotu Żwirki i Wigury – zwycięzców Challange'u w 1932 na polskim samolocie RWD-6 – którzy ponieśli śmierć 11 września 1932 r. w katastrofie lotniczej w Cierlicku Górnym na Zaolziu podczas przelotu na mityng z Warszawy do Pragi – jest ogłoszony i będzie rozstrzygnięty równolegle w języku polskim i czeskim. Utwory nadesłane na konkurs powinny nawiązywać do szeroko pojętej symboliki związanej z tragicznym lotem IKARA oraz do humanistycznej treści tego antycznego mitu, szczególnie w odniesieniu do współczesności. W zamierzeniu organizatorów ma to być konkurs stały, ogłaszany co 2 lata, z udziałem poetów polskich i czeskich – w przyszłości przy współudziale organizatorów obu krajów.

**WARUNKI KONKURSU:**

1. Konkurs ma charakter otwarty i jest skierowany do poetów polskich i czeskich.

2. Utwory konkursowe napisane w języku polskim i czeskim będą rozstrzygane i honorowane niezależnie przez powołane w późniejszym terminie jury.

3. Cykle wierszy nadesłane na konkurs nie mogą liczyć mniej niż 5 utworów, poematy – co najmniej 100 wierszy.

4. Utwory nadesłane na konkurs nie mogą być wcześniej publikowane w całości czy we fragmentach, ani też rozpowszechniane w jakiejkolwiek innej formie.

5. Teksty w 3 egzemplarzach maszynopisu, opatrzone czytelnym godłem autora, należy przesyłać pod adresem: **Zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, Katowice, ul. Misjonarzy Oblatów 11**. Do prac należy dołączyć zaklejoną kopertę oznaczoną tym samym godłem, z podaniem imienia i nazwiska oraz adresu autora.

**6. Termin nadsyłania prac upływa 30 września 1996 roku – obowiązuje data stempla pocztowego.**

7. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do dnia 15 października 1996 r. Uroczyste wręczenie nagród odbędzie się w Cierlicku, w miejscu pamięci tragicznej śmierci Żwirki i Wigury, w terminie do końca października br.

8. Organizatorzy przewidują następujące nagrody – oddzielne w języku polskim i czeskim:

**Nagroda I – 700 zł wraz ze statuetką „Skrzydła Ikara" symbolizującą ideę konkursu.**
**Nagroda II – 500 zł.**
**Nagroda III – 400 zł.**
**2 wyróżnienia po– 200 zł.**
**Przewidywame są również nagrody specjalne.**
**Wszyscy laureaci otrzymają honorowe dyplomy.**

9. Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród i wyróżnień, pod warunkiem przyznania I nagrody oraz zachowania łącznej sumy przeznaczonej na ten cel.

10. Szczegółowych informacji dotyczących konkursu – listownie bądź telefonicznie – udziela Sekretariat Zarządu Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach – w poniedziałek i środę każdego tygodnia, w godz. 10.00–13.00. Tel. 58-66-94.

11. Wszystkie nadesłane prace pozostają w dyspozycji organizatorów konkursu, którzy – na podstawie decyzji jury – mogą w książce zawierającej nagrodzone i wyróżnione utwory zamieścić także inne, wybrane teksty. ■

***Od Redakcji:***

***Niestety, i tym razem wkradło się do „Śląska" kilka chochlików. W numerze 6 powinno być:***

***1) Tytuł felietonu M. Kisiela z cyklu „Starty i falstarty" powinien brzmieć „Gra o poezję i życie".***

***2) Z przyczyn technicznych w tekście prof. I. Opackiego zostały błędnie złamane cytowane wiersze J. Lechonia.***

***3) Nazwisko autora rysunków „Porażony polskością" to Stanisław Czermański.***

**W marcu 1993 r., przed Sądem Wojewódzkim w Katowicach, rozpoczęła się największa rozprawa rozliczeniowa z PRL — proces w sprawie najdramatyczniejszych wydarzeń stanu wojennego na Śląsku. Przypomnijmy: 15 grudnia 1981 r. siły milicyjne odblokowujące strajkującą kopalnię „Manifest Lipcowy" (dziś „Zofiówka") w Jastrzębiu postrzeliły 4 górników; następnego dnia doszło do jeszcze większej tragedii — w kopalni „Wujek" zginęło 9 górników, 20 odniosło rany postrzałowe.**

## Tragedia „Wujka" – w oczekiwaniu na wyrok

# CIENIE BLISKIEJ PRZESZŁOŚCI

JAN DZIADUL

### A ktem oskarżenia objęto 24 osoby.

Czesława Kiszczaka, byłego ministra spraw wewnętrznych, współautora stanu wojennego – za wysłanie szyfrogramu (przed opublikowaniem dekretu o stanie wojennym) zezwalającego milicji na stosowanie środków przymusu, z bronią palną włącznie. Ze względu na stan zdrowia sprawę generała Kiszczaka wyłączono i przekazano Sądowi Wojewódzkiemu w Warszawie – proces trwa od września 1994 r.

Mariana Okrutnego, byłego zastępcę komendanta wojewódzkiego MO w Katowicach, a w stanie wojennym szefa sił odblokowujących strajkujące zakłady, Kazimierza Wilczyńskiego, byłego dowódcę ZOMO (ze względu na stan zdrowia sprawa wyłączona) i Romualda Cieślaka, byłego dowódcę plutonu specjalnego – oskarżono o sprawstwo kierownicze w zbrodni zabójstwa.

Dwudziestu członków plutonu specjalnego – o użycie broni palnej i narażenie zgromadzonych na utratę życia lub ciężkie uszkodzenie ciała.

Wcześniejsza śmierć „uwolniła" od oskarżenia gen. Jerzego Grubę, byłego komendanta wojewódzkiego milicji – zmarł jesienią 1991 r., i płk. Zygmunta Baranowskiego – I zastępcę ds. Służby Bezpieczeństwa – zmarł w połowie lat osiemdziesiątych.

Przed sądem w Katowicach stanęło kilkuset świadków – w tym niżej podpisany – wszystko wskazuje na to, że „część katowicka" rozliczeń ze stanem wojennym zmierza do finału (oczywiście, w pierwszej instancji – nikt nie ma wątpliwości, że jakikolwiek zapadnie wyrok, to strony będą się od niego odwoływać!).

Katowicki proces rozpoczął się pod

### osłoną grupy antyterrorystycznej.

Obfitował w pikiety przed sądem, i w demonstracje na sali rozpraw. Wygrażano sędziom. Okrzykami: mordercy! – „osądzano" oskarżonych. Na rozprawach (w gorących okresach politycznych) pojawiali się czołowi przedstawiciele partii prawicowych. Zaliczenie procesu „Wujka" było obowiązkowym elementem kampanii wyborczych. Zainteresowanie kończyło się wraz z ogłoszeniem wyników.

Nie brakowało „gier procesowych" ze strony oskarżonych i ich obrońców, które spowalniały i zakłócały bieg sprawy. Obserwatorzy zauważyli, że z każdym kolejnym dniem rozprawy coraz pewniej czuli się oskarżeni...

Mimo wszystko, biorąc pod uwagę ogrom sprawy, jej upolitycznienie i związane z tym emocje – można uznać, że katowicki proces przebiegał sprawnie i zgodnie z literą prawa (choć nie zawsze rozumianą). Teraz nadchodzi moment najtrudniejszy – czas wyrokowania. Czas kolejnych emocji, kiedy „zimne prawo" musi zderzyć się z rozbudzonym „poczuciem sprawiedliwości", z moralnymi ocenami stanu wojennego, z naturalnymi i uzasadnionymi uczuciami, jakie noszą w sobie pokrzywdzeni – rodziny zabitych i rannych – domagający się jednego: sprawiedliwości!

Każdy wyrok w tej sprawie będzie miał polityczną wymowę. Pierwsze rozliczenie ze stanem wojennym, z ostatnim okresem PRL, złożono na barki sędziów...

Warto dzisiaj przypomnieć, że ponad 14 lat temu, w tej samej sali sądowej (314), po wyroku „w sprawie „Wujka".

### rozległy się brawa...

Jak będzie (najprawdopodobniej) w lecie 1996 r.?

3 lutego 1982 r. właśnie w tej sali, ale przed sądem Śląskiego Okręgu Wojskowego, rozpoczął się w trybie doraźnym proces przeciwko 9 górnikom z „Wujka" oskarżonym o zorganizowanie i kierowanie strajkiem w zmilitaryzowanej kopalni. Świadkami w tamtym procesie byli (między innymi) Kazimierz Wilczyński i Romuald Cieślak – dziś zasiadają na ławie oskarżonych. Czterech oskarżonych przywódców strajku: Stanisława Płatka, Jerzego Wartaka, Adama Skwirę i Mariana Głucha – skazano, na podstawie dekretu o stanie wojennym, na kilkuletnie kary pozbawienia wolności. Pięciu oskarżonych uniewinniono. Dziś wszyscy występują w roli świadków.

Historia wprawdzie nie toczy się kołem, ale zdarza się, że wraz z tworzącymi ją ludźmi symbolicznie dotyka tych samych miejsc. Za to na pewno często zmienia role swoich bohaterów. Tragedia „Wujka" pokazuje, że należy o tym pamiętać w każdym momencie naszego „dziś". Bo tak właśnie, nieprzewidywalnie, „piszą się" polskie losy...

Aby zrozumieć tamte, niecodzienne na sądowej sali, brawa (bili je koledzy i rodziny oskarżonych), kierowane na dodatek w stronę sędziów w wojskowych mundurach! – należy pamiętać o zagrożeniach, które niósł dekret o stanie wojennym. Wyroki w trybie doraźnym nie mogły być niższe niż 3 lata pozbawienia wolności – górną granicą była kara śmierci! Prokurator żądał wówczas kar od 7 do 15 lat pozbawienia wolności.

Składowi sędziowskiemu z 1982 r. przewodniczył sędzia Antoni Kapłon,



*Można było inaczej... Pierwszy z lewej to Marian Gluch — jeden z przywódców strajku. Trzeci to Andrzej Głowacz, w grudniu 1981 roku dowódca jednej z kompanii ZOMO (dziś dowódca Katowickich Oddziałów Prewencji). W dniu 16 grudnia, stojąc na barykadzie, podali sobie ręce — na ich odcinku podali sobie ręce. Ten gest powtórzyli po 10 latach — w grudniu 1991 roku.*

wówczas kapitan, dziś pułkownik Wojska Polskiego. Brawa były za stosunkowo niskie kary i wyroki uniewinniające.

Po zmianach ustrojowych szybko o tych brawach zapomniano – odwrotnie: zaczęto mówić o drakońskich wyrokach!

Miałem okazję zapytać płk. Kapłona, czy w tamtym czasie możliwy był wyrok w całości uniewinniający?

Teoretycznie wszystko było możliwe, mówił sędzia Kapłon, pod jednym wszak warunkiem: że dzisiaj zapomnimy, że był to drugi miesiąc stanu wojennego. Nikt nie wiedział w jakim potoczy się kierunku: – Wyrok w całości uniewinniający byłby, w moim przekonaniu, zakwestionowaniem stanu wojennego i jego legalności przez niewiele znaczącego sędziego. Wtedy nie było tylu odważnych, co dziś, a już na pewno nie było ich w wojsku, milicji, wymiarze sprawiedliwości...

Z wyrokiem na górników nie pogodziły się władze stanu wojennego: w milicji, wojsku i partii

### naciskano na wniesienie rewizji nadzwyczajnej

(tryb doraźny blokował zwykłą rewizję). Była ona nawet przygotowana przez Naczelną Prokuraturę Wojskową, ale z nadaniem jej biegu zwlekano ze względu na społeczny, polityczny i międzynarodowy rozgłos wokół „Wujka". Potem zaczął zmieniać się klimat polityczny i na najwyższych szczeblach władzy zdecydowano, aby sprawę „Wujka" zostawić w spokoju. Za ten wyrok sędzia Kapłon tłumaczył się kilkakrotnie w dowództwie Śląskiego Okręgu Wojskowego.

– Dziś aż nie chce się wierzyć, że stawiano nam za wzór sądownictwo cywilne, które w podobnych sprawach – czyli organizowania i kierowania strajkami – ferowało o wiele wyższe wyroki – wspomina po latach. Antoni Kapłon uważa, że w machinie stanu wojennego był tym trybikiem, takim sędzią-oficerem, który chciał nadać ludzki wymiar temu, co robi: – Postępowałem tak, aby nie splamić ani sędziowskiej godności, ani munduru. Mimo upływu lat tamte brawa dla mnie nie przebrzmiały...

Z jaką reakcją – brawa czy gwizdy – spotka się wyrok ogłoszony przez Ewę Krukowską, przewodniczącą obecnego składu sędziowskiego?

Życie jest szczególnym reżyserem zdarzeń. Jakby mało jeszcze było śmierci tamtych dziewięciu górników, to na początku lutego 1993 r., na planie filmu Kazimierza Kutza „Śmierć jak kromka chleba" zginął – rzucony o bruk strumieniem armatki wodnej – 12-letni Grzegorz N. W czasie najtragiczniejszych grudniowych zdarzeń armatki wodne nikogo nie poturbowały, a tu stało się nieszczęście nieprzewidywalne nawet w najczarniejszych scenariuszach.

„Dziesiąty" z „Wujka"! – tak w gazetowych tytułach okrzyknięto śmierć chłopca. Nie podejmuję się „ważenia" wartości śmierci z 16 grudnia 1981 r. i 5 lutego 1993 r. Rozpacz i ból rodziców po śmierci dziewięciu górników na pewno były tak samo straszne, jak najbliższych młodego Grzegorza.

Tę śmierć przypominam dlatego, że nie można wykluczyć, iż rzuci ona cień na wyrok w sprawie tragicznych wydarzeń stanu wojennego. Jeżeli na planie filmowym, gdzie prawie wszystko jest „sztuczne", przypadkowo ginie człowiek, to czy przypadek nie mógł rządzić wydarzeniami dziejącymi się naprawdę?

Przypadek? Nie! – zdają się przeczyć temu inne cienie rzucane na sprawę „Wujka" od pierwszych chwil po tragedii. Jeżeli miałby to być tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności, to po co było przez lata zacierać ślady, fałszować przebieg zdarzeń, przeinaczać fakty, wyciszać i zamazywać pamięć o tragedii? Po co?

W latach 1989-91 prowadziłem

### „własne jednoosobowe śledztwo"

w sprawie tragedii w „Wujku", sfinalizowane książką „Rozstrzelana kopalnia". Dlatego przebieg ponad trzyletniego procesu ani mnie nie zaskakiwał, ani rozczarowywał. Nie pojawiły się żadne nowe okoliczności, które mogłyby zburzyć, czy też ukazać w innym świetle, moje ustalenia... Stąd jednak pewien niedosyt... Choć sprawdzałem wiele wątków tej sprawy, sam nie mogłem skruszyć dwóch murów milczenia (niestety, nie udało się to również ogromnej machinie wymiaru sprawiedliwości).

Pierwszy, to rola w grudniowej tragedii specjalnego oddziału SB, tak zwanej „Grupy Perka" (od nazwiska dowódcy), która bez wątpienia działała w, i wokół kopalni „Wujek", i ponad wszelką wątpliwość wyposażona była w taką samą broń, jak funkcjonariusze zasiadającego dziś na ławie oskarżonych plutonu specjalnego.

Drugi, to rola jaką odgrywały na Śląsku służby specjalne państw socjalistycznych, przede wszystkim StB (czechosłowacka Służba Bezpieczeństwa).

Wiele osób, które w poprzednich latach udzielało mi informacji o „Wujku" – milkło w momencie pytań o „Grupę Perka". Dawano do zrozumienia, że to temat

zbyt jeszcze niebezpieczny, aby go poruszać...

### Co wiem na temat tej grupy?

Nie powstała, jak się sugeruje, w 1980 r. (w momencie rozpoczęcia przygotowań do akcji „Lato-80" zakończonej w rezultacie wprowadzeniem stanu wojennego) – tylko w tymże roku jej dowództwo objął ppłk. K. Perek. Podobne grupy istniały w pionach SB wszystkich komend wojewódzkich już dużo wcześniej. Gen. Jerzy Gruba mówił, że taka specgrupa funkcjonowała w katowickiej komendzie już wówczas, kiedy on był młodym milicjantem. Składała się ze stałego 15-20-osobowego „trzonu" pracowników SB – w razie konieczności rozrastała się do kompanii (w stanie wojennym rozrosła się do batalionu). Przydziały do grupy mieli także oficerowie milicji. Faktycznie grupa uaktywniła się w 1980 r. W strukturach SB znajdowała się w wydziale IV.

Płk Kazimierz Wilczyński, były dowódca ZOMO, twierdził, iż widział „perkowców" w kopalni „Manifest Lipcowy". Pamiętał też gdzie mieli swój samodzielny sztab akcji. W „Wujku" „fizycznie" ich nie widział, ale wiedział, że działają – rozmowy członków tej grupy wyławiał z radiostacji.

– Ich rola dotąd dla mnie nie jest jasna, a w sprawie tej grupy nie chciałbym nawet snuć domysłów! – płk Wilczyński wyraźnie uchylał się od odpowiedzi na moje pytania.

Płk Marian Okrutny prosił mnie w tym momencie o wyłączenie magnetofonu – w swoich notatkach odnalazłem takie stwierdzenie: – Wiele z posiadanych przeze mnie informacji wskazuje na to, że na „Wujku" jeszcze ktoś strzelał...

A oto fragment rozmowy z generałem Grubą.

– *Wydarzenia w „Manifeście" powinny być odebrane jako ostrzeżenie...*

– Tak też było! Osobiście, może na wyrost, odebrałem je jako prowokację. Dlatego też w rozkazie na 16 grudnia wśród sił mających odblokowywać zakłady nie ma już wymienionego plutonu specjalnego. Świadomie został pominięty...

– *Na rzecz grupy operacyjnej KW MO – tak jest zapisane w dzienniku sztabowym. Co to za oddział?*

– Spokojnie, dlaczego od razu na rzecz... Była to grupa pionu SB, potocznie nazywana „Grupą Perka". Jej zadaniem było „wchodzenie" w środek demonstracji, przejmowanie kontroli i uczestnictwo w strajkach, rozpracowywanie przywódców, a w odpowiednich momentach „wyłuskiwanie" najaktywniejszych...

– *Inaczej: podgrzewanie atmosfery strajków i demonstracji?!*

– Może destrukcja pewnych struktur, pewnych poczynań...

– *„Grupa Perka" była w „Manifeście", chociaż nie wymieniono jej w rozkazie.*

– Nie wiem, czy była?

– *Wilczyński widział...*

– Mówiłem, że mój wgląd w pracę SB był niewielki. Pułkownik Baranowski, szef służby, nie musiał mnie powiadamiać, gdzie wysyła swoich ludzi.

– *Pod „Wujka" to jednak pan ich wysłał, albo przynajmniej polecił wpisać do wyznaczonych do akcji sił.*

– Nie pamiętam szczegółów, ale mogę przypuszczać, że nalegał na to Baranowski. Włączył ich chyba do rozpoznania i rozpracowania operacyjnego. Chwalił się, że „Wujek" pod tym względem rozłożony jest na czynniki pierwsze...

– *A był?*

– Rozpoznanie było złe, nieudolne i dyletanckie.

– *Jakby specjalnie tak było robione?*

– To pan powiedział!

– *„Grupa Perka" działająca w „Wujku" i okolicy uzbrojona była w ten sam typ broni, co pluton specjalny – w pistolety P-63.*

– Takich szczegółów nie znam! Nie wiem wprawdzie do tej pory, jaką grę prowadziła SB wokół „Wujka" i w samej kopalni, ale to właśnie Baranowski, nikt inny, stwarzał miraże, że górnicy są podszyci strachem, że wystarcza, aby w pobliżu przejechał milicyjny samochód, to uciekają i chowają się w zakamarkach kopalni...

Nie twierdzę (choć też nie wykluczam), że

### „Grupa Perka"

użyła broni w kopalni „Wujek" – jednak bez wyjaśnienia roli jaką odegrała, prawda o 16 grudnia 1981 r. będzie daleko niepełna...

W październiku 1982 r. funkcjonariusz podobnej (krakowskiej) grupy zastrzelił w czasie manifestacji w Nowej Hucie jednego z demonstrantów (Bogdana Włosika). Właśnie po tej tragedii, członkom takich grup w całym kraju, zakazano wchodzić w głąb demonstracji z bronią, zakazano nosić jakiekolwiek dokumenty, czy nawet części garderoby wskazujące na powiązania z MSW. Specgrupy SB rozwiązane zostały w 1988 r. Dowódca grupy katowickiej zmarł przed trzema laty. Jego żona została zamordowana – zdaniem policji w bardzo tajemniczych okolicznościach...

„Czeski ślad" pojawiał się na drodze mojego śledztwa dość często. Czeską bezpiekę bardziej jednak wiązano z podgrzewaniem atmosfery na Śląsku niż z bezpośrednim udziałem w tragicznym odblokowywaniu kopalń. Wśród materiałów, które na ten temat posiadam, są informacje od Polaków z Zaolzia (otrzymane za pośrednictwem Tadeusza Kijonki, posła pierwszej kadencji) o szkoleniu specjalnych grup czechosłowackiej SB do tłumienia strajków w kopalniach (dobierano ludzi znających język polski). Zdaniem informatorów grupy takie działały w 1981 r. i na początku stanu wojennego najczęściej na Śląsku.

Generał Jan Łazarczyk, w tamtych latach szef Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Katowicach, potwierdził, że nasz kontrwywiad odnotowywał wzmożone zainteresowanie służb specjalnych (szczególnie ZSRR, NRD i Czechosłowacji) sytuacją społeczno-polityczną w Polsce. Na Śląsku wiodąca rolę miała StB. Na początku 1991 r. o pomoc w wyjaśnieniu „czeskiego śladu" zwróciłem się – poprzez Konsulat Generalny w Katowicach (jeszcze Czechosłowacji) – do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych CSRF. Odpowiedź otrzymałem z Federalnej Służby Informacyjnej: „Rozwojowi sytuacji w Polsce około 1981 r. czechosłowacki kontrwywiad poświęcił uwagę w akcji »Sever«. Materiały z wyżej wymienionej akcji 7 kwietnia 1987 r. pod l. dz. 24670 przekazano do archiwum i w roku 1989 (w grudniu) zostały skartowane (zniszczone – J.D.). Z pozostałych fragmentarycznych materiałów wynika, że akcja »Sever« była skierowana przeciwko ruchowi strajkowemu, »Solidarności« oraz rozwojowi sytuacji politycznej w Polsce. Ze względu na przeprowadzoną skartację materiałów byłej Służby Bezpieczeństwa, nie ma już konkretnych danych do dyspozycji (...)".

I na tym się urywa mój

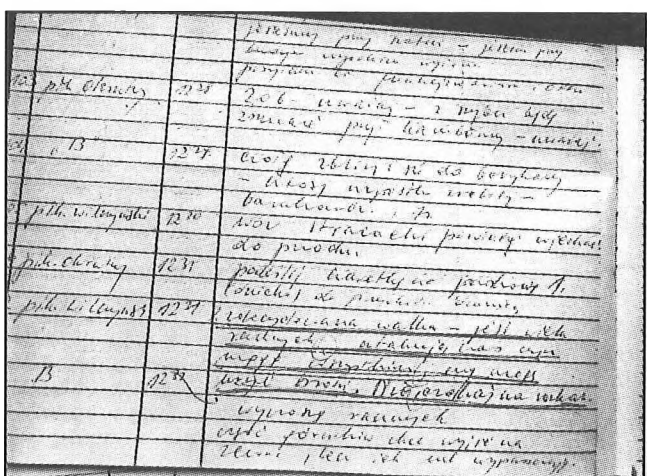
### „czeski ślad"

– cień pozostaje.

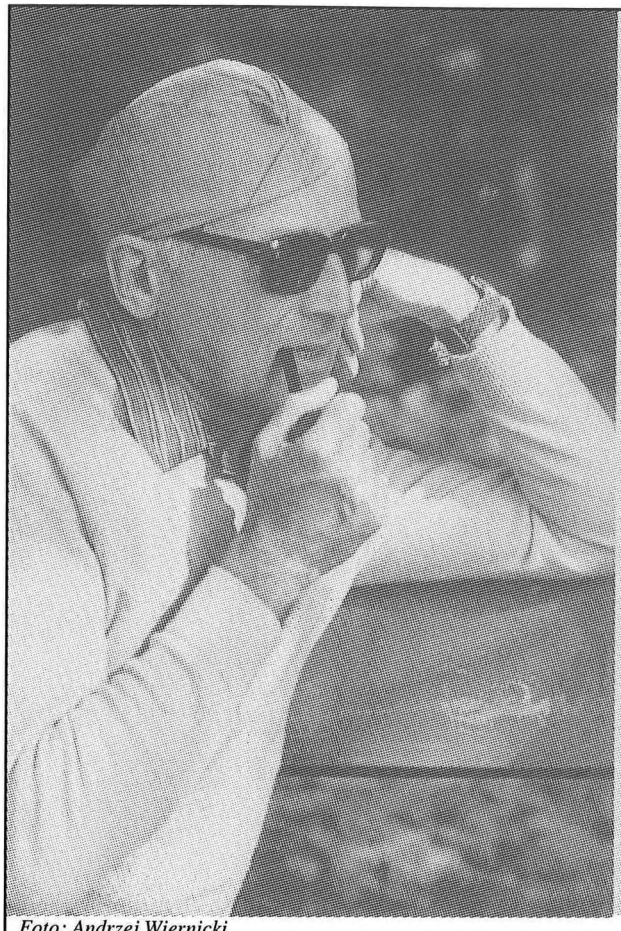
I nie jest on wcale mały. Generał Gruba ujawnił mi, że na początku stanu wojennego „górnicy z Warszawy" (jak ich nazwał) po doświadczeniach ze strajkującą na dole załogą „Piasta" zalecili utworzyć i przeszkolić w czechosłowackich kopalniach specjalne grupy zdolne do tłumienia strajków w podziemiach. W milicji, SB, ZOMO i ORMO sporządzano listy funkcjonariuszy znających górniczą problematykę. Po kilku miesiącach ostygł ten jeden z głupszych, a jakże niebezpiecznych, zapałów – wiadomo jednak, że od początku spotykał się z wielkim zrozumieniem ówczesnych władz Czechosłowacji.

Dobiega końca pierwsza faza procesu w sprawie tragicznych wydarzeń stanu wojennego – pierwsza dlatego, że, bez najmniejszej wątpliwości, każdy wyrok spowoduje rewizję. W moim przekonaniu, decyzja, którą będzie musiała ogłosić sędzia Ewa Krukowska – piszę to w połowie czerwca, być może już jest po wyroku? – będzie o wiele trudniejsza, niż ta, którą na początku 1982 r. podejmował sędzia Antoni Kapłon.

„Wujek" pokryty jest jeszcze zbyt wieloma cieniami. W sytuacji, kiedy „zimne prawo" musi nieuchronnie zderzyć się z ludzkim „poczuciem sprawiedliwości" – braw raczej nie będzie... ■



*Fragment Dziennika Sztabowego KW MO dotyczący najgorętszego momentu akcji odblokowania „Wujka". Dowódca operacji, płk Wilczyński prosi o zgodę na użycie broni... Późniejsze podkreślenie, wytłuszczenie i inaczej stawiane znaki interpunkcyjne budzą ciągle wątpliwości.*
Foto: Archiwum Autora.



# Oaza folkloru

*Foto: Andrzej Wiernicki*

ze STANISŁAWEM HADYNĄ rozmawia EDWARD SZOPA

**– Zacznijmy od początku, od pańskich związków z Beskidami...**

– Związki są jak najbliższe i jak najserdeczniejsze, bo urodzinowe. Pochodzę z Karpętnej, małej, ale niezwykle pięknej wioseczki położonej na stokach Ostrego i Jaworowego na Zaolziu. Stamtąd trzeba było daleko iść do stacji kolejowej, przez pola, las, potok. Stacja była w Bystrzycy. W tej miejscowości znajdowała się szkółka jednoklasowa, w której uczyła moja matka. Kierownikiem był mój dziadek, który pochodził z Wisły, ale wywędrował na Zaolzie i tam już został. Wybudował dom, w którym się urodziłem. I jestem. Mój ojciec był nauczycielem muzyki, najpierw w Bystrzycy, potem w Cieszynie, w Seminarium Nauczycielskim.

**– Zainteresowania muzyczne wyniósł więc pan z domu?**

– Wynikało to z tradycji, u nas w domu muzykowaliśmy rodzinnie. Mama bardzo dobrze grała na fortepianie, ojciec na skrzypcach, stryj na wiolonczeli, ja często grałem na harmonii... Tkwiłem więc w środku tej muzyki, folkloru. On był wokół nas, ba, my byliśmy jego częścią. I stanowił sposób na życie. Towarzyszył zasiewom, zbiorom plonów, weselom i pogrzebom, świętowaniu Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Zielonych Świątek. Jakże więc moja biografia i twórczość mogłyby się obejść bez owego pejzażu beskidzkiego?!

**– Przyjął pan również spuściznę po ojcu, Jerzym, zapobiegliwym zbieraczu osobliwości etnograficznych i stąd też zwanym śląskim Kolbergiem. Pan jednak poszedł znacznie dalej?**

– Na pewno nie prześcignąłem ojca w zbieraniu pieśni i tańców ludowych. Tutaj wypadnie mi przypomnieć, iż to on pierwszy zanotował a później opublikował „Trojaka", który stał się tańcem narodowym. Ja poszedłem dalej w tym sensie, że zająłem się opracowywaniem materiału na salę koncertową. Prościej przedstawia się to tak: ojciec miał szkolną kapelę, ja zaś „Śląsk". Najwyraźniejszym przykładem połączenia oryginału z estradową formą było „Helokanie".

**– Podobnie miała się rzecz z „Ondraszkiem"?**

– Trochę jednak inaczej. Tę postać znałem z opowiadań ojca, później Morcinka, jednakże jest to w pełni moja kompozycja – moja w niej muzyka, moje też słowa.

**– Legendarna postać herosa ludowego stała się również bohaterem literackim?**

– Taki też tytuł nosi jedna z opowieści w mojej biograficznej książce o Zespole Pieśni i Tańca „Śląsk" „W pogoni za wiosną". Opowiadanie nie skupia się jednak na osobie Ondraszka, ale mówi o tym, jak zrodziła się pieśń i co ona wyraża. A wyraża dojmujące wołanie o ratunek! Wzywa Ondraszka.

**– Pański „Śląsk" też się zrodził w tamtejszym krajobrazie?**

– O takim zespole marzyłem od dziecka. Jeszcze przy pasterskim ognisku, przy którym – jako prawdziwi twórcy ludowi – śpiewaliśmy na głosy. Wtedy marzyłem jakby to było pięknie, gdyby można te parę głosów pomnożyć w 100, oświetlić 100. ogniskami i pokazać to pewnego dnia całemu światu. Z czasem ta dziecięca wizja nabrała realnych kształtów.

**– Jak to się zaczęło?**

– Od naboru. Organizowałem go bez funduszy. Pamiętam, że musiałem sprzedać palto, żeby zapłacić za druk afiszy werbunkowych. Pałac Młodzieży w Katowicach dał mi salę na próby i przesłuchania. Przez eliminacje przewinęło się wówczas ponad 12 tys. osób.

**– Do formowanego zespołu najwięcej młodzieży trafiło bodaj właśnie z Beskidów?**

– Nasłuchiwałem śpiewu rozlegającego się na halach, zaglądałem do domów kultury, szkół, kościołów.

Zachodziłem na szkubaczki w chałupach góralskich, notowałem skrzętnie pieśniczki i adresy ich wykonawców, i zwerbowałem trochę utalentowanej młodzieży. Wyróżniały się zwłaszcza dziewczęta śpiewające białymi głosami. Do zespołu przyjęło się też wiele z nich. Nie tylko zresztą do „Śląska", ale i „Mazowsza". Były jego ozdobą i podporą. A wiadomo czego może dokonać uroda połączona z talentem. Wymienię chociaż parę z ich grona: Maryla Gruby, Jadzia Legierska, Hanka Sikora, Teresa Ligocka...

**– Aż nadszedł pierwszy koncert...**

– Zamknięta premiera odbyła się w Katowicach w Teatrze im. Wyspiańskiego, 16 października 1954 roku. Oficjalna, otwarta premiera w hali Gwardii w Warszawie w kilkanaście dni później. O, takich momentów się nie zapomina...

**– Z jakim uczuciem jedzie Pan ze swym zespołem do Cieszyna?**

– Otóż my zawsze przyjeżdżamy do Cieszyna z pewną trwogą. Wszędzie jest dobra publiczność i wszędzie też przyjmują nas entuzjastycznie, ale tutaj, „u siebie w chałupie", trzeba się mieć na baczności. Tu jest bardzo wyrobiona i wrażliwa publiczność. W Cieszynie występujemy z wielkim sentymentem, ale i z wcale nie mniejszą tremą, która nie udziela się nam przed innymi widowniami. Łatwo zgadnąć skąd się to bierze – przecież w Cieszyńskiem folklor jest ciągle żywy, gdy tymczasem gdzie indziej zamiera. Na Zachodzie już w ogóle nie istnieje, to już jest tylko muzykalny skansen. I wciąż są osoby, które piszą teksty ludowe. Słowa do pieśni „Groniczki" i „Hej, Ziemio Cieszyńska" napisała moja daleka krewna, pani Michalska. Cieszyńskie jest więc nadal oazą folkloru. I dlatego naszym zadaniem jest nie tylko jego utrwalanie, ale i pokazanie go światu. W całej krasie i bogactwie. Bo w ten sposób potwierdzamy naszą narodową tożsamość polską, śląską, cieszyńską, zaolziańską.

**– Dlaczego Koszęcin, a nie Zameczek w Wiśle stał się siedzibą „Śląska"?**

– Owszem, badaliśmy przydatność do naszych celów zameczku byłego prezydenta RP, ale nad sentymentami przeważyły względy funkcjonalne. Chodziło o dojazdy i pomieszczenia, które nie nadawały się na cele dydaktyczne i do prób. Potem napatoczył się Koszęcin. I z tej decyzji jesteśmy do dzisiaj zadowoleni.

**– Mimo pańskich zapewnień, że folklor jest ciągle żywy, to jednak ta formacja kulturowa Beskidu powoli obumiera. Objawia się to m.in. zanikaniem pewnych zawodów jak kowalstwo czy koronkarstwo.**

– Ma pan rację. Z tym, że folklor beskidzki nie tyle umiera, co raczej kurczy się. Ustępuje miejsca zwłaszcza naciskowi muzyki pop. Zalew postępuje, folklor się ustawicznie cofa... I tu przypada „Śląskowi" wyjątkowa rola – nie tylko w konserwowaniu i chronieniu, ale w jego doskonaleniu, uatrakcyjnianiu poprzez odpowiednią oprawę. A ileż w tym jeszcze jest bogactwa, dlaczegóż zatem nie pokazywać go w kraju i za granicą?! „Helokaniem" głównie podbiliśmy Zachód... Po prostu mamy się czym pochwalić. Zadziwić i zachwycić! Trudno się jednak przeciwstawić naporowi współczesności – do niedawna pieśniczki ludowe nuciła pastereczka, śpiewali pasterze przy ogniskach, dziś pasącą się krowę pilnuje drut pod napięciem. Z koronkarstwem nie jest tak źle, natomiast jak mogło nie upaść kowalstwo, skoro zabrakło koni do podkuwania...

**– Gwałtowne zmiany w tej strefie zaszły w ciągu ostatnich 50 lat. Dla mnie osobiście wymownym tego przykładem były... dwa wesela w jednej izbie. Jedno rzeczywiste, drugie z końca lat trzydziestych, uwiecznione na całościennym obrazie Konarzewskiego. Rzecz działa się jakieś 5 lat temu w schronisku na Kubalonce (przed pożarem). Były to jednak dwa różne obrządki. Tam, na płótnie, nie uświadczyło się oczywiście nikogo w miejskim ubraniu, tu zaś, na parkiecie, poza bodaj dwoma wyjątkami, nikt nie pojawił się w stroju regionalnym. Innymi też raczono się potrawami, tańczono także wedle innych taktów muzyki...**

– Bardzo plastyczny przykład. I znakomicie potwierdza to, o czym mówimy. Prawdziwego wesela góralskiego już się na co dzień nie widzi. Przypominają go jeszcze jedynie raz na rok – w Tygodniu Kultury Beskidzkiej. Konarzewskiego znałem osobiście, podziwiałem jego prace, w tym także wspomnianą przez pana panoramę beskidzką.

**– Zatrzymajmy się może jeszcze przez chwilę przy Tygodniu Kultury Beskidzkiej. Corocznie bierze Pan udział w tej imprezie?**

– Jest to jedyna okazja, by folklor mógł dojść do głosu w oryginalnej formie. Bo my w „Śląsku" jesteśmy artystycznie przetworzeni. Przegląd pieśni, tańca i obyczajów ludowych ujmuje wdziękiem, autentycznością, wzrusza prostotą. Buduje gotowością do demonstracji swych niepowtarzalnych uroków.

**– Ale turystyka, wielka szansa dla Beskidów, niesie także i zagrożenie, bo przybysze demoralizują tuziemców.**

– Chyba za ostro stawia pan sprawę, bo w istocie turystyka nie przeszkadza. Na pewno zaś stanowi szansę ekonomiczną dla Beskidów, gdyż przybysze przynoszą pieniądze. Nie oni więc zagrażają. Niebezpieczeństwo tkwi natomiast w środkach masowego przekazu, które nie odtwarzają już nawet tekstów polskich.

**– Zadziwia żywotność pańskich kolęd.**

– W „Śląsku", oprócz stałego programu, z okazji Bożego Narodzenia śpiewamy także kolędy. Kolędy artystyczne, ale powstałe na podstawie źródeł ludowych. W zbiorze tych pieśni są również kolędy napisane przeze mnie do słów Kazimierza Szemiotha. Z moją również muzyką są te dla Wiesława Ochmana, które, z towarzyszeniem muzyków warszawskich, nagrał na płycie. Jedna nosi tytuł: „Narodziła nam się dobroć" (w samym sercu biedy).

**– Czy ostoją folkloru nadal są góralskie gniazda rodzinne?**

– Tu też zaczyna się dziać nie najlepiej. Kiedyś, gdy żyli dziadkowie i ojcowie, były to więzy ścisłe, teraz poluźniły się zdecydowanie, młode pokolenie podlega presji pop kultury. Gniazda więc powoli zamierają, czy raczej wymierają. I nam, „Śląskowi", przypada kontynuacja tych tradycji.

**– Czy jeszcze wiele z bogatych pokładów folkloru beskidzkiego pozostało do wyeksploatowania?**

– Zdołano zanotować wiele pieśni i tańców ludowych. Powstały ogromne zbiory. Gromadził je mój ojciec, Józef Tacina, Karol Hławiczka, także Ligoń, Ligęza i Dygacz. Do tych zapisów ciągle sięgamy, gdyż posiadają nadal inspirującą moc.

**– Na czym polega osobliwość góralskiego folkloru?**

– Jest autentyczny, surowy i dynamiczny. Operuje pewnymi gamami, które wyłącznie dla niego są charakterystyczne. I niepowtarzalne. Pieśń jest ściśle złączona z instrumentem, z takim jak gojdy, huśle, czyli skrzypce góralskie, trombity pasterskie. To folklor graniczny, przenikają go więc pewne elementy ze Słowacji. Nakładają się też wpływy węgierskie. Taniec szotmadziar zaś nabrał kolorystyki polskiej. Zresztą znajduje się w programie „Śląska". ■

*„Hej, Śląski Beskidzie,*
*kopieczki dostojne,*
*bogate w różnodrzew*
*i w owieczki dojne.*
*Zdrzycie se spod nieba*
*na świat, na doliny,*
*zdocie się bliziutko,*
*że czopką dochynyć".*

*(Emilia Michalska)*



*Foto: Jerzy Bierwiaczonek*

**Na południu ziemia górnośląska opiera się o Beskidy. Są blisko, tuż – jak w wierszu Emilii Michalskiej. Dwie godziny, czasem tylko godzina jazdy samochodem. Toteż co sobotę i niedzielę śląskimi drogami ciągną ku Beskidom sznury pojazdów ze złaknionymi wypoczynku, podtrutymi zanieczyszczonym powietrzem mieszczuchami; pociągami dociera ich następna fala – zimą z nartami, latem z plecakami.**

# Rzecz o góralach śląskich

MARIA LIPOK-BIERWIACZONEK

Niedzielni i wakacyjni turyści ze Śląska (ale często też z dalszych okolic) – to już nie uciążliwa stonka, lecz raczej szansa na sukces gospodarczy, skoro zostawiają pieniądze w pensjonatach, kwaterach prywatnych, schroniskach, w barach, restauracjach, lodziarniach, piwiarniach, u licznych sprzedawców prażonej kukurydzy, frytek i kiełbasek z rożna.

A zatem – Beskidy i ich mieszkańcy prosperują dobrze? A może coś zyskując – coś tracą? Czy rekreacyjna funkcja tego skrawka śląskiej ziemi nie wypaczyła sposobu widzenia jego spraw, przede wszystkim jego kultury?

## ODKRYWANIE BESKIDU

Docenienie przed laty rekreacyjnych wartości Beskidu Śląskiego nastąpiło w sposób trochę ułomny, niepełny, bo zbyt instrumentalny – z naciskiem na masowy wypoczynek. Konsekwencje odczuwalne są do dziś. Kiedy przeanalizuje się minione dzieje „odkrywania" dla kultury narodowej innych regionów górskich nasuwa się wniosek, że najlepsze efekty przynosiło odkrycie wartości kulturowych – a także geograficznych – jakiegoś regionu przez środowisko elitarne, inteligencko-artystyczne, pochodzące z zewnątrz. Takie środowisko, opiniotwórcze i... mitotwórcze, zachłysnąwszy się atrakcyjnym kulturowo i turystycznie skrawkiem kraju, szybko uspołeczniało wiedzę o nim, dowartościowując zarazem samych „nosicieli" regionalnej, ludowej kultury. W takiej pełnej emocji atmosferze skuteczniejsze były starania o roztoczenie różnych form mecenatu nad kulturą regionu.

Podobne zachłyśnięcie się polskiej elity inteligenckiej i artystycznej wartościami kultury ludowej zdarzyło się już w XIX

wieku na Podhalu czy Huculszczyźnie. Wcześniej więc rozsławiono wartości tamtejszej góralskiej kultury, wiele uczyniono dla jej udokumentowania – również artystycznego, wcześnie powstało na przykład Muzeum Tatrzańskie. Tymczasem Beskid Śląski, o równie fascynującej kulturze, miał tych światłych odkrywców z zewnątrz mniej: Bogumił Hoff, Julian Ochorowicz. Wprawdzie rodzili się na tej ziemi miejscowi piewcy jej kultury i tradycji, ale brakło sławiącego jej urodę głosu z Krakowa czy dalekiej Warszawy. Wybudowanie w latach międzywojennych dróg i kolei do Wisły, sanatorium na Kubalonce, a przede wszystkim prezydenckiej rezydencji wypoczynkowej w jej pobliżu – zdawało się zapowiadać przełom w zainteresowaniu śląskimi górami. Coraz bliżej był jednak rok 1939.

Stosunkowo późno podjęto w Beskidzie Śląskim w pełni fachowe, nowoczesne metodologicznie, badania etnograficzne. Znakomite prace badawcze Mieczysława Gładysza czy Longina Malickiego przypadły na lata trzydzieste naszego stulecia, a związane były z działalnością świeżo powstałego Muzeum Śląskiego w Katowicach. Dwie wydane wówczas imponujące książki Gładysza o sztuce zdobniczej górali śląskich służą dziś zarówno etnografom, jak i snycerzom. Zanim jednak doszło do rozszerzenia, a przede wszystkim uspołecznienia wiedzy o kulturze ludowej tej części Karpat – wybuchła wojna, która przerwała prace badawcze i popularyzatorskie. Potem, w latach budowania Polski Ludowej, Beskid Śląski został odkryty dla rzesz robotniczych „czarnego Śląska", łaknących terenów wypoczynkowych. Potrzeba szybkiego zagospodarowania Beskidu do celów masowej rekreacji, a równolegle z tym gwałtowny proces przejmowania zmodernizowanych, zurbanizowanych wzorów życia, wybiły się na plan pierwszy, pomniejszając ostrość widzenia spraw kultury, spychając ją na pobocze zainteresowań.

Ilustracją tego stanu rzeczy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych może być niezwykle powolny proces przebijania się idei utworzenia w Wiśle muzeum regionalnego. Upór jego twórcy, Andrzeja Podżorskiego, od pierwszych lat po II wojnie światowej systematycznie gromadzącego eksponaty, przyniósł owoce dopiero w 1964 roku: w tymże roku otwarto w końcu muzeum w Wiśle – z jedną salą w budynku zabytkowej karczmy, bez magazynu, bez sprzętu, bez etatów, za to z koniecznością przeprowadzenia remontu. Andrzej Podżorski miał już wówczas 78 lat. Przez następnych kilka lat muzeum rozwijało się z trudem, mozolnie utrwalając podstawy swego funkcjonowania, walcząc z grzybem, wilgocią, niedostatkiem pomieszczeń, brakiem funduszy.

W tym samym czasie powstawały w Wiśle, Ustroniu i innych miejscowościach liczne i coraz wspanialsze domy wypoczynkowe – górnicze, hutnicze i inne. Dysproporcji w rozwoju jednej i drugiej sfery nie wystarczy tłumaczyć różnym inwestorem. Przyczyny były głębsze, po części ideologiczne: potrzebą pierwszego rzędu była prosta reprodukcja siły roboczej, zaś wypoczynek poprzez kontakt z bogactwem miejscowej kultury góralskiej, a więc połączony z elementami edukacji, wydawał się zbędny. Przy tym kultura górali śląskich zawierała wiele niewygodnych ówcześnie treści, jak chociażby wielowyznaniowość, głęboka religijność – zarówno protestancka, jak i katolicka, czy tęsknota do swobodnych kontaktów z zaolziańskimi braćmi góralami, oddzielonymi sztuczną pod względem kulturowym granicą państwową. Bezpieczniej było zatem nie przejmować się zbytnio problemami wspierania tradycji, ochrony i rozwoju kultury górali śląskich. Górale zaś, w znacznej części ewangelicy, zgodnie ze swym protestanckim, powściągliwym etosem, zajęci byli przede wszystkim trudem niezbędnej pracy, walką o plony z nieurodzajnych pól.

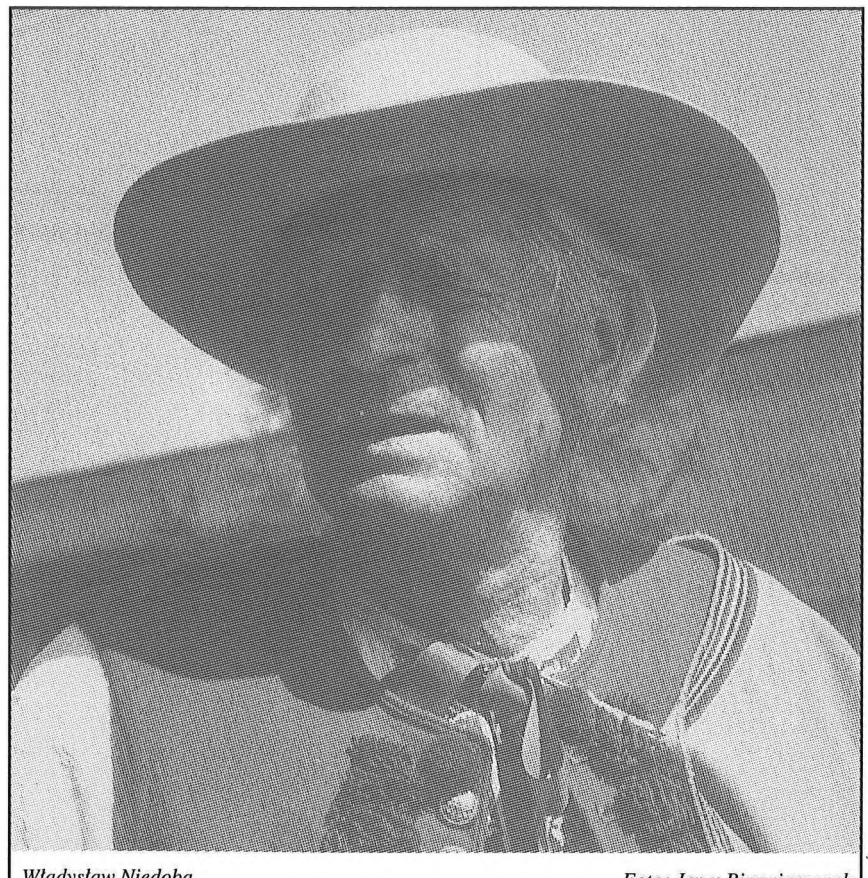
Śląskie góry i ich mieszkańcy traktowani byli zatem przez ówczesny system i mentalność władz zwierzchnich instrumentalnie. W końcu jednak sami, przy pomocy kilku entuzjastów spoza swego środowiska, upomnieli się o godne miejsce dla swojej kultury – paradoksalnie zaś zachętą był między innymi społeczny kulturalny ruch góralski po stronie zaolziańskiej.

## JEDNOŚĆ PODZIELONEGO ŚWIATA

Biegnąca szczytami Beskidu Śląskiego granica państwowa polsko-czeska dzieli na dwie części świat, który przez wieki był jeden, spójny, ten sam. Ojczyzna górali śląskich dzieliła swoje historyczne losy z całym Księstwem Cieszyńskim, którego była częścią. Księstwo to jako fragment dzielnicy śląskiej we wczesnym średniowieczu podlegało władzy książąt piastowskich, od 1339 roku – królów czeskich, potem zaś Habsburgów, będąc małym fragmentem monarchii austriackiej. Piastowie panowali jednak w Cieszynie aż do 1653 roku, kiedy to umarła ostatnia z tej linii – księżna Elżbieta Lukrecja, a księstwo przeszło bezpośrednio w habsburskie ręce. W wyniku wojen prusko-austriackich o Śląsk w połowie XVIII wieku większość Śląska zajęły Prusy, Austria zachowała jednak Śląsk Cieszyński (i Opawski). Po I wojnie światowej ziemie dawnego Księstwa Cieszyńskiego zostały podzielone granicą państwową na dwie części pomiędzy Polskę i Czechosłowację.

Niezależnie od przynależności państwowej przez całe wieki, aż do 1918 roku, trwały stabilne granice administracyjne Księstwa Cieszyńskiego, a potem Komory Cieszyńskiej, kształtowała się spójność obszaru, dla którego stołecznym miastem był Cieszyn. W obrębie ziem księstwa zarysowały się wszakże dwa różne kulturowo obszary. Wcześnie zasiedlone tereny podgórskie i nizinne zamieszkiwał lud rolniczy, w trudno dostępnych górach Beskidu Śląskiego osadnictwo zaczęło się rozwijać dopiero z końcem XV wieku. W górach osadnikami byli przedsiębiorczy, uciekający ku wolności chłopi pochodzący z górnośląskich wsi, czasem też z żywieckich, a więc z Polski (tych nazywano często Polokami, Poloczkami, które to formy zachowały się w nazwiskach ich potomków), ale również wędrujący ze wschodu łukiem Karpat pasterze tzw. wołoscy, posuwający się coraz dalej na zachód w poszukiwaniu terenów na wypas bydła i owiec. W XVI wieku, znacznie już spolonizowani, dotarli do Beskidu Śląskiego. Wołosi, zwani na Śląsku Wałachami, przynieśli tu swoją kulturę i gospodarkę pasterską wraz z charakterystycznym nazewnictwem. Sztuki pasterskiej, opartej na systemie szałaśnictwa, nauczyli osadników przybywających z dolin. Z tej swoistej mieszaniny ludności i kultur wykształciła się kultura górali śląskich, wykazująca powinowactwo z jednej strony z kulturą nizinnego Śląska, a z drugiej – z kulturami innych grup ludności zamieszkującej Karpaty: żywieckich, podhalańskich itd., a także ruskich i słowackich, w których to przetrwały wspólne komponenty wołoskie.

Kulturę górali śląskich wyróżniają jednak cechy swoiste, wyraźnie inne niż u sąsia-



*Władysław Niedoba* *Foto: Jerzy Bierwiaczonek*

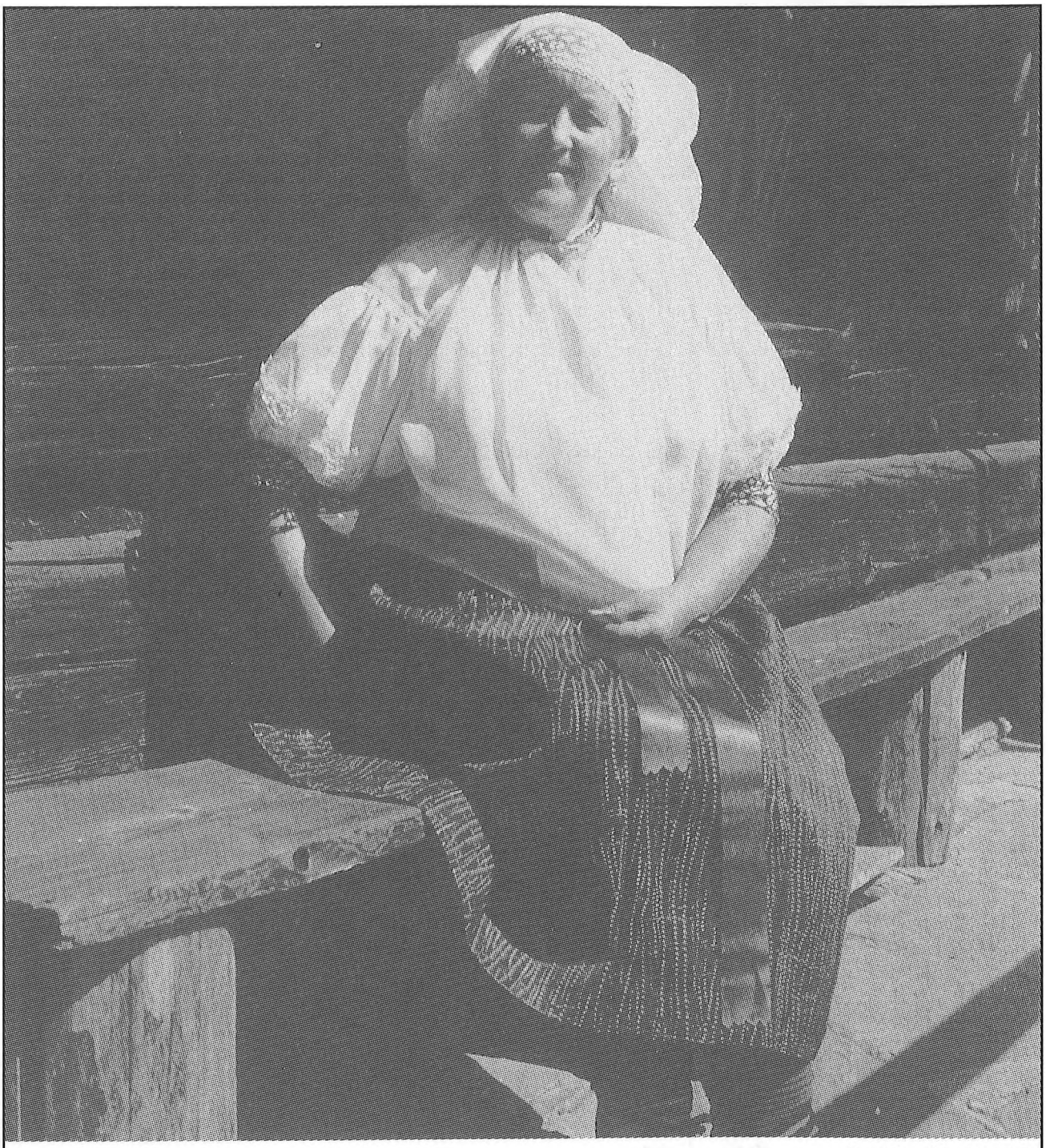
dów. Charakterystyczna jest też ich gwara. Zachowały się w niej pewne właściwości ogólnośląskie (np. brak mazurzenia, udźwięcznienie międzywyrazowe, wymowa typu grziby), ale obok nich występują zjawiska nieznane w gwarach innych części Śląska (np. odmiana czasowników idym, widzym, miękka wymowa sz i cz we wsiach położonych na południe od Kubalonki).

Górale śląscy zamieszkiwali zatem i zamieszkują do dziś tereny po obu stronach współczesnej granicy państwowej: od Brennej i Wisły na północy po Łomnę Górną, Mosty (Jabłonkowskie) i Jaworzynkę na południu, od masywów Błatnej, Klimczoka i Baraniej Góry na wschodzie po masywy Jaworowego i Kozubowej na zachodzie. I choć przez całe lata po II wojnie światowej mówiło się u nas o Beskidzie Śląskim i zamieszkujących go góralach, mając na myśli tylko skrawek wschodni, polski tej ziemi, a zapominając dla wygody o części znajdującej się po czeskiej stronie – przypomnieć warto, że po obu stronach granicy żyje ten sam lud, mówiący tą samą polską gwarą o specyficznej melodyce, śpiewający te same pieśni, o tej samej ciekawej kulturze, tak samo do jej tradycji przywiązany. Chociaż... współcześnie dla polskich mieszkańców Zaolzia problemem zaczynają być ich „czeskie" dzieci, a ponadto, dla górali po obu stronach granicy, unifikujące tendencje kultury masowej.

## GÓRALSKA STOLICA

Stolicą górali śląskich od wieków był Jabłonków, położony pośrodku ich ojczystych gór, na odwiecznym szlaku handlowym wiodącym przez Przełęcz Jabłonkowską. Warto pojechać do przysiółka Mostów zwanego Szańcem (od imponujących szańców wzniesionych w XVII wieku w obronie przed nawałnicą turecką), by spojrzeć stamtąd na wygodne, szerokie obniżenie Przełęczy – łatwiej z tego miejsca pojąć logikę historii i geografię handlowych traktów. Otoczony góralskimi wsiami Jabłonków był enklawą kulturową zachowującą odrębność do początków XX wieku. Mieszczanie jabłonkowscy, zwani Jackami, nosili strój ludowy odmienny od góralskiego, a także od cieszyńskiego, trudnili się handlem i rzemiosłem, sławni byli zwłaszcza jabłonkowscy garncarze i tkacze.

Do Jabłonkowa jako do swej stolicy górale schodzili się do kościoła (do parafii jabłonkowskiej należała pierwotnie np. Istebna), na odpusty, na targi, na zakupy wyrobów tkaczy i garncarzy – ściągali tu z Istebnej i z Nydku, z Koniakowa i z Łomnej,



*Zuzanna Kawulok* *Foto: Jerzy Bierwiaczonek*

i jeszcze z innych wsi. A tuż za rogatkami Jabłonkowa rozciągało się Nawsie, w którym pracował duży tartak, obsługujący wiele sąsiednich miejscowości – tu przyjeżdżali gazdoszkowie z drewnem z własnych lasów. Po wędrówce i przed powrotem w góry pokrzepiali się w karczmach. Tam w pogwarkach kwitło bogactwo folkloru. W Nawsiu była też stacja kolejowa – okno na świat, również dla jabłonkowian, którzy nie zgodzili się na budowę stacji u siebie. Koleją dotrzeć można było do pracy w karwińskich kopalniach i trzynieckiej hucie.

Po I wojnie światowej i po podziale spójnego wcześniej cieszyńskiego świata na część czeską i polską – stołeczną funkcję mógł Jabłonków sprawować tylko wobec zachodniej, teraz czeskiej części śląskiej góralszczyzny. Mieszkańcy beskidzkich wiosek po polskiej stronie wędrowali teraz za sprawunkami do Goleszowa, Skoczowa, Cieszyna, ale tęsknie spoglądali na zachód w kierunku Jabłonkowa. Po II wojnie światowej do roli góralskiej stolicy polskiej części Beskidu wyrosła Wisła, która w 1962 roku otrzymała prawa miejskie.

## BRACIA NIEDOBOWIE

W Nawsiu kolo Jabłonkowa mieszkała rodzina Niedobów z gromadką dziesięciorga dzieci. Jednym z synów był urodzony w 1906 roku Adam, najmłodszy był Władysław, rocznik 1914. Władek nie znał już swego ojca Pawła, który zmarł na zapalenie płuc w 1914 roku. Dzieci wychowywała matka – Ewa z Sikorów – kobieta o niezwykłej osobowości, zakochana w teatrze. Gromadka małych dzieci nie przeszkadzała jej w przygotowywaniu spektakli swego amatorskiego teatru, odgrywanych w nawsiańskiej, wielkiej stodole. Nic dziwnego, że dla jej dzieci teatr był również najważniejszy w życiu. Teatr, muzyka i śpiew.

Adam Niedoba został nauczycielem. Maturę zdał w Seminarium Nauczycielskim w Cieszynie-Bobrku. Pierwszą posadę otrzymał w szkole w Skrzyszowie kolo Rybnika – prowadził tu chór, organizował teatr. Po dramatycznych przejściach wojennych osiadł z żoną i dziećmi w Wiśle-Głębcach, gdzie był kierownikiem szkoły. Tu również organizował teatr. W 1950 roku założył zespół folklorystyczny „Wisła". W 1954 roku zdobył nagrodę na ogólnopolskim konkursie teatrów amatorskich w Warszawie za wystawienie śpiewogry własnego autorstwa „Michołek". I tak było w życiu Adama przez cale lata: szkoła, teatr, śpiewanie w „Wiśle", podróże z zespołem po całym kraju i za granicę, żona, dzieci.

A brat Adama, Władek, mieszkający nadal w Nawsiu tworzył w tym czasie polski teatr w Czeskim Cieszynie. Zamysł utworzenia tej ważnej polskiej sceny udało mu się zrealizować w 1951 roku. Kilkanaście kolejnych lat był jej dyrektorem. Pisał gwarowe teksty sztuk, występował na deskach. Natura obdarzyła go ponadto cudownym głosem – przed wojną śpiewał przed Kiepurą, którego zachwycił, w 1939 roku przyznano mu stypendium na studia wokalne w La Scali. Wojna uniemożliwiła realizację planów.

W 1948 roku Władysław Niedoba wymarzył sobie, żeby wszystkich miłującym śpiewanie Polaków na Zaolziu zaprosić do Jabłonkowa na „Gorolskie Święto". Rozpuścił wici po wsiach. Kiedy nadszedł wyznaczony dzień, pełen niepokoju czy się uda, siedząc na koniu, czekał w pobliżu stacji w Nawsiu, czy cieszyńskim pociągiem przyjadą jacyś uczestnicy święta. Z pociągu wysypał się tłum. Władkowi z radości wyrwał się okrzyk „Ho-ho-ho!", a potem, jadąc konno, prowadził gości na miejsce festynu. Tak się zaczęło i tak już było co roku.

Prawdziwy hetman góralski Władek Niedoba, a także jego siwek – to legenda świata górali śląskich. Od trzech lat hetman otwiera pochody zdążające na festyn w jabłonkowskim Lasku Miejskim nad Olzą, już nie jadąc na grzbiecie siwka, ale w bryczce lub pieszo – bardziej to przystoi jego sędziwemu wiekowi. Władek nie tylko wymyślił góralskie, polskie świętowanie w Jabłonkowie. Wykreował też chór męski „Gorol" o wspaniale brzmiących głosach, występujący w strojach ludowych: w *nogawicach, bruclikach, guniach, kyrpcach*, w kapeluszach *strzechoczach*. Oczywiście w chórze tym sam śpiewał. Uparty góral, wbrew wszelkim przeciwnościom, sam budował scenę w Lasku Miejskim dla potrzeb swego święta. Na scenie tej występował jako Jura spod Grónia w komicznym duecie z „Maciejem" Cienciałą.

Adam Niedoba obserwował, co robi brat za granicą, w Jabłonkowie. W końcu wraz z przyjaciółmi wymyślił, że zorganizują podobne do jabłonkowskiego święto w Wiśle. Znaleźli się mecenasi, którzy poparli ten pomysł – i w 1964 rozpoczął swe życie Tydzień Kultury Beskidzkiej, początkowo tylko w Wiśle. Właśnie przy okazji organizacji pierwszego Tygodnia otwarte zostało Muzeum Beskidzkie w Wiśle. Uwieńczony został pewien etap samoorganizowania się górali w działaniu na rzecz swojej kultury. Mimo kordonu granicznego Wisła i Jabłonków inspirowały się wzajemnie, a pomocne w tym były między innymi związki rodzinne – jak w przypadku braci Niedobów.

## CO DALEJ Z FESTIWALEM?

Pierwsze wiślańskie Tygodnie Kultury Beskidzkiej podobne były w atmosferze do jabłonkowskiego „Gorolskiego Święta" – sprzyjały spotkaniom mieszkańców góralskich wsi, wspólnej zabawie (bardzo pomagała w niej warzonka), prezentacji własnych zespołów folklorystycznych, pokazaniu góralskiej kultury wczasowiczom i turystom. Po latach Tygodnie zmieniły charakter, ostatnie przeobraziły się w gigantyczne festiwale, rozprzestrzeniły na kilka górskich miejscowości, a nawet dotarły do Oświęcimia i Krakowa. Wisła oddała prymat w imprezie Żywcowi. Sprowadzane z całego świata zespoły folklorystyczne – chińskie i meksykańskie, tureckie i włoskie, afrykańskie i norweskie – sprzyjają dużej frekwencji widzów na koncertach, dowodzą sprawności organizatorów, ale gdzieś w tym koncertowaniu z przepełnionym programem, z pośpiechem, z napiętym grafikiem kolejnych występów w kolejnych miejscowościach zginęła atmosfera góralskiego święta, spotkania radosnego, towarzyskiego i twórczego oraz cel, jakim była promocja góralskiej kultury. Komercja i gigantyzm zagrażają dziś Tygodniom Kultury... no właśnie, czy jeszcze Beskidzkiej?

Pewien ożywczy powiew dotarł do Wisły po 1990 roku z Jabłonkowa – ułatwienia w ruchu granicznym umożliwiły gromadne uczestnictwo górali z obu stron granicy w ich tradycyjnych imprezach; ci z polskiej strony mogli chłonąć w nadolziańskim Lasku Miejskim atmosferę góralskiego święta, o której w Wiśle już zapomnieli. Jak długo jednak Jabłonków obroni swoją koncepcję święta?

U nas ubyło mecenasów góralskich zespołów lub są coraz biedniejsi. Rodzime świetne zespoły, jak na przykład „Koniaków", przeżywają cykliczne kłopoty. Oby starczyło im sił do działania i umiejętności czerpania inspiracji z najlepszych tradycji własnej kultury.

## SKARBY KULTURY

Bogactw kultury góralskiej wystarczy na długo, byle je umiejętnie pielęgnować. Dobrze, że w Wiśle powstała szkoła muzyczna, dobrze, że w tamtejszym liceum są klasy ze specjalnością folklorystyczną. Pracowici krzewiciele góralskiej kultury, jak Zuzanna Kawulok i Józef Broda z Istebnej, Małgorzata Kiereś z Muzeum Beskidzkiego w Wiśle (rodowita istebnianka) potrafią dotrzeć do jej najbardziej autentycznej warstwy, z talentem przekazują swą wiedzę młodszym.

Trwają rody góralskie – Pilchów, Cieślarów, Szarców, Sikorów, Pojdów, Legierskich, Kawuloków, Michałków, Procnerów. W ich rodzinach nie do pomyślenia byłoby zarzucenie góralskiego stroju. Ba, w Istebnej do pierwszej komunii wszyscy chłopcy idą w *nogawicach* i *bruclikach* (dziewczynki w miejskich białych szatkach), a prowadzą ich rodzice również ustrojeni po góralsku. Ludowy strój obowiązuje tam też weselników. Modyfikacją, wprowadzoną już w latach międzywojennych, jest przejęcie przez młodsze góralki stroju cieszyńskiego, który wyparł prosty, archaiczny kobiecy strój góralski. Od święta odziewają się weń jeszcze starsze kobiety, co zobaczyć można chociażby w procesji z okazji Bożego Ciała w Koniakowie. Po góralsku występują oczywiście dziewczęta z zespołów folklorystycznych.

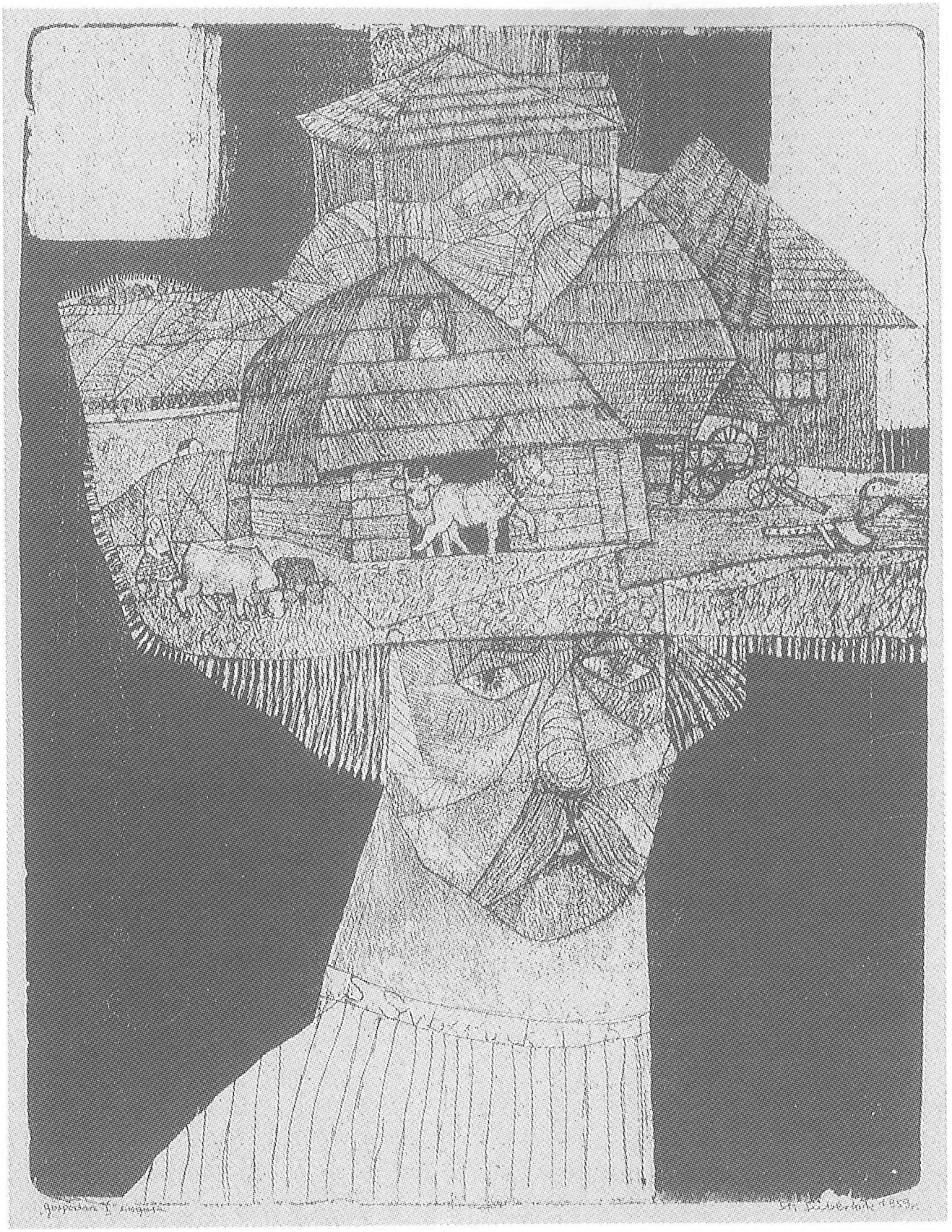
Martwiła się przed laty Emilia Michalska (z cieszyńskiej wsi Ochaby) w swym wierszu:

*Wisła smutno szumi,*
*Olza smutno szepce,*
*o tym, że już baby*
*odchynyły czepce.*
*Odchynyły stroje*
*wyszywane w kwiaty,*
*a wdziewają miejskie*
*byle jaki szaty.*

Życie idzie naprzód, świat zmienia się nieuchronnie – nie ma powrotu do tradycyjnego kształtu kultury góralskiej, chodzi jednak o to, aby nie uronić jej najcenniejszych wartości, a także twórczej postawy wobec życia, nie zdradzić ich dla zunifikowanej kultury masowej. Dlatego potrzebna jest przede wszystkim mądra praca z dziećmi w zakresie edukacji regionalnej – to one cenić muszą i przechować wartości swojej kultury. Może przedwczesna jest troska jabłonkowskiego poety Władysława Młynka:

*Biyda to będzie, biyda*
*Nie chciołbych dożyć tej doli,*
*Jak już w naszych Beskidach*
*Żodnych nie będzie gorolí.*
*Kraj nasz się cały miyni,*
*Wszecko idzie do miasta.*
*Gorol – tyn wyrós z ziymi,*
*Jego wnuki już z ciasta.*

Młynek pisząc te słowa martwił się wszakże podwójnie: po pierwsze o przyszłość kultury góralskiej, po drugie o przyszłość tej polskiej kultury w państwie czeskim. Ale to już odrębny, bardzo złożony problem. ■



„GOSPODARZ" I 1959 r.

STEFAN SUBERLAK, 1939 r.

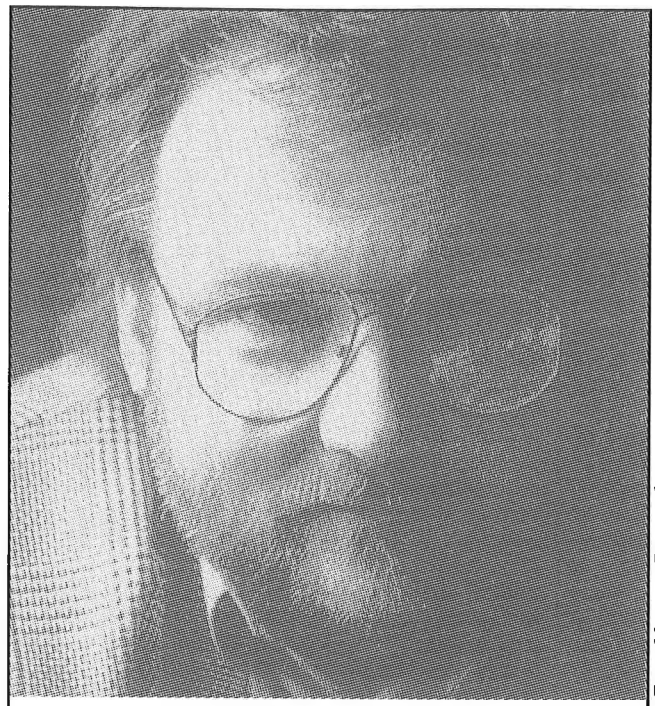


Foto: Marzena Pogorzała

z JERZYM PILCHEM
rozmawia KRZYSZTOF KARWAT

# Szyderstwo jest we mnie

**– Paweł Kohoutek, główny bohater „Innych rozkoszy", spotykając na drodze życiowej swoje kolejne „aktualne kobiety", miał zwyczaj snucia sentymentalnych opowieści o Śląsku Cieszyńskim. Opowieściami tymi oplatał swe ofiary, by je ostatecznie omamić i zniewolić. Niestety, w książce samych opowieści nie ma. To pewne jednak, że Kohoutka wyposażył pan w wiele autobiograficznych cech, tak jak pewne jest, że... ja kobietą nie jestem. Mimo to może jednak da się pan namówić na jakąś taką sentymentalną cieszyńsko-wiślańską, niekoniecznie ewangelicko-augsburską, spowiedź?...**

– Rzeczywiście, tych opowieści w „Innych rozkoszach" nie ma, a więc nie wiadomo czy one w ogóle istniały, bo powieściowy świat przedstawiony – jak powiada Milan Kundera – jest tylko „moralnością zawieszoną". Decydująca jest, przyjęta przeze mnie, perspektywa szyderczo-ironiczna, bo gdyby przenieść to wszystko w granice czystego realizmu, to wątpię, by na kobiety mogły tak silnie działać opowieści o stronach rodzinnych. Nawet gdyby to miał być Śląsk Cieszyński! Przy okazji pochwalę się. Dostałem niedawno kartkę od Janusza Głowackiego, który napisał mi, że lektura „Innych rozkoszy" wywarła na nim duże wrażenie pedagogiczne. Głowacki przyrzekł sobie, że nie będzie nowo poznawanym kobietom opowiadał o urokach życia w Nowym Jorku. Jak tu więc opowiadać, nawet dla miesięcznika „Śląsk", o Śląsku Cieszyńskim. To naprawdę trudne, i zawsze w takich przypadkach zachowuję się nieco defensywnie, bo zmusza mnie to do wyznań bardzo lirycznych. Spróbujmy jednak.

Rzeczywiście, moje najgłębsze dzieciństwo, do 10 roku życia, związane jest z Wisłą. Tu się urodziłem i tu likwidowano mój analfabetyzm. Tu nabyłem sztukę pisania i tu czytałem pierwsze książki. Potem był Kraków, czasy dojrzewania i wszelkich inicjacji. Ja jednak powtórzę za klasykami, że wszystko, co najważniejsze w życiu człowieka piszącego, rozgrywa się między pierwszym a szóstym, czy może właśnie dziesiątym rokiem życia. Jeśli tak, to mogę powiedzieć, że wszystko, co się zdarzyło w moim życiu, zdarzyło się właśnie w Wiśle. Gdzie konkretnie? W domu moich nieżyjących już dziadków. Jakoś tak się nieszczęśliwie potoczyło, że dzisiaj dom ten niszczeje i jest opuszczony. A było to miejsce wyjątkowe. Niedaleko był kościół ewangelicki, gospoda, sklep wielobranżowy Wojnara. Obok mieszkali baptyści, w następnej chałupie zielonoświątkowcy, bo były i są to strony szczególnie chłonne na wszelkie nowinkarstwo religijne. Ludzie tu na wiele sposobów uprawiają wiarę w Pana Boga.

**– Ewangelicyzm istnieje w panu, i w pańskich bohaterach powieściowych, na osobliwych prawach. Jest pewnym znakiem kulturowym i jednocześnie wyzwaniem rzuconym „innemu światu". Na nieco podobnej zasadzie niektórzy europejscy czy amerykańscy intelektualiści hodują w sobie swoje żydostwo, co wcale nie oznacza, że chodzą na co dzień do synagogi. Zawsze jest w tym trochę manifestacyjnego uporu. U pana – to rodzaj niegroźnej dla otoczenia, ale jednak prowokacji. Inna rzecz, że nakierowanej również w swoją stronę. Stąd obok ironii – autoironia.**

– To kwestia pamięci. Szczęśliwie, nie jestem jeszcze w takim wieku, kiedy się uporczywie wraca do dzieciństwa, ale jednak czas płynie i pamięć staje się w moim życiu coraz ważniejsza. A jest to właśnie w pewnym sensie pamięć ewangelicka. Moja rodzina była ortodoksyjnie ewangelicka, zaś protestantyzm babci był bardzo odległy od jakiegokolwiek ekumenizmu czy tolerancji. W Wiśle zdecydowanie przeważali ewangelicy. W mojej klasie szkolnej tylko pojedyncze osoby były wyznania nieewangelickiego. Poza tym brat mojej matki jest pastorem, co oznaczało jeszcze silniejsze wzmocnienie tych więzi. Rodzice i dziadkowie przyjaźnili się z biskupem Wantułą. Pamiętam wędrówki do pobliskiego Ustronia, do domu rodzinnego Wantułów i pamiętam bibliotekę Jana Wantuły, gdzie widziałem egzemplarze książek Prusa z autografami. A zatem moje pierwsze kontakty z książką, z literaturą były zanurzone w ewangelicyzmie.

Oczywiście, od razu ciśnie się na usta pytanie o mój współczesny stosunek do tego wyznania. Odpowiem anegdotą. W późniejszych latach często spotykałem się z Kornelem Filipowiczem, który miał słabość do ludzi ze Śląska Cieszyńskiego. Sam urodził się w Tarnopolu, lecz wiele lat spędził w Cieszynie i pięknie mówił tamtejszą gwarą. Ba, zachował się jego przekład fragmentów „Pana Tadeusza" na gwarę cieszyńską. Raz miałem okazję wysłuchać tego w jego wykonaniu. Coś niezwykłego! Wielokrotnie rozmawialiśmy o naszych korzeniach i o kwestiach religijnych. Kiedyś wyznałem mu: „Wiesz, jestem marnym ewangelikiem, ale ewangelikiem". On zaś odpowiedział, że „jest marnym katolikiem, ale jednak katolikiem". Cóż, taka jest właśnie prawda. Jestem marnym ewangelikiem, który dość daleko odsunął się od codziennego życia Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego.

Staram się jednak, gdy odwiedzam rodzinę w Wiśle, uczestniczyć w świątecznych uroczystościach kościelnych. Lepiej więc mówić o pewnej pamięci ewangelickiej, ta zaś zwykle bywa sentymentalna. Mam tego świadomość, więcej mój temperament podpowiada mi, że muszę się bronić szyderstwem. W końcu być dzisiaj ewangelikiem mieszkającym w Krakowie, to trochę śmieszne.

**– To jednak pewien kulturowy znak. Coś pan na nim buduje.**

– Zgadza się. Rozmawiamy w końcu w redakcji „Tygodnika Powszechnego". Od pięciu lat, tj. od czasu, kiedy w nim pracuję, moje poczucie ewangelicyzmu, rzekłbym, wzrosło. Oczywiście, jestem jedynym ewangelikiem w zespole i staram się to bezlitośnie wykorzystywać.

**– ???**

– Na przykład mówię: Co, nie chcecie mi dać kluczy do redakcji, bo nie jestem katolikiem? W ten sposób rodzi się ten mechanizm ironii czy też pewnego komizmu sytuacji.

**– Wisła to także pogranicze polsko-czeskie. Czy tam jeszcze istnieje pamięć krwawych bojów, toczonych już po I wojnie światowej, kiedy to Czesi podeszli aż pod Skoczów?**

– Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć. Moja pamięć nie zarejestrowała sytuacji konfliktowych. O nich się raczej nie mówiło. Raczej zawsze dominował tu ton pojednania, niewolny wszak znowu od pewnych elementów komicznych. Chałupa moich pradziadków stała na Stożku i była to chałupa jak wyjęta z Mrożka. Ona stała, dosłownie, na samej granicy polsko-czeskiej. Po wodę chodziło się do Czech. Och, i nie można zapomnieć o silnej tradycji przemytniczej. W latach 50., a więc w czasie mojego wczesnego dzieciństwa, chodziło się do Czech na przykład po buty, po tzw. mrazaki. Bliskość zagajników czeskich powodowała też, że często dochodziło do zawierania mieszanych małżeństw. Jedna z sióstr mojego ojca wyszła za mąż za Czecha. A więc i od tej strony jest jakiś trwały zapis w dziejach mojej rodziny. Więcej tu jednak elementów harmonizujących niż konfliktujących. Inna rzecz, że ta granica była mobilna. W czasie konfliktu zbrojnego, o którym pan wspomniał, a którego ja oczywiście pamiętać nie mogę, granica przebiegała 50 metrów od mojego rodzinnego domu. Obecność tych faktów jest chyba jednak żywa, przynajmniej w starszym pokoleniu. No, i widać te związki przede wszystkim w języku.

**– A w literaturze? Oto jeszcze raz czytam ów fragment z pańskiej powieści „Inne rozkosze", kiedy to trumna ze zwłokami dziadka Pawła Kohoutka spływa z góry po śniegu, porywając ze sobą pewną babuleńkę, która w młodości beznadziejnie się w dziadku kochała. W polskiej prozie trudno byłoby znaleźć podobną scenę, która w ceremonii pogrzebowej szukałaby elementów humorystycznych. Za to w czeskiej literaturze, w jakimś tam Hrabalu na przykład, taka scenka, i ten rodzaj dowcipu, byłby czymś normalnym i oczekiwanym. Przecież te związki nie mogą być przypadkowe.**

– No, i nie są. Cóż, mogę tylko dodać, że Hrabal czy Kundera to pisarze, którzy są mi bardzo bliscy. To nawet za mało powiedziane. To są pisarze bardzo uważnie przeze mnie przeczytani, z których twórczością emocjonalnie się splotłem. Z jednej strony więc ważyła fizyczna bliskość Czech, owa chałupa na granicy, której pewnie fundamenty dalej tam stoją, czy też wycieczki do lasu, kiedy się zawsze było zagrożonym przez wopistów, bo nigdy się nie wiedziało, czy się jeszcze jest w Polsce, czy już w Czechach, a z drugiej strony – wywarła na mnie duży wpływ czeska szkoła literacka. Bliski jest mi taki stereotypowy pogląd o tej literaturze, który sprowadza się do stwierdzenia, że Czesi umieją opowiadać. No, bo umieją. Kiedyś Tadeusz Nyczek słusznie powiedział, że dzięki temu, że Czesi umieją opowiadać, to mają Hrabala i Kunderę, zaś my, skoro zawsze posiadaliśmy dobrych poetów, mamy poezję stanu wojennego.

**– To dobry moment, by zapytać pana o techniki narracyjne. Po lekturze „Wyznań twórcy pokątnej literatury erotycznej", a zwłaszcza starszych opowiadań zawartych w tym tomie, zrozumiałem jak łatwo i naturalnie przyszło panu ześliznąć się z ulubionej formy felietonu w stronę prozy. Niektóre z tych tekstów, po drobnych retuszach i skrótach, mogłyby udawać inną formę wypowiedzi autorskiej, właśnie dygresyjno-felietonową. Dochodził więc pan do tzw. literatury pięknej poprzez gatunki użytkowe, często niesłusznie lekceważone. A jakoś to nie zaszkodziło pańskim książkom. To trochę jak z Januszem Andermanem – przy wszystkich różnicach – który wyznał mi kiedyś, że swoje pierwsze opowiadania sprzedawał w prasie, w tym także w „Studencie", w którym i pan niegdyś pracował, jako reportaże. Tyle tylko że nikomu nie zdradzał, że reportaże te od początku do końca były zmyślone.**

– Wiele w tym prawdy. Muszę jednak przyznać, że walczę z własną „gębą" felietonisty. Czuję się przede wszystkim prozaikiem, który pisze felietony. Wolałbym, żeby tak mnie postrzegano. Jednocześnie nie ukrywam, że z pewnego punktu widzenia nie ma dla mnie wielkiej różnicy między pisaniem prozy a pisaniem felietonów. Albo raczej powiem: nie zawsze tę granicę czuję. Część moich felietonów traktuję jako taki rodzaj prozy felietonowej. Tak, oczywiście, zdarzają mi się teksty doraźne, teksty, które można by nazwać politycznymi. Bierze się to z tego, że patrzę na politykę, rozważając wyłącznie jej „literackość". Definicja polityki jest dla mnie jasna: to walka o władzę. Walka ta przeważnie musi być rzeczą chorą, a więc staje się przez to – by tak powiedzieć – literacko atrakcyjna. Nawet w tych doraźnych, politycznych felietonach, zamieszczanych w „Tygodniku Powszechnym", staram się zawsze zaznaczyć rodzaj cudzysłowu, a on zawsze daje efekt literacki.

**– Cudzysłów tak rozumiany to synonim dystansu. Dystans prowadzi do ironii i autoironii. Czytając „Spis cudzołożnic", nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jest to książka, będąca swoistą zemstą na sobie i środowisku akademickim za własną nieudaną karierę naukową. Gdy przyjrzeć się temu bohaterowi, dosłownie wypchniętemu na ulicę przez zacne uniwersyteckie gremia, to nie sposób nie dostrzec w tym elementów alegorycznych, odnoszących się wprost do pańskiej biografii. Ta powieść jest zjadliwym, by nie powiedzieć złośliwym, kontratakiem.**

– Zastosował pan sprytną interpretację i nawet nie chcę mówić jak dalece trafną. Proszę, tak tę książkę też można przeczytać. Cóż tu kryć? Ja się bardzo źle czułem na uniwersytecie. To było zupełne nieporozumienie. A trzymałem się tego, bo skończyłem polonistykę, a to nie jest za bardzo uczciwy kierunek studów. Nie było pracy, a zaproponowano mi ją na uczelni. Mieszkałem w Krakowie i to się dla mnie jako młodego człowieka liczyło. Jaki mogłem mieć wybór? Zresztą nie myślało się wówczas o innych możliwościach. Ta droga wydawała się sensowna. „Asystent Uniwersytetu Jagiellońskiego" – to dobrze brzmiało, także w uszach mojej rodziny. Spełniało marzenia, może nie moje, ale na pewno moich rodziców. I tak funkcjonowałem, siłą pewnego paradoksu, przez prawie dziesięć lat. Coraz bardziej mnie to męczyło. Trzeba było pisać teksty naukowe, wreszcie doktorat. Napisałem coś trzydzieści stron tego doktoratu. A muszę powiedzieć, że moim promotorem był Jan Błoński.

**– Tylko marzyć o takim nauczycielu.**

– Zgadza się. Kiedy zacząłem wydawać książki prozatorskie, Jan Błoński stał się ich życzliwym komentatorem. Jakiś czas temu na pewnym przyjęciu towarzyskim wróciłem do „tematu" i szepnąłem: „Panie profesorze, może bym tak dokończył ten mój doktorat". „Broń Boże, w żadnym wypadku" – usłyszałem. Tak więc moja „zemsta"

miała może nawet głębszy wymiar niż mi się samemu wydaje...

**– Wychowaliśmy się na książkach i ideałach tej formacji, która budowała etos polskiego inteligenta. Wiem, jak zwłaszcza na przełomie lat 70. i 80. było to ważne. Także dla mnie. Z trudem przychodzi mi się pogodzić z tym, że „polski inteligent" to już nie jest żaden znak wywoławczy, żaden sygnał łączący zatomizowane społeczeństwo. Pan, i to jeszcze wcześniej ode mnie, też się przecież wśród takich wartości wychowywał i dojrzewał. Tymczasem teraz po latach przewraca pan w swych książkach resztki tamtego etosu. Inteligent w „Monologu z lisiej jamy" jest już karykaturą samego siebie, zblazowanym ainteligentem, który już nawet nie pamięta, kim kiedyś był czy kim mógł być. Aż tak źle jest z naszą inteligencją?**

– Pan uogólnia, a ja nie mam ambicji oceniania całych klas czy warstw społecznych. Bohaterowie moich powieści i opowiadań są tym kim są, i zawsze występują w liczbie pojedynczej. Rozumiem jednak, że literatura może prowokować do uogólnień. Pan też ma do tego prawo.

Wyczułem w pańskim pytaniu jakby pretensję o pewną łatwiznę myślową. Łatwiej wyszydzić, łatwiej wskazać negatywne cechy w człowieku. Pozwoli pan, spróbuję się usprawiedliwić. Żyjemy na przełomie epok. To brzmi banalnie, ale tak jest, i to właśnie wywołuje szalone przyspieszenie historii, a także dokonuje pewnego skrótu dziejowego. Dziesięć lat to teraz cała epoka. Komunizm upadł i łapiemy się na tym, że to było tak strasznie dawno temu. Stąd zmieniają się optyki. W latach 70., a zwłaszcza w 80., obowiązywała optyka heroiczna. Uczestniczyło się na przykład w mszach z udziałem polskiego papieża, który był wtedy człowiekiem młodym, pełnym budującej nas energii. Pan pamięta: wokół herosi podziemia, otoczeni tym narodem zjednoczonym, unoszącym ręce i pokazującym światu literkę V. To była atmosfera patetyczna. Ona już dzisiaj nie istnieje. Co ją zastąpiło? Szyderstwo? Groteska? Nie wiem, ale na pewno nie ma już patosu. Jakiś czas temu znalazłem się w szpitalu i tam uczestniczyłem w mszy. Mszy katolickiej. Zobaczyłem smutnych, zmęczonych ludzi modlących się za zdrowie papieża, który jest gdzieś bardzo daleko. Zrozumiałem wtedy, jak wiele zmieniło się w naszym kraju.

**– Szyderstwo tym razem jako obrona przed tą zmieniającą się rzeczywistością?**

– Widocznie to szyderstwo jest we mnie wszyte, wpięte. Nie umiem inaczej patrzeć na świat. Czysty liryzm, wydaje mi się, łatwiej narażony jest na fałsz niż czysta groteska.

**– Może dlatego jednym z pańskich patronów literackich jest Witold Gombrowicz. Dobrze pan odrobił lekcję z Gombrowicza i przydaje się chyba, gdy sięga pan po pióro. A może się mylę?**

– Była przydatna. To jest doświadczenie młodości. Moje spojrzenie na Gombrowicza uległo dość radykalnej zmianie. Twierdzę nawet, że jesteśmy obecnie świadkami smutnego procesu umierania pisarza, umierania jego książek. Ja na przykład wątpię, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu przeczytam „Ferdydurke" albo „Kosmos", albo „Pornografię".

**– Ale „Dziennik" jest nadal ważny!**

– I „Transatlantyk". Ale nie są to już tak ważne książki, jakimi były w latach 70., kiedy istniał mit wielkiego nieobecnego pisarza. To jednak mimo wszystko miało też smak owocu zakazanego. Oprawa, polegająca choćby na szmuglowaniu tomów paryskiej „Kultury", okazuje się, była dla tego pisarza niezwykle istotna. Może pana zaskoczę, ale ja dzisiaj chętniej wracam do Iwaszkiewicza niż do Gombrowicza.

**– Pańska generacja w młodości nie przepadała za Iwaszkiewiczem, a do dobrego tonu należały dowcipy na temat jego starczych fanaberii. Kulminacyjnym momentem był górniczy strój, który pisarz kazał na siebie nałożyć. Pamiętam też, że krótko przed śmiercią odbył transmitowane przez telewizję spotkanie z Gierkiem. Nic z niego nie wynikało poza tym, że zwracał się do Pierwszego per „panie Edwardzie", co było bardzo zabawne.**

– Tak, traktowaliśmy go z dystansem, niezbyt poważnie. A w tym mundurze to nawet kazał się pochować. I teraz się okazuje, że jego nowele, a także późne wiersze, doskonale wytrzymują próbę czasu.

**– Czy pan wie, że Kazimierz Kutz już rozpoczął przymiarki do zekranizowania „Sławy i chwały"?**

– To znaczy, że w coś trafiłem! Nie wiem tylko, czy te moje proroctwa, dotyczące Gombrowicza, inni też by podzielili.

**– Skoro Iwaszkiewicz, to też wielka epika. Czy nie marzy się panu zrobienie dużej książki epickiej?**

– Nie mam takich ambicji. Ja lansuję takie powiedzenie, że w moim wieku ma się już stały rozmiar. Nieraz dodaję do tego, że marzy mi się duża powieść, jakieś 100–120 stron. I chyba tego się będę trzymał. Dlatego też Iwaszkiewicza cenię. Przecież to nie tylko i nie przede wszystkim „Sława i chwała", ale nowele, a właściwie minipowieści. Iwaszkiewicz, jeśli nie mógł czy nie chciał napisać grubej powieści, to tworzył kilkudziesięciostronicowe opowiadania. Miłosz, kiedy wziął do ręki moje „Inne rozkosze", to poobracał je we wszystkie strony i powiedział: „Wie pan, coś ten wydawca za duży format zrobił. Gdyby tak zdecydował się na mniejszy, to książka byłaby grubsza".

**– A widzi pan, coś w tym jest.**

– Oczywiście, marzy mi się coś większego. No, bo duży chłop z chudym tomikiem na wierzchu wygląda bardzo nieprzyzwoicie.

**– Łatwiej wyobrazić sobie, że wbrew prawom fizyki i natury ten rozmiar się panu jednak poszerzy, niż uwierzyć w to, że Jerzy Pilch porzuci współczesność i przeniesie akcję swej kolejnej powieści w przeszłość, choćby nawet nie tak bardzo odległą. Dlaczego?**

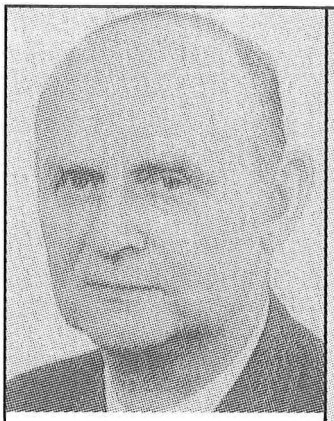
– Nie mam tego rodzaju ambicji i chyba nie tylko dlatego, że nie wypracowałem warsztatu pisarskiego, który pozwoliłby mi przebierać moich bohaterów w historyczne kostiumy.

**– Lenistwo? Wszak musiałby pan, za przeproszeniem, niczym filolog sporządzać przez parę lat fiszki, a później dopiero siadać za biurkiem. I pisać, pisać, pisać...**

– Nie, to nawet nie to. Ja po prostu nie lubię literatury historycznej. Pozostanę przy temacie współczesnym. On, oczywiście, może się różnie realizować. Już nawet w „Innych rozkoszach" ta perspektywa jest poszerzona i sięga pamięci pradziadka bohatera, ale to są tylko takie odniesienia, które się nosi w sobie, o, tu, w głowie. Rzecz jasna, można, niekiedy trzeba, sięgnąć do takich źródeł, do jakichś dokumentów, przekazów ustnych, do rodzinnej szuflady czy szafy. Ale na tym koniec. Wszystko inne mnie nie interesuje.

**– Rozumiem doskonale, że to wcale nie musi oznaczać jakiegoś minimalizmu twórczego. Ale blisko stąd do pytania o ogólną perspektywę dla prozy, „porządnej" powieści. Jak pan to widzi? Tak wiele się w ostatnich latach mówi i pisze o kryzysie powieści jako gatunku. Ten szum wokół twórczości kilku młodych dam, które co rusz wypuszczają na rynek jakąś nową książkę, bierze się w moim przekonaniu w części właśnie z tego, że chciałoby się za wszelką cenę zaprzeczyć umieraniu powieści.**

– Nie bardzo wierzę w tę śmierć powieści. Wspomniany tu już przez nas Jan Błoński jest autorem tezy, że rok 1989 jest jakoś tam porównywalny do przełomu, jaki nastąpił po roku 1918. Ta teza, moim zdaniem, właśnie teraz, z pewnym opóźnieniem, sprawdza się. Młodzi ludzie piszą i wydają książki, a wydać je nie jest tak trudno jak się z pozoru wydaje. Tak, to prawda. Większość to baby. Tak się jakoś to poukładało, ale wśród nich są też panie bardzo utalentowane. Wierzę, że nadejdzie epoka pewnej swobody, ruchu, inwencji. Być może jest tak, że przed tymi ludźmi dopiero stoją doświadczenia, po których zrodzi się nowa polska powieść. Może już są jacyś faceci, którzy piszą gdzieś w zaciszu swoich pokoików, a my jeszcze o tym nie wiemy? Może już mają zapisane kajeciki? Wierzę, że to wszystko będzie normalnie funkcjonować, że będzie polska powieść popularna, sensacyjna, a także klasyczna. Wierzę, że za wolnością polityczną przyjdzie pełna wolność duchowa, o którą – jak wiadomo – najtrudniej. ■



*Profesor Jan Szczepański – wybitny socjolog, autor wielu prac poświęconych teorii i historii socjologii, przemianom społeczeństwa polskiego i roli inteligencji. Członek PAN i międzynarodowych stowarzyszeń socjologicznych. Urodził się w 1913 roku w Ustroniu. Gimnazjum ukończył w Cieszynie w roku 1932. W jego dorobku naukowym problemy Śląska i środowisk robotniczych zajmują wiele miejsca.*

**W interesie Zaolzian jest utrzymanie grupy zwartej, spójnej, solidarnej i zapewniającej bezpieczeństwo... Spójność grupy etnicznej wspiera się przede wszystkim na własnym języku... Zaolzianie mają swoją gwarę stanowiącą istotny wyróżnik... Społeczności lokalne pogranicza muszą liczyć przede wszystkim na własne siły, wiarę w swoje wartości, w sposoby działania wynikające z tradycji... Najważniejsza jest wola tworzenia, istnienia i rozwoju.**

JAN SZCZEPAŃSKI

# Wola trwania

## O Śląsku Cieszyńskim, Zaolziu i problemach pogranicza

Polska społeczność Zaolzia stanęła dziś przed koniecznością wyraźnej odpowiedzi na dawne pytania, które w ustroju realnego socjalizmu były przysłonięte ideologicznymi deklaracjami. Oficjalna doktryna jedności bratnich narodów socjalistycznych ustawiała bowiem stosunki między polską i czeską grupą etniczną na ideologicznej płaszczyźnie przyjacielskiego współżycia, identyczności interesów klasowych, a występujące różnice i napięcia zasłaniano mgłą słów.

Lecz różnice i napięcia przecież istniały, stwarzały podziały wewnątrz polskiej grupy a po upadku imperium radzieckiego ujawniły się otwarcie, wzmocnione procesami zachodzącymi nie tylko na Zaolziu, ale także w obu państwach – polskim i czeskim, w których rozpoczęto przebudowę ustrojów politycznych i gospodarczych. Nowe władze w obu państwach odrzuciły oficjalne doktryny klasowe, odrzuciły doktryny określające miejsca mniejszości, podkreśliły mocno swoją suwerenność, oddziałując w ten sposób na codzienną praktykę i codzienne problemy życia mniejszości.

W szkicu tym chciałbym wskazać niektóre problemy nurtujące polską społeczność Zaolzia oraz rozważyć możliwości ich rozwiązania tak, jak rysują się człowiekowi żyjącemu daleko przestrzennie, ale blisko emocjonalnie.

### NA ROZDROŻACH

Sytuacja polskiej grupy na Zaolziu jest wyznaczana wieloma czynnikami. **Przede wszystkim podkreślić trzeba fakt, że jest to ludność osiadła tutaj od wieków, a nie jakaś grupa napływowa.** Państwo czeskie, powstałe po upadku imperium austro-węgierskiego, przekształcane przez imperium Hitlera, a potem przez imperium radzieckie, prowadziło politykę utwierdzania czeskości tych ziem przez instytucje państwowe, szkoły, zakłady pracy i instytucje czeskiej kultury. Ludność polska zachowała jednak swój język – gwarę cieszyńską, wywodzącą się z języka polskiego dawnych wieków.

Przez cały wiek XIX i XX Cieszyniacy zaolziańscy zachowali swoją kulturalną tożsamość mimo nacisku germanizacyjnego władz cesarstwa Habsburgów, a potem usiłowań władz czeskich. Lecz niezależnie od polityki rządów zachodził spontaniczny proces przemian, także przechodzenia poszczególnych Cieszyniaków i ich rodzin do grupy ludności panującej politycznie i ekonomicznie, co łączyło się z pewnymi korzyściami i przywilejami. **Zwarte grupy etnicznie polskie zaczynają znowu stawiać sobie pytania, czy warto utrzymywać polską odrębność w „wydaniu cieszyńskim", czy też należy poddać się procesom spontanicznym, przerwać działania utrzymujące elementy polskości?** Wątpliwości te rodzą się szczególnie wśród ewangelików, których elity polityczne nowej Polski usuwają poza polską przynależność narodową, gdyż „katolicyzm jest istotą polskości" i Polska powinna być katolicka. Dotyczy to ewangelików nie tylko za Olzą, ale także w kraju.

Jednak członkowie mniejszości, przechodząc do grup dominujących, zdają sobie sprawę, że nie stają się pełnowartościowymi członkami nowej dla nich grupy etnicznej, lecz stanowią swoistą kategorię pośrednią, zwłaszcza w środowisku zamieszkania, gdzie społeczność pamięta i nie zawsze akceptuje takie przejście. Sądzę, że spojrzenie na znane przykłady historyczne losów i walk mniejszości może dostarczyć materiału do porównań. Np. Baskowie, walczący od wczesnego średniowiecza o swoją kulturę, język i niezależność, mimo wszystkich różnic, są interesującym przykładem wartości tożsamości kulturowej. Podobnym przykładem są Irlandczycy z północnej Irlandii, walczący o swoją kulturę i religię. W Polsce, niestety, losy Mazurów, Warmiaków i Opolan dostarczają innych przykładów, mianowicie przemianowania Polaków żyjących w dawnych niemieckich prowincjach wschodnich na autochtonów, a potem postępującego ich zniszczenia. Polskie społeczności Mazurów, Warmiaków zostały zidentyfikowane jako niemieckie nie tyle jednak przez władze, co przez lokal-

nych działaczy partyjnych i napływających z Polski osadników, i przez to właśnie społeczności te straciły zdolność samoobrony. To jednak Zaolzianom nie grozi.

**W ich interesie jest utrzymanie grupy zwartej, spójnej, solidarnej, zapewniającej bezpieczeństwo, nie dopuszczającej do przekształcenia grupy etnicznej w diasporę, czyli rozproszenia,** w której każdy człowiek na własną rękę, samotnie i samodzielnie musi się przeciwstawiać swojemu losowi. **Spójność grupy etnicznej wspiera się przede wszystkim na własnym języku.** Dlatego Baskowie i Irlandczycy od wieków zażarcie walczyli i walczą o utrzymanie i rozwój własnego języka, o szkoły, prasę, literaturę i inne rodzaje sztuki. **Zaolzianie mają swoją gwarę, stanowiącą istotny wyróżnik grupy,** oddzielającej Zaolzian i od literackiego języka czeskiego, i od literackiego języka polskiego. Dlatego na powracające, ważne pytanie, jaka była i jaka jest rola gwary na zaolziańskim Śląsku Cieszyńskim, należy odpowiedzieć z przekonaniem, że wyjątkowa, wskazując jej ważność dla utrzymania wewnętrznej spójności, dla identyfikacji jej członków, stworzenia specyficznej więzi porozumienia, wyłączającego „obcych". Jej kultywowanie jest istotnym zadaniem rodzin, rodziców uczących dzieci, organizatorów działalności podtrzymujących kulturę ludową, nauczycieli. Gwara nie jest bowiem gorszą odmianą języka, lecz stanowi „arkę przymierza", by użyć słów Mickiewicza, między kolejnymi pokoleniami.

## PRZYSZŁOŚĆ „MAŁYCH OJCZYZN"

Członkowie poszczególnych narodów europejskich stawiają sobie dziś często pytanie, jaka będzie przyszłość nie tylko mniejszościowych grup, ale nawet dużych narodów w zintegrowanej Europie przyszłości. Czy w tej Europie utrzyma się tożsamość poszczególnych grup etnicznych, zwłaszcza takich małych, jak Zaolzie?

Sądzę, że trzeba tu wyjaśnić kilka spraw. **Zaczynająca się integracja Europy jest i będzie najpierw integracją prawno-biurokratyczną, w której biurokracja brukselska będzie dążyła do ujednolicenia systemów administracji, prawa i instytucji politycznych. W drugim etapie będzie wzrastała integracja instytucji gospodarczych. Integracja kulturalna będzie natomiast pozostawiona sobie, swoim zjawiskom i procesom spontanicznym,** w których kultury aktywne, przebojowe, będą narzucały swoją literaturę, filmy, programy telewizyjne grupom biernym i mało twórczym. Oficjalny proces integracji będzie przeprowadzany pod hasłem tolerancji, co da małym grupom, dostatecznie twórczym i aktywnym, możliwość narzucania swoich wartości i swojej produkcji kulturalnej innym narodom.

**Istotne procesy kulturotwórcze rozegrają się w „małych ojczyznach", chociaż państwa będą się starały także utrzymać instytucje kulturalne w skali makro. O ciągłości kulturalnej narodów w rosnącym stopniu decydować będą jednak społeczności lokalne,** w których elementy i wartości kultury przenikają do życia codziennego obywateli, do rodzin i małych wspólnot sąsiedzkich. Sądzę więc, że **formy pracy tworzące wartości kultury, wytworzone w takich społecznościach lokalnych, jak Zaolzie, okażą się szczególnie ważne.** Sądzę także, że w tej perspektywie trzeba patrzeć na rolę i przyszłość kultury ludowej.

**Integracja kulturalna w skali makro będzie polegała na tworzeniu kultury masowej, której kryteria będą narzucały Stany Zjednoczone,** niektóre kraje Afryki, ale dominować będą kraje, które stać będzie na masową reklamę, wmawiającą młodzieży, że nagi król nosi wspaniałą szatę. Narody, szukające samodzielności kulturalnej, jedno ze źródeł własnej twórczości znajdą w swojej kulturze ludowej, pielęgnującej tradycje i wartości przeszłości.

**Społeczność polska na Zaolziu, jako społeczność pogranicza, jest ostrzej niż dzielnice centralne wystawiona na oddziaływania kultury masowej,** płynącej zarówno z Czech i Polski, oraz telewizji międzynarodowej, docierającej także z innych krajów. Kultura ludowa, obok reprezentacyjnej kultury narodowej, stanie się ważnym czynnikiem wzbogacającym kulturę zintegrowanej Europy. Trzeba bowiem podkreślić, **że w tej nowej, zamerykanizowanej Europie kultura przekształci się w show business, tworzony i organizowany dla zysku. Stąd rosnąca ważność kultury ludowej, utrzymującej tradycyjne wartości etniczne.**

Wydaje się także, że rolę kultury ludowej trzeba rozpatrywać z perspektywy rozwijającego się kapitalizmu, jego etyki, obyczajów i stylu życia. Kapitalizm, rozwijany w Polsce w ciągu ostatnich sześciu lat, po załamaniu się ustroju Polski Ludowej, nosi wszystkie cechy kapitalizmu z okresu pierwotnej akumulacji, kiedy tworzy się nowe fortuny nielegalnymi sposobami, oszustwami, kradzieżami, nie wyłączając mafijnego bandytyzmu. Niektórzy historycy i socjologowie twierdzą, że jest to nieunikniona prawidłowość dziejowa. **Ale narody muszą posiadać siły i elementy kultury, mogące się przeciwstawić tej czarnej fali. Wśród tych sił ważną rolę może odegrać tradycyjna moralność, obyczajowość małych wspólnot etnicznych, takich jak Zaolzie.**

## SZANSE SPOŁECZNOŚCI POGRANICZA

Taką widzę odpowiedź na pytania i rozterki, powstające dziś w społeczności Zaolzia, wskazując, że występują one we wszystkich grupach mniejszościowych wielu krajów, że tworzą one problemy przyszłej Europy, ale także, że rozwiązać je mogą tylko ci ludzie, którzy ich doświadczają, którzy się z nimi borykają w życiu codziennym. A siły do tego muszą znaleźć w sobie, w swoim indywidualnym umyśle i indywidualnej duszy. Społeczność może być silna siłą swoich członków.

Nawiązując do powyższych rozważań, chciałbym rozwinąć nieco szerzej poglądy na rolę kultury ludowej w społecznościach pogranicza, zwłaszcza wobec zmian we współczesnej cywilizacji technicznej i zarysowującego się procesu powstawania społeczeństwa informacyjnego. **Polska społeczność Zaolzia, podobnie jak wiele innych społeczności mniejszościowych w różnych krajach Europy, rozprawia się z tradycyjnymi problemami utrzymania tożsamości kulturowej, utrzymania wewnętrznej spójności w obliczu**



*Liceum Ogólnokształcące im. A. Osuchowskiego w Cieszynie.* *Foto: Krzysztof Marcinuk*

**możliwości wynarodowienia czy też emigracji członków do innych krajów.** Kultura ludowa, nawiązująca do wspólnego pnia kultury polskiej, służyła jako czynnik identyfikacji członków jako „swoich", jako czynnik oparcia i zabezpieczenia, dając im poczucie bezpieczeństwa i własnej siły.

Kultura ludowa społeczności pogranicza spełnia podobną rolę jak elitarna kultura narodowa w Polsce z tym, że działa w otoczeniu czeskim i jest wystawiona na bardzo zróżnicowane wpływy czeskiej kultury i państwa. **Kultura ludowa społeczności pogranicza nie jest jednak nigdy jakimś biernym odbiciem kultury macierzystej. Tworzy ona właśne treści i wartości, swój styl współżycia i mechanizmy spójności wewnętrznej, na co szczególnie wiele przykładów dostarcza Zaolzie.**

Z relacji między tradycją a cywilizacją techniczną wypływają także wnioski dla przyszłości kultury ludowej. Nowa cywilizacja może wywołać w młodych pokoleniach lekceważenie społecznej i technicznej skuteczności działania kultury ludowej, ustępującej skuteczności działania nowej techniki. Ale przecież łatwo zauważyć, że w rozwiązywaniu problemów życiowych, układaniu stosunków między ludźmi, w wychowywaniu młodzieży, organizowaniu współżycia itp. tradycyjne kultury ludowe radziły sobie lepiej niż cywilizacje współczesne. I jeszcze dzisiaj społeczności lokalne, utrzymujące tradycyjne wartości kultury ludowej, łatwiej radzą sobie z odradzającym się nacjonalizmem, z masową konsumpcją nieuzasadnioną wkładem pracy, z bezmyślnym niszczeniem życiowego środowiska, z dążeniem do rozrywki kosztem pracy itp.

## BYĆ I POZOSTAĆ SOBĄ

Społeczności pogranicza są wystawione na podwójne oddziaływanie rozkładające: jedne pochodzą ze społeczeństwa państwowego, do którego społeczność aktualnie należy, drugie ze społeczności macierzystej. Społeczność pogranicza jest wystawiona na wpływ współzawodnictwa obu państw w pokazowym dążeniu do nowoczesności, urbanizacji i tworzenia cywilizacji miejskiej, a więc na eliminowanie sił, utrzymujących spójność grup pogranicza.

Mimo różnych form opieki, pomocy itd. , świadczonych przez oba państwa, **społeczności lokalne pogranicza muszą liczyć przede wszystkim na własne siły, wiarę w swoje wartości, w sposoby działania wynikające z tradycji.** Tolerancja i obojętność społeczeństwa państwowego działa rozluźniająco, podczas gdy pewne formy represji i ucisku, walki i potwierdzania swej tożsamości działają skupiająco i sprzyjają wewnętrznej integracji społeczności co potwierdzają doświadczenia Polaków na Zaolziu nie tylko po roku 1945.

Tolerancja i pełne przyzwolenie nie wyklucza osiągania wewnętrznej spójności grupy, gdyż można osiągnąć jedność także innymi metodami, przez dążenia do wspólnych celów, do realizowania wspólnych ideałów czy to ideowych, czy gospodarczych, czy socjalnych, takich, jak zwalczanie biedy, bezrobocia, alkoholizmu itp. No i, oczywiście, przez popularyzację nauki, podtrzymywanie wiedzy o dziejach społeczności, o wybitnych postaciach w historii społeczności.

**Najważniejsza jest wola trwania, istnienia i rozwoju, a do tego konieczne jest poczucie i zrozumienie sensu istnienia.** Członkowie społeczności muszą odpowiedzieć sobie na pytania: Dlaczego chcemy żyć i działać jako osobna grupa? Jakie są cele pracy i dążeń naszej społeczności? Jakimi metodami i działaniami chcemy osiągnąć nasze wspólne cele? Czy chcemy wykazać naszą zbiorową wartość przez osiąganie celów, czy chcemy pokazać, że jesteśmy zbiorowością wartościową, na wysokim poziomie moralności, rzetelności, dobrobytu? Czy jesteśmy zdolni do tworzenia własnego stylu życia, szanowanego przez inne społeczności?

**Społeczności zagrożone i mające poczucie zagrożenia muszą przede wszystkim wytworzyć sobie osobowości przywódcze, ludzi otoczonych uznaniem, szacunkiem, którzy te pytania formułują i wnoszą do świadomości członków, którzy także na te pytania znajdują odpowiedź, którzy dają przykład życia godziwego i pokazują drogi ku wspólnym wartościom, którzy są jak drogowskazy idące drogą, którą wskazują.** ■

# Z Ustronia do Cieszyna

***(Ze zbioru wspomnień „Korzeniami wrosłem w ziemię" prof. Jana Szczepańskiego. Tytuł zamieszczonego fragmentu – od redakcji.)***

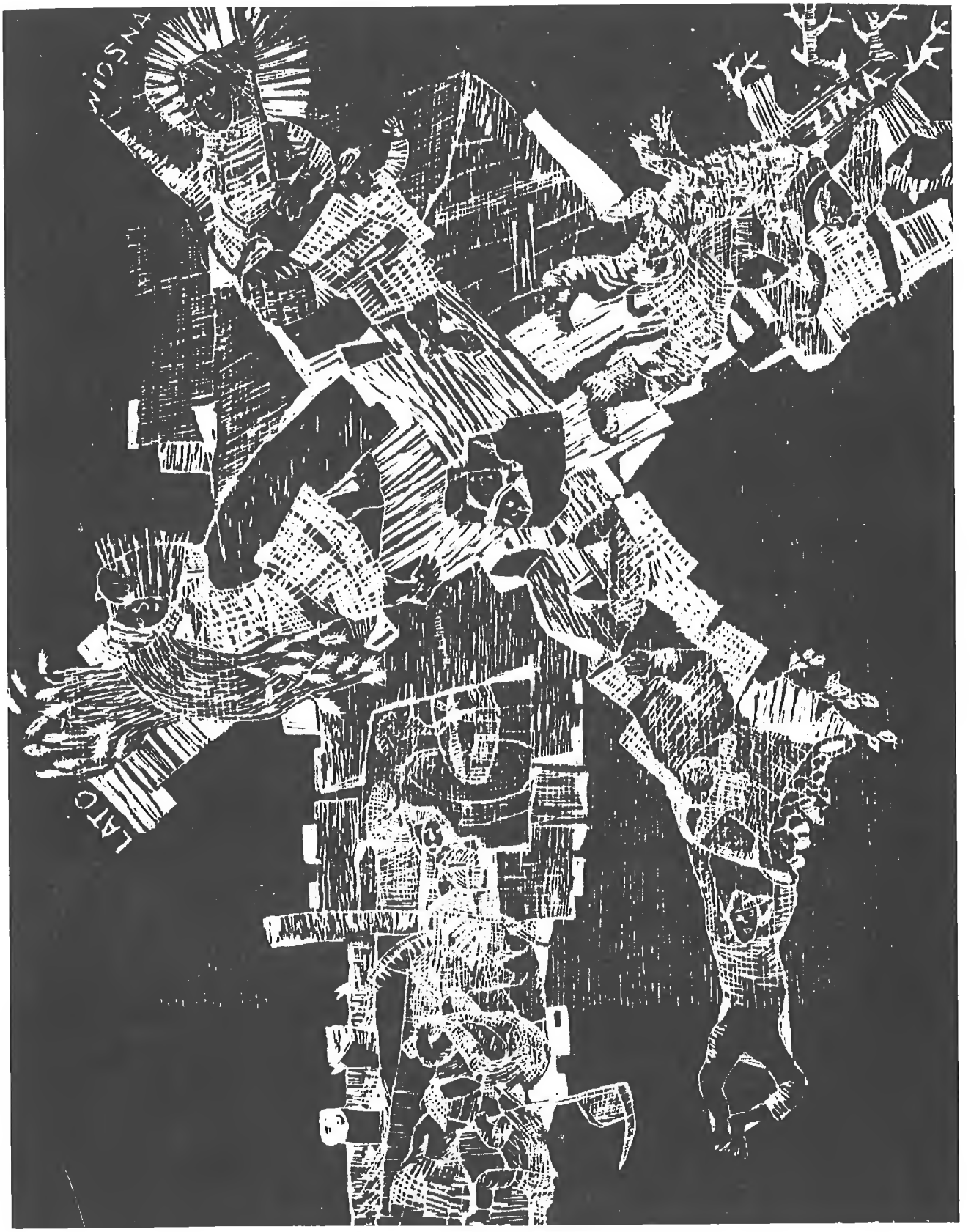
*Przez pierwszy rok pobytu w gimnazjum mieszkałem w bursie, potem jednak rodzice doszli do wniosku, że nie mogą pokryć takiego wydatku i przez następnych kilka lat dojeżdżałem do Cieszyna. O ile pamiętam, pociąg wyjeżdżał z Ustronia o 6.30, w Goleszowie trzeba było przesiadać się do pociągu idącego z Bielska przez Skoczów do Cieszyna. Jazda z Ustronia do Goleszowa trwała sześć do siedmiu minut, między Goleszowem a Cieszynem były trzy przystanki i w Cieszynie wysiadaliśmy o 7.20, a zatem do gmachu gimnazjum wchodziliśmy około 7.30 ku wielkiemu utrapieniu woźnych. Dojeżdżała nas bowiem duża gromada z okolicznych wsi i w pociągach był zawsze specjalny wagon „dla młodzieży szkolnej". Z Cieszyna pociąg odchodził o 15.30 i w Ustroniu wysiadałem o 16.15. Z domu do dworca szedłem w sprzyjających warunkach około 30 minut, a w zimie, po nocnych zawiejach, znacznie dłużej. Pociągi w tych czasach chodziły punktualnie.*

*Czym były dla mnie te lata dojeżdżania? Zawdzięczam im wiele. Nauczyłem się i przyzwyczaiłem do wczesnego wstawania. Z domu wychodziłem o 6, a gdy leżał głęboki śnieg i o tej porze ścieżki nie były przetarte, to o piętnaście czy dwadzieścia minut wcześniej. Wstawałem więc o 5.30 i to przyzwyczajenie pozostało na całe życie, dzięki czemu większość prac pisarskich wykonywałem wczesnym ranem, przed pójściem „do pracy". Odrobiwszy wczesnym rankiem pisarską „normę", mogłem sobie spokojnie „urzędować", gdyż dzień nie mógł już zostać zmarnowany. Codzienne chodzenie do dworca i z powrotem pozwalało na utrzymanie „bieżącego" kontaktu z przyrodą – mogłem obserwować każdy przejaw każdej pory roku, oglądać cykle życia drzew i ptaków, cykle wzbierania i wysychania Gościradowca i Wisły, i cykle pracy ludzi w polu.*

*Nauczyłem się odrabiania lekcji w poczekalniach i pociągu, gdyż w domu od wiosny do jesieni trzeba było pomagać w gospodarstwie, a jeżeli odrabiałem lekcje, to w kuchni, przy lampie naftowej stojącej na odwróconym garnku na stole, gdzie skupiało się całe życie gospodarstwa. Wytworzyłem więc w sobie umiejętność skupienia się i do dziś mogę pracować w każdym gwarze, mogę pisać swoje teksty na zebraniach, w każdych warunkach. W czasie wojennych robót przymusowych stojąc przy tokarce trzymałem lewą rękę na „sztandze", do której był wmontowany nóż, wykrawający wewnątrz długi „stator" elektrycznego motoru, kontrolując jego pracę, a w prawej ręce trzymałem ołówek i pisałem to, co miałem wtedy do napisania. Tę podzielność uwagi i możliwość skupienia też sobie wypracowałem w latach dojeżdżania.*

*Nauczyłem się traktować trudności jak rzecz naturalną, z którą się trzeba rozprawić. Nie była to moja postawa indywidualna. Cała gromada moich kolegów dojeżdżających z okolicznych wsi do szkół w Cieszynie i Bielsku traktowała tę postawę jako oczywistą. Byliśmy przecież wybrańcami losu – „chodziliśmy do szkół". Te szkoły to dwa gimnazja, szkoła handlowa, szkoła wydziałowa w Cieszynie (była też Wyższa Szkoła Rolnicza, ale z „akademikami" nie utrzymywaliśmy żadnych kontaktów) i wszystkie one miały stosunkowo wysoki odsetek dzieci chłopskich.*

*Dojeżdżałem przez cztery lata, a w ostatnim roku, maturalnym, zamieszkałem znowu w Cieszynie, na prywatnej stancji, dzięki pomocy szwagra. Gdy zamknę oczy, widzę znowu Cieszyn, domki, stacyjki, bażanty, krzaki, dolinę Bobrówki, wzdłuż której pociąg jechał od Bażanowic (gdzie była hodowla bażantów) do Cieszyna.* ■


WIOSNA
ZIMA
LATO

## ZAMYŚLENIA Z KLIMCZOKA

*1*

*Który znasz mnie lepiej niż wszystkie konsylia*
*Boże niewidoczny z miejskiego osiedla*
*w chaosie i zgiełku daj do jutra wytrwać*
*gdy się wspinam codziennie na groźny szczyt*
*wiersza.*

*Nad zamyśleniem lasów zamyśleniem groni*
*Ty czuwający w szałasie przestworzy*
*całą wieczność na kromki chwil kroisz*
*bym mógł po ludzku swój chleb życia spożyć.*

*2*

*Beskid nas uczy wciąż chlebowych lekcji*
*choć dziś niemodne jest to nauczanie*
*wśród tylu odmian i mód europejskich*
*my spójrzmy w Beskid jak w święty*
*chleb – amen.*

*Tu zagubieni w przedświtach, zaraniach*
*wpisani w zielony Beskidu krwioobieg*
*Ile nas jest w nas samych? Ile z tkanki*
*bożej*
*pytamy wciąż wołając o dar*
*rozróżniania.*

*3*

*Ta przynależność do wszystkiego wokół*
*do pracy do weekendów do chorych i zdrowych*
*do spółek związków i śmiesznych poglądów*
*w ramach pokoleń i umów zbiorowych*

*Ta przynależność boli wszystkich przecież*
*szukających prawdy ukrytej dla oczu*
*Z tym bólem tak mi ciężko dzisiaj na Klimczoku*
*jak choremu na serce gdy czeka na przeszczep.*

## ZIELONY INICJAŁ

*Beskidzkie jest tło tego wiersza*
*wiosny auto zielone aż huczy*
*I taka jasność na przełęczach*
*że można od nich nadziei się uczyć.*

*Jak majster najlepszy znający szczegóły*
*z których robi się dzieło czysto materialne*
*Jak inżynier wpatrzony w wielkie wehikuły*
*chory na nowe wizje industrialne*

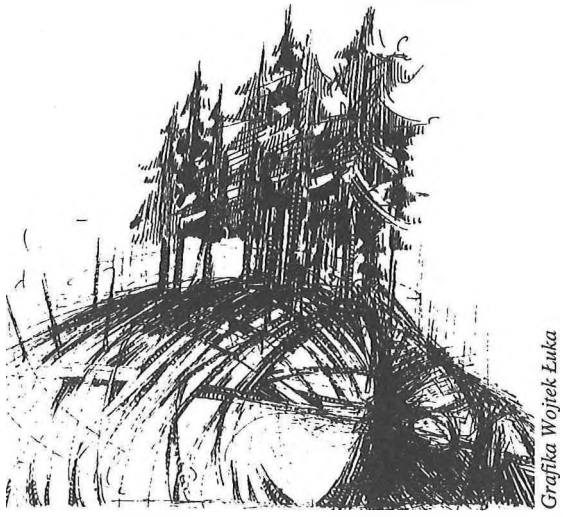
*tak poeta w Beskidach – skrzydlaty*
*śrubokręt*
*ma po to by skojarzeń rozsypane śrubki*
*łączyć dosłownie w jednorodny konkret*
*wierząc nie tylko w ludzi, ale w krasnoludki.*

* * *

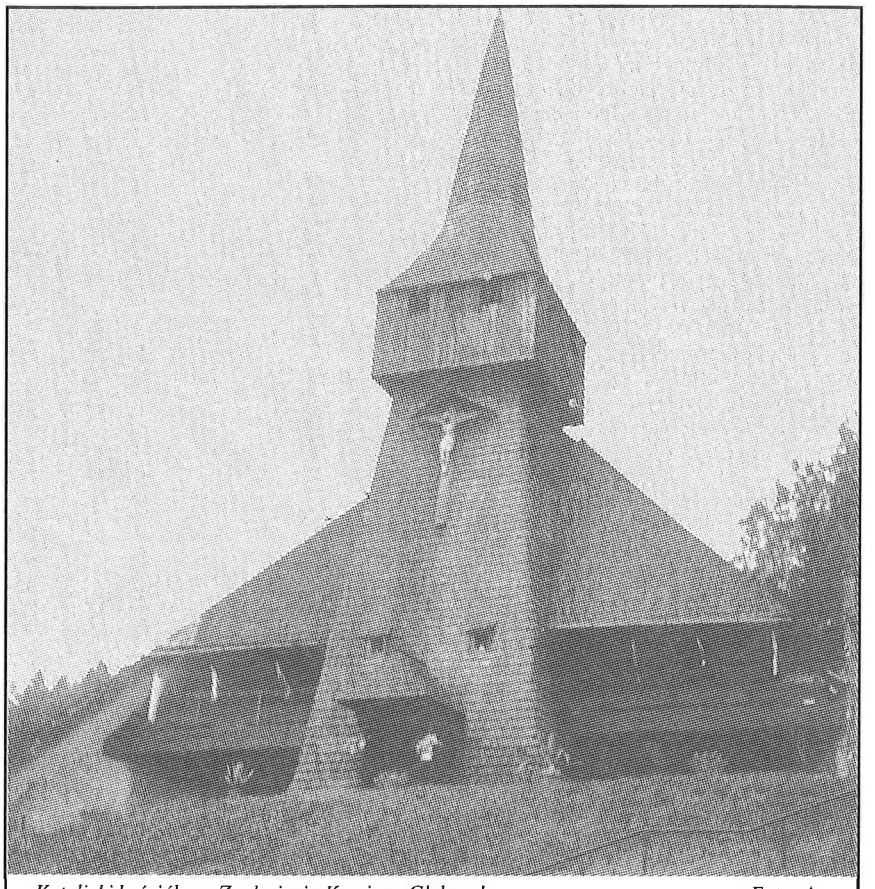
*Dziś beskidzkiemu panu Bogu*
*co okiem jodły mierzy moją słabość*
*spowiadam się z pragnienia grzesznego*
*i głodu*
*piękna, które chwytam w słów niedoskonałość*

*Spowiadam się z wszystkich uniesień*
*młodzieńczych*
*kradzionych jabłek oraz z pierwszej wódki*
*po której jak Ikar włamałem się w błękit*
*na oczach przerażonej pani z podstawówki.*

*Beskidzki Boże zielonego lata*
*przed którym rozliczam się z młodości głupiej*
*Któryś mnie wmontował w ramy tego świata*
*czemu pogodnie przemijać nie umiem.*



Grafika Wojtek Łuka



*Katolicki kościół pw. Znalezienia Krzyża w Głębcach.* *Foto: Autor*

# Bliżej nieba

KRZYSZTOF KARWAT

**Zatrzymuję się przy najbliższym sklepie spożywczym, bo szybko orientuję się, że jeśli nie zasięgnę języka, to przyjdzie mi wspinać się aż na Kubalonkę, i wpadającw serpentyny, mogę nie zauważyć zborów, ukrytych wśródgóralskich domostw.**

Młoda kobieta pewnym krokiem sunie lewą stroną szosy. Może by zagadać, bo już przecież zdążyłem się przekonać, że górali śląskich pytania o Pana Boga i jego rozmodlonych adoratorów wcale nie peszą? Bezbłędnie wskazują palcem chałupy pastorów, przełożonych, bądź opiekunów zborów. Ich twarze nic nie wyrażają. Ani zdziwienia, ani zdziwienia, ani zakłopotania.

– Przepraszam, szukam zboru zielonoświątkowców. Czy to daleko?

– A z kim pan chce? – zza szyby samochodu nie wyczuwam nieufności.

– Jestem dziennikarzem. Chciałem porozmawiać... z pastorem. Wie pani, z kimś, kto opiekuje się tutejszym zborem...

– To mój teść. Niech pan otworzy drzwi, podjedziemy.

Parę chwil, dwa zakręty i już jesteśmy na miejscu.

– Ależ miałem szczęście – wyznaję z ulgą, bo w tym upale tęsknię już za kawałkiem cienia.

– Szczęście? A może to kierownictwo Boże?

– Tak pani myśli – udaję, że ta uwaga w ogóle mnie nie speszyła.

– Trzeba wierzyć w kierownictwo Boże – wysiadamy razem, ale dziewczyna już nie wchodzi na podwórko. Na ławeczce, pod rozłożystym drzewem, siedzi dwóch mężczyzn. Jak się okaże, jeden jest aktualnym pastorem, drugi – tę wybieralną funkcję pełnił tu wcześniej.

I to nie jest szczęście, że mam ich tu obu? Kierownictwa Bożego też wykluczyć się nie da. Góry może tu i nie najwyższe, ale stąd jakby bliżej do nieba. Rozmowa o Panu Bogu (i z Panem Bogiem) w tym akurat miejscu nie jest czymś niezwykłym czy niecodziennym. Widać, klimat tu dobry nie tylko dla ciała, ale i ducha. I nie ja pierwszy z pewnym zdumieniem prawdę tę odkrywam.

Pamiętam słowa Andrzeja Podżorskiego, etnografa-amatora, który uporem i pracą doszedł do znaczących osiągnięć badawczych, a dziś patronuje Muzeum Beskidzkiemu w Wiśle, który już w okresie międzywojennym gorąco zachwalał uroki rodzinnych zakątków Beskidu i zwracał uwagę właśnie na ów klimat duchowy: „Ludność Wisły – pisał – osiadła na jej uroczych stokach, posiada dużą wartość dla badaczy i psychologów, jako żywy dowód, że piękno otoczenia wpływa dodatnio na piękno duszy i na charakter ludzi. A nadto, że tutaj jakoś bliżej jest się nieba i Boga, co też i serce górala odczuwa...".

★★★

Polski ewangelicyzm XVI stulecia był nazywany „wiarą szlachecką". I rzeczywiście, był ruchem religijnym, ale także intelektualnym i jako taki nie zdołał się przebić do świadomości chłopskich mas. W tym nawet upatruje się przyczyn jego późniejszego osłabienia i sukcesów Kontrreformacji.

Wyjątkiem był Śląsk Cieszyński, a powstająca wtedy Wisła – osobliwością w ramach owego wyjątku. Tutaj ewangelicyzm miał charakter wybitnie chłopski, ludowy. Katolikami, nielicznymi zresztą, mogli być najwyżej austriaccy urzędnicy bądź służące czy parobcy, przybywający tu z drugiej strony gór, choćby z okolic Istebnej, Koniakowa czy jeszcze częściej – z Żywiecczyzny.

Te zadziwiające podziały etniczno-narodowo-religijne, ugruntowane społecznym układem hierarchicznym, sprawiły, że ewangelicyzm silnie się tu zakorzenił, a późniejsze prześladowania religijne, zadekretowane w roku 1629 przez cesarza Ferdynanda II, który wydał tzw. edykt restytucyjny, nakazujący „przywrócenie stanu rzeczy sprzed 1552 roku, oddanie katolikom kościołów i dóbr kościelnych będących w rękach ewangelickich, i pozwalający władzom katolickim w swym kraju wytępić protestantyzm", jedynie wzmocniły tutejszy lud i uczyniły go – jak mówi znane porzekadło – „twardym jak luterska wiara".

Dawnych „panocków" z Cieszyna, Wiednia czy Lwowa zastąpili później „odkrywający" Wisłę turyści i kuracjusze. To oni przywiedli rzymskie nauki, odbierane tu jako coś obcego, nieledwie wrogiego.

W okresie międzywojennym jeszcze się tego nie czuło. W polityce wojewody śląskiego Michała Grażyńskiego, który szczególnie hołubił Wisłę i chciał, by rychło stała się konkurencją dla Zakopanego, upatrywano szansę na rozwój i bogactwo. No, i nie pomylono się. Szanowano też marszałka Piłsudskiego, może również dlatego, że był tolerancyjny wobec mniejszości religijnych i sam przecież zmieniał wiarę.

Wczasowicze przyjeżdżali, zostawiali pieniądze, i na ogół wyjeżdżali tam, skąd przybyli. W Malince na przykład — jak usłyszałem od miejscowych górali — przed wojną mieszkała tylko jedna katolicka rodzina. Dopiero w latach 60. i późniejszych proporcje zaczęły się zmieniać. Domki pobudowali nowobogaccy, głównie z przemysłowej części Górnego Śląska. Niektórzy z nich osiedli tu na stałe. Dołączyli do nich technokraci i urzędnicy partyjni wyższego i średniego szczebla. Ewangelicyzmowi, choć do dzisiaj jest wyznaniem wiodącym, zaczął wyrastać poważny konkurent. Zresztą nie jedyny. W urzędzie gminnym zarejestrowano 11 Kościołów, działających w sposób zorganizowany na terenie miasta. Nie są to jednak pewnie wszystkie grupy religijne, gdyż dochodzi wśród nich do podziałów, inne zaś — dotkrynalnie rezygnują z rejestracji i — jak się słyszy — kościelnej biurokracji. Traktowane łącznie, stanowią kilkanaście procent stałych mieszkańców Wisły, a więc mniej więcej tyle, ilu jest katolików.

Tak, to kolejna osobliwość Wisły. Takich proporcji i relacji nigdzie przecież w Polsce nie znajdziemy. Muszą być tego jakieś przyczyny. Na Boga, nie wszystko da się wytłumaczyć bliskością nieba!...

— Fenomen? Tak... Ale można go racjonalnie wyjaśnić — twierdzi Adam Ples, opiekujący się okazałą kaplicą Adwentystów Dnia Siódmego. — Na tych ziemiach w każdej chałupie była i jest Biblia. Na niej wychowały się kolejne pokolenia. Każde dziecko wie, co to jest Słowo Boże. W wielu domach przechowywane są śpiewniki, kancjonały. Ta tradycja przetrwała do dziś. Niech pan o Biblię zapyta w innych regionach kraju. Parę razy w takich przypadkach ludzie pokazywali mi katechizm... Tu zawsze było inaczej.

★★★

Cuius regio, eius religio.... Czy jeszcze gdzieś w naszym kraju prawda ta ma głębsze zastosowanie? Książę Wacław Adam (1545—1579) był gorącym zwolennikiem nauk Marcina Lutra. Jego poddani w ogromnej większości przyjęli wiarę swego pana. Wkrótce zaś do pierwszych osadników wsi „na Wisłach" dołączyli uciekinierzy z innych części Śląska Cieszyńskiego. Góry dawały schronienie, dawały wolność religijną a także majątkową, gdyż tutejszy ludek aż do roku 1643 nie płacił należnych książęcemu Cieszynowi danin. W czasach zaś prześladowań i niszczenia zborów ewangelicy spotykali się w domach, a nabożeństwa odprawiali w grotach i na górskich polanach. Do dziś zachował się na Równicy wielki głaz, przy którym, jak głosi tradycja, spotykali się zwolennicy nauki Lutra i odprawiali tajne nabożeństwa. To są fakty historyczne, przecież jednak wokół nich toczy się do dziś spór, którego końca nie widać.

Tylko z pozoru jest to polemika wyłącznie naukowa, historyczna. Gdzieś w jej tle czai się potrzeba dobitnego potwierdzenia, że to „my byliśmy tu pierwsi". Spór o metrykę Wisły, o to, czy jej rodowód sięga średniowiecza czy jednak dopiero schyłku XVI wieku, jest na co dzień ledwie wyczuwalny, ale przecież istnieje! Wystarczy na przykład wejść do kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, by przeczytać o dokumencie z roku 1223 wrocławskiego biskupa Wawrzyńca, wymieniającego Wisłę jako wieś należącą do klasztoru norbertanek z Rybnika (później z Czarnowąsów). Katolicy wierzą więc, że to oni byli tu jeszcze przed Reformacją i oni wznieśli pierwszy drewniany kościółek, na którego jednej z belek wyryta była magiczna data: 1444. Belka ta miała znaleźć się w późniejszej, nie istniejącej już świątyni ewangelickiej, i ponoć data ciągle była czytelna, aż do początków XIX wieku.

Ewangelicy twierdzą, że to nie może być prawda a nieporozumienie musiało polegać na błędnym (o 200 lat) odczytaniu daty. Legendarna belka zresztą nie zachowała się i nie dotarło nigdy do pisanych świadectw czy dokumentów nic na jej temat.

Jak się wydaje, siła argumentów historycznych (potwierdzonych przez profesjonalnych badaczy) jest po stronie ewangelików, wykluczających średniowieczny rodowód miejscowości. Przyjęło się więc oficjalnie, że Wisła ma lat około 400. Z tej okazji tutejszy magistrat wydał nawet okolicznościową książkę, będącą plonem sesji naukowej.

— Wygodnie tak mówić — mój katolicki rozmówca wierzy w swoje słowa, więc i emocji w nich nie ma. — Ewangelicy mogą znów powtarzać, że oni są tu gospodarzami, a my — intruzami.

★★★

W Muzeum Beskidzkim, gdzie spotykam etnografów Małgorzatę Kiereś i Macieja Oczkowskiego, który nie tylko jest szefem tej zasłużonej instytucji, ale także wiceburmistrzem Wisły, przestrzegają mnie przed jednowymiarowym spojrzeniem na kwestie wyznaniowe. W ogóle, ludzie których spotykam w Wiśle, trochę się boją dziennikarzy, bo zachowała się pamięć o antagonizujących ich zdaniem artykułach w miejscowej prasie.

— Bywało, że szukano tanich sensacji, zwłaszcza w okresach kampanii wyborczych. Do Sejmu, samorządowych czy prezydenckich. To, że na przykład tutejsza rada w 90 proc. składa się z ewangelików, nie uzasadnia tezy o groźbie „polskiej Jugosławii". A i tak pisano.

Małgorzata Kiereś potwierdza jednak, że bywa, iż przynależność do danego wyznania ma wpływ na wyniki głosowań. Badania, które przeprowadziła, wykazały to, czego można się było spodziewać. Ewangelicy w większości głosowali w drugiej turze wyborów prezydenckich na Kwaśniewskiego, katolicy — na Wałęsę.

— To jasne, że Matka Boska w klapie prezydenta Wałęsy protestantów denerwowała — kwituje ks. dziekan Rudolf Wojnar z parafii Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, dodając: — A przecież i oni nie zaprzeczają, że Maryja była matką Chrystusa.

Nieco inaczej rzecz komentuje ks. Leszek Czyż z parafii ewangelickiej w Wiśle-Malince.

— To było — twierdzi — głosowanie raczej przeciw panu Wałęsie niż za panem Kwaśniewskim. W czasie wyborów samorządowych wielu katolików oddało głosy na ewangelików. Liczyli się więc ludzie, ich fachowość i kompetencje, a nie wyznanie.

— Pan się dziwi? — słyszę w jednej z grup mniejszościowych. — Protestanci bali się państwa wyznaniowego, w którym byliby obywatelami drugiej kategorii.

— A były takie waszym zdaniem zagrożenia? — nie daję za wygraną.

— Tylko się o nich mówiło — ton jest nagle wyraźnie pojednawczy. — Polityka aż tak bardzo ludzi nie interesuje.

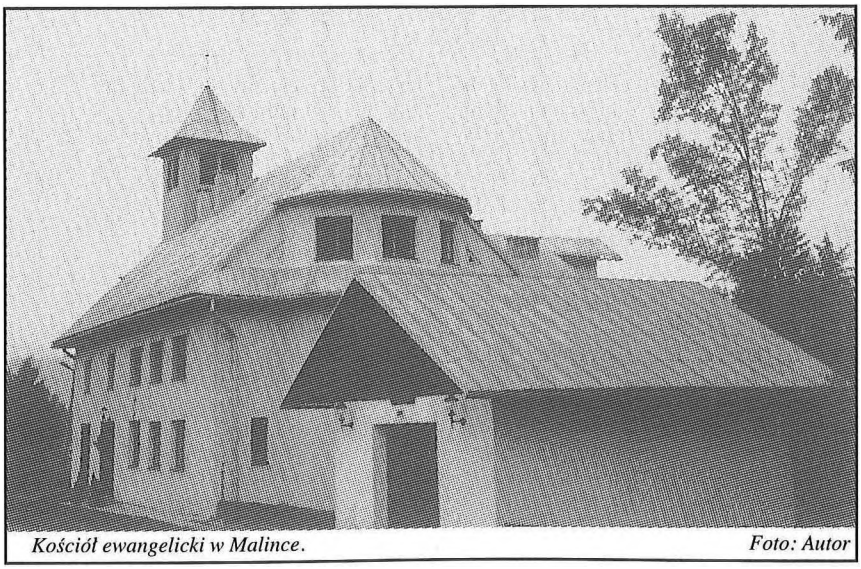
I to ostatnie zdanie potwierdza wiarygodność obserwacji etnograficznych Małgorzaty Kiereś, która podkreśliła, że choć sama pochodzi z Istebnej, to jednak dobrze poznała różne środowiska wiślańskie i z niepokojem obserwuje pewną obojętność i pasywność, która cechuje przede wszystkim te najmniejsze grupy wyznaniowe — zdawać by się mogło — lekceważące życie publiczne.

— To widać zwłaszcza w czasie świąt narodowych — dodaje. — Jak niewiele domów jest ozdobionych flagami, a przecież przed wojną było zupełnie inaczej, zaś polski patriotyzm był tu na każdym kroku manifestowany. Władza ceniła sobie to przywiązanie wiślan do narodowych symboli. Folklor przeplatał się z wartościami religijnymi, ale także patriotycznymi. Wydaje mi się, że związków między kulturą ludową a sferą sacrum jest teraz mniej, a już w ogóle ich nie ma w przypadku tych licznych kościołów i zborów mniejszościowych. Folklor został z nich wyeliminowany.

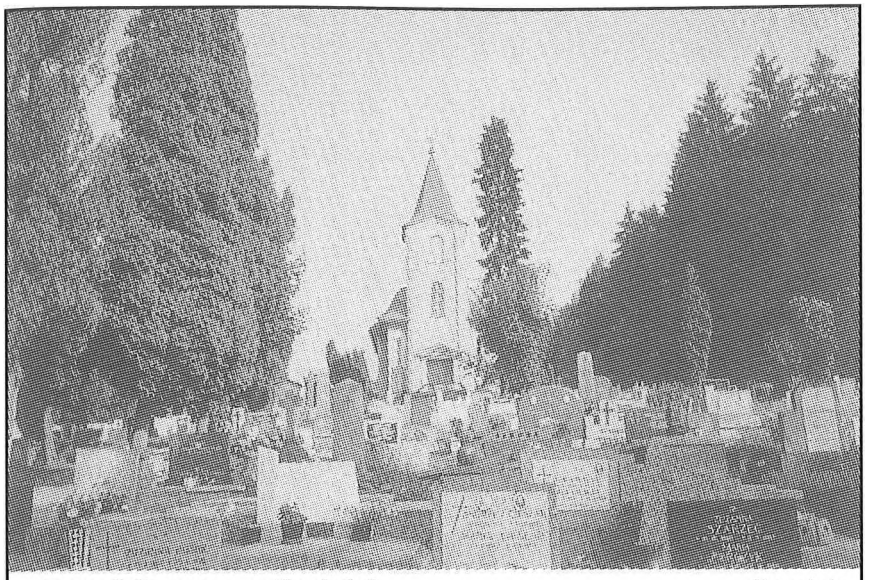
★★★

— Innowiercy? Użył pan określenia, które nie jest...

Czuję, że palnąłem gafę i to niemal na samym początku rozmowy, a przyjęli mnie tu tak ciepło i ufnie. Szybko staram się naprawić swój błąd.



*Kościół ewangelicki w Malince.* *Foto: Autor*



*Ewangelicki cmentarz „na Groniczku".* *Foto: Autor*

— Przepraszam, wiem, że to słowo może mieć w waszym odczuciu pejoratywne zabarwienie. Nie miałem złych intencji. Powiedzmy więc inaczej: mniejszość wyznaniowa. I to o ponad 80-letniej w Wiśle tradycji — dorzucam.

— O, teraz się zgadza. Z naszej perspektywy przecież moglibyśmy również o rzymskich katolikach mówić, że są innowiercami, bo inaczej wierzą niż my.

Staram się unikać w rozmowie z adwentystami kwestii doktrynalnych. Tę samą zasadę przyjmuję w kontaktach z zielonoświątkowcami i wolnymi chrześcijanami. Musi mi wystarczyć świadomość, że mamy tu do czynienia z rodziną kościołów protestanckich, tolerancyjnych wobec siebie, a przynajmniej — nie deklarujących otwartej rywalizacji, tym bardziej że w niektórych przypadkach różnice doktrynalne są niewielkie. Wszyscy ci ludzie zaczynają i kończą rozmowy od jednego słowa: Biblia. Ona zawsze, wręcz fizycznie, obecna była w ich życiu. Dlatego, co nie powinno już dziwić, mniejszości wyznaniowe zasilają najczęściej byli ewangelicy augsburscy. Ale nie brakuje także katolików i niegdysiejszych ateuszy. Tych ostatnich jest jednak najmniej. Także w stosunku do całej społeczności Wisły.

W Wiśle-Gościejowie odwiedzam Janusza Machnickiego i jego żonę. Rozmawiamy na tarasie pięknej posiadłości, która okazuje się nie być własnością prywatną, lecz Kościoła Wolnych Chrześcijan, notabene zrodzonego właśnie na tych ziemiach. W ogrodzie wybetonowany okrąg. Wokół metalowe słupki. To miejsce pod duży namiot. Za kilka dni przyjadą tu dzieci. Na wypoczynek i ewangelizację.

— Pochodzimy z centralnej Polski, tu pracujemy od kilkunastu lat. Pamiętamy, że na początku przeżyliśmy szok. Ludzie są tu niezwykli. Dbają o czystość, o porządek wokół domostw. Nadstawialiśmy nieraz ucha, by posłuchać jak się do siebie zwracają. Naprawdę, wysoka kultura, choć to przecież prości ludzie. Reformacja przeorała świadomość, ustanowiła jasne i surowe zasady życia. I nigdy nie spotkaliśmy się z przejawami wrogości, niechęci. Mamy bardzo dobre kontakty z ewangelicką większością. Nie chcemy na siłę nikogo nawracać. Nowonarodzenie trzeba samemu świadomie przeżyć.

Podobny ton pojawi się w rozmowie z zielonoświątkowcami i bliskimi im, zaś w latach komunizmu z konieczności zrzeszonymi w jednym Zjednoczonym Kościele Ewangelicznym, stanowczymi chrześcijanami. Ci ostatni z pewnego punktu widzenia są grupą najbardziej interesującą.

— Nie jestem pastorem, bo u nas pastorów nie ma — wyjaśnia Michał Czyż, przełożony zboru. Po rozpadzie Zjednoczonego Kościoła została tylko nasza grupa w Malince. Jedyna w kraju. Kilkadziesiąt rodzin. Utrzymujemy kontakty głównie z Norwegią i Niemcami. Gdyby nie pewna konieczność rejestracji i opracowania statutu, to pewnie zrezygnowalibyśmy z tego przydomka: „stanowczy", choć ma już 80-letnią historię. Po prostu jesteśmy ludźmi wierzącymi, braćmi i siostrami. Gdy ktoś chce przyjść do nas na nabożeństwo, oczywiście nie wzbraniamy. Jeśli chce odejść — też nie. Nie ma żadnej hierarchii, spisów członków, żadnej buchalterii. Bogu nie jest to potrzebne. Jesteśmy społecznością duchową, a nie kościelną.

Wszyscy ci neoprotestanci będą kładli nacisk na świadome uczestnictwo we wspólnocie religijnej. Nie można być dobrym chrześcijaninem tylko poprzez sam fakt urodzenia się w tej a nie innej rodzinie. Ta uwaga zawrze brzmi w ustach jak delikatny przytyk do pewnej normy, obowiązującej w Kościele Rzymskokatolickim. Ale wyraźnego tonu polemicznego nie słyszę. Inna rzecz, że gdy pytam o rodzinne związki i tradycje, to jakże często się okazuje, że i w tych kilkudziesięcio-, kilkusetosobowych grupach ważną rolę wypełnia „dziedziczenie" religii. Wielu „funkcyjnych" w tutejszych zborach mniejszościowych mówi o swych matkach czy ojcach jako o członkach czy wręcz pionierach poszczególnych ruchów. A dzieci? Mają same swobodnie wybierać. No, i wybierają najczęściej właśnie wiarę ojców...

Zupełną osobliwością, zwłaszcza w Malince i Czarnym, są grupki biblijne, które pozostając na ogół w łonie Kościoła Ewangelicko-augsburskiego, uczestnicząc w jego życiu, niejako dodatkowo spotykają się w prywatnych domach, modlą się i czytają Pismo Święte. Kiedy dopytuję się o ich status, o zasady działania, o motywacje, słyszę zawsze to samo: — A czy w Kościele Katolickim nie ma podobnych tendencji odśrodkowych? A czym jest ruch oazowy? Czym jest fenomen charyzmatyków? Rzym toleruje te zjawiska, bo istnieje realne niebezpieczeństwo, że ludzie ci, szczególnie pobudzeni duchowo, mogliby okazać nieposłuszeństwo i opuścić społeczność katolicką.

Taki niepokój, psychologicznie, jest czy może być uzasadniony. Czy nie dręczy więc także duchownych ewangelickich, bo, by tak rzec, w naturalny sposób, poprzez Biblię i jej studiowanie, to właśnie z grona wyznawców nauki Lutra umyka najwięcej „owieczek".

— W mojej parafii jest pięć takich domów, w których odbywają się spotkania biblijne — przyznaje ks. Leszek Czyż, młody proboszcz z Malinki. — Znam tych ludzi i mam do nich zaufanie, bo wiem kim są i co sobą reprezentują. Dr Luter zalecał takie pogłębione studia biblijne. Nie staramy się więc odciągnąć tych ludzi od podobnych praktyk. Darzę ich szacunkiem. A odejścia? Tak, zdarzają się. Myślę, że każda społeczność religijna odczuwałaby je boleśnie. Katolicy pewnie też. Na tym bardzo zróżnicowanym obszarze nie ma jednak napięć. Mam przyjaciół nie tylko wśród ewangelików. I nie ja jeden. Najpierw trzeba pytać o człowieka, a dopiero potem o to, jak i w co wierzy.

W Malince na lekcje religii prowadzone przez katechetę katolickiego uczęszcza zaledwie 12 dzieci, w zajęciach księdza Czyża — uczestniczy 150. Wybitnie ekspansywni są tu zwłaszcza świadkowie Jehowy, pewnie drugie pod względem ilości członków wyznanie w Malince. Stanowią jednak grupę wyraźnie odrębną. Ktoś nawet dobitnie mi tłumaczy, choć sam reprezentuje mikroskopijną społeczność, że niepodobieństwem jest nazwać ich religię odłamem chrześcijaństwa. To sekta — pada słowo, którego starałem się unikać jak ognia.

Ksiądz Czyż jest ostrożniejszy w opiniach i sądach, choć jak wszyscy wiślańscy protestanci nie ukrywa, że ze świadkami Jehowy kontakt jest najtrudniejszy, a dialog ekumeniczny właściwie niemożliwy.

— A przecież żyjemy obok siebie — podkreśla. — I ich też żadne szykany nie spotykają.

Obok siebie? Ach, w tym przypadku rozumieć to należy dosłownie. Gdyby nie szczególne położenie protestanckiego kościółka, na wzgórzu, za zakrętem bocznej dróżki, to z jego okien byłoby widać jak na wyciągniętej dłoni Salę Królewską, bo tak swe świątynie nazywają świadkowie Jehowy.

— Postawili ją w ciągu miesiąca — usłyszę w Malince kilkakrotnie i jest w tym stwierdzeniu nie skrywany podziw.

★ ★ ★

Przy drodze wiodącej do Głębiec stoją dwa kościoły katolickie. Oba pojawiły się dopiero w latach 80. Drewniany pw. Znalezienia Krzyża, z przeniesioną tu XVI-wieczną wieżą, stanowi parafię, liczącą jednak ledwie 500 dusz. Jeszcze nowszy, w dużej części nie ukończony, jest siedzibą zakonu salezjanów. Własnych parafian nie ma.

— Jak pan widzi, kościół jest łącznikiem między budynkami, z których jeden kupiliśmy, a drugi otrzymali w zapisie od pewnej starszej pani. To pozwoliło wybudować tę świątynię. Ale jeszcze sporo nas pracy czeka. Brakuje pieniędzy. Cóż, mało katolików... — wyjaśnienia o. Bronisława Szymańskiego brzmią jak delikatna obrona przed moimi dociekaniami o przyczynę tak wyraźnej ekspansji Kościoła Katolickiego. — To jest nasza baza. W przyszłości może ośrodek, który przyjmie młodzież. W mszach uczestniczą wczasowicze.

Niewiele dłuższą metrykę ma kościółek Ojców Pasjonatów, wciśnięty między chłopskie zagrody. Stoi niedaleko stąd, w Wiśle-Nowej Osadzie. Poza tym są jeszcze bodaj dwie kaplice. Sporo. Ale też rzeczywiście wczasowiczów, i latem i zimą, przybywa do Wisły tysiące, więcej niż jest stałych mieszkańców miasta.

I pomyśleć, że dopiero w latach 50. pojawiła się w Wiśle samodzielna parafia katolicka. Wcześniej — jej siedziba znajdowała się w odległym Goleszowie. Cóż, proporcje się zmieniły, o czym przekonać się można także na cmentarzu komunalnym. Ewangelicy — mają swoją starą nekropolię „na Groniczku", z piękną kaplicą.

Inni odpowiadają podobną ekspansją. Ruch Stanowczych Chrześcijan w Malince postawił okazały zbór, na uboczu, właściwie już w górach. Trzeba go jeszcze tylko otynkować. Baptyści z Dziechcinki z kolei wystawili ogromną budowlę, która miała pełnić ponadlokalne funkcje. Ale chyba się przeliczyli z siłami. Jakoś od paru lat nie mogą dokończyć inwestycji.

Zielonoświątkowcy z Głębiec z dumą podkreślają, że niebawem wreszcie doczekają się nowego zboru z prawdziwego zdarzenia. Takiego z parkingiem, no bo, wiecie, ludzie, jak przyjadą, to stanąć nie mają gdzie. Plac już jest. Zezwolenie też. Niebawem przystąpią do roboty.

— W czasach komuny mogliśmy tylko korzystać z budynku postawionego na prywatnym gruncie. Nawet by pan nie poznał, że to jest zbór. Nie mogliśmy uzyskać pozwolenia — skarżą się zielonoświątkowcy. — Teraz się zmieniło. W okresie, gdy byliśmy członkiem Zjednoczonego Kościoła Ewangelickiego, mieliśmy 84 zbory w całym kraju. Dzisiaj — prawie 180.

★ ★ ★

Przemierzając rozległą, bo liczącą 110 km kwadratowych Wisłę, ciągle spotykam się z jednym określeniem, które daje wiele do myślenia. Ruch przebudzeniowy. Tym terminem opisuje się historyczny fenomen, jaki miał miejsce w Wiśle i najbliższych okolicach w pierwszej dekadzie naszego stulecia. To właśnie wtedy zaczęły rodzić się niczym grzyby po deszczu nowe ugrupowania religijne. Co najciekawsze, miały i mają nadal lokalny, plebejski koloryt.

Kilkadziesiąt lat później, w okresie międzywojennym, Wisła stała się także Mekką spirytystów, ezoterystów, parapsychologów, badaczy egzotycznych kultur. W tym kontekście zawsze pojawia się nazwisko dr. Juliana Ochorowicza, człowieka-legendy. To właśnie tutaj wychodziły pisma: „Wyzwolenie", „Książnica Wiedzy Duchowej", „Hejnał" czy „Lotos" — organ Towarzystwa Parapsychicznego. Z tego chyba niewiele zostało do dzisiaj. A może się mylę. Tych tropów przecież nie szukałem...

Być może dzisiaj też wolno mówić o ruchu przebudzeniowym wśród chrześcijan wiślańskich. Kończy się XX wiek, a to stanowi jakiś kontekst. Wolność polityczna stała się chlebem powszednim i jakoś nie zdołała wypełnić wszystkich ludzkich tęsknot, marzeń i potrzeb. W Wiśle często usłyszymy o zagrożeniach, jakie niesie współczesna cywilizacja. O nałogach, o grzechach, o ubezwłasnowolnieniu jednostki, która czuje się bezradna i szuka lekarstwa na samotność i pustkę. Szuka Boga. Jakoś z sąsiadami, z krewnymi łatwiej tę drogę pokonywać. Wspólnota religijno-etniczna daje pewność, że wystarczy być razem, wgłębić się w Biblię, by odczuć, że niebo nad Wisłą łaskawie dotyka grzbietów gór. ■

# *Śniadanie*

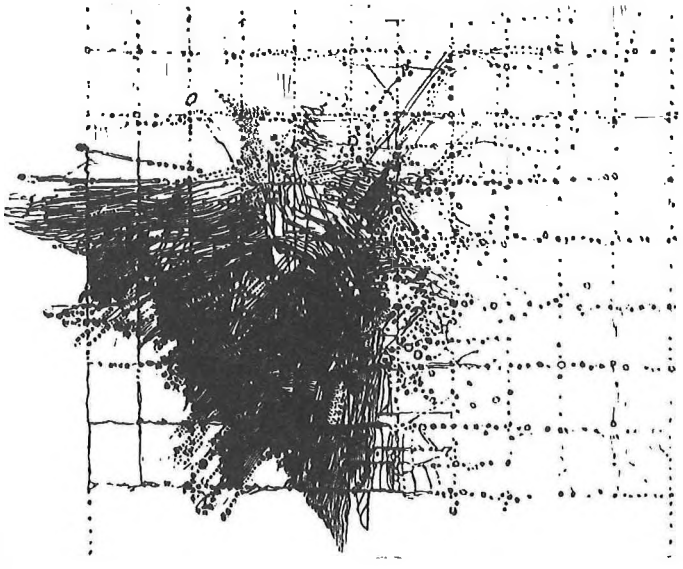
*mały, lśniący, złocisty*
*sforsował szybę i rozsunięte firanki*
*chciał usiąść mi na kolanach*
*lecz*
*spłoszony ruchem chusteczki*
*okrążył wazon*
*próbował przejrzeć się w połyskliwej czerni*
*wypełniającej filiżankę*
*niepewnie*
*przysiadł na ramie*
*po gładkiej tafli zbiegł w dół*

*pod lustrem*
*leżały długie, czarne, sztywne rękawiczki*
*i*
*bat*

* * *

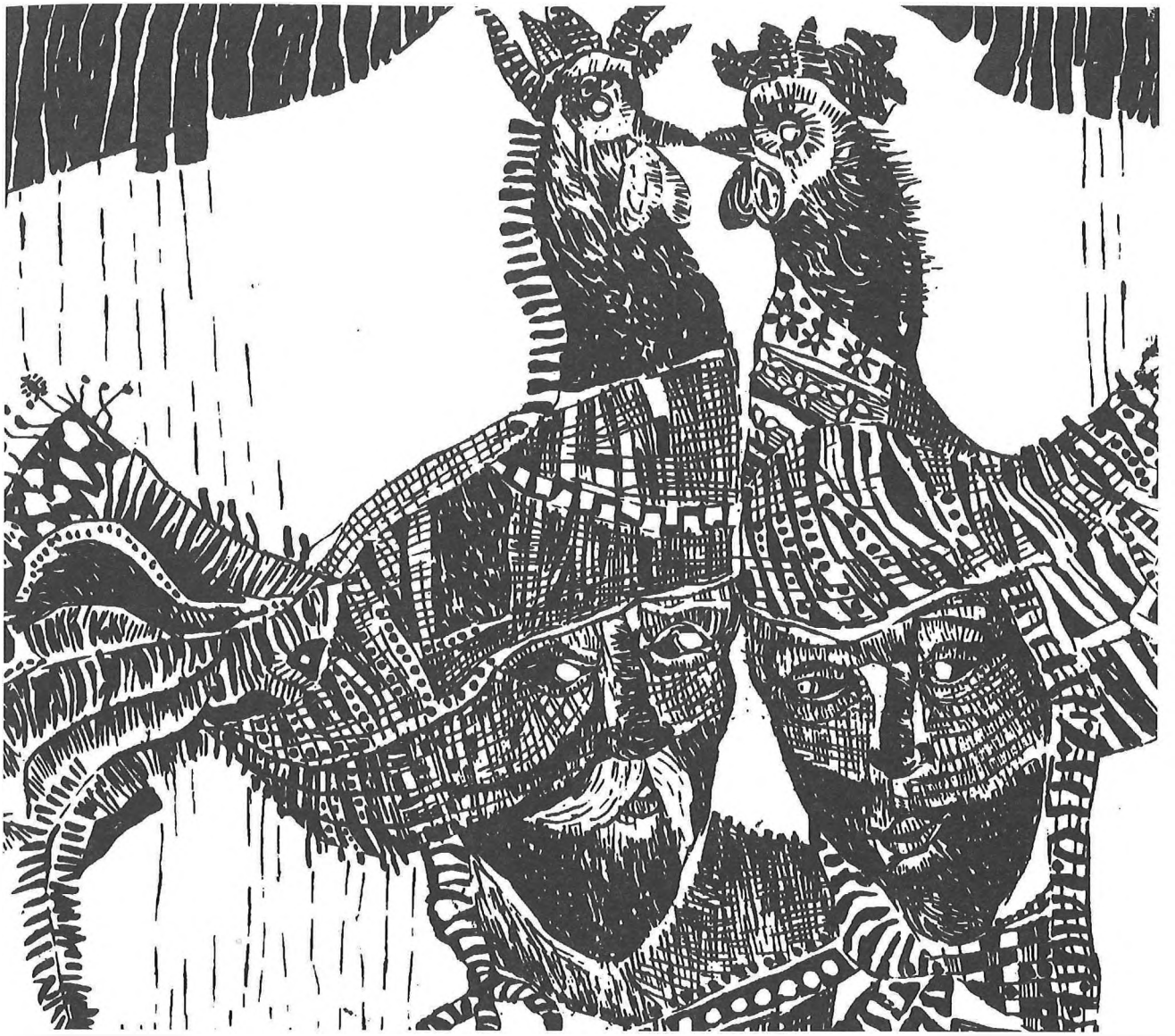
*dobre*
*mądre*
*czułe*
*ciche*
*wszystko w lot pojmujące i zawsze*
*gotowe do odpowiedzi*
*rozsądne*
*cierpliwe*
*wybaczające wiele*
*takie właśnie jest*
*moje*
*chętne ciało*

*prócz niego jestem jeszcze*
*ja*
*ale to już zupełnie inna historia*



*Linoryt Wojtek Łuka*

KATARZYNA MŁYNARCZYK



„GOSPODARZE" IV

STEFAN SUBERLAK, 1973

# *MODLITWA LASU POWSTAJE Z PODSZYCIA*

*Porywy wiatru w liściach skołowały jesień*
*jałowiec toczy granat z kopców*
*kopcą ostatnie lampy jarzębiny*
*idzie w doliny zamaszyście mgła*

*Wieczorem zlecą chmury złotych muszek*
*w Jaworzynce mieszka kłębowisko wiatrów*
*Otwieram zielnik zasuszonych wzruszeń*
*błękitne oczy z oddalenia patrzą*

*Wszystkie potoki przetaczają wartkość*
*i woda niesie szał – beskidzki szalej*
*w sinym pejzażu*
*przestrzeń garby błogosławi*
*w Koniakowie kwitną koronki jak z trawy*
*pozrywane*
*pomysły na piękno*

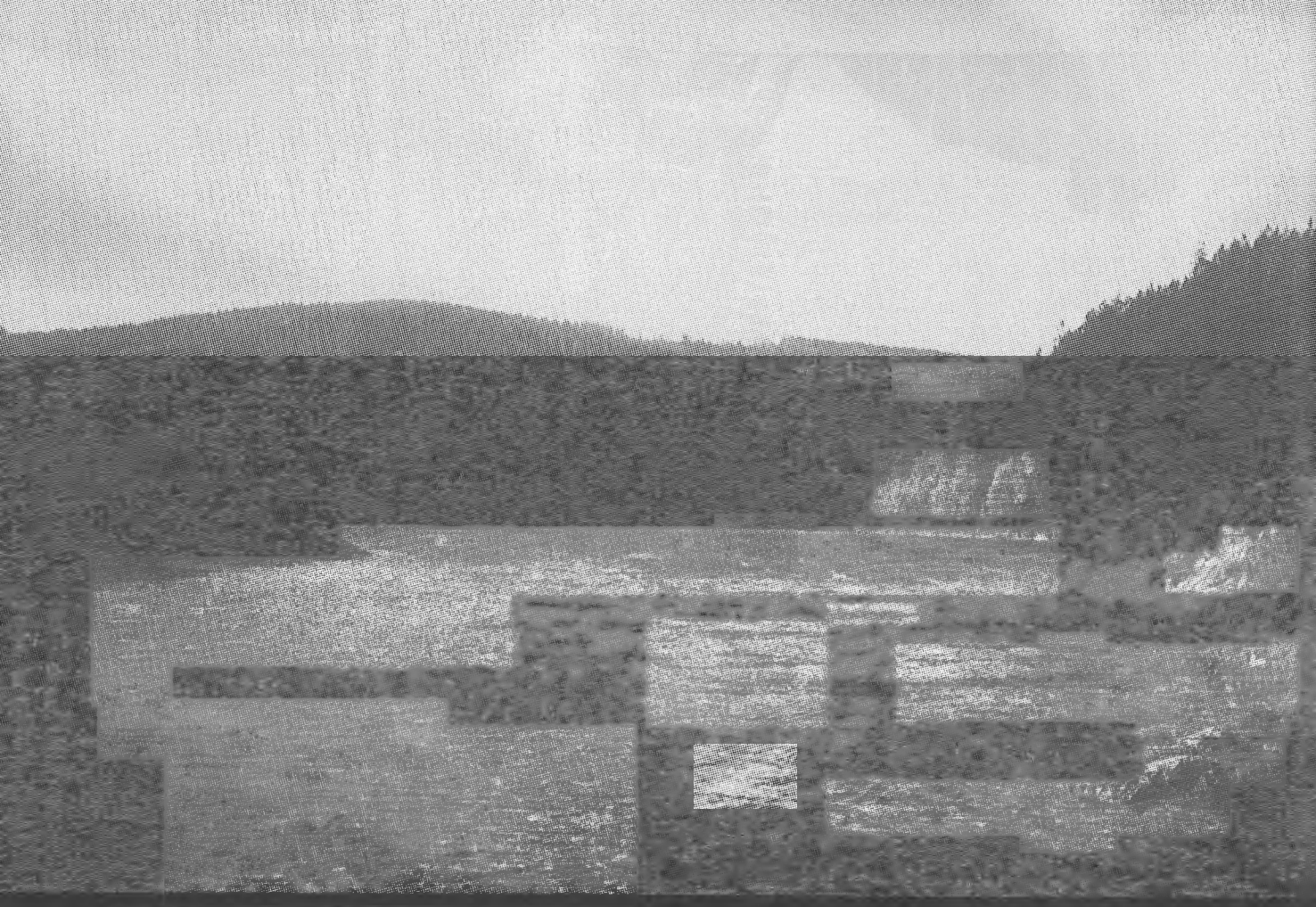
*Wyjmuję z księgi ślad po locie trzmiela*
*rośnie z przeczucia zielony rumianek*
*czas moje włosy pospiesznie wybielał*
*a dzikie wino tynkowało ścianę*

*Smak wyszukany na szczycie podniebienia*
*potraktowały najczulej ule*
*na ciele łąki*
*Idzie człowiek odziany w szczodre światło*
*nie pamięta już drogi pod obwisłą chmurą*

*Z twardej łupiny łuskam mózg orzecha*
*koślawe cienie wychodzą z zielnika*
*na łaskę udziału przed kapliczką czekam*
*i z przydrożnym świątkiem zacząłem przemijać*
*Z kozikiem księżyca w plecach*
*słaniam się w Beskid*
*ten osobisty skrawek słów*
*do wiązania*

(Grand Prix „Laur Mimozy"
Ogólnopolski Konkurs Poezji „Beskidy 95")

WILHELM PRZECZEK



# Rzeka umęczona

JOLANTA TROJANOWSKA

Ponad tysiąc kilometrów liczy rzeka, która stała się zwykłym ściekiem.

Bowiem Wisła tylko w swoim górnym biegu czyli w Bielskiem mieści się w III klasie czystości, choć powinna zasilać zbiornik w Goczałkowicach najlepszymi wodami. O tym, że jest z rzeką źle wiedzą w tym województwie wszyscy – i ci, którzy nad nią żyją, i ci, którzy przyjeżdżają w góry jako turyści. Wisła potrzebuje ludzi, którzy by chronili jej praw.

– *Pomysł obrony Wisły zrodził się kilka lat temu na spotkaniach pozarządowych grup ekologicznych „Kolumna" pod Warszawą* – mówi Wojtek Owczarz z bielskiego klubu Gaja. Klub ten jest twórcą i realizatorem wielkiej ogólnopolskiej kampanii ochrony tej rzeki, przebiegającej pod hasłem „Teraz Wisła". Kampania trwa cały rok, ale szczególne jej nasilenie przypada na czerwiec, kiedy to organizowane jest tak zwane Święto Wisły. Tegoroczne przebiega pod hasłem „Woda źródłem życia".

– *Na początku nasza akcja miała mieć charakter hapeningu: ekolodzy się spotkają i przejdą wzdłuż rzeki. Ale gdy zaczęliśmy się przygotowywać do tego spotkania i poczytaliśmy na temat planów związanych z „przebudową" koryta rzeki, gdy uzmysłowiliśmy sobie co naprawdę dzieje się z tą przecież tak naprawdę ostatnią dziką rzeką na naszym kontynencie to okazało się, że stanęliśmy przed bardzo poważnym problemem ochrony Wisły, a więc poprawy jakości wody i jej racjonalnego wykorzystania, ochrony bioróżnorodności i wartości kulturowych poprzez rozbudzenie świadomości społeczności lokalnych. Dlatego wiedzieliśmy, że do tego, by bronić każdego kilometra tej pięknej i tak bardzo chorej rzeki potrzebujemy wielu przyjaciół, również organizacji i instytucji zainteresowanych jej ochroną. W tej chwili mamy już wielu współpracowników, z którymi utrzymujemy stały kontakt i oni informują nas o tym, co się dzieje na ich terenie. Zaczynając akcję nie bardzo wiedzieliśmy, co może zdziałać tak mała grupa ekologiczna jak nasza, dlatego poprosiliśmy o pomoc najwybitniejszych specjalistów z dziedziny ochrony środowiska. Przyjmowali nasze zaproszenie, przyjeżdżali i pomagali ułożyć plan strategiczny. Naszym głównym założeniem jest zbudowanie kręgu przyjaciół Wisły. Działamy przecież u jej źródeł i powinno nam wszystkim zależeć, by już od nas ta woda spływała czysta. Szukamy sojuszników do jej obrony i żeby to robić dobrze musimy nauczyć ludzi, czym ta rzeka jest.*

*Uzmysłowić rolę, jaką pełni w życiu każdego z nas. Uczulić na to, że należy żądać ochrony wszystkiego, co się z nią wiąże...*

Dlaczego właśnie Wisła jest tak ważna? *Gdyż jest bezcenna dla każdego z nas* – odpowiadają bielscy ekolodzy. Powodów jest bardzo wiele – począwszy od kulturowych, gdyż cały byt naszego narodu, jego kultura i historia były z nią nierozerwalnie związane. Choćby znak Rodła bierze się właśnie z kształtu potoku górskiego czyli Białej Wiselki, a więc początku tej rzeki. Prócz tego Wisła jest najważniejszym korytarzem ekologicznym w Europie – wzdłuż jej biegu migrują zwierzęta, głównie ptaki. Najcenniejszy odcinek znajduje się pomiędzy Sandomierzem i Płockiem, i jemu grozi unicestwienie, gdyż wymyślono stworzenie tam systemu kaskad, które mają spiętrzyć wodę. Pomimo unikalnych walorów przyrodniczych tego terenu, gdzie rzeka tworzy liczne wyspy i piaszczyste łachy, strome skarpy i gdzie żyje ponad 200 gatunków ptaków, istnieje rządowy plan budowy siedmiu stopni wodnych czyli kaskada dolnej Wisły. Przeciwko temu pomysłowi wypowiedziały się najważniejsze instytucje ochrony środowiska w naszym kraju, a więc Państwowa Rada Ochrony Środowiska, Komitet Ochrony Przyrody Polskiej Akademii Nauk, Instytut Ochrony Środowiska, Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody.

- *Natomiast za przegrodzeniem rzeki kaskadami opowiada się lobby hydrotechniczne, którego w ogóle nie interesują opinie ani naukowców, ani tym bardziej ekologów, a samo mówienie o „dzikiej" Wiśle uważają za symbol polskiego zacofania gospodarczego* – mówi Wojtek Owczarz, który uważa, że tworzenie tam na brudnej rzece to bzdura. – *A taka jest prawda – wody mamy mało, a to co płynie to głównie ścieki, a sam pomysł kaskad na Wiśle pomyślany jest zapewne jako propagowanie głośnego niegdyś hasła „Uczyńmy z Wisły symbol rozkwitu socjalistycznej Polski, szlak wiodący w przyszłość"* – mówi z ironią. ..

Praktycznie rzecz biorąc Wisła jest zanieczyszczana tuż za źródłami. Znajdują się one na zboczu Baraniej Góry w ścisłym rezerwacie, który utworzono z myślą o ochronie początków Wisły. Rezerwat jest tylko przy Czarnej Wisełce, bo do źródełka dającego początek Białej prowadzi szlak turystyczny. Prócz tych dwóch oficjalnych początków rzeki tworzą ją na przykład w przypadku Czarnej tak zwane wykapy, gdzie woda sączy się drobnymi stróżkami spod szczytu góry. Po prostu pełno tam małych jezior-ek, a że powstają na czarnej ziemi stąd nazwa Czarna Wisełka. Obie rzeki przeszła wodą aż do źródełka poetka z Wisły, Teresa Pabian, która przez kilkanaście lat pracowała w ośrodku zarybieniowym w Wiśle Czarne. – *Poszłam, żeby zobaczyć i czuć, o czym będę pisać, gdyż filmowcy zamówili u mnie scenariusz do filmu oświatowego o Wiśle. Miała to być wierszowana ballada do muzyki na trzy czwarte taktu. Z Wisłą jako symbolem polskości i rybą w niej żyjącą. Ballada zaczynała się od słów:*

Ma dwa źródła pod Baranią, każdy
Polak tęskni za nią.
Polskości godnym symbolem płynie cała polskim polem.

A potem poetka oddaje głos rybie:

Co wychylę głowę z rzeki zawsze
płyną na mnie ścieki.
Gdzie mam szukać swojej racji kiedy brak kanalizacji?
Dzieci chcę wychować zdrowo a tu
płynie to i owo.
Stary kalosz, szara bryja w lustrze
wody się odbija.
Jaki przykład dajesz bracie spuszczając ścieki do Wisły?
Wszelkie ścieki tutaj wrzucasz,
chcesz, by wody moje skisły?
Biedną rybę ratuje anioł z białymi
skrzydłami, który chroni rybę, kryjąc
ją pod kamieniami. Pozwala jej:
Powrócić do swojej matki, która
kiedyś była czysta, woda w niej była
perlista
Ryba w niej dobrze żyła.
Wierzę, że za kilka lat lepszy będzie cały świat.

Pabianowa pisała to jedenaście lat temu. Miał balladę odśpiewać aktor profesjonalny, ale filmowcy uznali, że ona sama zrobi to najlepiej. – *Przypięli mi skrzydła, do ręki dali martwą rybę. Tylko jedną zgładziliśmy na początku i to ona moimi ustami przemawiała. Wszystko działo się na dnie zbiornika wody w Wiśle Czarne, który akurat był opróżniony i przygotowany do remontu.* Dzieci Pabianowej też grały w tym filmie. Nigdy go nie widziała, bo gdy miała jechać na kolaudację do Łodzi, to się któreś z dzieci pochorowało i musiała zostać w domu. Melodii, na jaką śpiewała balladę już nie pamięta a film chyba nazywał się „Skarga ryby".

Co się zmieniło w tej rzece od tamtych czasów? – *Jest trochę czyściej* – twierdzi. Ale pije wodę chlorowaną. Naprzeciwko jej domu jest stacja uzdatniania wody doprowadzanej prosto ze zbiornika. Mimo tego, że tak blisko źródeł to chlorowanie jest niezbędne. Dlaczego? Bo przy obu Wisełkach są gospodarstwa. Przy Białej mniej domów, a przy Czarnej więcej. Tam co roku Wojewódzka Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna w Bielsku-Białej prowadzi pomiary zanieczyszczeń bakteriologicznych. I powyżej zabudowań woda ma I klasę a poniżej spada do II klasy, a w Czarnej Wisełce nawet do III klasy. – *Bardzo często wody w zbiorniku są w ogóle poza klasą* – ubolewa Barbara Bornstedt, kierownik działu higieny komunalnej. A powód jest bardzo prosty – tam ludzie nie mają kanalizacji a jedynie przydomowe szamba. Jak należy się domyślać bez dna. Ich zawartość wpływa zatem do zbiornika, gdzie się rozcieńcza.

Gdy zbiornik powstawał w 1974 roku to jego wody przez kilka lat były w ogóle wolne od bakteryjnych zanieczyszczeń, typowych dla ścieków komunalnych. Potem źródlana woda traciła klasę, by w latach osiemdziesiątych nie odpowiadać już żadnej. Dopiero w ubiegłym roku ku zaskoczeniu badających wody w zbiorniku uzyskały „jedynkę". Ale tylko tam było tak dobrze, gdyż badania potwierdzają, że Wisła jest jedną z najbardziej zanieczyszczonych polskich rzek, choć zauważono drobną poprawę. Byłoby zapewne jeszcze lepiej, gdyby oczyszczalnie były w stanie uporać się z doprowadzanymi ściekami i gdyby wreszcie zakończono kanalizację i podłączono do niej wszystkich mieszkańców. Ale na przykład istniejąca oczyszczalnia w Wiśle Jaworniku jest już maksymalnie przeciążona i przy jej ujściu do rzeki widać, co z niej wypływa. Widać i czuć, bo strasznie śmierdzi.

Prócz skażenia bakteriami wody Wisły pełne są różnego rodzaju innych zanieczyszczeń. Ich poziom sprawdza Wojewódzka Inspekcja Ochrony Środowiska od źródeł aż po zbiornik w Goczałkowicach. Oznacza się co najmniej raz w miesiącu poziom substancji organicznych, związków biogennych, zasolenie, zawiesiny. W ostatnich pięciu latach tylko raz rzeka u źródeł miała I klasę, ale jednocześnie w zeszłym roku zmniejszyła się, i to znacznie, długość odcinków rzeki, w których woda nie odpowiada normom. Przybyło natomiast odcinków Wisły, które „przeskoczyły" o klasę lub dwie do góry. – *Poprawę jakości wody wiążemy z rozbudową kanalizacji, modernizacją produkcji w zakładach, wreszcie ze wzrostem świadomości ekologicznej w społeczeństwie* – twierdzi Urszula Dedak, wojewódzki inspektor sanitarny.

Do roku 2000 oczyszczalnie ścieków w Ustroniu, Wiśle i Skoczowie zobowiązane są do zmiany procesów technologicznych, co pozwoli na wyeliminowanie związków biogennych. Pochodzą one z zagranicznych środków piorących, gdyż do kraju sprowadza się detergenty fosforanowe, a usuwanie tych właśnie związków stanowi bardzo poważny problem techniczny i finansowy dla oczyszczalni. Dlatego z reguły za spustem z oczyszczalni następuje pogorszenie stanu czystości.

I to też zapewne powoduje, że Wisła, która ma wpływać do zbiornika w Goczałkowicach z I klasą czystości dociera tam zaledwie z „trójką"... ■

WŁADYSŁAW SOSNA

# NASZE GÓRY DOMOWE

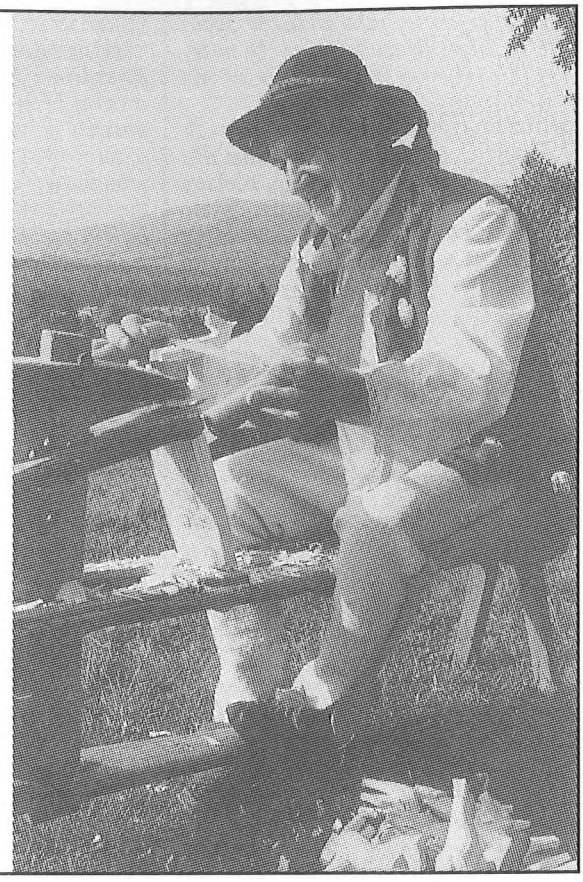


Foto: Marian Koim

Karpaty rozciągają się rozległym łukiem pomiędzy dwoma przełomami Dunaju: na zachodzie — pod Bratysławą, na wschodzie — w Żelaznej Bramie. Długość łańcucha karpackiego wynosi około 1300 km. Obszar Karpat obliczono na 209 000 km kw. Beskid Śląski jest jednym z ogniw tego łańcucha górskiego, zaliczany do zewnętrznych Karpat Zachodnich. Wg obecnych ustaleń, główny grzbiet Beskidu Śląskiego rozciąga się pomiędzy przełęczami — Jabłonkowską i Rupienką i liczy zaledwie 20 km długości, co stanowi 1,54% długości całego górotworu, oraz zajmuje 561 km kw., czyli niespełna 0,27% ogółu powierzchni zajmowanej przez Karpaty. Jest zatem Beskid Śląski jedną z najmniejszych jednostek orograficznych w Karpatach. A jednocześnie są to góry najgęściej zaludnione i najczęściej odwiedzane, skazane na masowe najazdy ze względu na bliskość przemysłowego Śląska oddalonego o „skok samochodem", dla którego mieszkańców są to dziś „góry domowe".

## BESKID ŚLĄSKI — CZYLI JAKI...

Nie oznacza to wcale, że góry dobrze znane. Sama nazwa też nie jest klarowna. Przez Beskid Śląski nie wszyscy rozumieją to samo. Zmienność granic państwowych i administracyjnych w zasadniczym stopniu wpłynęła na to, że rubieżom tych gór po obu stronach granicy przydawano różne nazwy. Stąd na przykład jeszcze dziś wielu uważa Baranią Górę (1220 m) za najwyższy szczyt Beskidu Śląskiego, natomiast Skrzyczne (1257), leżące w tym samym paśmie w odległości zaledwie 8,5 km już do Beskidu Śląskiego nie należy!

Jak głęboko sięgnąć w przeszłość był to obszar skazany na zmienność przynależności w części bądź w całości do tego lub innego państwa — przede wszystkim ze względu na naturalne szlaki komunikacyjne prowadzące przez Bramę Morawską, najniższy przesmyk pomiędzy rozłogami Karpat i Sudetów, którędy wiodła główna droga. Druga — z południa na północ — prowadziła z doliny Wagu i Kisuczy przez śląsko-beskidzką Przełęcz Jabłonkowską do doliny Olzy i Odry i znana była co najmniej od czasów, gdy w niedalekim Trenczynie stanęły legiony rzymskie. Drogi tej strzegło stare grodzisko Cieszyn i być może położony bardziej na południe Gródek. Przez owe „strome góry i gęste lasy", używając słów Gala Anonima przedzierały się grupy migrujących szczepów, szukających nowych terenów osadniczych, karawany kupieckie, czy wreszcie wojska różnych władców, pragnących poszerzyć granice organizujących się państw.

Na przełomie tysiącleci stanęły naprzeciw siebie czeskie wojska Przemyślidów i pierwszych Piastów, za Przełęczą Jabłonkowską coraz bliżej powstawały osady Państwa Madziarów. W miejsce starych grodów powstały nowe, a w jednym z nich, w Cieszynie, osiadł piastowski kasztelan. Dowiadujemy się o nim dopiero w 1155 r. W 1290 r. powstało Księstwo Cieszyńskie, pozostające we władaniu Piastów cieszyńskich przez 363 lata, ale wkrótce uzależnionych przez królów czeskich.

Powstanie księstwa miało istotne znaczenie dla Beskidu Śląskiego. Piastowie cieszyńscy bowiem zadbali o większe zasiedlenie podległego im księstwa. W okolicy założonych wcześniej miast: Cieszyna, Skoczowa i Bielska, i pod Beskidem, powstało szereg wiosek. Do najstarszych należą: Puńców, Goleszów, Cisownica, Ustroń i Jaworze. Przełom XVI i XVII wieku możemy uznać jako ostatni etap osadnictwa piastowskiego. Wówczas, już w matecznikach Beskidu Śląskiego powstały takie wioski, jak: Wisła, Istebna i Jaworzynka.

## GÓRALSZCZYZNA I GÓRALE

Ale oto rozpoczął się w Beskidzie Śląskim nowy rozdział historii. Osadnicy książęcy, wydzierający lasom beskidzkim niewielkie spłachcie ziemi w dolinach rzek, parali się rolnictwem, dostarczali na zamek płody rolne i drewno. Tymczasem skryba książęcy Kazimierza II odnotował w 1519 r. pojawienie się pierwszego „Wałacha", oferującego mieszczanom cieszyńskim skóry, wełnę i wyroby owczarskie. Wałachami nazywano tych z przybyłych z południa nomadów, którzy nie potrafili podać żadnego nazwiska, jeśli nie był to jakiś Madzia, Rusnok, Biłko, Bujok, Raszka, Pilch, Heczko, Macura, czy inny jeszcze... Wałach.

Owi wałasi coraz większą falą wchodzili w granice księstwa, zajmując nie zagospodarowane naturalne łąki beskidzkie dla wypasu swojego bydła i owiec. Rychło okazało się, że hodowlana gospodarka przybyszów przewyższała mozolną gospodarkę rolną i zapewniała lepsze warunki życia. Toteż coraz więcej dotychczasowych rolników zakładało swoje szałasy na wzór wałaski. Niebawem Wisła, Istebna i Brenna stały się największymi wioskami pasterskimi.

I tak oto narodziła się góralszczyzna Beskidu Śląskiego i ukształtowała się nowa grupa etniczna górali Beskidu Śląskiego.

## KSIĄŻKI NABOŻNE

Aliści XVI w. przyniósł jeszcze jedną innowację pod Beskid Śląski: ruch reformacyjny. „Nowinki" religijne padły tu na podatny grunt, gdyż wcześniej nieobce były tu wpływy husytów a kontakty ludzi

poprzez granice ułatwiały przejmowanie tego, co okazywało się bardziej przydatne. Reformacja luterańska przyjęła się w księstwie bez większych konfliktów, a jej najbardziej charakterystyczną cechą było to, iż uznały ją za swoją wszystkie ówczesne stany. W połowie XVI w. przeważająca liczba mieszkańców była już protestancka. Pomijając inne czynniki, jeden z nich okazał się być szczególnie brzemienny w skutki: kościół ewangelicki wprowadził do liturgii język ludu, prosty wykład Słowa w oparciu o Biblię, do której każdy z wierzących miał swobodny dostęp a sama Biblia stała się tu także elementarzem czytania. Niebawem polska książka nabożna, polskie Biblie i postylle miały tu odegrać nieocenioną rolę, miały zastąpić nie uświadomioną Ojczyznę a z czasem zaprowadzić do pełnej świadomości przynależności narodowej.

Wybuchła w 1618 r. wojna 30-letnia także na Śląsku Cieszyńskim poczyniła wielkie spustoszenie. Wkrótce po niej wygasł cieszyński ród Piastów. Księstwo przejęli w bezpośrednie władanie członkowie rodziny cesarskiej Habsburgów. Ci nie cierpieli innowierców. Intensywna kontrreformacja była prowadzona nierzadko środkami przymusu. Ewangelicy zostali pozbawieni wszystkich świątyń, zakazano odprawiania nabożeństw w prywatnych kaplicach szlachty, czy po domach. Toteż wierni gromadzili się w górskich lasach — „przy kamieniu". Jeśli na miejsce nie udało się przyjść duchownemu ze Słowacji, ktoś z bardziej biegłych czytał przechowywaną w dziuplach postyllę Dambrowskiego, czy Gadcjusza, bo taką tu najlepiej rozumiano. Owe leśne świątynie „przy kamieniu" straciły na znaczeniu, gdy po kilkudziesięciu latach prześladowań, w 1709 r. protestanci mogli wybudować swój pierwszy, jedyny w promieniu 100 km kościół.

## „GÓRALU, CZY CI NIE ŻAL..."

Po wojnach śląskich w XVIII w. przy Austrii pozostały południowe skrawki Śląska. Jednym z następstw tego podziału było wtargnięcie wielkiego przemysłu pod Beskid Śląski w stopniu nigdzie w polskich Beskidach nie spotykanym. Począwszy od 1772 r. w Ustroniu rozbudowywano hutę żelaza, z dziesiątków sztolni w okolicy Ustronia poczęto wydobywać syderyty, pod siekierą padała buczyna na Czantorii i Równicy, w dolinie kurzyły mielerze, kopcił wielki piec, poszum rzeki Wisły zagłuszał huk młotów i walcarek. Wkrótce część chłopów i górali beskidzkich stało się wybornymi szmelcerami i hamernikami. Inni ścinali drzewa, spławiali je, inni drążyli studnie w poszukiwaniu rudy, jeszcze inni służyli sprzążajem na coraz dłuższych trasach. Bywało, że dla huty pracowała cała rodzina i choć wytężano siły i tracono zdrowie za marny grosz przez pół i więcej dnia, to przecież jeszcze Jan Wantuła cieszył się, że tak wielu ma pracę i co do gęby włożyć.

Bo także wielu tego przywileju nie miało. Rychło bowiem okazało się, że drewno trzeba było ściągać z coraz odleglejszych gór, że stawało się coraz cenniejsze, gdyż huta pożerała je w coraz większych ilościach, a drzewo nie rosło z dnia na dzień. Z drugiej strony służba leśna donosiła do Komory Cieszyńskiej — zarządu dóbr habsburskich o wchodzeniu bydła walaskiego do lasu, o niszczeniu poszycia, o cerchleniu drzew i przemieszczaniu zarębków przez górali, celem powiększenia terenów wypasowych. Nie pomogły lutunki (skargi), ani otwarty bunt górali, stłumiony wojskiem. W 1853 r. górale zostali pozbawieni praw wypasu na łąkach i korzystania z pańskich lasów w jakiejkolwiek formie. W ten sposób szałaśnictwo zostało gwałtownie ograniczone, aż w końcu straciło rację bytu. Bardzo dotkliwie odczuły to te rodziny, których szałaśnictwo było jedynym źródłem utrzymania. Do zagród zaczął zaglądać głód, wielu musiało iść „za chlebem". Tylko tu i ówdzie utrzymało się jeszcze jakiś czas owczarstwo...

## ŚWIEŻOPOWIETRZOCY I KĄPIELORZE

Mądrość ludowa ustrońskich szmelcerów sprawiła, że odkryte doświadczenie przyczyniło się do powstania w Ustroniu swoistego rodzaju kurortu. Nic dziwnego nie było w tym, że wielkopiecownicy użyli do ogrzewania wody do mycia roztopionego żużlu. Woda nagrzewała się szybko, żużlu było pod dostatkiem, ale co więcej — po takiej kąpieli jakoś mniej „targało w kościach".

Wkrótce gierzynę, bo tak nazywano żużel wielkopiecowy, zaczęto nosić w bańkach do domu. Nie zawsze jednak domownicy zachowali należną ostrożność. Zdarzyło się, że spalił się dom. Rzecz się wydała. Arcyksiążę Karol Habsburg pod rygorem zakazał wynoszenia żużlu, ale odkrycie polecił zbadać swoim medykom. Niedługo, bo w 1804 r., nie opodal wielkiego pieca zostały zbudowane łazienki, „aby gorące wody uzdrawiały chorych". Pory kąpieli były ściśle dopasowane do cyklu pracy wielkiego pieca.

Mamy wprawdzie przekaz, że już w XVIII w. do Ustronia zaglądali przyjezdni, próbujący ratować zdrowie popijaniem żętycy, której w każdej beskidzkiej wiosce nie brakowało. Z takiej kuracji miało zasłynąć Jaworze, które pierwsze w Beskidzie Śląskim otrzymało prawa uzdrowiska (1862 r.). Odkrycie właściwości kąpieli gierzynowych wydatnie zwiększyło popularność Ustronia, zwłaszcza że i tu serwowano kąpielorzom i świeżopowietrzokom mulkę owczą. I choć po wygaszeniu wielkiego pieca w 1897 r. zaniechano kąpieli i mulka utraciła na znaczeniu, w sukurs przyszły odkryte borowiny i źródełka wód, które wówczas także polecano do kuracji pitnej.

## CIEKAWSCY WANDROLE

Aczkolwiek doliny Beskidu Śląskiego i otaczające je stoki były dość gęsto zaludnione, z wiosek prowadziły na szczytowe polany owcze płaje do szałasów, nikt w góry bez celu nie wychodził. Czasami przez graniczne gronie przemknęła jakaś zbójnicka familia po dutki do bogatszych, ale jak chce legenda, Ondraszkowa drużyna nie równała się zadziornością z chłopcami Klimczoków, czy kamesznickiego Proćpaka. Lasów strzegli obcy gajowi, w II. połowie XIX w. pewne rewiry leśne zostały wyłączone, jako łowiska dla różnych notabli, gości Komory Cieszyńskiej.

Na takim tle pojawiła się w Beskidzie Śląskim sylwetka księcia pszczyńskiego Ludwika Anhalta v. Coethen, który nie tyle dozorował wycinki lasów w okolicach Szczyrku, co zapragnął włóczęgi po beskidzkich groniach, i co cenniejsze, te eskapady opisał w swoich pamiętnikach. Jemu zawdzięczamy opis trwającej 16 godzin wyprawy z Wisły na „sławną Baranią Górę" 14 sierpnia 1810 r. Odbył książę tę wyprawę m. in. w towarzystwie proboszcza parafii ewangelickiej ks. Władysława Rakowskiego, i dwóch górali — przewodników Szarca i Wałacha. I choć wypadło tu i ówdzie przedzierać się przez gęstwinę lasu, to zarówno fakt postawienia do dyspozycji księcia dwóch przewodników, a „ten jeden znał drogę i każdy inny by zabłądził", jak również z relacji księcia jasno wynika, że utytułowany gość nie był pierwszym, który zapuszczał



*Centrum Istebnej.* *Foto: Jerzy Bierwiaczonek*

się „dla kaprysu" w mateczniki Beskidu Śląskiego.

Kolejną ważną informację w lwowskim „Sławianinie" zostawił krakowski literat Apoloniusz Tomkowicz. Opisał on swoją wyprawę na Baranią Górę, odbytą 3 października 1834 r. także w towarzystwie górala — przewodnika Jakuba Szarca, który „wszystko dobrze pokazał". Tomkowicz, „(...) myślą uczynienia zadość serc moich ziomków potrzebie" nie tylko dotarł do wykapów Czarnej Wisełki, ale pozostawił pierwszy, najstarszy znany nam opis krajoznawczy źródeł Wisły w literaturze polskiej!

Za Tomkowiczem ruszył cały zastęp wiedzionych romantycznym obowiązkiem polskich badaczy i podróżników. W tym pochodzie wspomnijmy jeszcze wytrawnego krajoznawcę i etnografa Bogumiła Hoffa, który swoimi artykułami w prasie polskiej rozsławił walory Beskidu Śląskiego i słusznie uchodzi za odkrywcę Wisły. Zresztą w drugiej połowie XIX w. w Beskidzie Śląskim coraz częściej pojawiali się „studenci" cieszyńskich gimnazjów, skupionych w „Jedności", pielęgnujących wśród siebie filomackie i filareckie idee.

## SCHRONISKO W OGNIU

Od 1872 r. doliną Olzy, a od 1888 r. wzdłuż północnych obrzeży Beskidów kursują już pociągi, dzięki którym łatwiej dotrzeć do najodleglejszych zakątków Beskidu Śląskiego.

W okolicach Bielska początki turystyki mają nieco inny kontekst. Bogatsze mieszczaństwo, związane z niemieckimi fabrykantami, wcześniej doceniło walory niedzielnych wypadów do Cygańskiego Lasu, do Bystrej, czy na Szyndzielnię. Szybciej też niemieckie środowiska miejskie, korzystające z szerokiego oparcia administracji państwowej, łączyły się w różnych organizacjach, realizujących określone* cele pod szczytnymi hasłami szerzenia wyższej kultury. Jedną z takich organizacji był Beskiden Verein, założony w 1893r. Cztery lata później BV wzniosło już trzecie schronisko w Beskidzie Śląskim — na Szyndzielni, najstarsze w tej partii Beskidu Śląskiego.

Aż do 1910 r. zmagali się z biurokratyczną niechęcią i innymi szykanami polscy działacze narodowi, zanim uzyskali zatwierdzenie statutu Polskiego Towarzystwa Turystycznego „Beskid", którego siedzibą został Cieszyn. Wszelkie wcześniejsze inicjatywy turystyczne były skutecznie paraliżowane. Tylko niespożyta determinacja i ofiarność polskich pionierów turystyki z obu stron ówczesnej austriacko-pruskiej granicy dzielącej Śląsk zdołała wyjednać prawa do swobodnych wędrówek i zagospodarowania Beskidu Śląskiego bez konieczności pouczania turystów w przewodnikach, jak mają pytać o drogę. Nieprzypadkowe wydaje się spalenie pierwszego polskiego schroniska, wzniesionego na Ropiczce (dziś CR), zaledwie po pięciu latach jego istnienia. Drugie, także z niemałym trudem, wzniesiono w 1922 r., już na Stożku.

## PORWANE GRANICAMI

Szczęśliwie działania wojenne I wojny światowej ominęły Ziemię Cieszyńską, ale nie brakło jej ofiar i goryczy z powodu zatargu granicznego z Czechami w 1919 r. Obok innych, najdotkliwiej odczuły to Istebna, Jaworzynka i Koniaków, gdzie na skutek przecięcia doliny górnej Olzy granicą przerwane zostały utrwalone czasem więzi gospodarcze, kulturowe, rodzinne.

Przynależność do województwa śląskiego sprawiła, że rychło bardzo wiele zmieniło się na mapie gospodarczej i w krajobrazie. Do Wisły, a potem do Istebnej zbudowano serpentynami prowadzącą, wyłożoną kostką drogę. W 1933 r. ukończono budowę kolei do Wisły Głębców z dwoma oryginalnymi wiaduktami. W centrum Wisły wzniesiono szereg obiektów użyteczności publicznej. Pod Kubalonką powstało osadzone w lesie okazałe Sanatorium Młodzieżowe. W licznych ustroniach zbudowano wiele willi i pensjonatów. Splendoru dodawał Wiśle zbudowany na Zadnim Groniu Zameczek Prezydenta Rzeczypospolitej. Górnośląski Oddział PTT w Katowicach uruchomił w Beskidzie Śląskim dwa kolejne polskie schroniska (Przysłop pod Baranią Górą i Równica). Już bez przeszkód wytyczono nowe szlaki turystyczne w Beskidzie Śląskim.

Kulturalnym zwieńczeniem tamtych lat i wyrazem łączności z Macierzą było Święto Gór, uroczyście obchodzone po raz pierwszy w Wiśle w 1937 r.

Lata budowy i rozwoju przerwała II wojna światowa, która pociągnęła za sobą kolejne ofiary w ludziach i dobrach kulturalnych. Beskid Śląski stał się zapleczem dla ludzi „spalonych", i mimo szerokiej inwigilacji i wsyp, coraz zwarciej skupiających siły w różnych ugrupowaniach polskiego podziemia. Miejsca straceń, potyczek znaczą pomniki...

## ZASIEKI Z DRUTU

PO latach okupacji hitlerowskiej przyszło „nowe", tak nowe, że paraliżujące rozum i serce. Wzdłuż „granicy przyjaźni" z Czecho-Słowacją pojawił się nie widziany tu nigdy pas zaoranej ziemi, umocniony zasiekami. Po kilku latach zastoju przystąpiono do realizacji planów „socjalistycznej przebudowy", mającej uczynić z części Beskidu Śląskiego gigantyczny, „na miarę potrzeb i ambicji" kombinat wypoczynkowo-rekreacyjny dla świata pracy.

W Ustroniu, w dolinie Jaszowca, powstał ośrodek wczasowy; na Zawodziu nie dokończony po dzień dzisiejszy ośrodek rekreacyjno-leczniczy. W Wiśle zbudowano trzy centra wczasowo-wypoczynkowe, górskie stoki w Szczyrku (i nie tylko) „odrutowane" zostały wyciągami narciarskimi. Na Szyndzielnię poprowadzono pierwszą w Beskidzie Śląskim kolej linową; na Skrzyczne i Czantorię wyciągi krzesełkowe. Szczyrk i Wisła doczekały połączenia drogowego, linia kolejowa do Wisły została zelektryfikowana, Ustroń, Wisła i Szczyrk doczekały się statusu miast.

Patrząc na to wszystko z pewnej perspektywy trzeba przyznać, że był to niewątpliwie wielki wysiłek inwestycyjny i realizacja budów na niespotykaną skalę. O ile jednak Jaszowiec i Zawodzie, za wyjątkiem tzw. Manhattanu mogą, mimo niedociągnięć technologicznych, wzbudzać zainteresowanie śmiałością i różnorodnością rozwiązań architektonicznych przy najmniejszym uszczerbku dla zastałego tu otoczenia, nie można tego powiedzieć o Wiśle. Wydłużone bryły gmachów wczasowych czynią wrażenie nie zawieszonych dyskretnie gniazd, ale „wbitych" w stok umocnień, raniących obłe pochyłości linearną konstrukcją fasad. Lecz nie te, wewnątrz urządzone komfortowo bloki, są grzechem głównym. Równocześnie bowiem wznoszono w Wiśle inne budynki wczasowe, letniskowe, „dacze" i wille w formie miastowego „kloca". I tak sielska Wisła w znacznej mierze zatraciła swój styl.

## CO NAM ZOSTAŁO Z TYCH GÓR?

Niewątpliwie Beskid Śląski jest najbardziej „ucywilizowanym" fragmentem polskich gór, najgęściej zaludnionym i zabudowanym. Do wszystkich ważniejszych dolin docierają autobusy, a za wyjątkiem enklawy Istebnej, cały Beskid opasany jest koleją. Mimo to, w pełni sezonu drogi dojazdowe okazują się wąskimi gardłami, niezdolnymi przepuścić tysięcy samochodów i przyjąć ich na ciągle małych parkingach. Gęsta sieć szlaków górskich o łącznej długości ponad 550 km ułatwia wędrówkę górską latem i zimą, lecz niektóre z nich nie tyle zamienione zostały na szerokie ceprostrady, co „wysypiska kulturowe".

Pragnący zapoznać się bliżej z kulturą materialną znajdą zapewne wiele ciekawostek w kilkunastu placówkach muzealnych, izbach regionalnych, galeriach sztuki profesjonalnej i amatorskiej. Dzięki wysiłkowi społecznikowskiej pasji przewodników beskidzkich z Katowic, Beskid Śląski doczekał otwarcia Ośrodka Historii Turystyki Górskiej PTTK na Przysłupie pod Baranią Górą, otwartego w 1994 r. Nadal jednak, by oglądać najcelniejsze przykłady dawnej architektury góralskiej, trzeba ich szukać w najgłębszych zakamarkach Beskidów, albo pojechać do... Chorzowa! Mała enklawa budownictwa starej Wisły nie rozwiązuje sprawy a ciąg urzekających ongiś zagród pod Złotym Groniem staje się coraz szczuplejszy.

Bogactwem Beskidu Śląskiego są lasy, zajmujące przeciętnie ponad 60% powierzchni Beskidu. W znacznej części są to lasy przeobrażone, z przewagą monokultury świerkowej. Najcenniejsze enklawy przyrodnicze objęte są ochroną w pięciu rezerwatach (3 leśne, 1 łąkowy i 1 faunistyczny), o łącznej powierzchni 477,69 ha, czyli mniej niż 1% obszaru Beskidu Śląskiego. Parku, choćby krajobrazowego, w Beskidzie Śląskim brak!

I wreszcie człowiek, cząstka tej Ziemi, tych Gór. Jak wszędzie, i tu człowiek czynił sobie ziemię poddaną. Miarą jego wysiłku była ongiś wydarta lasom piędź ziemi, mierzona wielkością ułożonych wzdłuż pola gromanic. Z powalonego drzewa powstała chałupa, proste ryzowane sprzęty, a to, czego nie wygrał wiatr wśród drzew, wytrąbił potem góral na wydłubanej w drzewie trombicie, rogu, czy prostej fujarze.

Wszystko tu miało swoje przeznaczenie, nie mogło być zmarnowane. Codzienny mozół i trud łagodzony był śpiewem lub graniem, bo to ułatwiało żyć. Spisano już tysiące melodii, pieśni, bajd, ale ciągle Beskid Śląski nie doczekał się swojej monografii o sztuce stworzonej wśród groni, o tych co dłubią w drewnie, heklują koronki, spisują układane rymy, nasycone jędrnym, soczystym językiem gwarowym, w którym przetrwało tyle jeszcze cząstek Mistrza Jana z Czarnolasu. ■

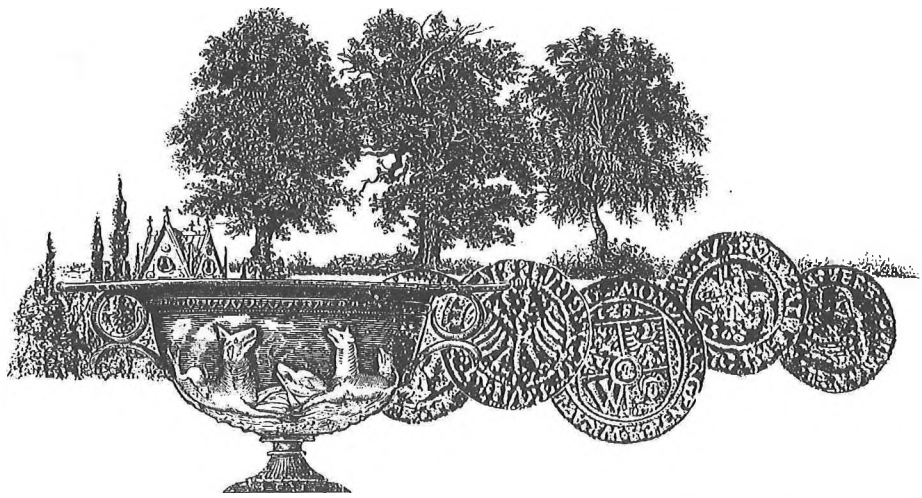
# pejzaż mitologiczny

ANTONI HALOR

# SKARBY UKRYTE

Opowieści o skarbach są nie tylko najbardziej trwałymi elementami folkloru ustnego. Historie o odkrytych, albo, co bardziej atrakcyjne, jeszcze utajnionych, zakopanych w określonym miejscu złotych i srebrnych monetach i drogich kamieniach, usłyszymy również poza tzw. wiejską izbą. Pełno ich na łamach gazet, w tv. Zastanawiająca żywotność fenomenu jest chyba zakodowana w jego istocie. Nie tylko bowiem związane z nim mity, ale samo do cna zmitologizowane słowo skarb, tak często odsyłane w świat fikcji, uparcie wczepia się w ludzką rzeczywistość. Chętnie słuchamy „baśni i legend" o skarbach — i wciąż odkrywamy ich realne korzenie. Któż nie zna historii odkrycia skarbu Atreusza w Mykenach, „Skarbu króla Priama", legendarnej kolekcji starożytnej biżuterii trojańskiej (o której od niedawna znów głośno), czy nie mniej spektakularne wspaniałości z grobowca Tutenchamona? Wieczne powroty zagadki Bursztynowej Komnaty też o czymś świadczą.

U nas, z różnych powodów, skarbów, zwłaszcza tych do odkrycia, jakby trochę mniej. Ale srodze myliłby się niedowiarek twierdzący, że ich w ogóle nie ma, albo nie było. O wielu nic po prostu nie wiemy. Któż dziś pamięta o słynnym skarbie z Wiechuły (obecnie dzielnica Opola), znalezionym w 1885 roku w grobie potężnego celtyckiego zapewne wodza podczas wykopków pod fundamenty stajni? Niewiele dowiadujemy się nawet wtedy, gdy odkrycie dokonuje się niemal na naszych oczach. Wystarczy dosadny przykład afery ze skarbem ze Środy Śląskiej. Szeroko pisano o nim w latach 80. potem zapadła kompletna cisza. I oto 19 sierpnia 1995 prasa doniosła o pewnym całkowicie utajnionym pokazie dla szczupłego grona wybranych. Pod tytułem „Najcenniejsze znalezisko XX wieku. Skarb z wysypiska" można było w wysoko nakładowej gazecie przeczytać na pierwszej stronie: „Bezcenny skarb ze Środy Śląskiej po raz pierwszy pokazano w czwartek w Muzeum Narodowym w Krakowie kilku uczonym i dziennikarzom. Tego samego dnia w najgłębszej tajemnicy przewieziono go do Wrocławia".



*W grafice wykorzystano XIX w. rycinę srebrnej czary ze skarbu z Wiechuły (Opole) i stare monety śląskie, m.in. grosz głogowski Zygmunta Jagiellończyka i talar wrocławski z 1544 r. Rycina: Antoni Halor*

Złote precjoza, które od połowy XIV wieku spoczywały w ziemi, to skarb składający się z „kobiecej korony ceremonialnej zdobionej motywem orłów, zapony, czyli zapinki do płaszcza z kameą", pierścieni i innych elementów stroju kobiecego, oraz kilku tysięcy groszy praskich i innych monet. „Wszystkie monety i przedmioty są ze złota. Koronę i zawieszkę zdobią szafiry, granaty, ametysty, szmaragdy, perły, cytryny i wyjątkowo rzadkie tektyty. Wszystkie przedmioty powstały między 1250 a 1350 r.". Zdaniem uczonego, specjalisty z PAN, cenne te przedmioty „zakopali uciekający przed pogromem Żydzi". Miał im je sprzedać lub zastawić król czeski Jan Luksemburski. „Skarb odkryli w 1988 r. robotnicy na wysypisku gruzu pod Winną Górą w Środzie Śląskiej".

Niektórzy pamiętają zapewne atmosferę skandalu towarzyszącą wówczas odkryciu. Skarb został bowiem błyskawicznie „rozprowadzony" przez okolicznych mieszkańców i do dziś nie wiadomo, ile z niego uratowano dla... No właśnie, nie wiadomo dla kogo, choć należałoby napisać: „dla przyszłych pokoleń", ewentualnie — „dla muzealnej publiczności". Albowiem niezorientowany, przypadkowy czytelnik owego tekstu nie był w stanie uświadomić sobie, że oto stał się świadkiem narodzin kolejnego mitu. A może nawet kilku naraz, jako że poza opisem precjozów, wszystkie pozostałe informacje wydają się być typowymi takiego mitu składowymi. Ponieważ skarb zdeponowano nie we wrocławskim Muzeum Narodowym (gdzie jego miejsce), lecz jak w tekście czytamy: „w skarbcu Spółdzielczego Banku Rzemiosła" (?), niewykluczone są dalsze rewelacje i kolejne sensacyjne informacje o jego losach.

Folkloryści wiedzą, że ze „skarbem ze Środy Śląskiej" od wieków związany był cały szereg legend i podań (raczej nie kojarzonych z Żydami). Ich uporczywe powtarzanie w ludowych opowieściach i niezwykle spektakularne potwierdzenie w rzeczywistości, na naszych (prawie dosłownie) oczach, dowodzi jak cienka może być linia dzieląca podanie, pozornie fantastyczną opowieść o ukrytym skarbie, z jego realnym istnieniem. Oto materiał folklorystyczny, czyli fikcja okazuje się być zakonserwowanym świadkiem, i jedynym właściwie przetrwalnikiem historycznego wydarzenia. Każdy, kto dłużej przebywał w którymkolwiek ze starych miasteczek Śląska wie, jak wiele krąży wśród ich mieszkańców historii o ciągle nie odkrytych bogactwach. Odkrycie takie jak w Środzie jest tylko (kolejnym zresztą) potwierdzeniem mocno ugruntowanych przekonań. Niebywale też łatwo następuje w owej materii poślizg ze świata realnego w dziedziny okryte zasłoną tajemnic, zastrzeżone dla fantastyki.

Przyjrzyjmy się temu nieco bliżej. Skarby, z miejscem ukrycia z reguły związane magicznym zaklęciem (ich wydobycie wymaga również magicznych zabiegów), występują w wierzeniach, podaniach i legendach prawie wszystkich ludów świata. W Europie skarby gromadzili królowie, możni panowie, bogate klasztory, rycerze rozbójnicy, templariusze, masoni, zbójnicy, korsarze i piraci. Często bywały zakopywane, zamurowane, zatopione, ukryte w zamkach, pałacach, w ruinach, w kryptach starych kościołów, w podziemnych lochach, we wnętrzu gór, na dnie mórz, jezior i rzek, w kopalniach, ale także pod figurami świętych, w przydrożnych kapliczkach, albo pod krzyżami na rozstaju dróg. W Polsce (podobnie jak w Niemczech i Czechach) osobną grupę stanowią skarby szwedzkie i napoleońskie, spoczywające w ukryciu na polach dawnych bitew i w miejscach pochówków, najczęściej pod starymi krzyżami przydrożnymi. Któż choć raz nie słyszał o takich niezwykłych miejscach? Znajdziemy ich multum w starych kalendarzach, w dawnych babcinych opowieściach. W owych gadkach złote dukaty i drogocenne klejnoty wyłaniają się na powierzchnię ziemi same. Częściej jednak skarby ukryte w zapomnianych ruinach i niedostępnych jaskiniach bronią się przed ludzką zachłannością i ujawniają tylko wtajemniczonym. Odkryć skarby można tedy za pomocą magii i czarów, wydobyć zaś przez zachowanie przypisanego rytuału, zwykle w określonych dniach roku, np. w Boże Narodzenie, w Noc Sylwestrową, Wielki Piątek etc. Przed znającym właściwe zaklęcie otwierają się ukryte wejścia do prastarych sklepień z bogactwem złotych monet, jaskinie wypełnione kosztownościami, w kopalniach odsłaniają się dawno zasypane sztolnie z żyłami srebra. ■

# DEZERTER

TOMASZ CICHOŃ

Kiedy pociąg zbliżał się do miasta, była już noc i deszcz padał od dobrych kilku godzin. Rozwarłem okno w korytarzu i wystawiłem głowę na zewnątrz. Ciężkie krople rozpryskiwały się na twarzy. Próbowałem rozsunąć powieki, ale z powodu pędu powietrza i wody, dostrzegałem tylko rozmazane plamy, kolorowe błyski semaforów i pierwszą falę neonów, którymi coraz częściej dekorowano sklepy na przedmieściach. Zatrzasnąłem okno, stukot kół zelżał. Strugi deszczu spływały po włosach i brodzie, docierały za kołnierz. Wnętrze pociągu, skąpo oświetlone i chłodne, sprawiało, że nieliczni pasażerowie, którzy tej nocy zdecydowali się na podróż, pojawiali się w wagonie niespodziewanie, wytrzepywali wiatr i wodę z okryć, i siadając w kątach przedziałów, wtulali się w samych siebie, aby jak najszybciej zapaść w podróżny letarg. Później obudzeni dziwnym przeczuciem zrywali się i jak spłoszone nietoperze znikali w ciemności nocy na którejś z małych, zapomnianych stacji.

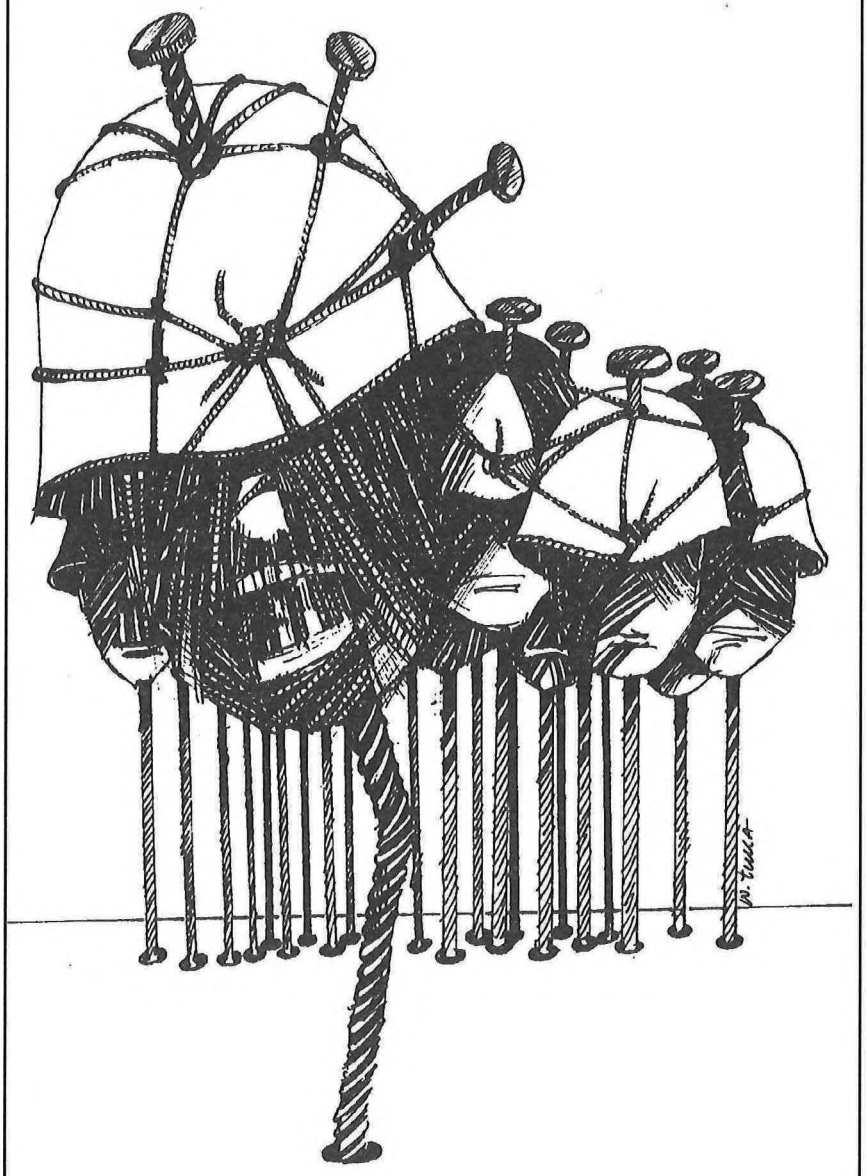
Dojeżdżałem do miasta po kilkunastu godzinach podróży. Moja pierwsza noc wolności — pomyślałem. Nie będzie już długiego szeregu niskich baraków stojących gdzieś w środku lasu na terenie okolonym podwójną linią zasieków. Nie będzie zasypiania z ulgą tylko dlatego, że dzień wreszcie się kończy i nadaje się do odcięcia z długiej taśmy dni, którym jedyny sens nadaje ich przemijanie. Koniec wreszcie z nadawaniem w eter idiotycznych komunikatów kontrolnych, tylko po to, by w razie wojny odciągnąć „siły nieprzyjaciela" od głównej radiostacji. Nie będzie też tej nagiej żarówki rzucającej rozbełtane blaski na pielęgniarzy i plecy podtrzymywanego przez nich Kawora. I samego Kawora też już chyba nie będzie, bo po tamtej nocy nikt nie wiedział co się z nim stało.

Spóźniłem się dokładnie o kwadrans na następne połączenie. Z rozkładu jazdy wynikało, że najbliższy pociąg będzie odchodził w tamtym kierunku dopiero za kilka godzin. Mogłem czekać na dworcu albo spróbować dotrzeć na skraj miasta i tam, na autostradzie zatrzymywać samochody jadące na południe.

Wyszedłem przed budynek dworca. Kostki wybrukowanego placu lśniły czysto spłukaną przez deszcz powierzchnią. Naprzeciwko stało kilka taksówek, w ich wnętrzach kierowcy z odchylonymi w tył głowami śnili zapewne o swoich żonach, kochankach, a hotelowe nalepki na drzwiach i dachach samochodów obiecywały szerokie łóżka, łazienki z gorącą wodą, dobrze wyposażone bary. Miałem ochotę napić się kawy i wypalić ostatnie dwa papierosy, które pozostały w pomiętym pudełku. Po drugiej stronie placu kusił swoją duchotą zaparowanych szyb całodobowy bar.

W środku natychmiast ogarnęły mnie kłęby powietrza ogrzewanego ludzkimi oddechami. Stanąłem przy kontuarze, za którym tkwiła kobieta z nastroszonym kokiem blond włosów. Mogła mieć równie dobrze trzydzieści jak i sześćdziesiąt lat.

— Jedną czarną kawę — powiedziałem.



*Grafika Wojtek Łuka*

— Jedną? — powtórzyła za mną natychmiast, jakby chciała się upewnić czy dobrze słyszy.

— Tak, jedną — potwierdziłem.

Jej ciało było nadmierne i pomyślałem jak przelewa się przez brzegi poszarzałej bielizny. Kobieta odwróciła się i zaczęła płukać szklankę, po czym postawiła ją na kontuarze.

— Pan chciał małą czy dużą? — upewniała się jeszcze raz. — Bo mogę za tę samą cenę zrobić małą, ale będzie za to silniejsza — dodała.

Powiedziałem powoli i wyraźnie, że chcę jedną dużą czarną kawę i nic więcej.

Wrzuciła do szklanki dwie łyżeczki brązowego proszku i zalała wrzątkiem. Kawa zabulgotała, urosła tworząc gruby kożuch. Kobieta włożyła w środek plastykową łyżeczkę, która po sekundzie skręciła się z ciepła.

— Słodzić można tylko u mnie na miejscu — powiedziała i wskazała zapierścienioną dłonią pojemnik z cukrem.

Usiadłem za podłużnym stołem, przy którego przeciwnym końcu rozmawiało dwóch mężczyzn. Z tego miejsca widziałem tylko część lokalu z kilkoma stolikami i drzwi wejściowe, resztę zasłaniał szeroki filar. Przez gwar pomrukiwanych rozmów przebijał się głos jakiegoś zalanego faceta wyklinającego na żydokomunę. Zapaliłem papierosa. Parząc usta upiłem łyk kawy. Za zaparowaną szybą, wielki czerwony neon umieszczony na dachu dworcowego budynku namawiał mnie na słuchanie radia Omega. I na kupno Forda Sierra. I na wycieczkę w Alpy (z najtańszym biurem turystycznym w mieście). I znowu na słuchanie radia Omega. I na palenie papierosów Prince.

Upiłem jeszcze jeden łyk — tym razem ostrożniej.

Tak, warto by o tym wszystkim komuś opowiedzieć — pomyślałem. Opowiedzieć komuś, kto by wysłuchał i nic na koniec nie powiedział. Albo żeby powiedział, że „tak czasami bywa" i żeby odszedł. Nic więcej, tylko tyle.

Znałem Kawora od dawna — to było pewne. Jednak kiedy zastanawiałem się od jak dawna, nie mogłem tego do końca sprecyzować. Być może dopiero gdzieś w pierwszych latach szkoły podstawowej wyłonił się on spośród anonimowej grupy chłopaków, z którymi latem biegałem nad zalew zwany Łysiną, a zimą na Klemensową Górkę, żeby pozjeżdżać na grubych foliowych workach, ale być może zetknąłem się z nim jeszcze wcześniej. Kto wie czy Kawor nie był nawet moim bardzo dalekim kuzynem? W naszym miasteczku ludzie nie byli ciekawi świata, więc pary kojarzyły się najczęściej w obrębie kilku uliczek — czego bezpośrednim skutkiem było to, że prawie wszyscy pozostawali ze sobą jakoś spokrewnieni. Babce Annie dostarczało to tematów do nieustannych dywagacji. genealogicznych, które zawiłe i skomplikowane z wiekiem zajmowały jej coraz więcej czasu. Zaś mój ojciec — nauczyciel w miejscowej szkole — który, jako jeden z niewielu nie pochodził z tych stron, zwykł mawiać, że to właśnie dlatego w okolicy występuje wyjątkowo duża liczba głupków. Ja zaś wierzyłem, że łączą mnie z Kaworem jakieś więzy krwi, wierzyłem, chociaż nigdy wcześniej nie zostało to usankcjonowane odpowiednim wywodem babki.

Szczególnie jedno wydarzenie związane z Kaworem na bardzo długo utkwiło w mojej pamięci. Kawor uczył się wtedy gry na pianinie, a że jego starszy brat „poszedł na księdza", to on sam miał niejakie względy u kościelnego Bobli, który pozwalając mu od czasu do czasu pograć na organach w naszym farnym kościele, miał nadzieję, że wychowuje sobie przyszłego organistę. Pewnego dnia Kawor zapragnął wziąć mnie ze sobą. Najpierw jednak trzeba było przekonać kościelnego — człowieka z gruntu nieufnego — do mojej osoby.

— A ten tu po co?! — powiedział Bobla i wskazał na mnie kościstą ręką, która prawie do łokcia wysunęła się z przykrótkiego rękawa wyświechtanej marynarki.

— Kolega ze szkoły, panie kościelny, też chciałby ze mną...

— A pozwoleństwo księdza proboszcza jest? — zapytał patrząc na mnie podejrzliwie.

— Jest, jest — Kawor skłamał bez zmrugnięcia oka.

— Tylko bez wygłupów. Żona sprząta na dole, wszystko powie co tam będziecie rozrabiali... I żeby mi zamknąć i odnieść klucze... Najpóźniej za godzinę! — dodał pokrzykując prawie.

Weszliśmy na chór po krytach dębowych schodach przesiąkniętych zapachem kadzidła. Boblowa rzeczywiście sprzątała. Kiedy znaleźliśmy się na górze od razu zorientowała się, że ktoś tam jest.

— To ja, pani Boblowa, chciałem trochę pograć — odezwał się Kawor.

Odburknęła coś pod nosem i wróciła do przerwanej pracy. Przesunęła po posadzce wiadro. Zgrzyt metalu o glazurę rozbiegł się po całym kościele i wytrysnął pod sklepienie, tam gdzie święty Walenty uzdrawiał właśnie kilku paralityków.

Kawor najpierw pokazał mi wszystkie przełączniki i pokryte kością słoniową pokrętła, objaśnił z grubsza co i jak działa, a potem zaczął grać. Nie bardzo go teraz obchodziłem. Ledwo sięgając nogami do dolnych, basowych klawiszy starał się wypchnąć z ogromnego instrumentu stale fragmenty mszy. Boblowa sprzątała na dole, Kawor grał, a ja zaczynałem się nudzić. Rozejrzałem się i zobaczyłem w rogu, przy tylnej ścianie, klapę, która prowadziła na wieżę.

Tuż zaraz, prawie pod stopami, leżał mały rynek z przystankiem PKS-u w samym środku. Kilka odchodzących w bok uliczek. Kilka samochodów i dwie furmanki. Kilka osób przed sklepem spożywczym. Podnosząc wzrok dostrzegałem niezbyt strome zbocza Klemensowej Górki, a bardziej od zachodu, gdzie regularna miejska zabudowa rzedła i szybko stawała się bezładnie rozrzuconymi kostkami do gry, znajdowały się stawy Stanisza. To tam w zeszłym roku, po spuszczeniu całej wody, setki bezradnie kłapiących ogonami ryb połyskiwało na warstwie czarnego mułu. Wynajęci przez Stanisza ludzie, ubrani w wysokie gumowe buty, zbierali je do drucianych koszy. Trochę dalej były zakłady chemiczne. Większość budynków chowała się pomiędzy słabo jeszcze ulistnionymi drzewami. Zawsze o godzinie drugiej po południu słychać było wybuchy na poligonie za lasem. W zakładach produkowano dynamit oraz spłonki — i zawsze o tej porze odbywały się próbne eksplozje. Co pewien czas ktoś pracujący w zakładach popełniał błąd i w miasteczku mówiło się zawsze przy tej okazji, że resztki po takim pechowcu mieściły się w jednym tylko wiadrze. No i zazwyczaj trzeba było chodzić na pogrzeby, bo był on dalszym lub bliższym krewnym.

Dobiegające do mnie dźwięki stały się bardziej intensywne, dziwnie znajome i jakby mniej kościelne. Zszedłem na dół.

Kawor grał Shaman's blues — bez wątpienia najlepszy kawałek naszych ukochanych Doorsów, których słuchaliśmy godzinami aż do zdarcia taśmy na moim szpulowym magnetofonie.

Z dołu krzyczała Boblowa, ale ogromne organy z których wydobywały się fale silnych dźwięków tak ją zagłuszały, że wyglądała jak śmiesznie podrygująca postać ze starego niemego filmu. Spojrzałem na Kawora. Odwrócił się do mnie i uśmiechnął porozumiewawczo.

— Ale czad, co! — wykrzyczał zadowolony.

Nacisnął mocniej klawisze w ostatnim akordzie i organy ucichły. Gdzieś z dołu rozlegało się tłuczenie w drzwi i głos kościelnego skrzeczącego coś o bezbożnych bigbitowych piosenkach.

Drzwi otworzyły się, do lokalu wszedł mężczyzna z twarzą ściągniętą chłodem. Obwisłe ramiona przykrywał grubym płaszczem w jodełkę. Idąc lekko utykał. Powoli przesuwał wzrok po ludziach siedzących przy stolikach. Głos pokrzykujący o żydokomunie zamilkł, wyczułem, że jego właściciel dostrzegł człowieka w płaszczu. I nagle postać wytoczyła się zza filaru. Mieląc w ustach przekleństwa zderzyła się z nowo przybyłym. Ten nadspodziewanie energicznie odepchnął pijanego, który zniknął na powrót za filarem. Usłyszałem łomot upadającego ciała. Papieros sparzył mi palce. Syknąłem z bólu i zdusiłem niedopałek.

Usłyszałem z boku:

—... a jak się chcesz zabrać do czegoś poważniejszego, to pamiętaj: raz — obstawa, dwa — fachowa robota. Przyjrzyj się Genkowi. On ostanio załatwiał Merca, trzysetkę. Poszło pięknie. Od niego, Młody, możesz się uczyć. Auto oznakowane, z autoalarmem, a on się z tym uwinął w pięć minut. Fachowość, to się teraz liczy.

— Ale komu później opchnąć taką gablotę? — pytał drugi głos nieco ciszej.

— Jak to komu?! Ty mnie nie rozśmieszaj! Właścicielowi oczywiście! Teraz już się nie spuszcza takiego towaru na ślepo. Facet, który ma taką maszynkę, woli zapłacić kilka tysięcy dolarów i nie babrać się z glinami.

— Ale słyszałem, że Bolo upłynnia towar gdzieś dalej i podobno wyciąga z tego znacznie więcej...

— Ty Młody za dużo nie słuchaj. Zwłaszcza na temat Bola nie słuchaj. To jest wyższa szkoła. On ma znajomych, co dużo mogą. Ty się zajmij swoim podwórkiem...

Odwróciłem głowę w ich stronę. W dalszym ciągu rozmawiali nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Przy następnym stoliku siedziały dwie dziewczyny. Posłusznie czekały aż ich panowie skończą obgadywać interesy. Nie mogły mieć więcej niż siedemnaście, osiemnaście lat. Jedna z nich — smagła, z cygańską urodą, czarne proste włosy, tania dżinsowa kurtka, białe kozaki — od kilku minut zawzięcie się we mnie wpatrywała.

Znów cofnąłem się do tego momentu, kiedy Kawor niespodziewanie zjawił się w jednostce. Zobaczyłem go wtedy na alejce pomiędzy barakami. Szedł z pochyloną głową, skulony, jakby chciał uderzyć kogoś „z byka". Zobaczył mnie w ostatniej chwili.

— Stary?! co ty tu robisz?! — krzyknąłem zdziwiony.

— Przenieśli mnie... w innej jednostce, ale tylko trzy miesiące..., ... wiesz a ona... ale, ja nie mogę... musiałem... — Kawor mówił coś chaotycznie, z czego ja niewiele rozumiałem.

Dopiero później zamknęliśmy się w kiblu, żeby nikt nam nie przeszkadzał i Kawor opowiedział, co się z nim dotychczas działo. Zawsze był w jakiś sposób do mnie podobny, teraz nic z tego nie zostało — pomyślałem, kiedy tak siedział na klapie sedesu, a sprzączki przy jego rozpiętych opinaczach dzwoniły przy każdym poruszeniu nóg.

— Ja muszę to zrobić, zrozum — Kawor tłumaczył mi od kilku minut. Staliśmy przed barakiem. Był wieczór następnego dnia i otaczały nas kłęby ciepłego, gęstego powietrza. Komary kłuły jak oszalałe, chociaż wokół na wiele kilometrów rosły tylko suche sosnowe lasy i nie było żadnych bagien. — To jest moja jedyna szansa, żeby stąd się wydostać — ciągnął Kawor. — Zresztą i tak nie będę miał życia jak tutaj się dowiedzą, za co mnie przenieśli z tamtej jednostki.

I wtedy pomyślałem, że ten chłodny, wiosenny dzień, kiedy ja stałem na wieży, a Kawor grał kawałek Doorsów zdarzył się bardzo dawno i chyba już nie mnie, tylko komu innemu.

— A jak ci się nie uda — powiedziałem. — Jak weźmiesz za dużo? co wtedy?

— Nie ma na to szans. Wezmę tyle, ile potrzeba, obgadałem to już z jednym gościem, on ręczył. Mówił, że sposób jest wypróbowany, że jego kumplowi się udało — powiedział Kawor. — Po takim czymś zazwyczaj obniżają kategorię i jesteś wolny. To jest moje jedyne wyjście — dokończył ciszej, jakby mu nagle zabrakło tchu.

Już wiedziałem, że nie zrezygnuje. Mrok nocy rozsunięty był tylko stożkiem białego światła padającego z latarni, która znajdowała się po drugiej stronie baraku. Do rozgrzanej szklanej kuli lepiły się skrzydła tysięcy owadów. Zapaliłem papierosa żeby dymem odgonić komary.

— A ja ci powiem co się stanie jak ten numer nie wyjdzie. Pomyśl — wtedy nie tylko za półtora roku, ale nigdy nie będziesz mógł wrócić tam, gdzie chcesz i do kogo chcesz. Pamiętaj jak się nie uda, to już nigdy do niej nie wrócisz, nigdy...

— Ale ja muszę spróbować — powtórzył uparcie.

— A jak się przekręcisz?

— Nie ma takiej możliwości, wezmę trochę, a resztę wyrzucę. Puste opakowania będę miał przy sobie. Ci skurwiele w szpitalu będą myśleć, że wziąłem dwa razy więcej.

— No dobra, ale po co ja jestem potrzebny do tego wszystkiego, co? — zapytałem.

— Muszę mieć kogoś, kto mnie przypilnuje i zaprowadzi do oficera, zanim zupełnie mi odbije — powiedział.

— I ja mam być tym aniołem stróżem, tak? — powiedziałem.

— To jest moje jedyne wyjście — powtórzył.

Nie odstąpi od tego — wiedziałem już, że się boi i dlatego będzie próbował za wszelką cenę.

Leżałem i czekałem. Druga w nocy i nadal nic się nie działo. Prycza Kawora znajdowała się w drugim końcu sali. Zgodnie z umową przy pierwszych objawach miałem obudzić chłopaków i zawlec go choćby siłą do oficera dyżurnego. Powietrze było nadal ciepłe i gęste. Czekałem czwartą godzinę. Byłem już prawie pewien, że Kawor w ostatniej chwili zrezygnował i że niepotrzebnie się męczę. Starałem się nie zastanawiać nad tym, co on robi. Kawor był po prostu innym człowiekiem. Nie miał wyjścia — tak mówił. Musiał to zrobić. Wiedziałem, że doszłoby do tego i bez mojej pomocy. Zadawałem sobie pytanie czy ja byłbym zdolny do takiego kroku. Na twarzy czułem stada małych, pełzających, galaretowatych, ciepłych meduz. Starałem się nie ścierać potu, bo wiedziałem, że to i tak ich nie przegoni.

— Kurwa! przestań się śmiać ty jebany „kocie"!!! — usłyszałem głos z drugiego końca. — No z kogo ty się śmiejesz co? no powiedz z kogo!?

To nie był głos Kawora, ale wiedziałem, że już się zaczęło. Po chwili doszedł do mnie nerwowy chichot z ciemnego kąta i usłyszałem odgłosy kotłujących się ciał. Inne łóżka także zaczynały ożywać. Ktoś zapalił światło. Jakiś „dziadek" siedział na piersi Kawora i okładał go pięściami.

— Ty skurwielu! — krzyczał. — Mówiłem ci, żebyś się nie śmiał. No powiedz gnoju, ile razy ci powtarzałem, że masz się uspokoić, no powiedz?!

Kawor nie potrafił powstrzymać fali nerwowego chichotu. Ciosy systematycznie spadały na jego nagle zidiociałą twarz.

Wziąłem pierwszego z brzegu „kota" i wyszarpałem Kawora na korytarz. Tam szybko sprawdziłem czy nie zapomniał o pustych opakowaniach. Nie zapomniał — w kieszeni spodenek tkwiły cztery puste kartoniki po luminalu. Z trudem udało się go doprowadzić na wartownię. Krzyczał coś, że nareszcie koniec z tym wszystkim, że zaraz odjedzie stąd, że wszyscy mogą go w dupę, że wreszcie tam pojedzie, do niej... Pchnąłem drzwi.

Zameldowałem, co się dzieje z Kaworem. Sierżant wstał, wyszedł zza biurka.

— No i po co przynieśliście do mnie to ścierwo!?! — podszedł jeszcze bliżej. — Truć mu się zachciało, tak! Niech zdycha! Co wy sobie wyobrażacie, że ja będę z powodu takiego pierdolonego „kota" wzywał ambulans?

Sierżant stał przed Kaworem, który już ledwie trzymał się na nogach. A ja zacząłem się zastanawiać czy on na pewno wziął tylko połowę tego, co miał przy sobie.

— Myślisz, że nie wiem kto ty jesteś? Czytałem twoje papiery! Ty jesteś pierdolony dezerter!! — krzyczał do otępiałej twarzy. — W poprzedniej jednostce wieszać ci się zachciało. Tylko za wcześniej zauważyli — i któryś miłosierny cię odciął. Tu jest inaczej. Chcesz, to zdychaj. Ja sam ci w tym pomogę!!

Odwrócił się, podszedł do otwartego okna, które wychodziło na las. — Won z nim! — usłyszałem. — A jutro wszyscy trzej do raportu za zakłócanie ciszy nocnej.

Wyciągnęliśmy Kawora za drzwi. Jego ciało było już wtedy bezwładne. Prawie połowę kompanii stało na korytarzu. Sprawa szybko się rozniosła. Pomyślałem o tych czterech kartonikach luminalu i jeszcze raz o tym, jak Kawor grał Shaman's blues. I wszedłem z powrotem do dyżurki.

Kiedy wykręcałem numer szpitala, sierżant patrzył na mnie i nie zrobił najmniejszego ruchu. Zdawało się, że z wściekłości przestał oddychać. Odłożyłem słuchawkę i wtedy dopiero wyrzucił przez zęby:

— Mam kurwa nadzieję, że wiesz co cię teraz czeka!!!

Później wszystko potoczyło się bardzo szybko i Kawor, a właściwie jego bezwładne ciało podtrzymywane przez pielęgniarzy zniknęło w ambulansie, który natychmiast odjechał.

Tak, teraz jest czas na kogoś, kto powinien powiedzieć: „tak czasami bywa" i odejść — pomyślałem. Nikogo takiego jednak nie było, a historię tę po raz kolejny opowiadałem samemu sobie.

Zacząłem się zastanawiać czy nie powinienem spróbować dostać się na autostradę, zamiast dalej tkwić tu bezczynnie. Przecież jakieś nocne autobusy musiały jeździć w tamtym kierunku. Dziewczyna o smagłej twarzy nadal się we mnie wpatrywała.

Do lokalu wszedł mężczyzna. Zniknął za filarem i na powrót pojawił się trzymając w dłoniach szklankę z herbatą. Wiedziałem, że usiądzie naprzeciwko mnie. Usiadł. W kącikach jego oczu rozpięte były plamki białej ropy. Postawił szklankę, starannie zamieszał, po czym odsunął na bok. Robiąc to cały czas patrzył mi prosto w oczy. Wsunął rękę pod kurtkę. Wyjął pojedynczego papierosa.

— Masz pan ognia? — zapytał.

Podniosłem pudełko leżące na blacie. Potarłem zapałkę. Trzymając płonące drewienko czekałem, aż on się nachyli. Nie poruszył się. Zapałka zgasła. Odrzuciłem ją i przesunąłem pudełko po blacie w jego stronę. Miałem wrażenie, że dopiero teraz dwóch facetów siedzących obok zorientowało się, że ktoś jeszcze jest przy ich stoliku. Tymczasem ja usiłowałem patrzeć gdzieś ponad głową tego człowieka i nie zwracać uwagi na białe plamki ropy.

— Może byś pan poratował człowieka w potrzebie? — powiedział powoli, jakby od niechcenia. Schował papierosa z powrotem do wewnętrznej kieszeni. Na twarzy pojawił się grymas uśmiechu. — Chwilowe kłopoty finansowe. Każdemu się zdarza, no nie? Teraz takie czasy. Zwrócę jak będę mógł...

— Nie mam pieniędzy — powiedziałem. — Nie mam dla ciebie! — dodałem po sekundzie wahania.

Człowiek patrząc mi ciągle w oczy wysuwał powoli, bardzo powoli z rękawa swojej kurtki cienkie, metalowe ostrze. Podniosłem do ust szklankę z kawą. Po raz pierwszy spuścił wzrok ze mnie i zaczął bawić się kawałkiem stali. Opuszek jego wskazującego palca lekko poddawał się czubkowi ostrza. Pozostawało czekać.

Szybkim ruchem przystawił mi ostrze do gardła. Odsunąłem się odruchowo i uderzyłem tyłem głowy w ścianę. Końcówka ostrza opierała się o chrząstkę pod moją brodą.

— To co, nie wspomożesz bliźniego w potrzebie? — usłyszałem i nagle ten spokój i opanowanie, w którym on tkwił, w niewytłumaczalny sposób spłynął także na mnie.

Obserwowałem, co się wokół dzieje. Słuchałem gwaru rozmów. Rozróżniałem nawet pojedyncze słowa. Znów wielki czerwony neon namawiał mnie na słuchanie radia Omega. I na kupno Forda Sierra. I na wycieczkę w Alpy (z najtańszym biurem turystycznym w mieście). I na palenie papierosów Prince. Pomyślałem, że za plecami człowieka zapewne siedzi dziewczyna o smagłej cerze i facet w płaszczu w jodełkę i jeszcze kilka innych osób. Za filarem musiała stać także otyła kobieta. Być może pytała kolejnego klienta, czy chce dużą czy małą kawę, bo ona może za tę samą cenę zrobić małą, ale za to będzie mocniejsza. Pomyślałem też, czy on siedząc w takiej pozycji w jakiej siedział, zdołałby pchnąć tak, że ostrze przeszłoby gładko przez tchawicę? Co wtedy? Czy człowiek jest tam bardzo ukrwiony? Patrzyłem na płatki ropy w kącikach jego oczu i zastanawiałem się czy wykona jeden ruch, silny i zdecydowany, słowem taki, że nie będę się zbytnio męczył, czy może zdoła tylko musnąć moją szyję i przeżyję, o ile pomoc będzie szybka i skuteczna. Sam efekt końcowy był mi dziwnie obojętny, czułem jedynie, że miałbym sporą satysfakcję — podobną tej, która towarzyszy grom liczbowym — gdybym go zdołał prawidłowo przewidzieć. Przypomniałem sobie nawet fragment jakiejś książki, którą bardzo dawno czytałem. Tak dawno, że nie pamiętałem jej autora ani tytułu. Było tam coś o tym, że to podobno tylko w wyobrażeniu miejsce pomiędzy szyją i brodą funkcjonuje jako bardzo wydajne. I jeszcze coś, że człowiek oczekuje wtedy widoku rozdarcia plątaniny ścięgien i kosteczek, widoku na jaki natykamy się przy jedzeniu smażonych udek indyczych. Tak, zapamiętałem te smażone indycze udka.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Wbiegł jakiś człowiek, rozejrzał się po sali i ruszył w naszym kierunku.

— Kazek, kurwa! co ty tu robisz — krzyknął. — Chodź szybko! Ruscy naszych biją na parkingu — dopiero teraz zobaczył ostrze na moim gardle. — Schowaj to zaraz! — rozkazał.

Ostrze posłusznie odskoczyło.

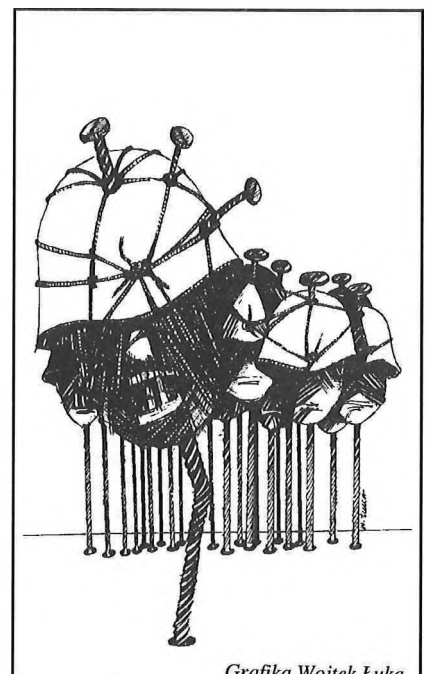
— Nie po to dałem ci kosę, żebyś uczciwych ludzi obrabiał! — krzyczał na swojego kumpla. — Zwijaj się migiem, bo inaczej Ruscy naszych zajebią!! Ja powoli prostowałem się, a on już był odwrócony plecami do mnie, gdy nagle zamachnął się i uderzył mnie w twarz. Wybiegli. Dotknąłem ust. Na palcach pozostała krew.

— Dobrze by było gdybyś stąd spłynął — usłyszałem z boku. Dwóch towarzyszy z drugiego końca stolika patrzyło na mnie z cieniem życzliwości, takim, jakim obdarowuje się naiwniaków, którzy sami nie wiedzą co czynią. — On na tym nie skończy, na pewno nie skończy..., więc dla ciebie dobrze by było...

Podziękowałem. Wytarłem krew. Uderzenie na szczęście nie było mocne. Postanowiłem zapalić ostatniego papierosa, który mi pozostał.

Wrócił po chwili.

Usiadł przy stoliku, gdzie ulokował się wcześniej człowiek w płaszczu w jodełkę. Pomyślałem, że wychodząc i tak będę musiał przejść tamtędy.



*Grafika Wojtek Łuka*

Zdusiłem niedopalonego papierosa, już nie smakował tak jak poprzedni. Wstałem. Mijając jego stolik starałem się być gdzieś daleko, bardzo daleko. Postawiłem szklanki po kawie na kontuarze i ruszyłem w kierunku drzwi. Czułem na plecach jego wzrok.

Szedłem do przystanku przez mokry plac. — Policzyć do dziesięciu — pomyślałem. — Jeżeli będzie cicho, to znaczy, że on pozostał w środku — ... siedem , osiem, dziewięć... Zgrzytnęły drzwi. Szedłem dalej. Kiedy stanąłem na przystanku, zrównał się ze mną.

— To o dziewczynę tak pana zaczepił? — usłyszałem.

Obok stał człowiek ubrany w płaszcz w jodełkę. Był teraz znacznie starszy niż mi się wydawało. Rzadki wianuszek siwych włosów okalał tył jego głowy.

— O jaką dziewczynę? — zapytałem.

— O tamtą w barze! Pan nie widziałeś? Ja widziałem jak się na pana patrzyła ta czarna bestyjka.

Wyjaśniłem o co chodziło.

— Patrz pan, dzisiaj to już nie ma spokoju na świecie — powiedział. — Mogą nawet zabić za parę groszy, z zimną krwią.... Ale ja się nie dziwię tej małej. Pan jest urodny chłopak.

Przez moment stary nad czymś się zastanawiał. Po chwili zaczął: — Bo tak, panie! — mówił wyraźnie ożywiony — dzisiaj to już strach się normalnie kochać, te wszystkie ajdsy i inne.... Ja to wolę po francusku. To bezpieczniej, no nie? — usiłował spojrzeć na mnie porozumiewawczo.

Zgodziłem się, że bezpieczniej. — A jak by pan nie miał gdzie spać — bo widzę, że pan przyjezdny — to ja tu niedaleko mieszkam. Darmo przenocuję...

Nadjechał właśnie autobus i nie zważając na krzyki starego wskoczyłem do środka.

Stałem od godziny na poboczu autostrady, tuż przy wyjeździe ze stacji benzynowej.

Samochód jechał dość szybko i kierowca dopiero w ostatniej chwili zobaczył, jak uporczywie machałem ręką. Zatrzymał się kilkadziesiąt metrów dalej. Podbiegłem. Tak, jechali dokładnie w tym samym kierunku co ja. Mogli mnie oczywiście podrzucić, nie było problemu. Panujący we wnętrzu mrok sprawił, że nie potrafiłem rozpoznać ich twarzy. Mężczyzna zamilkł po kilku zdawkowych słowach, oparł ręce na kierownicy i wpatrywał się w szybko znikającą pod kołami drogę. Dopiero po chwili, kiedy moje źrenice rozszerzyły się na tyle, że mogłem już wyodrębnić cienie szarości i czerni, zorientowałem się, że był jednym z ludzi, którzy niedawno w barze rozmawiali o kradzieży samochodów. Odwróciłem się. Z tyłu siedziała dziewczyna, ta sama, która tak mi się w barze uporczywie przyglądała.

Rzędy drzew po obu stronach drogi poczęły zlewać się w ściany, które już gęste, nieprzeniknione, zdawały się spotykać gdzieś tam daleko — w niewidocznym dla nikogo, ale wyobrażalnym punkcie — i łączyć z pasami asfaltu oraz nieba. Wkrótce za szybą samochodu wszystko zatraciło się we wszechogarniającej czerni, wdzierającej się do samego dna oczodołów. Było ciepło i duszno, a ból żołądka narastał — z początkowo pulsującego zaledwie miejsca, które powiększało się z każdą chwilą, pęczniał, zajmując coraz większe obszary ciała, niby puchnący na słońcu kawał końskiego ścierwa, rozpychany od środka drążeniem tysiąca robaków — tak, że czułem, jak ta bezkształtna masa dopełzała mi już pod samo gardło. Wtedy zrozumiałem, że się nie udało, i że powrót ten, obmyślany w najdrobniejszych szczegółach, pozostał do końca tylko w wyobraźni — wyobraźni człowieka na krawędzi. Usiłowałem do końca myśleć o sobie — jak nie o sobie, opowiadać o sobie — jak nie o sobie, patrzeć na siebie — jak nie na siebie. I to miało być moją ostatnią obroną. Ale teraz nie było już drogi, nie było samochodu, nie było kierowcy, nie było dziewczyny, nie było mnie.

■



Foto. ARC

# „Gdzie jest mój teatr?”

Z JERZYM MOSKALEM, rozmawia EDWARD SZOPA

**— Powstałe dzięki pańskim pomysłom i wysiłkom Centrum sygnuje się przede wszystkim dwoma elementami: trawestacją Wyspiańskiego „... a to teatr właśnie...” oraz intrygującym znaczkiem przejętym z Grotowskiego. Skąd się to wzięło?**

— To schemat przestrzeni scenicznej autorstwa Jerzego Gurawskiego — wykorzystany w „Siakuntali”, legendarnym spektaklu Teatru 13 Rzędów, reżyserowanym przez Grotowskiego. Znany architekt i scenograf wyraził w nim relację człowiek—przestrzeń. Otaczający go krąg wewnętrzny, to ten w zasięgu wzroku; krąg drugi, zewnętrzny — to ten niewidoczny, nieznany i tajemniczy, który w sposób zasadniczy wpływa na odbiór tego pierwszego. Natomiast wyimek z Wyspiańskiego jest tytułem cyklu, którego pierwsza część pt. „Postać” miała swą premierę w grudniu 1994 roku i po prezentowaniu jej przez wiele miesięcy (ponad 250 spektaklów) została zawieszona. A właściwie ustąpiła miejsca drugiej części cyklu — „Przestrzeni”, która ma za sobą już ponad 50 przedstawień...

**— Jak się pan tu, na Śląsku, znalazł?**

— Jestem drohobyczaninem. Nie ma Drohobycza w obecnych granicach Polski, a przecież był razem ze Lwowem stolicą województwa. Aż do Jałty, kiedy to w wyniku spotkania się tam czterech panów wyrwano mnie z moich korzeni. I ów akt przewrotnie ośmielono się nazwać „repatriacją”! Użyto określenia, które oznacza przecież „powrót do Ojczyzny”!.. Okrutne szyderstwo, szyderstwo historii i polityki!.. I tak, posuwając się pociągiem towarowym, południową linią kolejową wzdłuż Karpat na Zachód, rodzina moja, jak to figuruje na owej „repatriacji” — dokumencie, zabrała: „...pięć produktów żywnościowych, piętnaście przedmiotów użytku domowego, 1 maszynę do szycia i 1 kota...”. Po zatrzymaniu się „w drodze” u cioci Woyczyńskiej w Bochni, w grudniu 1945 roku — w ślad za ojcem — trafiamy do Gliwic. Ta trasa zaznaczyła się w mej pamięci odmianą dialektów i zwyczajów oraz wyraźnym elementem wizualnym łączącym owe trzy — lwowski, krakowski i śląski — okręgi. Były to strzelające w niebo szyby wydobywcze — naftowe, widoczne na borysławskich wzgórzach, solne — w Bochni, Wieliczce i węglowe — na Śląsku!

To pierwsze i wyraziste doznanie „scenograficzne” tkwi wciąż w mojej pamięci i po latach połączyło się w jeden obraz. Mówię o tym dlatego, ponieważ tutaj, na nową ziemię, trafiłem mając 15 lat i moje świadome, dojrzałe życie jest odtąd z nią związane. Tu również zacząłem urastać w dumę, że drohobyczaninami byli: Kazimierz Wierzyński i Bruno Schulz. W Drohobyczu kończył gimnazjum generał Maczek. W tym polskim tyglu różnych narodowości urodziła się wspaniała niemiecka aktorka, znana z filmu Zanussiego — Elizabeth Bergner. W powiecie drohobyckim urodził się rusiński — jak to w onych latach się mówiło — pisarz Iwan Franko. Stamtąd wywodzi się wielki malarz polski, uczeń Matejki — Maurycy Gottlieb, no i Daniel Olbrychski... To ten właśnie Drohobycz stawał się w rozmowach z moimi przyjaciółmi, Ślązakami, argumentem „przetargowym” w udowadnianiu rangi rodzinnego miasta. Przy tych też okazjach uparcie wracało wspomnienie pierwszego niemieckiego bombardowania w 1939 roku (wczesny ranek) „Polminu” — rafinerii ropy, blisko której mieszkaliśmy. Oglądany dziecięcymi oczami pożar zapadł w mojej wyobraźni i sercu na zawsze...

**— Rzeczywiście — doznania scenograficzne!..**

— Bo też ta „scenografia” tyczyła *dramatu*, który napisało mi życie. Mnie i milionom moich ziomków, którzy również znaleźli się na innej scenie...

**— Jaka była jej kolejna odsłona?**

— Po „gimnazjalnych” Gliwicach, po ogłoszeniu egzaminów do przyszłej Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, stałem się jej studentem...

**— Zainteresowania plastyczne musiały być wcześniej...**

— Z ową „repatriowaną” maszyną do szycia i ukochanym kotem, Matula w jakimś ukryciu przewiozła mój pierwszy szkolny rysunek. Wykonany w rocznicę śmierci Dziadka Piłsudskiego. Ma się rozumieć, iż wizerunek kroczącego Marszałka wyposażony został w najważniejszy atrybut — obnażoną szablę. Historia związana z tym obrazkiem miała zresztą swój dalszy ciąg, jakże niezwykły i chwytający za serce! Otóż gdy „Przekrój” pisząc o Centrum Scenografii Polskiej wymienił moje nazwisko, podając przy okazji adres instytucji, dostałem list od mojej pierwszej nauczycielki, Bożeny Bardzińskiej, wtedy panny Zawałkiewicz. A stało się to po 52 latach! Zatoczył się więc jakiś krąg życia...

**— Czy nie czas na podsumowanie, na wystawę?**

— Zabieram się do niej od wielu lat, ale teraz nie wyobrażam sobie, żeby nie zaczynała się od powiększonego rysunku Piłsudskiego, owego listu mojej pierwszej nauczycielki i kopii pierwszego klasowego świadectwa wypisanego jej ręką w 1937 roku, z wpisaną na nim tą samą ręką dedykacją z 1995 roku! Mam na razie tytuł wystawy — od czego zresztą nigdy nie zaczynam — a brzmi on: „Gdzie jest mój teatr?”...

**— Czy objęcie stanowiska dyrektora Centrum jest ukoronowaniem pańskich aspiracji twórczych?**

— Boże! Objęcie jakiegokolwiek stanowiska jest dla artysty nieszczęściem. Dla ludzi parających się tym zawodem tylko własna twórczość może być sprawdzianem jego talentu, któremu wszelkie dyrektorowania tylko przeszkadzają. Od momentu realizowania idei Centrum, z nieustannego braku czasu mój kontakt m.in. z teatrem polega na ciągłym odmawianiu współpracy. A są to niejednokrotnie ciekawe propozycje, które mogłyby się liczyć w moim „życiorysie". W instytucji, którą kieruję, nie prezentuję jednak siebie, lecz eksponuję dorobek wszystkich wielkich scenografów — ludzi stawiających kamienie milowe w rozwoju polskiego teatru.

**— Skąd ta różnorodność działań, wielofunkcyjność, wielowarsztatowość?**

— Gdy sięgnę pamięcią wstecz, uświadamiam sobie, że w Akademii kończyłem plakat i jestem zdumiony, że tak szybko ta specjalizacja, jako wyłączna, wywietrzała mi z głowy. Równocześnie 40 lat temu, zaraz po dyplomie, zadebiutowałem ilustracją w numerze sylwestrowym „Dziennika Zachodniego". Zacząłem wystawiać obrazy, grafikę, zająłem się rzeźbą, architekturą wnętrz. W tym też samym czasie poczułem teatralne ciągoty, które zaowocowały realizacjami nie tylko scenograficznymi, ale również inscenizatorskimi i scenariuszowymi.

**— A edytorstwo?**

— Rzeczywiście, zastanawiające jest jak trafiłem do nowo powstałych „Przemian", do popaździernikowego pisma 1956 roku, które — jak i cała „odwilż" — miało swój smutny finał. Tam została wydrukowana moja praca, zainspirowana stłumieniem rewolucji węgierskiej. Nie potrafię jednak powiedzieć, dlaczego po raz pierwszy sięgnąłem do techniki kolażu. Po paru latach była już redakcja „Poglądów" z tym samym redaktorem naczelnym, niezapomnianym Wilkiem Szewczykiem. I tam przez 22 lata trwania, łamy tego dwutygodnika prowokowały mnie do stosowania wielu form graficznych.

**— W „Poglądach" konsekwentnie promował pan nowe zjawiska plastyczne.**

— Uważałem to za swój obowiązek wobec środowiska artystycznego. Ale wracając do moich prac na tak zwanych łamach, to uzbierało się z nich parę wydawnictw. W ten sposób powstał m.in. „Album pisarzy śląskich", zawierający portrety w szerokim przekroju czasowym — od urodzonego w 1230 roku w Legnicy Witelona począwszy. Najbardziej istotną korzyścią z kontaktów z tym pismem było ukształtowanie się mojego redakcyjnego myślenia. To właśnie dzięki tam nabytym umiejętnościom powstał album, którego tytuł jest zarazem pierwszym zapisem o Katowicach z 1598 roku: „...Bogucice, Załęże et nova villa Katowice". Już samo odwołanie się w tytule do owego zapisu stworzyło pretekst do cofnięcia historii tej ziemi daleko poza dziewiętnastowieczną datę powstania miasta. Potem przyszła kolej na „Ilustrowany Słownik Dziejów Śląska". O ile album o Katowicach był moim autorskim scenariuszem, to do „Słownika" zrobiłem ponad 400 ilustracji ikonograficznych. Materiały do wizerunków Piastów Śląskich, ich siedzib i pieczęci wyszukiwałem w setkach książek ze źródeł polskich, niemieckich i czeskich — przekazów ikonograficznych często nie istniejących już zabytków.

**— Wróćmy do Centrum Scenografii Polskiej. Ostatnio, w konkursie „na najciekawsze wydarzenie muzealne", otrzymał pan nietypową nagrodę. Nie za wystawę muzealną — jak można by sądzić — lecz za scenariusz-komentarz, inscenizację plastyczną i reżyserię. A więc po prostu za spektakl?**

— Tak, za spektakl, który chyba powstał dlatego, że nie potrafię działać w formach zastanych i kontynuować je w nieskończoność. Wychodzę z założenia, że specyfika zbiorów scenograficznych, które są pierwociną powstawania każdego spektaklu teatralnego, specyfika projektów przeznaczonych do powiększenia ich w większej skali na scenie, prostą drogą prowadzi nie do ściany, na której po prostu będą zawieszone, lecz do stworzenia na sali ekspozycyjnej swojego rodzaju „teatru projektów". Powiększone dekoracje na całą ścianę, projekty kostiumów o wysokościach ludzkich postaci, działają w przestrzeni jako swoiste persony dramatu. Tego typu myślenie towarzyszyło mi przy organizacji wystawy Andrzeja Stopki oraz prezentacji scenografii Lidii i Jerzego Skarżyńskich. Była to jednak nieruchoma i milcząca przestrzeń. Następny zatem krok polegał na tym, co zrobiłem w cyklu „...a to teatr właśnie..."...

**— Uczestniczyłem w jednym z tych spektakli i nieodparcie towarzyszyło mi wrażenie „dziania się"...**

— ...jest to też właściwe określenie tego, co tam było wówczas prezentowane. Spektakl powstawał na oczach widza, płynący z taśmy komentarz z efektami towarzyszącymi zazwyczaj słuchowisku radiowemu, był „teatralizowany" odsłanianiem się kolejnych elementów przestrzennych, projekcji świateł, wreszcie ruchu aktorskiego. Z pustki wyłaniały się w ten sposób projekty poszczególnych kostiumów, elementy scenografii, projekcja slajdów... W paru słowach trudno opisać, co działo się przy okazji owego „uteatralniania".

**— I nadal dzieje, bo spektakle są wciąż eksploatowane.**

— Cieszy to ogromnie, zwłaszcza że uczestniczy w nich młodzież. W dodatku chwalone w sposób nietypowy w książce pamiątkowej. Przez wszystkich — od uczniów szkół podstawowych i średnich — po studentów i pedagogów.

**— Dydaktyka?**

— Jest coś niebywałego, gdy młodzież w swojej masie bardzo ekspansywna, przygotowująca się do „nudy" muzealnej poprzez wyjmowanie już w szatni chipsów, gum do żucia, i Bóg wie czego jeszcze, gdy się obserwuje jak ta młodzież wychowana na video clipach, w których jedna sekunda zapełnia się dziesiątkami obrazów, siada wokół kręgu na ziemi i od momentu pierwszych dźwięków, pierwszych słów, zapatrzona w żarówki teatralnie udające płomienie pierwotnego ogniska, daje się bez reszty wciągnąć w spektakl, poddać się jego magii, i w myśl scenariusza prowadzić po przestrzeni.

**— Zatem muzeum, a jednocześnie teatr?**

— Właśnie w ten sposób zostało wyartykułowane to, co marzyło mi się i wydawało jedynym sensem istnienia Centrum Scenografii Polskiej.

**— Dotąd nic nie powiedzieliśmy o własnych pracach scenograficznych.**

— To ponad 150 realizacji scenicznych, telewizyjnych i filmowych. W 1957 roku byłem głównym scenografem powstającego studia Telewizji Katowice. Sądzę, że ten okres, choć debiutowałem wcześniej scenografią teatralną, przyczynił się ogromnie do uświadomienia sobie mojego „mobilnego" myślenia o przestrzeni scenograficznej. Warunki zmuszały do wynalazczości trikowej w poszerzaniu, pogłębianiu i podwyższaniu niewielkiej przestrzeni dawnego studia, zwanego dziś „małym", w którym odbywają się wyłącznie rozmowy. Kto teraz uwierzy, że w owym ciasnym pudle, do „Ucieczki" Bułhakowa stało 16 obrazów scenicznych, operowały 3 kamery i tak zwany „boom", czyli wysięgnik na czterech ogumionych kołach z mikrofonem, że uwijało się 40 aktorów, a ich gra emitowana była na żywo!

Nie jest więc dziwne, że po paru latach takiej pracy w TV powróciłem do teatru. Z Lidią Zamkow, z którą współpracowałem już uprzednio w telewizji, podjęliśmy się realizacji „Zmartwychwstania" Lwa Tołstoja. Twórczość teatralną, bardzo pojemną, bo integrującą wszystkie dziedziny sztuki — literaturę, muzykę, plastykę, aktorstwo, reżyserię w jeden kształt sceniczny, uważam za najważniejszą część swej biografii artystycznej. Da się ona zamknąć ładną klamrą — zacząłem w katowickim teatrze uznanym za ogólnopolskie wydarzenie sezonu „Zmartwychwstaniem", a skończyłem nagrodzoną za „inspirującą aktorów scenografię" na Festiwalu w Kaliszu, zrealizowaną na tejże scenie „Końcówką" Becketta. Tak więc mój najaktywniejszy okres teatralny zamyka się między zmartwychwstaniem a końcówką... Ale mimo iż — jak wspomniałem — nie mam czasu na przyjmowanie propozycji, to przecież śnią mi się w nocy moje wielkie, nie zrealizowane teatry, obrazy, przestrzenie... ■

**Pytanie w sam raz na taki okres, gdy sportowy świat czeka na sygnał rozpoczęcia olimpiady: kto był pierwszym śląskim olimpijczykiem?**

JANUSZ JELEŃ

# Nasi olimpijczycy

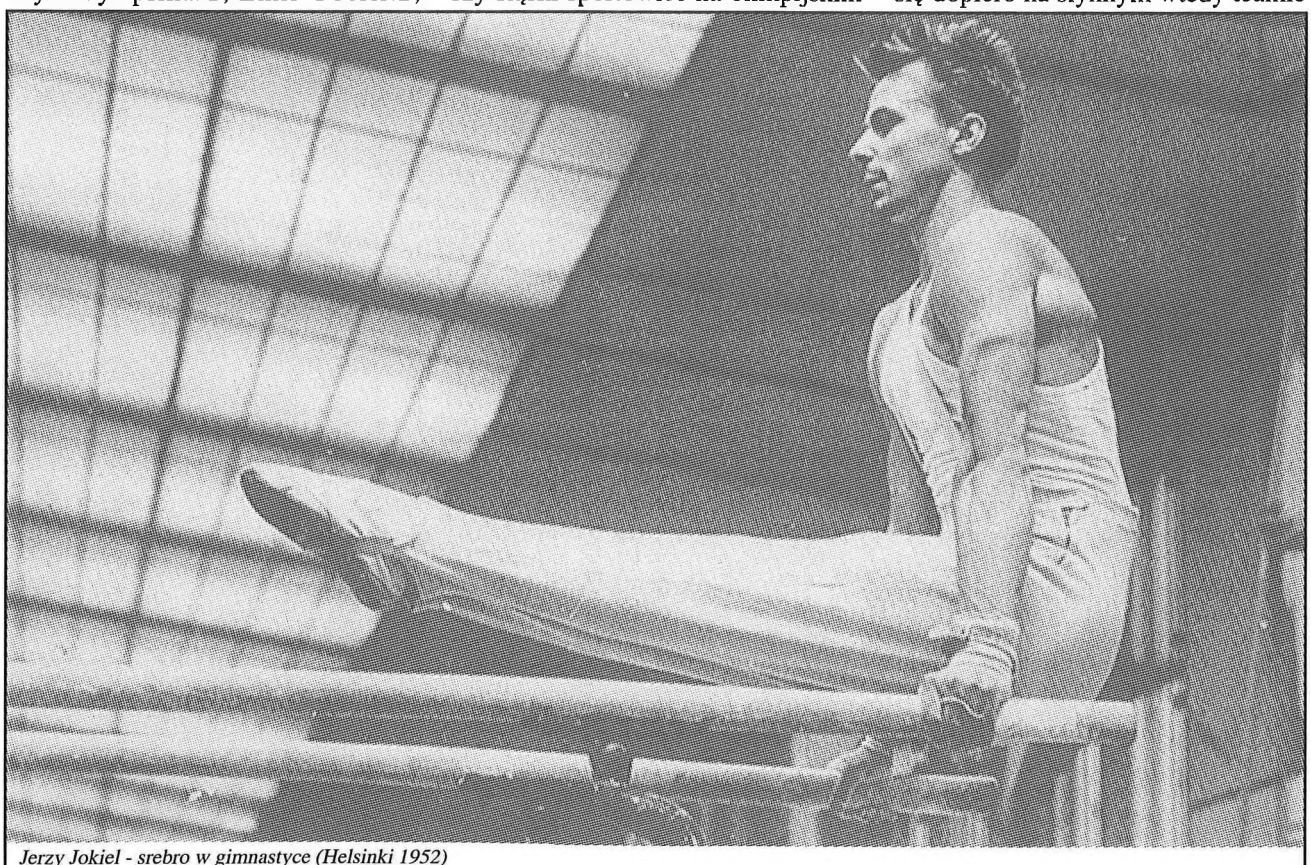
Pozornie prosta odpowiedź co nieco się skomplikowała w świetle materiałów, publikowanych od początku roku olimpijskiego 1996. W jednej z gazet przeczytałem oto, że George Gaidzik, który wspólnie z Niemcem Gottlobem zdobył brązowy medal w skokach z trampoliny, a reprezentujący wtedy, czyli na olimpiadzie w Londynie, przed niespełna dziewięćdziesięciu laty USA, był synem śląskiego emigranta, urodzonym, żeby z pochodzeniem nie było żadnych wątpliwości, w Chropaczowie. George, czyli Jorguś,jakbyśmy go na śląskiej ziemi nazywali, niestety, już nie żyje, dziś musiałby mieć ponad sto lat, co oznacza, że rzecz jest nie do sprawdzenia.

Przyjmując więc, że za śląskich olimpijczyków będziemy uważali wyłącznie sportowców śląskich klubów, odpowiedź na pytanie, postawione na wstępie, musi brzmieć tak: pierwszym był piłkarz, Emil Goerlitz, bramkarz IFC Katowice. Zabrał się z reprezentacją, którą wyekspediowano do Paryża w 1924 roku, ale zaszczytu debiutu nie dostąpił, gdyż w jednym meczu, jaki Polacy na olimpijskiej arenie rozegrali i dostali mocno w skórę od Węgrów, zastąpił go podobno lepszy wtedy Wiśniewski.

Są i tacy, którzy rodowodu śląskich olimpijczyków szukają jeszcze wcześniej, zanim znaleziono trop Gajdzika, vel Gaidzika, gdyż strzelec Reszke, z konieczności, wskutek zaborów reprezentujący Rosję, był także de domo Ślązakiem, ale my przyjęliśmy żelazną zasadę: za śląskiego olimpijczyka będziemy uważali tylko tych sportowców, którzy w czasie olimpijskiego startu byli członkami śląskich klubów. A jeśli tak, to do dzieła, przypomnijmy ludzi i okoliczności.

Zanim odpowiemy na następne pytanie: jak nazywał się pierwszy śląski sportowiec na olimpijskim podium, krótka retrospekcja z okresu poprzedzającego drugą wojnę światową. Oficjalnie olimpijska przygoda białoczerwonych trwa od 1924 roku, gdy letnie igrzyska olimpijskie organizował Paryż, ale tam prócz Goerlitza nie było żadnego Ślązaka. A kto w okresie międzywojennym był najbliżej podium? Piłkarze twierdzą, że to oni, szermierze uważają, że nie, bo to oni, ale faktem pozostanie, że jedni i drudzy występowali w drużynach, które zajęły najlepsze z niemedalowych miejsc, czyli czwarte.

W kadrze tych pierwszych występowało na berlińskiej olimpiadzie aż pięciu „karlusów" — dwóch ruchowców z Wielkich Hajduk, czyli Gerard Wodarz i Teodor Peterek, Ewald Dytko z Dębu Katowice, Hubert God ze Śląska Świętochłowice i Ryszard Piec z Naprzodu Lipiny. I to z jakim skutkiem — pobili Węgrów, dołożyli Wielkiej Brytanii, załamali się dopiero na słynnym wtedy teamie



*Jerzy Jokiel - srebro w gimnastyce (Helsinki 1952)*

Austriaków, co sprawiło, że z wielkich — po zwycięstwie nad Madziarami — planów wyszedł mecz o trzecie miejsce, z Norwegią. Niestety, przegrany. Ale komu się wydaje, że dwa olimpijskie medale piłkarzy to dzieło wyłącznie najlepszej dla tego sportu dekady lat siedemdziesiątych, niech pamięta, że bardzo bliscy szczęścia byli oni już w Berlinie, czyli w 1936 roku.

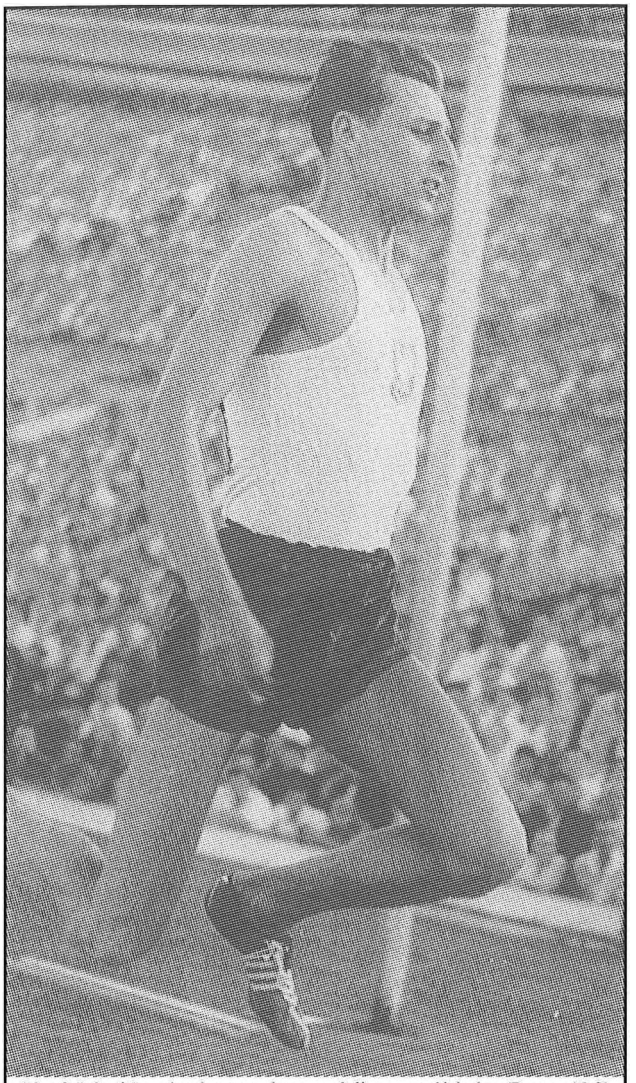
Szabliści jechali na brunatną olimpiadę, jak nazwano igrzyska berlińskie, prawie w ciemno. Nie znali swoich sił, mieli mało międzynarodowych kontaktów, więc jak przyszła wiadomość, że zajęli czwartą lokatę, uznano to za miłą niespodziankę. Duży udział w niej miał sklasyfikowany na siódmym miejscu w turnieju indywidualnym Antoni Sobik z PKS-u Katowice i jego kolega klubowy, Teodor Zaczyk. Obaj to przepiękny epizod z historii polskiej szermierki. Obu zabrakło do osiągnięcia 90 lat zaledwie dni, zarówno jeden jak i drugi wychowali liczny zastęp wspaniałych mistrzów fechtunku, medalistów największych wydarzeń sportowych.

Ale pierwszy wrócił z igrzysk na Śląsk z medalem nie piłkarz i nie szermierz tylko gimnastyk, Jerzy Jokiel. Ten pierwszy, najważniejszy. Gdy sympatyczny blondynek z Pogoni Nowy Bytom pojawił się w macierzystym klubie po powrocie z Helsinek, co nastąpiło 4 sierpnia1952 roku, zrobiono fetę na sto fajerek. „Tamta olimpiada — jak kiedyś żartował w rozmowie ze mną pierwszy śląski medalista — trwa nieprzerwanie aż do chwili obecnej, gdyż podczas finałowej ceremonii ówczesny prezydent Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, Szwed Edstroem zapomniał wygłosić protokolarnej formuły zamknięcia olimpiady".

Jerzy Jokiel ożenił się, jakże by wypadało inaczej, oczywiście z gimnastyczką, Dorotą Horzonek, też medalistką olimpijską, udekorowaną cztery lata po sukcesie męża, wraz z drużyną, brązowym medalem. A żeby saga była dopełniona, z gimnastycznego małżeństwa urodziła się dziewczynka, Anita, oczywiście też gimnastyczka i olimpijka, ale już nie medalistka. Mając niespełna 14 lat, Anita reprezentowała nasz kraj na olimpiadzie w Moskwie, gdzie na równoważni okazała się z Polek najlepsza.

Wracając do Helsinek, poza Jokielem nie było się kim chwalić. Może tylko liczbowym udziałem Ślązaków w reprezentacji piłkarskiej. Ilu ich pojechało? Policzmy: Henryk Alszer, Hubert Banisz, Gerard Cieślik, Jerzy Krasówka, Jan Wiśniewski, Ewald Cebula, Czesław Suszczyk, Kazimierz Trampisz, Paweł Sobek i Edward Szymkowiak — razem aż dziesięciu, a z samego tylko Ruchu Chorzów pięciu. Żeby jeszcze w parze z ilością mogła iść jakość... Niestety, po zwycięstwie nad Francją nastąpiła porażka z Danią i to był koniec przygody.

Najwyżej po Jokielu mieliśmy w Helsinkach sklasyfikowanych szablistów, z racji wieku nazywanych przez świat „cudownymi dziećmi". Wtedy po raz pierwszy usłyszeliśmy nazwisko Zygmunta Pawlasa, który wraz z Pawłowskim, Zabłockim i resztą kolegów doszedł do piątego miejsca w turnieju drużynowym. Ile olimpiad zaliczył pan Zygmunt, tego dokładnie nie wiadomo, gdyż po zakończeniu pięknej kariery sportowej uczestniczył jeszcze przez wiele lat jako sędzia międzynarodowy, nie tylko w igrzyskach, ale i mistrzostwach świata. A oprócz tego tworzy wraz z małżonką Elżbietą, z domu Mnichówną, najlepiej chyba dobraną parę małżeńską olimpijczyków. Pani Ela, zanim ją Zygmunt porwał z rodzinnej Gdyni do Katowic gdzie wraz z Górnikiem zdobywała seryjnie tytuły mistrzów Polski, była pierwszą polską finalistką turnieju olimpijskiego florecistek, co działo się w Rzymie, roku 1960.



*Józef Schmidt - dwukrotny złoty medalista w trójskoku (Rzym 1960, Tokio - 1964).*

Z dalekim Melbourne, które organizowało olimpiadę w 1956 roku, łączy się wspomnienie zawrotnego awansu szablistów, z czasem nie mających w świecie równych sobie. O cztery lata starsze „cudowne dzieci" polskiej szermierki zdobyły srebrny medal turnieju drużynowego, na który wraz z Pawłowskim i Zabłockim rzetelnie pracowali dwaj reprezentanci śląskich klubów; oprócz Zygmunta Pawlasa, Ryszard Zub. Ten drugi, to niezwykle barwna postać i zarazem oryginalny multimedalista. Dla Polski zdobył w drużynie trzy medale, dla Włoch, które stały się jego drugą ojczyzną nieporównanie więcej. W rok po emigracji, trzeba dodać koniecznej, jako że nasza bezinteresowna życzliwość przyjmuje niekiedy różne formy, Zub już był trenerem kadry szablowej Italii. Jego autorytet, umacniany w miarę upływu lat, w trakcie walki o coraz to nowe tytuły i medale, da się dziś porównać chyba tylko z tym, co dla polskiej piłki nożnej zrobił Kazimierz Górski. Spod ręki maestro Zuba wychodzili zwycięzcy olimpiad i mistrzostw świata, z czasem przejął opiekę szkoleniową nad floretami, a w końcu, ale to już współczesność, nad całą włoską szermierką.

Z Rzymem roku 1960 łączy się początek „Kangura", czyli wspaniałego trójskoczka, który uczestnicząc w trzech olimpiadach zdobył dla Polski dwa złote medale. Józef Schmidt, czy Waldemar Legień, też dwukrotnie złoty, nasz najznamienitszy dżudoka — oto jest pytanie, gdy zastanawiamy się, który olimpijczyk śląskich klubów sportowych zrobił dla polskiego sportu najwięcej. Nie uważam, żeby istniała potrzeba rozstrzygania takich wątpliwości. Tego rodzaju problemem niech się zajmują uczestnicy różnego rodzaju plebiscytów, dla nas obaj zrobili to samo.

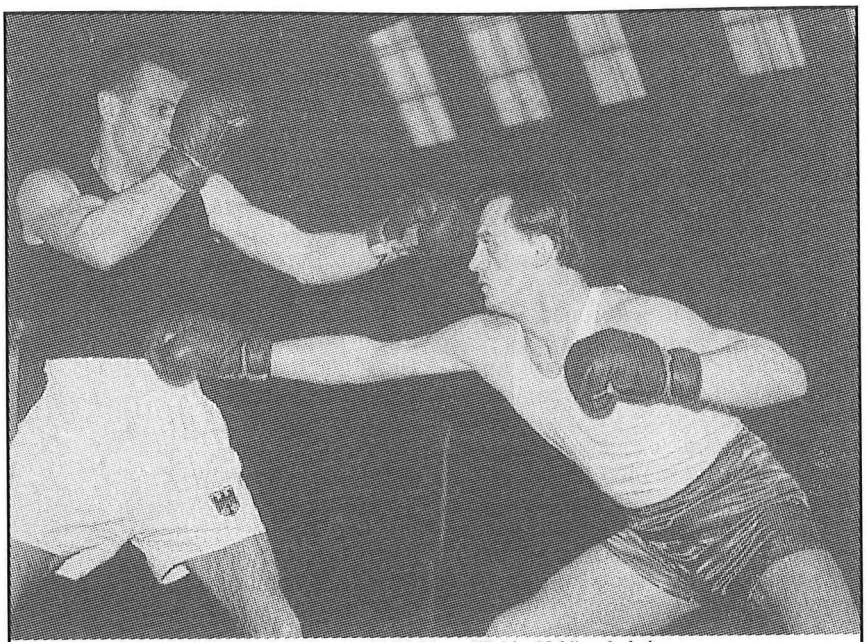
Chociaż... Józef Schmidt to nie tylko dwukrotny mistrz olimpijski, ale zarazem jeden z najbardziej wszech-

## Honorowa lista śląskich medalistów

**ZŁOTO:** **Waldemar Legień** (Czarni Bytom) — dwukrotnie. W 1988 w Seulu, w dżudo, waga do 78 kg i w 1992 w Barcelonie, w wadze do 86 kg. **Józef Szmidt** (Górnik Zabrze) także dwukrotnie w trójskoku. W Rzymie w 1960 — 16,81 i w Tokio — 16,85.

Po jednym razie: **Egon Franke** (Piast Gliwice) — floret indywidualny — Tokio, 1964, **Halina Górecka** (Górnik Zabrze) — sztafeta pań 4x100 m. Tokio **Marian Kasprzyk** (BBTS Bielsko) — boks, waga półśrednia, Tokio, 1964, **Zygmunt Anczok** (Górnik Zabrze) — piłka nożna, Monachium, 1972, **Jerzy Gorgoń** (Górnik Zabrze) — piłka nożna, Monachium, 1972, **Andrzej Jarosik** (Zagłębie Sosnowiec) — piłka nożna, Monachium, 1972, **Hubert Kostka** (Górnik Zabrze) — piłka nożna, Monachium, 1972, **Włodzimierz Lubański** (Górnik Zabrze) — piłka nożna, Monachium, 1972, **Joachim Marx** (Ruch Chorzów) — piłka nożna, Monachium, 1972, **Zygmunt Maszczyk** (Ruch Chorzów) — piłka nożna, Monachium, 1972, **Marian Ostafiński** (Ruch Chorzów) — piłka nożna, Monachium, 1972, **Zygmunt Szołtysik** (Górnik Zabrze) — piłka nożna, Monachium, 1972, **Tadeusz Ślusarski** (Górnik Zabrze) — tyczka, 5,50 — Montreal, 1976, **Ryszard Bosek** (Płomień Milowice) — siatkówka, Montreal, 1976, **Wiesław Gawłowski** (Płomień Milowice) — siatkówka, Montreal, 1976, **Włodzimierz Sadalski** (Płomień Milowice) — siatkówka, Montreal, 1976, **Zbigniew Zarzycki** (Płomień Milowice) — siatkówka, Montreal, 1976.

**SREBRO:** **Ryszard Zub** (Baildon Katowice) — dwukrotnie. W Melbourne, 1956 i w Rzymie, 1960 — szabla turniej drużynowy. Jednokrotnie: **Jerzy Jokiel** (Pogoń Nowy Bytom) — gimnastyka, ćwiczenia wolne, Helsinki, 1952, **Zygmunt Pawlas** (Górnik Katowice) — szabla turniej drużynowy, Melbourne, 1956, **Zbigniew Pietrzykowski** (BBTS Bielsko) — boks, waga półciężka, Rzym, 1960, **Egon Franke** (Piast Gliwice) — floret indywidualny, Tokio 1964, **Lucjan Lis** (Ruch Radzionków) — kolarski wyścig drużynowy, Monachium, 1972, **Jan Benigier** (Ruch Chorzów) — piłka nożna, Montreal, 1976, **Jerzy Gorgoń** (Górnik Zabrze) — piłka nożna, Montreal, 1976, **Zygmunt Maszczyk** (Ruch Chorzów) — piłka nożna, Montreal, 1976, **Roman Ogaza** (GKS Tychy) — piłka nożna, Montreal, 1976, **Grzegorz Cziura** (Górnik Siemianowice) — podnoszenie ciężarów, kogucia, Montreal, 1976, **Zbigniew Jaremski** (Górnik Zabrze) — sztafeta 4x400 m. Montreal, 1976, **Jan Pietrzyk** (Górnik Zabrze) — sztafeta 4x400 m. Montreal, 1976, **Wojciech Rudy** (Zagłębie Sosnowiec) — piłka nożna, Montreal, 1976, **Andrzej Szarmach** (Górnik Zabrze) — piłka nożna, Montreal, 1976, **Henryk Wieczorek** (Górnik Zabrze) — piłka nożna, Montreal, 1976, **Roman Bierła** (GKS Katowice) — zapasy styl klas. ciężka, Moskwa, 1980, **Jan Dołgowicz** (GKS Katowice), zapasy, styl klas. średnia, Moskwa, 1980, **Andrzej Supron** (GKS Katowice) — zapasy, styl klas. lekka, Moskwa, 1980, **Krzysztof Zwoliński** (Victoria Racibórz) — sztafeta 4x100 m Moskwa, 1980, **Marek Dopierała** (Górnik Czechowice), kajakarstwo, C-2, 500 m Seul, 1988, **Andrzej Sypytkowski** (Krupiński Suszec) — kolarski wyścig drużynowy, Seul, 1988, **Dariusz Gęsior** (Ruch Chorzów) — piłka nożna, Barcelona, 1992, **Dariusz Kosela** (Górnik Zabrze) — piłka nożna, Barcelona, 1992, **Ryszard Staniek** (Górnik Zabrze) — piłka nożna, Barcelona, 1992, **Tomasz Wałdoch** (Górnik Zabrze) — piłka nożna, Barcelona, 1992, **Piotr Świerczewski** (GKS Katowice) — piłka nożna, Barcelona, 1992.



*Zbigniew Pietrzykowski - srebro (Rzym 1960) i brąz (Tokio 1964) w boksie.*

stronnych lekkoatletów Polski lat sześćdziesiątych. Był trzynastokrotnym mistrzem kraju, nie tylko w trójskoku, ale także w skoku w dal i w sztafecie 4x100 metrów, ponadto dwukrotnym mistrzem Europy, no i, co ludzie mojego pokolenia pamiętają zapewne szczególnie dobrze, rekordzistą świata. Tak jest, tamtego wyczynu z Olsztyna, na kilka zaledwie tygodni przed wyjazdem na olimpiadę w Rzymie, gdy nasz „Kangur" wylądował na niedostępnej dla żadnego człowieka w tej specjalności odległości 17,03, nie da się zapomnieć. To było coś, o czym mówił cały świat.

Nękany kontuzjami i chorobami, niezłomny sportowiec, wychowany w Michałkowicach, a edukowany sportowo w Górniku Zabrze, powtórzył cztery lata po triumfie w Rzymie wyczyn w Tokio, gdzie znowu powieszono na jego piersi złoty medal. To jeszcze nie oznaczało końca wielkiej kariery. Pojechał także na trzecie w jego życiu igrzyska, ale siódme miejsce dla eks-rekordzisty świata oznaczało tyle, że czas kończyć. Osiadł na stałe w Niemczech, co część opinii miała mu za złe, dopiero parę lat temu przyjechał do Zabrza, gdzie podobno szukał odpowiedniego miejsca na jesień życia.



*Egon Franke - złoto (Tokio 1964), srebro (Tokio1964) i brąz (Meksyk 1968), we florecie indywidualnym i drużynowym.*

Ale Rzym, to nie tylko Schmidt. Będą tacy, którzy zapamiętają go głównie dla finałowej walki turnieju bokserskiego, w którym przeciwnikiem naszego Zbigniewa Pietrzykowskiego był sławny później zawodowy mistrz wszechwag Cassius Clay, vel Muhammad Ali. Władysław Minkiewicz, autor pięknej książki „Olimpijska gorączka" tak pisze o tym wydarzeniu: *Z jednej strony 25-letni bokser z Bielska, wtedy już trzykrotny mistrz Europy, z drugiej liczący zaledwie 18 lat Murzyn amerykański. W dwóch pierwszych rundach Polak był lepszy od rywala, ale jego potężne ciosy, którymi zwykle nokautował przeciwników, wydawały się nie robić wrażenia na Clayu. Role odwróciły się w trzecim starciu, gdy Clay przeszedł do zdecydowanego ataku, odrabiając z nawiązką straty i zdobywając złoty medal.*

Jeszcze dzisiaj, a więc 36 lat po tamtym finale, poseł Pietrzykowski musi do niego wracać, żeby odpowiedzieć na często ponawiane pytanie — jak pan to zrobił, że pan przetrwał trzy rundy z takim zabijaką...

Na koniec wspomnień o Rzymie zostawiłem sobie postać, choć nie nagrodzoną medalem olimpijskim, to przecież jednak stale obecną w galerii najwybitniejszych sportowców Śląska. Jerzy Chromik, rodem z Kosztowów, pierwszy po wojnie polski rekordzista świata w lekkiej atletyce, był w latach pięćdziesiątych filarem słynnego wunderteamu. Jedenastokrotny mistrz Polski na dystansach 5 i 10 km, a przede wszystkim

w biegu na 3 km z przeszkodami, wielki rywal Zdzisława Krzyszkowiaka, źle znosił presję odpowiedzialności za start olimpijski. W Melbourne odpadł w przedbiegach, w Rzymie to samo. Zapomnianego po latach inż. Chromika, który jakby ze współczesnym sportem nie chciał mieć nic wspólnego, przypomniałem opinii sportowej zgłaszając go do cenionej nagrody „Kalos kagathos". Wygrał raz jeszcze, ale w jakiś czas po tym opuścił nas na zawsze, gdy serce odmówiło posłuszeństwa.

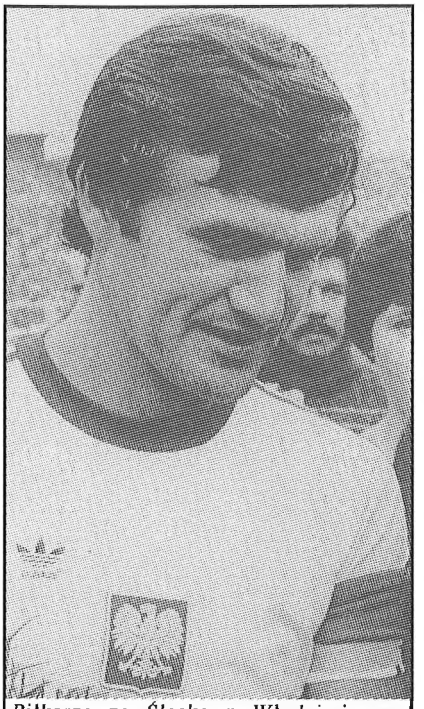
Tokio ozłociła nam trójka różnych specjalności: florecista Egon Franke z Gliwic, pięściarz Marian Kasprzyk z Bielska-Białej i wspaniała sprinterka o trzech nazwiskach — Halina Górecka-Richter, Hermann, z Górnika Zabrze.

Wielki wyczyn Frankego polegał na tym, że nękany chorobami pojechał do Japonii jako rezerwowy, a do turnieju indywidualnego został zgłoszony na odpowiedzialność szefa szkoleniowego związku szermierczego i zarazem jego trenera klubowego, Zbigniewa Czajkowskiego, dziś profesora AWF Katowice. Rezerwowy doszedł do finału olimpijskiego i jakby tego było mało wygrał z ówczesnym królem floretu, czyli najbardziej klasycznej broni szermierczej, Jean-Claude'em Magnanem. Do złota dołożył srebro w turnieju drużynowym uzyskane wraz z Parulskim, Woydą i Skrudlikiem.

Natomiast Kasprzyk przeszedł do historii jako sportowiec niesłychanego hartu ducha. Już w pierwszej rundzie walki z reprezentantem ZSRR, Rikardasem Tamulisem, doznał złamania kciuka. Mimo to do końca pojedynku nie dał po sobie poznać, że mu cokolwiek dolega. Wygrał, czyli dokonał więcej niż jego wielki kolega klubowy, Pietrzykowski.

Pani Halina biegła na przedostatniej zmianie najlepszej w historii naszej lekkoatletyki sztafety kobiecej 4x100 metrów. Zaczynała Ciepła, druga była Irena Szewińska, jeszcze wtedy Kirszenstein, po niej Richter i na koniec kobieta — tajfun, czyli Ewa Kłobukowska. Musi minąć chyba wiek, żebyśmy mogli znów mieć taką sztafetę, która w Tokio nie tylko zdruzgotała rywalki, ale jeszcze ustanowiła rekord świata.

Po słabym dla nas Meksyku, Monachium obrodziło medalami Ślązaków głównie dzięki piłkarzom. W kadrze Kazimierza Górskiego było ich aż dziewięciu i jakkolwiek trudno byłoby ustalić czyj udział znaczył najwięcej, zasługi Lubańskiego, Szołtysika, Kostki, Anczoka i pozostałej piątki, w przetarciu szlaku dla reprezentacji, która w latach siedemdziesiątych stała się hitem światowym, są niepodważalne. Tak jest, to ten pierwszy i jak dotąd jedyny złoty medal piłkarzy otworzył okno na świat, pozwolił uwierzyć, że najbardziej popularna w Polsce, a na Śląsku tym bardziej, dyscyplina, potrafi odwzajemnić wieloletnie tęsknoty.



*Piłkarze ze Śląska z Włodzimierzem Lubańskim (na zdjęciu) byli podstawą polskiej drużyny piłkarskiej, która zdobyła złoty medal w Monachium w 1972 roku.*

Tyle samo radości mieliśmy cztery lata później w Montrealu dzięki siatkarzom, z których czwórka: Ryszard Bosek, Wiesław Gawłowski, Włodzimierz Sadalski i Zbigniew Zarzycki występowała na co dzień w klubowej drużynie Płomienia Milowice, notabene zdobywcy Pucharu Europy. Chodzą słuchy, że teraz, po dwudziestoletniej przerwie, możemy znów mieć reprezentację na miarę tamtej, która wygrywała mistrzostwa świata i olimpiadę, ale czy w to wierzyć, gdy tak długo była bryndza? Olimpijskie laury Śląska pomnożył w Montrealu tyczkarz Tadeusz Ślusarski, jakkolwiek tylko formalnie związany z naszym regio-



*Włodzimierz Legień - dwukrotny złoty medalista w dżudo (Seul 1988, Barcelona 1992)*

## Honorowa lista śląskich medalistów

**BRĄZ:** dwukrotnie — **Krystyna Czajkowska** (Kolejarz Katowice) — siatkówka, 1964, Tokio i 1968, Meksyk, **Leszek Błażyński** (BBTS Bielsko i Szombierki) — boks, musza, Monachium, 1972 i Montreal, 1976, **Czesław Kwieciński** (Siła Mysłowice) — zapasy, styl klas. półciężka i ciężka, Monachium 1972, Montreal, 1976.

Jednokrotnie: **Dorota Horzonek-Jokiel** (Pogoń Nowy Bytom) — gimnastyka, drużyna, Melbourne, 1956, **Natalia Kot-Wala** (Jedność Michałkowice) — gimnastyka, drużyna, Melbourne, 1956, **Halina Górecka-Richter** (Górnik Zabrze) — sztafeta 4x100 m Rzym, 1960, **Marian Kasprzyk** (BBTS Bielsko) — boks, półśrednia, Rzym, 1960, **Zbigniew Pietrzykowski** (BBTS Bielsko) — boks, półciężka, Tokio, 1964, **Egon Franke** (Piast Gliwice) — floret drużynowy, Meksyk, 1968, **Bogdan Gonsior** (Piast Gliwice) — szpada drużynowa, Meksyk, 1968, **Zbigniew Kaczmarek** (Górnik Siemianowice) — podnoszenie ciężarów, lekka, Monachium, 1972, **Mieczysław Wojczak** (Pogoń Zabrze), piłka ręczna, Montreal, 1976, **Tadeusz Dembończyk** (Śląsk Tarnowskie Góry) — podnoszenie ciężarów, kogucia, Moskwa, 1980, **Lucyna Langer** (GKS Tychy) — 110 m ppł. Moskwa, 1980, **Marek Seweryn** (HKS Szopienice) — podnoszenie ciężarów, piórkowa, Moskwa, 1980, **Marek Dopierała** (Górnik Czechowice) — kajakarstwo, C-2 na 1000 m Seul, 1988, **Grzegorz Kotowicz** (Górnik Czechowice) — kajakarstwo, C-2 na 1000 m Barcelona, 1992, **Ryszard Zub** (Baildon Katowice) — szabla drużynowa, Tokio, 1964.

## Spadamy!

Śląsk był zazwyczaj bardzo cenionym „zaopatrzeniowcem" reprezentacji Polski na letnie olimpiady. Przez długie lata w nieoficjalnej rywalizacji regionów, województwo katowickie ustępowało jedynie stolicy. Teraz, choć w chwili, gdy to piszemy (26 maja) nie wiadomo jeszcze ile ostatecznie będzie liczyła polska ekspedycja olimpijska, regres Śląska już jest zjawiskiem nieodwracalnym. Ilustruje to skład kadry olimpijskiej drugiego kwartału 1996, w układzie województw: 1. Warszawa — 35 zawodników, 2. Wrocław — 23, 3. Poznań — 21, 4. Gdańsk — 19 i dopiero na piątym miejscu Katowice z piętnastoma kadrowiczami.

Kogo interesują szczegóły: najliczniejszą grupę w tej piętnastce tworzą zapaśnicy — 5, na drugim miejscu są dżudocy z trzema kadrowiczami, bokserzy mają podobnie jak kajakarze po dwóch kadrowiczów, a uzupełniają tę nieliczną gromadę sztangiści, tenisiści ziemni i stołowi, po jednym kadrowiczu.

## Przodują piłkarze

We wszystkich olimpiadach letnich uczestniczyło 248 zawodników ze śląskich klubów. Najliczniej reprezentowani są w tej grupie piłkarze - 41. Aż dziewięciu z nich nagrodzonych zostało złotymi medalami, co działo się w 1972 roku, w Monachium.

Drudzy na liście są lekkoatleci: 25 olimpijczyków, a trzeci — zapaśnicy stylu klasycznego — 23. Najskromniejszy udział mają koszykarze, z których tylko Justyn Węglorz występował w reprezentacji olimpijskiej. Dżudocy Śląska awansowali trójką zawodników i jedną zawodniczką, ale ich udział ma szczególne znaczenie, sam tylko Waldemar Legień zdobył dwa złote medale!

nem, głównie dzięki warunkom, jakie wtedy oferował bogaty Górnik Zabrze. Pierwszy na pomoście ciężarowców był także w tradycyjnie, dzięki Baszanowskiemu, polskiej wadze, czyli lekkiej — Zbigniew Kaczmarek z Siemianowic, ale parę miesięcy po igrzyskach MKOl odebrał mu medal wskutek dowiedzionego używania środków dopingujących.

Moskwa, choć ze względów politycznych, mocno kadłubowa pod względem liczby uczestniczących państw, nie ozłociła żadnego ze sportowców naszego regionu, w Los Angeles, znów z powodów wyższej polityki, Polacy nie startowali.

Wreszcie był Seul, a wraz z nim wspaniały sukces dżudoki Czarnych Bytom, Waldemara Legienia.

Dżudo jest uszlachetnioną odmianą dżu-dżitsu (ju-jitsu) powstałego w Japonii, ale uprawianego nader powszechnie w całej niemal Azji. Więc jak ten kontynent doczekał się po raz drugi, po Tokio, igrzysk olimpijskich, to kto w dżudo miał zdobywać medale? Przede wszystkim Japończycy. Legień temu zaprzeczył i dlatego był wielki. Wygrał w jednej z najbardziej japońskich kategorii, jaką dotąd była waga 78 kg. I żeby nikt nie powiedział, że to przypadek, cztery lata później, w Barcelonie, znów mu zagrano Mazurka. Tyle że już za zwycięstwo nie w kategorii 78 kg, tylko o oczko wyżej — 86 kg. Jego trener, obecny prezes Polskiego Związku Judo — Józef Wiśniewski, co jedno z drugim ma logiczną korelację, tak ocenia najlepszego u nas dżudokę w historii tego sportu: *To sportowiec pojmujący sport na miarę naszych czasów. Autentyczny profesjonalista potrafiący temu, co robił na tatami, podporządkować całe swe życie.* Dziś Waldemar Wielki, jak nazwała prasa sportowa Legienia po tym, jak się okazało, że jego złoto z Barcelony jest dwusetnym medalem Polaków na letnich olimpiadach, uczy Francuzów.

A gdzie są ci — może ktoś zapytać — wielcy sportowcy regionu, którzy tu urodzeni i wychowani, z różnych powodów występowali później w klubach innych regionów Polski? Przecież nie można przy takiej okazji nie wspomnieć o tak wspaniałych sportowcach, jak Janusz Sidło z Szopienic, Jerzy Kulej z Częstochowy, Henryk Kasperczak z Zabrza, czy świetny kiedyś sprinter, Zdobysław Stawczyk z Częstochowy, że wymienię tylko tych najbardziej znanych? Oczywiście że wypadałoby, ale skoro przyjęliśmy określone na wstępie zasady, to co było robić?

Może kiedy indziej, przy podobnej okazji...

■

## POCZET TUZÓW ŚLĄSKICH

Rysuje Eugeniusz Rzeżucha



## ANTEK RUCH-PIECHNICZEK

# wędrówki po kinie

# Pogoda dla kiniarzy

Do niedawna wszędzie na Górnym Śląsku kina zamykano, podobnie jak i w całym kraju. Teraz te same sale otwierane są ponownie. Nastała znowu pogoda dla kina.

I znowu, jak przed wojną, pojawili się kiniarze. Pojawili się przed kilku laty, gdy po dziesięcioleciach państwowego monopolu, można było poprowadzić kino na własny rachunek. Najpierw byli to ajenci katowickiej Okręgowej Instytucji Rozpowszechniania Filmów (pierwszym kinem ajencyjnym była „Uciecha" w Ząbkowicach Będzińskich w 1988 roku), a potem pojawili się po prostu przedsiębiorcy dzierżawiący sale, czyli właśnie kiniarze.

Poważniejsze zmiany stały się możliwe w 1990 roku, gdy nastała swoboda w działalności gospodarczej; prowadzenie kina należy do tej kategorii. Ale to przedwojenne określenie — „kiniarze", które z powrotem się przyjęło, dotyczy teraz także kierowników kin państwowych, samorządowych, społecznych, słowem wszystkich prowadzących kina.

Zainicjowana w 1990 roku reforma nie przyniosła natychmiastowych efektów. Tym bardziej że zbiegła się z boomem wideo. Zmiany okazały się zresztą połowiczne, skoro w gestii państwa pozostały najlepsze sale (na terenie Śląska kinami państwowymi administruje obecnie Państwowa Instytucja Filmowa „Silesia Film"). Gdy frekwencja nieustannie spadała, zrujnowane śląskie kina (po wojnie zbudowano od podstaw zaledwie kilka) po kolei zamykano. Aż wreszcie z dawnych 300 sal kinowych (tyle ich było na terenie katowickiego, bielskiego, częstochowskiego i opolskiego jeszcze na początku lat osiemdziesiątych) pozostało po dziesięciu latach coś koło czterdziestu. Dno przypadło gdzieś w roku 1992.

Ale jesienią 1993 roku, po premierze „Parku Jurajskiego" Spielberga, tendencja spadkowa została powstrzymana. Do kina zaczęła wracać młodzież, której widocznie przejadły się kasety. I nagle kino stało się intratnym biznesem, przynajmniej w dużych miastach, co wpłynęło pozytywnie na przemiany w całej branży. Od tamtego czasu frekwencja wzrasta corocznie, chociaż bilety drożeją jeszcze szybciej. Już brakuje sal kinowych, które przed kilku laty pozamieniano na hurtownie.

Zmiany widoczne są także na Górnym Śląsku. W Bytomiu, gdzie przez bodaj dwa lata nie było kina wcale, otwarto po generalnym remoncie „Glorię", należącą dzisiaj do najładniejszych i najbardziej funkcjonalnych sal w regionie. A całkiem niedawno właściciele „Glorii" otwarli też salę w Czeladzi, pierwszą w tym mieście od lat kilkunastu. W Chorzowie otwarto po zasadniczym remoncie „Panoramę", jedyne na Górnym Śląsku kino dwusalowe. W Mysłowicach, gdzie niedawno nie było żadnego kina, istnieją teraz aż trzy sale.

Te pozytywne przemiany są dziełem przede wszystkim prywatnych kiniarzy. Najczęściej są to dawni kierownicy kin, którzy przejęli je jako dzierżawcy. Ale nie tylko. Najlepsze na Śląsku kino „Świt" w Czechowicach-Dziedzicach prowadzą ludzie wyrośli z ruchu dekaefowskiego, a kino jest samorządowe. Także trzy kina gliwickie („Bajka", „Kinoteatr X" i „Amok") prowadzą osoby wywodzące się z tego środowiska. I gliwickie kina należą do najlepszych na Śląsku.

Nowe środowisko kiniarzy tak naprawdę dopiero się kształtuje. Nawet nie ma jeszcze swojej regionalnej reprezentacji; przed wojną istniało Stowarzyszenie Właścicieli Teatrów Świetlnych. Zdarzają się jeszcze ludzie przypadkowi. Jednak coraz więcej takich, którzy myślą o przyszłości, jak choćby właściciele wspomnianej już „Glorii", którzy dla honoru domu otwarli coś w rodzaju klubu filmowego.

Dzisiaj w regionie (cztery województwa) pracuje ponad 60 sal kinowych. Z rankingu pisma branżowego „Film Pro" wynika, że najwięcej widzów przyciągnęło w zeszłym roku kino „Wolność" w Częstochowie (prowadzone przez Ryszarda Kopcia). Na drugim i trzecim miejscu — katowickie kina „Rialto" i „Kosmos", na czwartym — sosnowiecka „Muza", na piątym — „Bajka" w Gliwicach. Ale pierwsza w regionie „Wolność" znajduje się dopiero na czternastym miejscu w Polsce. W pierwszej pięćdziesiątce krajowej znalazło się tylko 9 kin śląskich. Jak na silnie zurbanizowany region z wieloma miastami, skupiający prawie jedną czwartą ludności kraju, nie są to najlepsze wskaźniki.

Z drugiej strony, wśród dziesiątki o największej ilości sprzedanych biletów w przeliczeniu na mieszkańców miasta (gminy), znalazło się aż 5 kin śląskich, z bezkonkurencyjnym czechowickim „Świtem" na pierwszym miejscu. Kolejne miejsca zajmują: „Hutnik" (Zawadzkie), „Piast" (Cieszyn), „Chemik" (Kędzierzyn) i „Janosik" (Żywiec). Jednak w wielu miastach o podobnej lub większej liczbie mieszkańców kina stoją ciągle puste albo przerobione na hurtownie.

Nie zmienia to faktu, że sal kinowych mamy po prostu za mało. W Katowicach zostały dzisiaj, po zamknięciu „Zorzy", faktycznie trzy kina. Brakuje sali w stutysięcznym Jastrzębiu, gdzie od wielu lat ślimaczy się budowa kina z funduszy Komitetu Kinematografii.

Nie da się też ukryć, że mimo zmian na lepsze, kina śląskie wyglądają — poza nielicznymi wyjątkami — raczej paskudnie. Sale są stare, projektory i dźwięk słabej jakości. Mało kto decyduje się poważnie inwestować, gdy pozostaje tylko dzierżawcą i zawsze może salę stracić. Zresztą i mało kogo stać byłoby na poważne inwestycje. W tym właśnie istotnym punkcie zatrzymała się reforma. Jest rzeczą pewną, że bez sensownych rozwiązań prywatyzacyjnych nie są możliwe zasadnicze zmiany w tej branży.

Tymczasem Amerykanie szykują się do stawiania w Polsce wielosalowych multipleksów, które nie znajdą poważniejszej konkurencji. Firma „Multikino" zamierza postawić ich 20, w tym także w Częstochowie i Katowicach. Pierwsze powstaną już w przyszłym roku.

Nie jest zatem sprawą pewną, czy ta pogoda dla kiniarzy potrwa jeszcze długo?

JAN F. LEWANDOWSKI

EDMUND WOJNAROWSKI

# Stąd do Wisły

*Tyle dokoła różnych zjawisk*
*i na dodatek naturalnych.*
*Teraz na przykład wyszło słonko.*
*Zza chmury wyszło, nie zza góry.*
*Lecz jego promyk mknie tak samo:*
*trzysta tysięcy kilometrów.*
*Dodać by trzeba: na sekundę,*
*a więc dodaję dla ścisłości,*
*choć wszyscy o tym dobrze wiedzą,*
*bo wiedza ścisła zabłądziła*
*pod strzechy niczym księgi wieszcza.*
*Tego, co cierpiał za miliony.*
*Te zaś z kolei cierpią za to,*
*że wiarę dały rymowankom.*

*I nad tym czasem zadumany*
*tym co upływa, zanim promyk*
*dotrze od słońca do mej twarzy,*
*opuszczam głowę. Widzę mrówkę,*
*jak dźwiga z trudem jakiś zewłok,*
*większy kilkakroć od niej samej,*
*stając się wzorem mrówczej pracy,*
*o czym nie będzie nigdy wiedzieć.*

*Nigdy! Przenigdy! — co za słowa.*
*Każdy szafuje tym bezkarnie,*
*żeby dać wyraz swojej woli*
*i znów zaczynać od początku.*
*Nigdy! Przenigdy! — słowa szprychy*
*w koło Macieju wehikule...*

*Przecinam rynek. By miasteczko*
*zostawić w tyle, muszę jeszcze*
*przejść kilka ulic oraz placyk.*
*Placyk minąłem i ulicę...*
*Tu kiedyś stała stara karczma*
*sławna z grochówki na wędzonce,*
*no i z golonki przypiekanej.*
*— To mam zamówić, albo tamto? —*
*przed wielu laty mną targało*
*wahanie niczym w Elsynorze*
*w tej właśnie karczmie. Jej historii*
*słuchałem, sennie sącząc piwo*
*jako postscriptum do golonki...*
*Żyd ją prowadził. Jeden z Mośków,*
*których uwiecznił mistrz Wesela...*
*Gdy musiał odejść via Oświęcim,*
*miejscowy volksdeutsch dostał schedę.*
*(Nim wszedł okupant, by mu pomóc*
*znaleźć korzenie vaterlandzkie,*
*w Sokołach dumnie sztandar nosił*
*rokrocznie w dniu Trzeciego Maja.)*
*Na Gasthaus z miejsca ją zamienił;*
*renomowany drink nach osten.*
*— Sicher ist sicher sagt Mannicher —*
*mawiał ów volksdeutsch i dlatego*
*po swojej dniówce przy szynkwasie*
*nocą futrował chłopców z lasu,*
*których największym osiągnięciem*
*było strzyżenie na null dziewczyn,*
*które wchodziły z okupantem*
*czyli z wehrmachtem w niecny kontakt...*
*A kiedy przyszło wyzwolenie,*
*Giees otworzył drzwi na oścież*
*nowym prawidłom spółdzielczości,*
*na Bar ludowy szyld zmieniwszy.*
*Volksdeutsch w nim został kierownikiem.*
*Lecz wpierw się zdenazyfikował,*
*w czym mu pomogli chłopcy z lasu,*
*bo byli z dobrej orientacji.*
*Potem wyjechał jako mniejszość,*
*lecz to już całkiem inne dzieje*
*i z karczmą już nie mają związku.*

*Karczmy też zresztą, widzę, nie ma.*
*To, co nią było, jest Pizzernią.*
*Szyldem, strzałkami i malunkiem*
*placka barwnego jak kotylion*
*wabi do środka. Nie korzystam.*
*Prosto ulicą idę dalej:*
*znowu wróciła do Marszałka;*
*tak jak nazwano ją przed wojną.*
*Przed tym Szeroką była zawsze,*
*mogła Breit Strasse śmiało zostać,*
*lecz Adolf Hitler ją przywłaszczył.*
*Potem na długo jej przypięto*
*tabliczki z wodzem rewolucji.*
*Aż osiągnęła stan dzisiejszy.*
*Prawdopodobnie ostatecznie,*
*aczkolwiek nigdy nie wiadomo.*
*Wszystko się może jeszcze zdarzyć.*
*Bo wbrew poglądom Japończyka,*
*koniec historii nie nastąpił,*
*a więc mistrzowie brązownictwa*
*nie zakończyli swego dzieła,*
*które nie dało nigdy dotąd*
*zaznać spokoju pokoleniom.*
*Te przychodzące zaraz po nich*
*ciągle musiały tak, jak leci,*
*wszystko dokładnie odbrązawiać,*
*nowy front robót szybko tworzyć*
*dla kadry nowych brązowników.*
*Nigdy więc nowym pokoleniom*
*w tej oscylacji brązownictwa*
*nie stało czasu na co inne,*
*co by popchnęło nas do przodu,*
*zrównało chociaż z tymi w środku.*
*A tak, człapiemy w ariergardzie...*

*Brzoza, minięta mimochodem,*
*swą liszajową bielą kory*
*(niezastąpioną dla artysty,*
*kiedy maluje grób powstańca)*
*myślom nadętym tym, co było*
*pomogła dziarsko zejść na ziemię.*
*Na ziemię bądź co bądź ojczystą.*

*Tu całkiem nowy akcjonariat*
*na jej ołtarzu składa bukiet*
*z obelg uwity, klątw, potwarzy,*
*więc z pochlebstw , pochwał dywidendy,*
*przyjętych kiedyś na sto procent.*
*Choć w narodowym trzeciorzędzie,*
*w karbonie może albo kredzie,*
*ktoś znowu odkrył grenadiera.*
*— Eureka! — krzyknął jak filozof.*
*Wyżął szybciutko parę kropel*
*i przelał wprost do pamiętnika.*
*(Do jej klepsydry, z której piasek*
*służy na kopiec dla potomnych.*
*Lub do schowania głów, co wczoraj*
*przystrajał wawrzyn ze stempelkiem.)*
*Pomimo tego wciąż przybywa*
*banków i spółek, biznesmenów.*
*— Na co zamienić pola bitew? —*
*łamie swą głowę jak przysięgę,*
*błądząc po eurolabiryncie,*
*myśl narodowa w powijakach.*
*— Na wolnocłowe terytorium?*
*Ekologiczne składowisko?*
*Całodobowy autoparking? —*
*Cegły z przedmurza zbyt zwietrzałe,*
*niezbyt nadają się do tego,*
*by nią brukować drogę w przyszłość.*
*Garb coraz większy, przeto trzeba*
*ucho igielne tak poszerzyć,*
*żeby kapitał wolną drogę*
*miał przy wkraczaniu na nasz rynek...*
*Wracają chyłkiem głodni chwały*
*z wielkiej wewnętrznej emigracji.*
*Ci, co miedziane mieli czoła,*
*walczą o status Wallenroda.*
*Z tratwy nawzajem się spychają*
*przepływający rzeką wspomnień.*
*Pewnie się kiedyś zmieni w Letę*
*i będzie można wpław ją przebyć.*
*Na razie jednak pali wstydem*
*niczym Koszula Dejaniry*
*ze strof poety; też był wieszczem...*



*Rys. Wojtek Łuka*

*Łokcie zaś, które pomagały*
*wepchnąć się w karty podręczników,*
*zwarte pokornie służą dłoniom*
*już całkiem nowej generacji...*

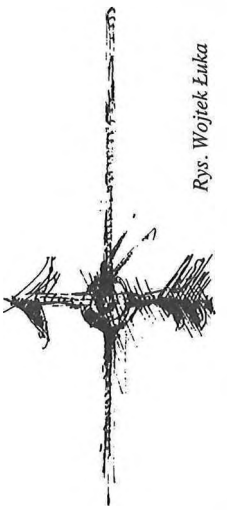
*Przeszło koło mnie arcydzieło*
*z żebra poczęte słowem Stwórcy.*
*Puściły więzy. Z każdej myśli*
*wszelka logiczność uleciała.*
*Naprzód ruszyła wyobraźnia.*
*Opuszki palców zwilgotniały;*
*żywicą wspomnień przepocone*
*gotowe służyć sensorami*
*wszelkiej podatnej wypukłości.*
*Jak tu się za nim nie oglądnąć,*
*tym cudem naszej galaktyki.*
*A może zresztą wszystkich razem,*
*choć jest ich ponoć dużo więcej*
*niźli atomów w ziarnku piasku...*
*Zwróciłem głowę nie przystając.*
*Tak! Gdyby Stwórca cały wszechświat*
*wyłącznie po to uruchamiał,*
*żeby powstało coś takiego,*
*to — jak powiadał wielki Gottfried —*
*racja byłaby dostateczna,*
*wystarczająca, aby istnieć...*
*Ale przyjemność nie jest celem,*
*tylko wskazówką, gdzie iść warto,*
*zapakowaną jak przynęta,*
*by rozumowi nie zawracać*
*głowy częstymi pytaniami...*

*— Dzień dobry panu — idzie człowiek.*
*— Dzień dobry panu — odpowiadam.*
*Pozdrowił, przeszedł. poszedł dalej.*
*I ja tak samo kropka w kropkę.*
*Jak molekuły według zasad,*
*które Heisenberg ustanowił:*
*nikt nas określić nie był w mocy.*
*A przecież mogłem stanąć chwilę,*
*o to zagadnąć i o tamto.*
*Albo w ogóle o cokolwiek.*
*Żeby po prostu dojść do wniosku,*
*że choć idziemy w różne strony,*
*to jedną drogą podążamy,*
*więc gdyby tylko można było*
*iść w dwóch kierunkach równocześnie,*
*szlibyśmy razem ramię w ramię.*
*Bo może, kto wie, po to samo*
*idziemy, każdy na swój sposób,*
*do DNA swojego raz na zawsze*
*przybici trwale jak do krzyża.*

*Nie przystanąłem i on także.*

*Ten Homo Sapiens kim jest, nie wiem.*
*Vietorem może? Lub Faberem?*
*Albo Ludensem jakimś swojskim?*
*A może tylko zwykłe sedno*
*zagadki Sfinksa w sobie nosi,*
*na którą nie chce odpowiadać,*
*bo woli raczej, gdy ma bliznę*
*po jakimś sępie (któż jej nie ma),*
*odsłonić miejsce, to gdzie była,*
*oraz pogdybać aktualnie:*
*dziś przefiltrować przez wczorajsze,*
*jutro zanurzyć w sosie własnym?*

*Na te pytania nie odpowiem,*
*bo się zjawiają całkiem nowe.*
*Te znowuż zaraz robią miejsce*
*temu, co oko ma pod ręką...*
*Drogę przecięła druga droga,*
*tak jakby Ziemia świętym krzyżem*
*błogosławiła krok wędrowca.*
*jakby ramiona stronom świata*
*sens nadawały jednoznaczny*
*niczym wiatraka skrzydła długie*
*na Don Kichota czekające.*
*Albo współrzędne — iks, ypsylon —*
*które zmierzają w nieskończoność*
*w czterech kierunkach jednocześnie...*



Rys. Wojtek Łuka

*Na skrzyżowaniu Matka Boska*
*w złotobłękitny gips zakuta*
*przez szybkę z wnęki swej kapliczki*
*wysłuchać skora z cierpliwością*
*szeptu zdrowasiek lub litanii.*
*Wargi w pamięci wyszperały,*
*modlitwy serca rytm pokorny*
*ruskiego mnicha naśladując:*
*Panno łaskawa, Panno wierna,*
*Różo duchowna, Domie złoty;*
*prosimy, wybacz nam grzesznikom!*
*A więc tym także, co zmienili*
*Twoje oblicze Jasnogórskie*
*w puzzle dla dzieci do zabawy;*
*co urządzają widowiska,*
*w mesjanistycznym obłąkaniu*
*walcząc o miejsce pod Twym płaszczem,*
*o wyróżnienie wśród narodów;*
*co akt oddania podpisują*
*z Twym konterfektem w butonierce —*
*wybacz nam za to, Matko Boska!*
*Jeżeli jednak nas wyróżniasz*
*Swoją miłością tak, jak matka*
*swe dziecko niedorozwinięte,*
*zechciej zostawić nas w spokoju,*
*bo z polish jokesów nie wyjdziemy!*

*Kondukt naprzeciw wyszedł słowom...*

*Sznur żałobników pod przewodem*
*krzyża, chorągwi, potem trumny*
*z wiekiem podobnym, jakie Kotsis*
*oparł o ścianę przed pogrzebem,*
*przeciął mi drogę. Zdjąłem czapkę;*
*pokora mogła ujrzeć światło...*
*Dzwonnik potrząsnął tak powietrzem,*
*że trudno złapać dech bez szlochu.*
*Z trąb się wychylił Szopen gruźlik*
*i czuwa nad tym, by iść wolno.*
*Nad tu i teraz nieboszczyka*
*wzniósł się wykrzyknik. Lecz go skręca*
*w znak zapytania pełna troski*
*prośba o spokój wiekuisty.*
*Racz mu dać Panie — doszeptałem —*
*Racz się rozliczyć przed nim także*
*ze Słowa, tego na początku,*
*gdyż każde chcenie, by nie było*
*uznane przez nas tu, na Ziemi,*
*za samowolę, cóż że Boską,*
*musi mieć dowód konieczności.*
*Ale Ty, Boże, nic nie musisz*
*i koło znowu się zamyka,*
*jak kondukt, co mi drogę otwarł...*
*Zakładam czapkę, ruszam dalej.*

*Są dwa rodzaje wędrowania.*
*Możesz wynurzyć się z gęstwiny,*
*trafić na pierwszą z brzegu ścieżkę.*
*Ta cię zawiedzie na ciut szerszą.*
*Onaż do bardziej wydeptanej*
*cię zaprowadzi niezadługo.*
*Nią podążając, wnet dochodzisz*
*do jeszcze szerszej i tak dalej...*
*I tak na przekór perspektywie,*
*która w punkt wszystko zwykła zmieniać,*
*trakt okazały w końcu widzisz.*
*Szeroki, gładki, dwupasmowy.*
*Z siatką ochronną wzdłuż swych boków,*
*by omen drogi nie przeleciał.*
*Bez wzniesień stromych i zakrętów,*
*że trzeba zwolnić, by je zebrać.*
*Na trakcie tyle drogowskazów,*
*tablic przeróżnych i wskazówek,*
*iż niepodobna już pobłądzić,*
*nawet gdy nie wiesz, dokąd idziesz.*

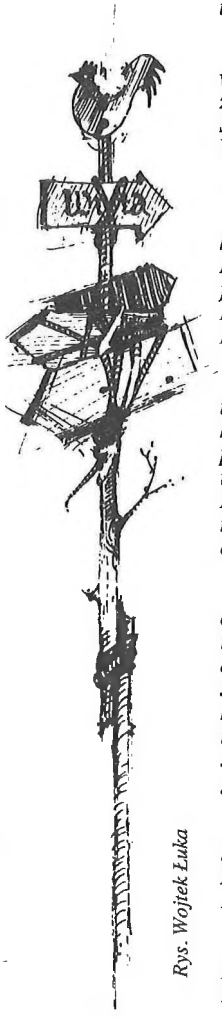
*Ale też można iść na opak...*
*Zejść postanawiasz z tego traktu,*
*(nazwany został okazałym;*
*odeń zacząłeś swą wędrówkę,*
*skoro twej stopie, stąd ni zowąd,*

*wyszedł naprzeciw przypadkowo)*
*bo zbyt ruchliwy, zatłoczony*
*i tak bezpiecznie oczywisty*
*jak cztery, gdy jest sumą dwójek,*
*a nie wynikiem ciężkich równań*
*czy niewiadomą do odkrycia,*
*lub choćby funkcją logarytmu...*
*Schodzisz więc z traktu, bo masz dosyć*
*tych wszystkich wspólnych mianowników*
*i statystycznych uogólnień,*
*radosnych ochań nad szybkością*
*przy osiąganiu wielkich celów.*
*Chcesz wreszcie swoją pojedynczość*
*utopić w morzu złożoności.*
*Chcesz zakosztować tajemnicy*
*nie do przebycia tratwą sensu,*
*który się rozmył jak brzeg stromy...*
*Gdy wtedy dotrzesz do gęstwiny,*
*droga się zwęzi jak szpic szczytu*
*nie mierzonego wysokością.*

*A w której, z tutaj wymienionych,*
*wędrówkę moją da się zmieścić?*
*Bo skąd konkretnie stąd do Wisły?*
*Z którego miejsca do którego?*
*Gdyby ktoś o to raczył spytać,*
*to trudno by właściwie było*
*dokładnie na to odpowiedzieć.*
*Chociaż na swoich barkach dźwiga*
*mniej kilometrów od Dunaju,*
*Wołgi i Dniepru (nawet Dniestru),*
*do Donu, Dźwiny, Renu, Łaby*
*— zaś porównanie jej długości*
*z Nilem, Mekongiem, z Missisipi*
*wynik dałoby groteskowy —*
*gdy się jednakże wszystkie strofy*
*(od Mistrza Jana zaczynając)*
*jej poświęcone, naszej Wiśle,*
*uwzględnić zechce w tym rachunku,*
*zwłaszcza opisy jej uroku*
*o każdej porze dnia i nocy,*
*nie mówiąc już o porach roku,*
*o wydarzeniach historycznych,*
*legendach, baśniach i tęsknotach,*
*i o jej szumie nostalgicznym*
*w obcych dorzeczach w kształcie*
*Rodła —*
*na głowę bije wszystkie rzeki.*

*Od drzewiej, kiedy dzielną Wandę*
*przed narodowym mezaliansem*
*nader skutecznie uchroniła,*
*aż po cud, co się raczył zdarzyć,*
*by nas ocalić przed nawałą,*
*do niej zbiegają nasze serca*
*z każdego miejsca, w każdym czasie.*
*Tym, czym jesteśmy, być mogliśmy*
*dopiero wtedy, gdy ją przejdziem.*
*Wiele przeszliśmy rzek — śpiewali*
*chłopcy znad Oki podążając,*
*by brzeg osiągnąć najpiękniejszy...*

*A mej wędrówki kres już widać,*
*czemu przyklasnął dźwięcznie zegar*
*z pobliskiej wieży. Przystanąłem,*
*żeby policzyć, ile wybił...*
*— Zgadza się — rzekłem do Omegi,*
*wiernego punktu odniesienia*
*przycupniętego nad nadgarstkiem...*
*I choć dziś śmiało można szukać*
*innych odniesień do zagadki*
*bytu, wszechświata, prapoczątku;*
*można też grzebać w czarnych*
*dziurach,*
*przebierać w kwarkach i neutrinach,*
*jakby to były ulęgałki;*
*chociaż mistyków można zatkać*
*rozproszonymi strukturami,*
*by wydać wniosek tak jak wyrok:*
*nie jest zegarem, lecz chaosem —*
*to mimo wszystko wolę zegar...*
*Gdy wiedza nowe propozycje*



*Rys. Wojtek Łuka*

*podsuwa wciąż do odrzucenia,*
*by powstał nieskończony łańcuch*
*z wielkim ciężarkiem głodu prawdy*
*popychającym do wahania,*
*to cóż potrafi go zastąpić?*
*Tak zegarmistrza, jak sam zegar,*
*bo może to jest jakaś jednia,*
*jakaś monada tajemnicy;*
*zegar z zegarów, których kółka*
*są zegarami, te zaś znowu*
*także z zegarów się składają.*
*No i tak dalej i tak dalej,*
*lecz nie wiadomo, jak daleko.*
*I z tego względu nie wiadomo,*
*czy wieczność nie jest sumą czasu*
*ich wszystkich razem — tych zegarów.*
*Nie z dodawania jest tą sumą,*
*lecz z podawania. Coś mniej więcej,*
*jak bukom buki, dęby dębom...*
*I nie jest ważne, jak wygląda.*
*Nie ma znaczenia, co się rusza;*
*co się w nim kręci, oscyluje,*
*co na dół ciąży, co się waha,*
*czy woda leci, czy też piasek.*
*Czy w ciekłym krzemie wierci dziurę,*
*żeby wykrzesać punktualność,*
*czy może ją wyciska z kwarcu,*
*albo palcami swych wskazówek*
*wpycha minuty do godziny,*
*aby z nich utkać dni i noce,*
*miesiące, lata i epoki.*
*A potem uciąć jak kostucha*
*w praskim zegarze nad Wełtawą...*
*Ale idziemy Stąd do Wisły*
*(zresztą wędrówki kres już widać)*
*no to Wełtawie dajmy spokój.*
*Ma do toczenia własne wody*
*i to z dorzecza cesarskiego...*

*Gdy pokonałem grzbiet pagórka,*
*wały ochronne grubą kreską*
*zmazały linię horyzontu.*
*Stanąłem na nich po godzinie,*
*Wśród traw wysokich zbiegłem na dół*

*W czesanych przez wiatr strąkach*
*wiklin*
*kołtuny ptasich gniazd się czernią.*
*Pod stopą trzeszczą przeraźliwie,*
*jak piasek w zębach, suchy konar.*
*I brzeg przekreślił dalszą drogę...*
*Brzeg oczywiście rzeki Wisły*

*Jakby jej w głowie zamąciły*
*te wszystkie strofy o jej wdziękach,*
*które wydało przeżywanie*
*piękna ojczyzny zniewolonej,*
*toczy swe wody na stojąco.*
*Brudna, leniwa, krnąbrna, płytka*
*niczym kocmołuch. Ten co w bajce*
*czeka na księcia i grymasi.*

*Jak w niej utopić swoje myśli,*
*ciężkie jak kamień? Nie milowy*
*i też nie młyński z Bożych młynów,*
*ale do szyi przywiązany...*
*Jak zmyć z nadziei wątpliwości,*
*które się do niej przykleiły,*
*niczym z przysłowia brud do ręki?*
*Jak spłukać smutek, co się rodzi,*
*gdy jest się samym pełen winy?*

*Biorę kamyczek, rzucam, niech mi*
*kółeczko zrobi na powierzchni.*
*Niech zrobi kółko tak jak zawsze.*
*I tak jak zawsze niech go zatrze.*

*Kamyk się odbił i podskoczył.*
*Kpiąc sobie ze mnie w żywe oczy,*
*żadnych kółeczek nie zatoczył.*

■

# Magiczna synteza

Jednym z bardziej oryginalnych zjawisk we współczesnej sztuce polskiej jest dorobek Stefana Suberlaka. Urodził się w Katowicach — Piotrowicach, studia ukończył na Wydziale Grafiki Propagandowej krakowskiej ASP w Katowicach, w 1952 r. Artysta za życia osiągnął wielki sukces. Zrealizował imponującą ilość wystaw krajowych i zagranicznych w prestiżowych galeriach, obsypano go deszczem nagród, wyróżnień, zaszczytów. Od 1964 roku aż do śmierci był honorowym członkiem Akademia Fiorentina Arti del Disegno.

Początek spektakularnych sukcesów, osiągniętych w zasadzie zdumiewająco łatwo, można datować od udziału artysty w Ogólnopolskiej Wystawie Młodej Plastyki w warszawskim Arsenale, która odbyła się w 1955 roku. Było to wydarzenie ogromne, przełomowe dla polskiej sztuki, definitywnie zamykające okres doktrynalnie narzuconego socrealizmu.

Po latach nasuwa się pytanie: dlaczego sztuka Suberlaka została dostrzeżona już na początku „Sturm und Drag Periode" naszego awangardyzmu, opartego wtedy na pośpiesznym imporcie z Zachodu? Ba, nie tylko dostrzeżona, ale i wyniesiona wysoko, mimo że względy formalne zdawały się temu przeczyć? Alfred Ligocki próbował wyjaśnić ten fenomen następująco: „Stefan Suberlak należy do twórców spotykanych w sztuce polskiej bardzo rzadko, a i w sztuce światowej niezbyt licznych — do twórców immunizowanych przeciw tej koncepcji nowoczesności, która polega na nieustannej gonitwie za nowościami, połączonej z nieustanną obserwacją artystycznych zjawisk meteorologicznych w świecie. Suberlak kontynuuje postawę właściwą wybitnym plastykom od całych stuleci, która nie polega na nieustannej zmienności i rotacji »przełomów twórczych«, ale na uświadomieniu sobie, co chce swą sztuką spenetrować i starannym dobieraniu sobie najwłaściwszych środków formalnych dla zobrazowania wyników tej penetracji. Pole tych penetracji określał sam na podstawie własnych przeżyć, emocji i refleksji, a nie szukał go na festiwalach i wystawach sztuki współczesnej".

Jest w tym stwierdzeniu wiele prawdy, ale szczególnie po latach ma ono charakter ogólnika, który nie wyjaśnia czemu u nas, w ówczesnych realiach politycznych Suberlak zaistniał? Czemu znalazł się od razu pod opiekuńczymi skrzydłami państwowego mecenatu? Przecież przez długie lata PRL-u często nie wartość dzieł decydowała o oficjalnym uznaniu dla artysty.

Literatura, teatr, sztuki plastyczne traktowane były w systemie komunistycznym jako „ważny odcinek frontu ideologicznego, propagandowego". Po fiasku socrealizmu, specjaliści od indoktrynowania narodu, poszukiwali w sztuce form zastępczych, mówiło się wówczas o koncepcji „rozluźnionego gorsetu". Suberlak ze swoją prywatną, osobistą fascynacją wsią i chłopem, kulturą ludową — fascynacją wyniesioną z dzieciństwa spędzonego na wsi rzeszowskiej i oryginalnie skonkretyzowaną plastycznie — mimowiednie znalazł się „we właściwej porze". Był to dla artysty korzystny zbieg okoliczności, na który nie miał żadnego wpływu. Należy to przypomnieć, bowiem do dziś krążą o Suberlaku złośliwe i nasycone zawiścią opinie, jako o „pieszczochu systemu". Lokalne kryteria pozaartystyczne nie miały już żadnego znaczenia poza granicami państw bloku komunistycznego, choć pozycja jaką dzięki nim zajmował u nas, bardzo pomogła mu w prezentacjach na Zachodzie i Dalekim Wschodzie. Jego sztuka stała się oficjalnym „towarem eksportowym".

Fenomen twórczości katowickiego artysty polega m.in. na tym, że tworząc w zamkniętym kręgu widzenia i form, stroniąc od nowinek artystycznych, został zauważony i uznany w świecie. Pisano, że jego sztukę owiewa szczególna atmosfera, że jest to klimat ludowej baśni, „klimat dusznej letniej nocy w owocowym sadzie". Ligocki uczenie i trafnie wywodził paralele między Suberlakiem a niektórymi flamandzkimi malarzami XV i XVI wieku. Szczególnie wska-



*Stefan Suberlak* *Foto. ARC*

zywał na podobieństwa z Pietrem Breughlem („chłopskim"), w „zagadkowym połączeniu prostoty, świeżości i pewnej naiwności prymitywu ze znakomicie opanowaną »uczoną« formą", a także z Chagallem (w wymiarze wizji onirycznych).

W kręgu porównań u różnych krytyków znaleźli się, co zrozumiale, Arcimboldi i, co o wiele mniej zrozumiałe, surrealiści. Nigdzie natomiast nie ma nawet wzmianki o rodzimych paralelach. O relacjach w odniesieniu do Skoczylasa, Szczepkowskiego czy Stryjeńskiej, o Stellerze nie wspominając. Przy wszystkich różnicach formalnych, to przemilczanie jest niesłuszne. Mniemam, że wywodzi się z przyczyn pozamerytorycznych. Mówiło się o nich mało i półgębkiem, bowiem „zamieszani" byli w tworzenie sztuki narodowej, narodowego stylu w sztuce, realizując posłanie Norwida zawarte w strofach „Promethidiona", o podnoszeniu ludowego do narodowego. Była to wtedy skaza nie do wybaczenia.

Wieś ze swoją kulturą, folklor, szczególnie wierzeniowy — stanowiły nieustającą inspirację dla Suberlaka, lecz nie w wymiarze określonym przez „uszlachetniającą" stylizację, jak było to w przypadku jego wielkich poprzedników. On nie tyle czerpał z folkloru, ile w nim po prostu tkwił. To jest pewien fenomen osobowościowy, bowiem artysta nie pochodził ze wsi, natomiast wychwycił zdumiewająco trafnie istotę metafizycznego porządku, stanowiącego wartość kultury chłopskiej. Stanowi nią jedność bytowania w materii, w harmonii z naturą, z Kosmosem, który bytowaniu temu nadaje wymiar transcendentalny. Stąd też u Suberlaka nie mamy do czynienia z jakąś wsią konkretną, czy regionem etnograficznym (np. podhalańskim). Nie jest to także, jak sugerował Ligocki, wymyślona kraina wiejska, w jakimś sensie analogiczna do fikcyjnego hrabstwa Yoknapatawpha Faulknera. Jest to nader trafnie i intuicyjnie skonstruowana synteza wsi w jej rozumieniu kulturowym. Pojawiają się także w twórczości Suberlaka grafiki inspirowane Tatrami i Podhalem, ale wtedy mamy do czynienia z odmiennymi cechami formalnego kształtowania tych prac.

Nie zauważano metafizycznego posłania zawartego w jego dziełach, a także związków ze sztuką ludową, z której wywiódł symbolikę i alegoryczność przedstawień, gdzie wszystko jest jednocześnie konkretne, dosłowne i zarazem znaczące w wymiarze nierzeczywistym. Taki sposób posługiwania się symbolem i alegorią, znany również ze sztuki średniowiecznej i wczesnorenesansowych fresków, ułatwił bez wątpienia artyście sukces w skali uniwersalnej.

Łączenie ze sobą przedmiotów i zjawisk absolutnie do siebie nie przynależnych, mimo że przypomina automatyzm skojarzeń surrealistów, jednak nim nie jest. Są to zabiegi, dzięki którym Suberlak stara się o wzbogacenie warstwy znaczeniowej, komunikatu artystycznego. Zestawienie poszczególnych znaków, symboli czy alegorii ma ewidentny charakter budowania poetyckich metafor. To akcentowanie warstwy znaczeniowej, kreowanej w formie przekazów mitycznych, bliskich magii, znajduje zaskakująco trafne dopełnienie w formach plastycznych. Mamy tutaj do czynienia z rzadko spotykaną jednością formy i treści.

W przypadku kiedy treść obrazu, czy grafiki ma znaczenie pierwszorzędne, zawsze mamy do czynienia z budowaniem specyficznej i właściwej dla przekazu, artystycznego komunikatu — przestrzeni artystycznej. Jej immanentne cechy, niezmienne na przestrzeni dziejów i rodzajów wypowiedzi artystycznych, trafnie i lapidarnie ujął Jurij Łotman, wybitny semiotyk rosyjski: „(...) przestrzeń artystyczna nie jest jakimś obojętnym miejscem dla bohaterów i epizodów fabularnych. (...) Istotna różnica między przestrzenią zwykłą a przestrzenią czarodziejską dotyczy jej wypełnienia. Pierwsza jest wypełniona przedmiotami o mocno wyróżnionej cesze materialności (...), druga zaś — nieprzedmiotami: są to zjawiska przyrody, zjawiska astralne, plastyczny zarys miejscowości, powietrze, góry, rzeki, roślinność. Przy czym zarys występuje w postaci mocno zdeformowanej".

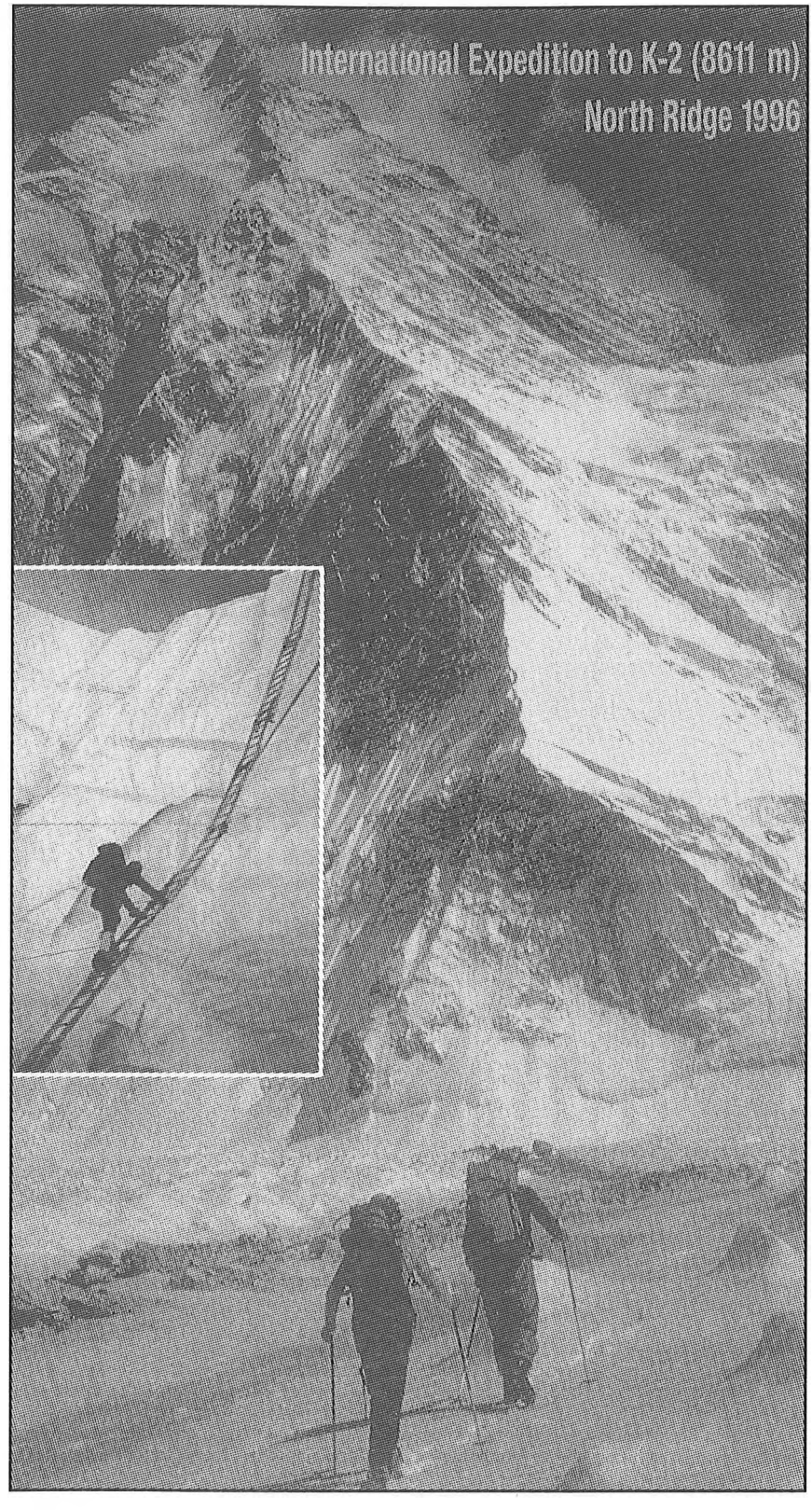
Jeśli pod tym kątem spojrzymy na dzieła Stefana Suberlaka, okaże się, że właśnie tak pojmowanej przestrzeni artystycznej poświęcał on szczególną uwagę. Zsyntetyzowane „magicznie" archetypiczne przekazy kulturalne ujął w nową, oryginalną formę, będącą nawiązaniem do doświadczeń sztuki XX wieku i dawnego sposobu symbolizowania czy alegoryzowania.

SEWERYN A. WISŁOCKI

# Ci wspaniali mężczyźni na ośnieżonych szczytach Himalajów

**Gdy dla polskiego alpinizmu otwierały się wrota Himalajów i Karakorum, nikt nie przypuszczał, by wkraczająca z opóźnieniem i na dodatek biedna nacja mogła zdziałać w nich coś znaczącego.**

KRZYSZTOF SAS-NOWOSIELSKI



**Dominacja tradycyjnych himalajskich potęg – Anglików, Włochów, Francuzów była zbyt wyraźna, by można było myśleć o realizacji bardziej śmiałych planów i to przez zamkniętą za żelazną kurtyną garstkę zapaleńców. Nie tylko biedną, ale i na dodatek pozbawioną na swoim podwórku większych gór, które umożliwiałyby prowadzenie efektywnego treningu. A jednak himalaiści z Polski stali się primus inter pares światowej czołówki.**

**W tym sukcesie znaczący był udział wspinaczy ze Śląska. Tu i ówdzie przebąkiwano wręcz o istnieniu śląskiej szkoły himalaizmu, noszącej swój indywidualny i niepowtarzalny charakter. Sam fakt powstania silnego ośrodka wysokogórskiej wspinaczki na Śląsku jest zjawiskiem niezwykle fascynującym i to tym bardziej, że w obrębie naszych tradycji regionalnych raczej nie było miejsca na egzotyczne wspinaczki. Próżne są więc wysiłki mające na celu wyjaśnienie naszej himalajskiej przewagi.**

Gdzie rozum bezsilny, tam humorem rzecz całą się nadrabia. W środowisku wspinaczy powiadano, że Ślązacy są właśnie dlatego tak dobrzy w wysokich górach bo... mieszkają na Śląsku. Na dużych wysokościach tlenu jest mniej niż na poziomie morza, co jako żywo odpowiada sytuacji mieszkańców śląskich aglomeracji. Wpływ zanieczyszczenia powietrza wyrażał się również i w tym, że duża ilość permanentnie brudnych i wymagających ciągłego malowania kominów zabezpieczała finansowanie wypraw. Trudno nie przyznać, że coś w tym jest.

## Zapaleńcy w akcji

Gdy Anglik Alfred Frederick Mummery jako pierwszy na świecie człowiek podjął próbę wejścia na szczyt ośmiotysięczny (Nanga Parbat) był rok 1895. Gdy rozpoczynano próby zdobycia Mount Everestu w roku 1921, Polacy mieli na głowie inne zmartwienia. Nie dziwi więc nasza nieobecność w początkowych stadiach podboju Himalajów. Ale też i nie można autorytatywnie stwierdzić, iż z punktu widzenia późniejszych naszych poczynań w górach okresy walk niepodległościowych były całkowicie bezpłodne. Znajdują się bowiem i tacy, którzy w tych właśnie trudnych przejściach narodu widzą zalążek przyszłych dokonań sportowych.

Należy do nich m.in. znakomity nasz alpinista Wojtek Kurtyka, który napisał w jednym ze swoich artykułów: *Wieki zagrożenia kształtowały w Polakach wewnętrzny nakaz dzielności i wytrwałości oraz instynkt radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Nieustanny chaos polityczny i wojny uformowały wybujały indywidualizm, skłonność do nieposłuszeństwa oraz brak szacunku dla norm i przepisów. Tchnienie rozległych wschodnich stepów napastowanych przez Turków i Tatarów zaszczepiły Polakom zmysł przygody i fascynację przestrzenią".*

Dopiero w 1939 roku udało się zorganizować pierwszą polską wyprawę w Himalaje. Jej uczestnicy weszli na dziewiczy siedmiotysięcznik Nanda Devi East (7434 m). W pójściu za ciosem po tak wspaniałym debiucie przeszkodził wybuch II wojny światowej, a nowa sytuacja polityczna po jej zakończeniu skutecznie ochłodziła nasze wysokogórskie aspiracje. Gdy ponownie otwierają się dla nas himalajskie perspektywy, są już lata 70. i wydaje się, iż jedyne co nam pozostanie do zrobienia to pozbieranie okruchów z uczty herosów.

Jeszcze w 1950 roku Francuzi weszli na pierwszy ośmiotysięcznik, Annapurnę, w 1953 wyprawa austriacko-niemiecka zdobywa Nanga Parbat, a brytyjska Mount Everest. W 1954 Austriacy są na Cho Oyu, w 1955 padają Kangczendzonga (Brytyjczycy) oraz Makalu (Francuzi)... Niemal rok w rok kolejne z najwyższych szczytów naszej planety doświadczają dotknięcia ludzkich stóp. Zdobywają je Francuzi, Brytyjczycy, Niemcy, Szwajcarzy, Japończycy.

Trudno było wyobrazić sobie, by jakiś naród nie posiadający himalajskich doświadczeń mógł jeszcze dodać coś od siebie. A jednak! Szybko udowadniamy światu, iż przebojowe kariery są możliwe.

## Nasze tradycje

Korzenie śląskich tradycji alpinistycznych sięgają ponad pół wieku. Na pierwszy rzut oka niewiele, lecz jeśli głębiej się nad całą sprawą zastanowić – to sporo czasu. Już w lutym 1949 roku zawiązano Sekcję Wysokogórską Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Katowicach, a ta przekształciła się w Koło Śląskie Klubu Wysokogórskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Katowicach. Nie oznaczało to jeszcze wyjścia śląskiego ruchu alpinistycznego na prostą drogę. Barierą była niechęć komunistów do „burżuazyjnego" sportu.

Nawet w tych trudnych czasach w Katowicach, Gliwicach i innych śląskich miastach znajdowali się jednak ludzie „górami urzeczeni". To oni właśnie położyli podwaliny pod sukcesy następnych pokoleń. Po pewnym czasie zmienił się również stosunek władz, które zapragnęły nagle poddać alpinizm umasowieniu. Zostawmy jednak ten temat na inną okazję.

Istotnym zdarzeniem było utworzenie w 1975 roku Polskiego Związku Alpinizmu, który objął swoimi strukturami ośrodki regionalne, w tym również funkcjonujące po dzień dzisiejszy Kluby Wysokogórskie w Katowicach, Gliwicach czy Jastrzębiu. Kluby te rozpoczęły szeroko – jak na owe trudne czasy – zakrojoną działalność wyprawową: w 1971 roku zespół złożony ze wspinaczy z Katowic, Gliwic i Bielska-Białej zdobywa łącznie 17 szczytów (w tym sześć dziewiczych) w Andach Peruwiańskich, w 1972 wyprawa katowicka wyruszyła na Alaskę, a w 1973 połączone siły katowicko-bielsko-gliwickie dokonują wejścia na siedmiotysięczny Langar Zom w Hindukuszu Afgańskim.

W 1977 roku udaje się zorganizować pierwszą śląską wyprawę w Himalaje. Jej kierownikiem zostaje Adam Zyzak, a za cel obrano Nanga Parbat (8125 m). Nasz himalajski debiut nie był wszakże zbyt udany, głównie z powodu sporego opóźnienia w wylocie z kraju. Na dodatek część zespołu chciała próbować ambitnego planu wytyczenia nowej drogi na wschodnim filarze, a inni optowali za atakowaniem góry najłatwiejszym szlakiem. Kilku członkom wyprawy udaje się jednak dojść w okolice podszczytowe – na wysokość około 7950 m.

Pełnym sukcesem zakończyła się natomiast kolejna wyprawa, zorganizowana w dwa lata później przez Kluby Wysokogórskie z Katowic i Gliwic. Jej pokłosiem było pierwsze polskie wejście na Lhotse (8511 m). Z osiemnastu członków wyprawy na szczyt wchodzi aż dziewięć osób. Z tą wyprawą zaczyna się kariera najsławniejszego spośród wywodzących się ze Śląska wspinaczy – Jerzego Kukuczki.

## Najlepszy z najlepszych

Zetknięcie się Jerzego Kukuczki z wysokimi górami nie było od razu objawieniem jego fizjologicznego fenomenu. Wręcz odwrotnie! Wyprawa na Alaskę w 1974 roku była dlań przeżyciem niemalże traumatycznym. Niektórzy nawet uznali, że Kukuczka nie nadaje się na duże góry i to do tego stopnia, że jego osobę przestano brać pod uwagę na wyjazdy w Alpy.

Mimo tych niezbyt miłych doświadczeń, Jerzy nie zamierza uznać się za skazanego na banicję. Wyprawy na Kohe Tez w Hindukuszu oraz wspomnianą Nanga Parbat przynoszą potwierdzenie zasadności tej decyzji. Zwłaszcza ta ostatnia, choć nieudana, ujawnia prawdziwy charakter Kukuczki – górskiego „twardziela", nie godzącego się z przegraną i potrafiącego to jasno powiedzieć: *Droga wspinaczki ma swój kres na wierzchołku i wszelkie spekulacje, że chociaż nie udało się wejść, to przecież pierwsi byliśmy tak wysoko, są tylko dorabianiem teorii do własnej słabości (...). Ja nie uznaję półzwycięstw.* Jego późniejsza działalność poświadczyła, że nie były to puste słowa.

Po raz pierwszy smaku himalajskiego sukcesu doznaje w 1979 roku na Lhotse, będąc w grupie osób, które wchodzą na szczyt. Wejście to odbywa się na dodatek bez stosowania wspomagania tlenowego, co w owych czasach nie stanowiło bynajmniej powszechnie stosowanej praktyki.

Do tych, co w osobie Jerzego Kukuczki spostrzegli nową gwiazdę należał kierownik wyprawy Adam Bilczewski, który w autorskim egzemplarzu książki „Lhotse – czwarta góra Ziemi" napisał mu dedykację: „Najlepszemu z nas".

Niedługo przyjdzie czekać na wykazanie prawdziwości tych słów. Objawienie wysokogórskiego talentu Kukuczki jest jak eksplozja: w 1980 roku pada Everest (8848) nową drogą, w 1981 Makalu, również nową drogą i na dodatek samotnie (jako jeden z nie-

licznych szczytów ośmiotysięcznych zdobytych w podobnym stylu), w 1982 Broad Peak, w 1983 – Gasherbrum II, Gasherbrum II East oraz Hidden Peak... I tak aż do 1987 roku, kiedy to Kukuczka zdobywa dwa ostatnie szczyty składające się na tzw. koronę Himalajów. Wcześniej sztuka ta udała się tylko jednemu na świecie człowiekowi – Reinholdowi Messnerowi, powszechnie uważanemu za najlepszego alpinistę świata.

I choć trudno nie pamiętać o wielkich zasługach tego wspinacza dla sportowego himalaizmu (m.in. zapoczątkowanie odejścia od stosowania butli z tlenem), nie sposób nie wspomnieć o pewnej, dość istotnej różnicy między nim a naszym krajanem. Sprowadza się ona do tego, że spośród tych czternastu najwyższych szczytów Ziemi jedynie Lhotse została przez Kukuczkę zdobyta w – nazwijmy to umownie – „normalny" sposób. Resztę zdobył nowymi drogami albo zimą. Właśnie ta konsekwencja przysporzyła Mu najwięcej sympatyków, w przeciwieństwie do Messnera, który w wyścigu o miano pierwszego zdobywcy (14x8000) ostatnie szczyty zaliczał łatwymi drogami, mając na uwadze jedynie dokonanie samego wejścia. Może właśnie tego był świadom, wysyłając Kukuczce gratulacyjną depeszę, w której napisał „Nie jesteś drugi, jesteś wielki".

Nasz alpinista uczciwie przyznawał, że między nim a Tyrolczykiem ma miejsce rywalizacja o miano tego pierwszego, lecz jednocześnie nie wydawał się być owładnięty ową „himalajską numeromanią". Zresztą uważał, że *„szczęście przeżywa się, gdy wszystko pozostaje jeszcze przed tobą, kiedy wiesz, że do celu masz jeszcze kilkaset, kilkadziesiąt metrów, gdy jesteś tuż przed"*.

Dwa lata po zdobyciu ostatniego szczytu „korony" wyrusza więc szukać tego szczęścia na kolejnej wyprawie, która za cel stawia sobie dokonanie pierwszego przejścia południowej ściany Lhotse, uznawanej za jeden z ostatnich „wielkich problemów" w Himalajach. Lhotse okazało się być klamrą Jego wysokogórskiej kariery. Od tego szczytu rozpoczął swój triumfalny pochód i na tym też szczycie poniósł śmierć. Śmiertelny upadek nastąpił praktycznie po pokonaniu całej ściany, w momencie wchodzenia na podszczytową grań. Los nie wydaje bezterminowych karnetów na szczęście.

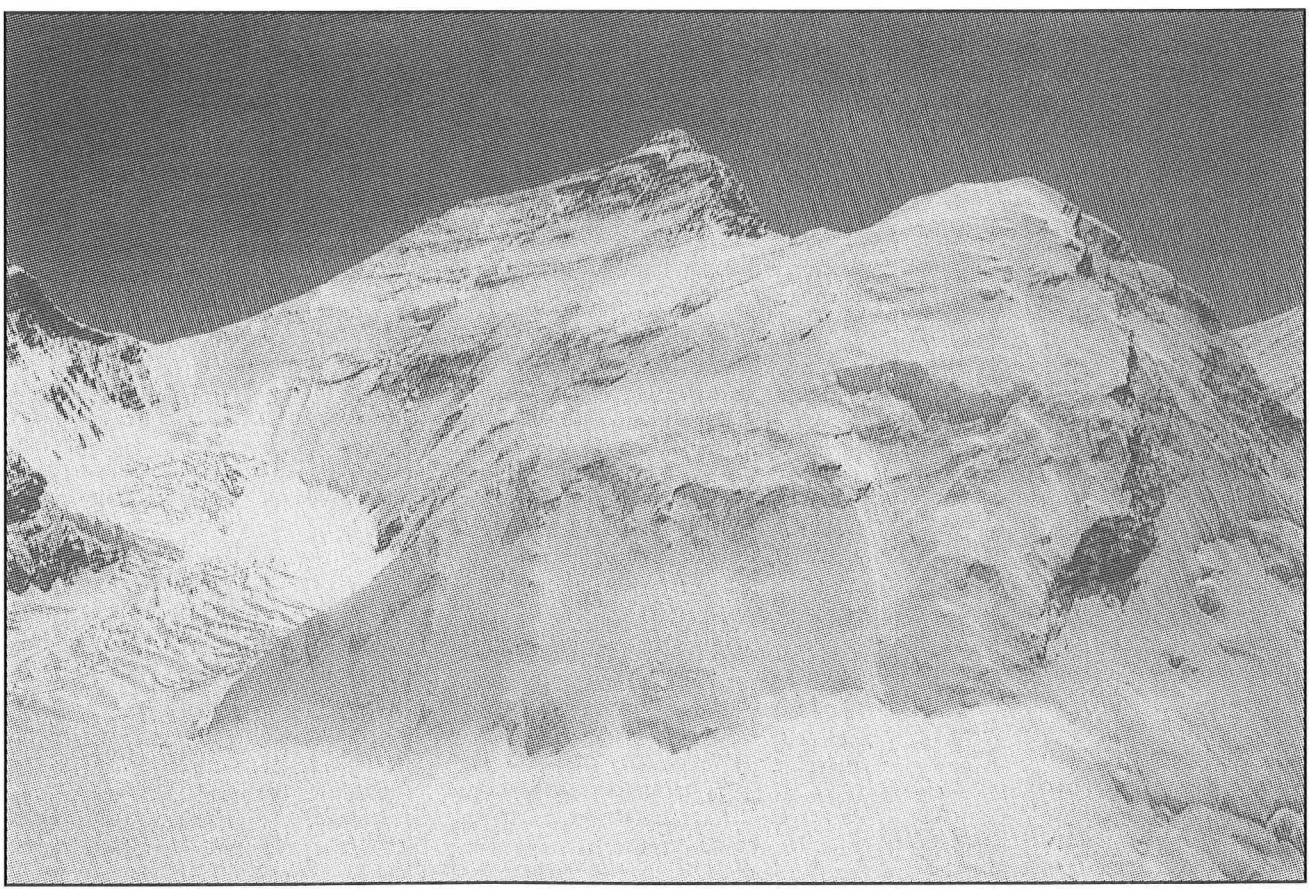
## Nie tylko Kukuczka

Chociaż nazwisko Jerzego Kukuczki to bez wątpienia najlepsza wizytówka śląskiego środowiska alpinistycznego, Jego dokonania nie wyczerpują dorobku sportowego wspinaczy z tego regionu. Postaci takie jak Krzysztof Wielicki – zdobywca dwunastu ośmiotysięczników, Ryszard Pawłowski – jedyny w kraju dwukrotny zdobywca Everestu, Andrzej Czok – współautor nowej drogi na Everest czy wieloletni partner Jerzego Kukuczki – Artur Hajzer na trwałe już zapisały się w historii polskiego – i światowego zarazem – himalaizmu.

Dwaj pierwsi nadal aktywnie uczestniczą w sportowym życiu najwyższych gór świata. W chwili obecnej przebywają pod uważaną za najtrudniejszą górę świata – K2 (8611 m), próbując poprowadzić na jej szczyt nowy wariant wejściowy. K2 oraz Nanga Parbat, na którą mają zamiar udać się w drugiej połowie sezonu, to jedyne szczyty brakujące Wielickiemu do „korony Himalajów". Ma więc szansę stać się czwartym na świecie zdobywcą wszystkich ośmiotysięczników (do Messnera i Kukuczki dołączył niedawno Szwajcar Erhard Loretan). Nazwisko Wielickiego w mniejszym jednak stopniu kojarzy się z „kolekcjonowaniem" najwyższych szczytów Ziemi, a więcej z błyskawicznymi wejściami samotnymi na niektóre z nich.

Inauguracja nowego stylu miała miejsce na Broad Peak w 1984 roku, na który to szczyt wejście i zejście zajęło Wielickiemu 22 godziny! Był to jedyny wówczas na świecie przypadek „zaliczenia" ośmiotysięcznika w czasie krótszym niż jedna doba. W sześć lat później Krzysztof dokonał jeszcze bardziej zapierającego dech w piersiach wyczynu w zaledwie, rozprawiając się z Dhaulagiri, 16 godzin!!! Wspinaczki tego typu nawet dla doświadczonych wspinaczy stanowią tak duże wyzwanie, iż jedynie kilku na świecie zdolnych jest sprostać skali wkładanego w nie wysiłku.

Drugim nurtem działań tego wspinacza jest himalaizm zimowy, w którym również odnosi znaczące sukcesy. Na czoło wybija się dokonane wspólnie z Leszkiem Cichym pierwsze na świecie zimowe wejście na Everest (17 lutego 1980). Jak wspinaczka na Lhotse otwarła wrota kariery Jerzego Kukuczki, tak Everest – Wielickiemu, który w 1986 roku wraz z Jerzym Kukuczką dokonuje pierwszego zimowego wej-



**Relacja z ostatniej wspinaczki z Jurkiem Kukuczką**

## Lhotse

*24 października 1989 roku — nasz trzeci biwak powyżej ośmiu tysięcy. Wczoraj o mało nie doszło do tragedii.*

*Pokonując mikstowy trawers, niespodziewanie odpadłem. Zrobiłem kilkumetrowe wahadło, a potem przekoziołkowałem kilkanaście metrów w dół. Poczułem ostry ból w kolanie i kostce lewej nogi. Przerażony, modliłem się, żeby tylko nie było złamania. W trudnym terenie na wysokości 8200 metrów miałbym niewielkie szanse na przeżycie.*

*Świt przywitał nas przepiękną pogodą. Od łatwiejszej śnieżnej grani dzieliło nas tylko jakieś 70 metrów. Bezwietrzna pogoda, na którą czekaliśmy przez wiele dni, wreszcie przyszła chyba w najbardziej odpowiednim momencie. Dzisiaj mieliśmy nadzieję dotrzeć na wierzchołek Lhotse i zakończyć kilkuletnią batalię o Południową Ścianę. Nie przewidywaliśmy tragedii — a bliskość szczytu być może uśpiła naszą czujność.*

*Jurek szybko pokonywał niezbyt trudny, wypełniony śniegiem skalny komin. Na samym wyjściu zatrzymały Go przysypane śniegiem płyty, a więc jeszcze nie koniec trudności. Wpatrywałem się uważnie, starając się choćby psychicznie wspomóc Go na tej ostatniej chyba przeszkodzie. Jurek wykonał dwa szybkie ruchy i kiedy wydawało się, że dotknął śnieżnej grani, nagle niespodziewanie osunął się i coraz szybciej zaczął spadać w dół.*

*Przerażony, obserwowałem jak kilkakrotnie odbija się na skalnej barierze najpierw powyżej, a potem już poniżej mojego stanowiska. To, czy zacznę spadać razem z nim, zależało już tylko od Opatrzności.*

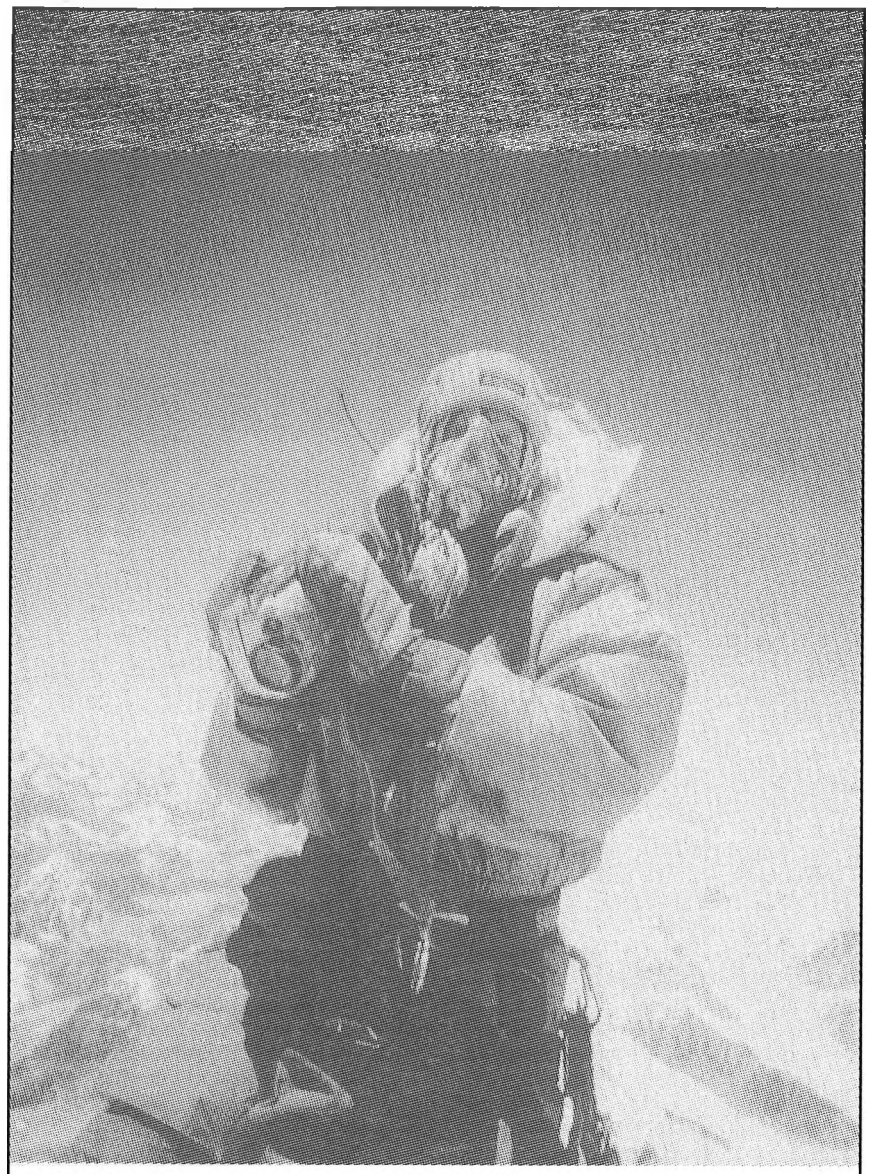
*Szarpnięcie rzuciło mnie na skały, a cienka lina pękła tuż nad stanowiskiem. Dla Jurka był to już koniec, ale ja wciąż żyłem i oniemiały patrzyłem w dół, w ponad trzykilometrową przestrzeń tworzoną przez zerwę Ściany Południowej. Teraz już tylko Ona i ja byliśmy przeciwnikami. Czy samotnie i z kawałkiem liny wypuści mnie ze swoich objęć?*

*Jurek spadł z radiotelefonem i mogłem liczyć tylko na własne siły. Cały dzień zajęło mi pokonywanie w dół trzystumetrowej bariery. Schodziłem w większości bez asekuracji, ale ból i rozpacz przyćmiły mój strach. Ściana raz jeszcze wystawiła mnie na próbę, gdy w niewielkiej odległości od namiotu na stromym trawersie Kotła nieuważnym ruchem strąciłem czołówkę, a potem wiatr wyrwał mi ze zmarzniętych rąk płachtę.*

*Długą himalajską noc powyżej 8000 metrów spędziłem siedząc na stromych płytach pokrytych cukrowatym śniegiem, bojąc się nawet poruszyć, aby nie spaść w dół. Cud, że dotrwałem do rana, a może Ściana zadowoliła się już trzema ofiarami moich kolegów i teraz łaskawie pozwalała mi wyjść z tego cało. W każdym razie nie będę Jej już więcej kusił. Ze mną wygrała.*

RYSZARD PAWŁOWSKI

Powyższa relacja ukazała się wcześniej w dwumiesięczniku „Optymista" (nr 18 z 1994 r.), który wydawany jest w Katowicach. Jest to czasopismo poświęcone wspinaniu i sportom górskim; wychodzi od 1986 roku. Jego założycielem i redaktorem naczelnym jest Wiesław Betz.



*Ryszard Pawłowski podczas wspinaczki na Lhotse.*

ścia na Kangchendzongę (8598 m), a w 1988 pierwszego zimowego, samotnego na Lhotse.

Skoro już mowa o zimowym wspinaniu, warto w tym miejscu przypomnieć, iż idea zdobywania o tej właśnie porze roku najwyższych gór Ziemi jest całkowicie polskim wynalazkiem. Jej realizowanie rozpoczęto w 1973 roku, dokonując wejścia na Noshaq (7492 m) w Hindukuszu. Przeglądając późniejsze statystyki z Himalajów czy Karakorum, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że oto zima stała się ulubioną porą Polaków. Stanowi to zresztą jeden z aspektów naszego himalajskiego cudu. Dlaczego bowiem w tak trudnych warunkach tak wspaniale radzą sobie wspinacze, którzy we własnym kraju nie posiadają nawet kawałka lodowca – pozostanie chyba kolejną tajemnicą.

### Perspektywy na przyszłość?

Wspaniałe tradycje himalajskie śląskiego środowiska wspinaczkowego nie wydają się niestety inspiracją dla młodych pokoleń. Kryzys górskiej (a zwłaszcza wysokogórskiej) wspinaczki widoczny jest zresztą w całym kraju. Ciągłość himalajskich sukcesów podtrzymują jedynie wspinacze starszego pokolenia z Krzysztofem Wielickim i Ryszardem Pawłowskim na czele. Pośród młodych wspinaczy niewielu można znaleźć chętnych do objęcia himalajskiej schedy.

Niewątpliwie przyczyna takiego stanu rzeczy leży w ogromie kosztów, jakim sprostać musi uczestnik wypraw oraz prawdziwy boom popularności wspinaczki sportowej, która – kusząc bezpieczeństwem i wymiernością uzyskiwanych rezultatów – gromadzi młodych entuzjastów poruszania się w trzecim wymiarze. Perspektywy na przyszłość nie wydają się więc zbyt optymistyczne. Czy dobrze to czy źle, trudno osądzać. Jedno na pewno się nie zmieni – wspaniała historia i nigdy chyba nie dający się precyzyjnie zdefiniować fenomen zjawiska, które określiliśmy mianem śląskiej szkoły himalaizmu. ■

# Kalendarium

(Zestawienie nie wyczerpuje całości organizowanych przez śląskie środowisko wypraw. Ujęto jedynie te wydarzenia, które zostały przez autora uznane za najważniejsze. Z podobnych przyczyn podawane są tylko wybrane nazwiska – dla większej przejrzystości nie podawano np. nazwisk partnerów, jeśli reprezentowali inne środowisko lub inną narodowość).

**1977 Nanga Parbat (8125 m).** Pierwsza śląska wyprawa w Himalaje. Kierownik Adam Zyzak. Osiągnięto wysokość ok. 7950 m.

**1979 Lhotse (8511 m).** Pierwsze polskie wejście dokonane przez wspólną wyprawę Klubów Wysokogórskich z Katowic i Gliwic. Pierwszy ośmiotysięcznik Jerzego Kukuczki.
**Modi Peak (7219 m)** – nową drogą Krzysztof Wielicki.

**1980 Everest (8848 m)** – pierwsze wejście zimowe – Krzysztof Wielicki.
**Everest** (w sezonie letnim) – nową drogą wchodzą Jerzy Kukuczka i Andrzej Czok.

**1981 Makalu (8481 m)** – nową drogą północną granią, w stylu alpejskim, bez tlenu i samotnie na szczyt wchodzi Jerzy Kukuczka.

**1982 Broad Peak (8047 m)** – Jerzy Kukuczka – drogą klasyczną, bez tlenu, w stylu alpejskim.
**Makalu** – samotnie nową drogą na zachodniej ścianie Andrzej Czok.
**Langtang Lirung (7245 m)** – Ryszard Pawłowski i Henryk Szczęsny.

**1983 Gasherbrum II (8035)** – Jerzy Kukuczka – nową drogą wschodnią granią, bez tlenu, w stylu alpejskim.
**Gasherbrum I (8068 m)** – Jerzy Kukuczka – nową drogą północno-zachodnią ścianą, bez tlenu, w stylu alpejskim.
**Gasherbrum II East (7772 m)** – Jerzy Kukuczka – pierwsze wejście, bez tlenu w stylu alpejskim.

**1984 Trawers trzech szczytów Broad Peaku (8047 m, 8016 m, 7700 m)** Jerzy Kukuczka, bez tlenu, w stylu alpejskim.
**Manaslu (8156 m)** – nową drogą Krzysztof Wielicki.
**Broad Peak** – Krzysztof Wielicki – pierwsze na świecie wejście na szczyt 8-tysięczny i powrót do bazy w czasie krótszym niż jedna doba. Na szczyt wchodzą również Janusz Majer i Ryszard Pawłowski.

**1985 Dhaulagiri (8167 m)** – Jerzy Kukuczka i Andrzej Czok – klasyczną drogą, bez tlenu, pierwsze wejście zimowe.
**Cho Oyu (8153 m)** – Jerzy Kukuczka – nową drogą południową ścianą, bez tlenu, wejście zimowe.
**Nanga Parbat (8125 m)** – Jerzy Kukuczka – nową drogą wschodnim filarem, bez tlenu.

**1986 Kangchendzonga (8598 m)** – Jerzy Kukuczka i Krzysztof Wielicki – pierwsze wejście zimowe.
**K2 (8611 m)** – Jerzy Kukuczka – nową drogą południową ścianą, bez tlenu.
**Manaslu (8156 m)** – Jerzy Kukuczka i Artur Hajzer – nową drogą północno-wschodnią flanką, w stylu alpejskim, bez tlenu.
**Manaslu E (7992 m)** – Jerzy Kukuczka – pierwsze wejście.
**Makalu** – Krzysztof Wielicki – w stylu alpejskim.

**1987 Annapurna (8091 m)** – Jerzy Kukuczka i Artur Hajzer – pierwsze wejście zimowe, bez tlenu.
**Shisha Pangma W (7950 m)** – Jerzy Kukuczka i Artur Hajzer – pierwsze wejście, w stylu alpejskim, bez tlenu.
**Shisha Pangma (8013 m)** – Jerzy Kukuczka, Ryszard Warecki i Artur Hajzer – nową drogą zachodnią granią, w stylu alpejskim, bez tlenu.
**Yebokangal Ri (7365 m)** – Jerzy Kukuczka i Artur Hajzer – pierwsze wejście.

**1988 Lhotse (8511 m)** – Krzysztof Wielicki – pierwsze wejście zimowe, samotnie.
**Annapurna I N-E (8010 m)** – Jerzy Kukuczka i Artur Hajzer – nową drogą prawą flanką południowej ściany, w stylu alpejskim, bez tlenu.

**1989 Lhotse (8511 m)** – na południowej ścianie ginie Jerzy Kukuczka.

**1990 Dhaulagiri (8167 m)** – Krzysztof Wielicki – samotne wejście nową drogą w czasie 16 godzin.

**1991 Annapurna (8091 m)** – Krzysztof Wielicki i Ryszard Pawłowski.

**1992 Manaslu (8156 m)** – Krzysztof Wielicki.

**1993 Cho-Oyu (8153 m)** – Krzysztof Wielicki.
**Shisha Pangma (8013 m)** – Krzysztof Wielicki – samotnie, nową drogą.
**Nanga Parbat (8153 m)** – Ryszard Pawłowski.

**1994 Everest (8848 m)** – Ryszard Pawłowski.

**1995 Gasherbrum I i II** – Krzysztof Wielicki – w stylu alpejskim.
**Everest** – Ryszard Pawłowski – jako jedyny Polak dwukrotnie na najwyższym szczycie Ziemi.

## Najsławniejsze postaci śląskiego himalaizmu

**Bilczewski Adam** (ur. 1934 – zm. na atak serca 1987), wieloletni prezes KW Gliwice, współautor pierwszego polskiego wejścia na Lhotse, kierownik wypraw na Lhotse, Makalu i Dhaulagiri. Autor książek „Alpiniści" oraz „Lhotse – czwarta góra Ziemi", a także współautor „W górach Alaski i Kanady".

**Chrobak Eugeniusz** (ur. 1939 r. – zm. na Evereście 1989) – przez pewien czas członek KW Gliwice. Zdobywca Kangchendzongi i Mt. Everestu, uczestnik wypraw w Andy, Kaukaz, Hindukusz, Karakorum. Współautor książki, „Ostatni atak na Kunyang Chhish".

**Czok Andrzej** (ur. 1948 – zm. na obrzęk płuc na Kangchendzondze 1986) . Członek KW Gliwice. Zdobywca Lhotse, Everestu (nową drogą) , Makalu (pierwsze wejście zachodnią ścianą) , Dhaulagiri. Uczestnik wypraw na K2, w Andy i Pamir.

**Dąsal Mirosław** (ur. 1952 – zm. na Evereście 1989). Członek KW Częstochowa, następnie KW Katowice. Zdobywca Everestu. Dwukrotny uczestnik wypraw na Lhotse, a także K2, Bhagitatti II. Autor książek „Każdemu jego Everest", „Mniej więcej niż Dhaulagiri".

**Hajzer Artur** – członek KW Katowice, wieloletni partner Jerzego Kukuczki, z którym dokonał wejść na Anntapurnę, Shisha Pangmę, Manaslu, współautor pierwszego polskiego wejścia na Tirich Mir (7706 m) w Hindukuszu. Autor książki „Atak rozpaczy". Obecnie jest prezesem zarządu firmy Alpinus.

**Kukuczka Jerzy** (ur. 1948 – zm. na Lhotse 1989) . Członek KW Katowice. Najwybitniejszy himalaista polski i jeden z najlepszych na świecie. Zdobywca wszystkich czternastu szczytów Ziemi, wznoszących się ponad 8 tys. metrów. Autor książki „Mój pionowy świat", współautor „Na szczytach świata".

**Koisar Jan** (ur. 1940) – członek KW Katowice, doktor nauk medycznych – chirurg. Zapewniał opiekę lekarską podczas wypraw na Lhotse, K2, Nanga Parbat.

**Majer Janusz** – wieloletni prezes KW Katowice, kierownik wypraw na K2, Lhotse i Broad Peak. Zdobywca Broad Peak i Annapurny. Obecnie jest wiceprezesem zarządu firmy Alpinus.

**Pawłowski Ryszard** – aktualny prezes KW Katowice. Dwukrotny zdobywca Everestu. Zdobywca pięciu szczytów ośmiotysięcznych. Obecnie jako jeden z nielicznych Polaków jest zawodowym przewodnikiem górskim, prowadzącym turystów na szczyty Himalajów, Alaski i innych.

**Szafirski Ryszard** (ur. 1937) . Członek KW Gliwice (później członek i prezes KW Zakopane), kierownik wyprawy i zdobywca Malubitung North (6843 m, pierwsze wejście w 1969) , współautor pierwszego wejścia na Kunyang Chhish (7852, w 1971 roku), ówczesny polski rekord wysokościowy). Uczestnik wypraw na Lhotse i Everest, kierownik wyprawy na Annapurnę. Współautor książki „Ostatni atak na Kunyang Chhish".

**Wielicki Krzysztof** (ur. 1950) – członek KW Katowice. Zdobywca dwunastu szczytów ośmiotysięcznych. Jeden z najlepszych na świecie himalaistów. Zasłynął jako autor błyskawicznych wejść na szczyty ośmiotysięczne. Współautor książki „Rozmowy o Evereście". Obecnie kieruje firmą Himal Sport.

# ścieżki i rozdroża

# Dylematy Bienka

„Pierwsza polka" Klausa Emmericha była udanym, choć dzisiaj jakby nieco zapomnianym filmem. Polemiczna scena, w której pada wiele polskobrzmiących nazwisk i nazw miejscowości, należy do najlepszych. I pewnie spełniła wyobrażenia Horsta Bienka, który przygotowując się przez kilka lat do napisania swej gliwickiej tetralogii, sporo uwagi poświęcał kwestiom języka i gwary śląskiej. Nie mógł zresztą sobie z nią poradzić.

Trudno mieć o to do niego pretensje. Nie znał języka polskiego, dlatego tak silnie przyssał się do śląskopolskiej leksyki, która wyraźnie przenikała do tutejszej niemczyzny. Układał na własny użytek słowniczki, notował charakterystyczne powiedzonka, przysłowia, przekleństwa, modlitwy, wierszyki i piosenki.

*Ein Piesz kam in die Kuchnia*
*und stahl dem Koch ein Chlyb*
*da nahm der Koch Widoka*
*und tat den Piesz zabitsch*

Z jaką dziecięcą radością notował pisarz ten znany kanon o głupim kucharzu, odkrywając, że został napisany w najczystszym „wassserpolnisch".

Chyba się mylił. Tak jak mylił się, zwracając się sam do siebie w „Opisie pewnej prowincji": „Spróbować wyjaśnić, czym właściwie jest wasserpolnisch. Otrzymuję zaskakujące odpowiedzi. I najbardziej pogmatwane. Jednoznacznej interpretacji nie ma. To, co na ten temat pisano, jest raczej nieporadne. To nie dialekt ani oddzielny język, to raczej niemiecki o polskiej składni z (przypadkowo?) wtrąconymi polskimi słowami... Nie wiem jeszcze, jak wykorzystam to w powieści".

Pomińmy sam termin: „wasserpolnisch" jako nieco obraźliwy, choć z całą pewnością Bienek używając go, nie wiedział o tym, a ponadto trudno było mu znaleźć inne określenie. Naczytał się na ten temat sporo, ale byli to autorzy wyłącznie niemieccy (raczej starej, nacjonalistycznej daty) i – jak sam zauważył – dość mętnie tłumaczący fenomen języka pogranicza.

A może jednak było nieco inaczej? Autor „Pierwszej polki", śledząc meandry niemieckiej duszy, w której dostrzegał wiele słowiańskich cech, rozmyślał wyłącznie, co naturalne, o języku swych rodaków, upajając się – jak to określał – „śląską muzyką słów". Z wyraźną przyjemnością przepisywał z mapy pochodzącej z roku 1912 nazwy miejscowości o wyraźnie polskim pochodzeniu: Budkowitz, Jellowa, Malapane, Proskau, Turawa, Knurow, Miechowitz... dodając z patosem: „Trzeba kochać te nazwy, tę mowę, ten kraj, aby móc zrozumieć ludzi, którzy tu żyją!".

W innym zaś miejscu Bienek wyznaje, że pisarska potrzeba zagnała go raz czy drugi do Zagłębia Ruhry, gdzie ukradkiem wsłuchiwał się w sposób mówienia starych Górnoślązaków, w pełnym przekonaniu, że tylko oni jeszcze tak pięknie posługują się „wasserpolnisch".

I znowu jesteśmy w tym samym językowym zaułku, w który wpadł Horst Bienek. Czyżby pisarz specyfikę pogranicznego dialektu („jeżeli to jest w ogóle dialekt, a nie odmiana języka o swoistym kolorycie" – powątpiewał) dostrzegał jedynie w granicach niemczyzny? Co wiedział o gwarze śląskiej, bez wątpienia mającej polski i tylko polski rodowód, choć, rzecz jasna, pełnej germanizmów i czechizmów? Współcześni językoznawcy i historycy niemieccy nie mają już wątpliwości, że „wasserpolnisch" jest archaiczną odmianą polszczyzny.

Bienek w przywoływanym tu już wielokrotnie „Opisie pewnej prowincji" przypomina, że 8 listopada 1978 roku, dokładnie 40 lat po Kryształowej Nocy, utworzono we Frankfurcie nad Menem Stowarzyszenie Badania Historii Żydów Górnego Śląska. Wśród członków-założycieli wymienia Josefa Joachima Menzla, profesora Uniwersytetu w Moguncji, przewodniczącego Komisji Historycznej do spraw Śląska. Dodajmy, że Menzel urodził się na Śląsku Opolskim. Miałem kiedyś okazję słuchać jego wykładu dotyczącego przeszłości tego regionu, a później przeprowadzić z nim wywiad prasowy. Menzel pytany o prawo Niemców górnośląskich do uznawania siebie za ludność autochtoniczną, nie miał wątpliwości, że takie prawo im przysługuje, argumentując, że już we wczesnym średniowieczu Piastowie sprowadzali osadników niemieckich, którzy budowali nowe miasta na dziewiczych terenach, na ogół w pewnym oddaleniu od starych siedzib słowiańskich. Nie miał jednak też wątpliwości, że słowiańska ludność Górnego Śląska, która przez całe wieki pozostawała pod ciśnieniem obcej kultury, zachowała własny, odrębny język, będący odmianą polszczyzny. Zapytajmy więc raz jeszcze: czy to, co dla Menzla jest niepodważalne, umknęło uwadze Bienka?

A może jednak pytanie to jest źle postawione? Bienek, jak każdy dobry poeta zmuszony do życia poza swą ojczyzną, ze szczególną atencją odnosił się do języka ojczystego, który stanowił dla niego jedyny namacalny świat utraconego dzieciństwa. W jego więc obrębie szukał znaków identyfikacyjnych, własnej tożsamości, tożsamości ludzi mu pokrewnych. Nie może więc dziwić, zwłaszcza gdy przenikniemy przez poetycki realizm jego powieści i stosowane przez niego zabiegi mitotwórcze, że Górnoślązacy to u niego synonim „kresowych Niemców". Ci „od Korfantego" zaś, ci z drugiej strony podgliwickich lasów, i nawet niekoniecznie zza granicy, bo już także z Łabęd, to Polacy. A skoro tak – dopowiedzmy – to oczywiście Polacy muszą mówić po polsku. „Wasserpolnisch" zatem to u Bienka raczej określenie opisowe, odnoszone do ludzi utożsamiających się z narodem i kulturą niemiecką. Tymczasem, niech mnie ktoś poprawi, jeśli się mylę, termin ten miał odcień pogardliwy dlatego, że odnosił się do tych, którzy mówili po polsku (gwarą, rzecz jasna) i którzy – jak pouczała pruska propaganda – sami nie wiedzą, kim są (albo inaczej: nie wiedzą, „zapomnieli", że są Niemcami).

Mowa tu więc o dwóch odrębnych zjawiskach. To, co tak bardzo podniecało Bienka-pisarza, w istocie – rzeczywiście jest językiem niemieckim. W tym miejscu pisarz, by tak rzec, swe językowe dociekania zawiesił. Głębiej i dalej pójść nie mógł, i to z prostej przyczyny – był Niemcem. Wędrówka w stronę polskiej gwary była ponad jego siły. Ale – paradoksalnie – pokazując jak język polski wchodził w niemczyznę, pośrednio nobilitował śląską gwarę, jakże często oskarżaną o to, że jest „zaśmiecana germanizmami". A przecież języki nie śmiecą, nie brudzą. Coś o tym wiedział Bienek, który czuł, że musi jakoś „usprawiedliwić" przed światem i przed samym sobą, już choćby tylko brzmienie swego nazwiska...

KRZYSZTOF KARWAT

LESZEK SZARUGA

# Wyspa

1. Wyspa Poezji – dziś rzadziej odwiedzana niż przed kilku jeszcze laty – jest zawsze jednym z ważnych punktów orientacyjnych w ocenie życia społecznego. Można, oczywiście, uparcie bronić zdania, że świat sztuki jest światem doskonale autonomicznym, a słowo poetyckie zachowuje wobec obszaru dlań zewnętrznego swą suwerenność, lecz taka piękna skądinąd utopia niewiele ma wspólnego z rzeczywistością. Rzecz jasna – poeta prawdziwy tworzy światy własne, niejako „równoległe" wobec materii życia, na swój sposób wobec niej alternatywne, jednakże zawsze istnieją jawne lub dyskretne połączenia między tymi światami. I jeśli pisał Miłosz, iż „jest poeta w Polsce barometrem", wiele w tym prawdy nawet teraz, gdy – jak się zdaje – nurt poezji uczestniczącej bezpośrednio w życiu publicznym, poezji „interwencyjnej" czy „obywatelskiej" zdaje się wysychać.

Czy zresztą całkowicie? Wydaje się – nie do końca, skoro jeden z niedawnych debiutantów, współtwórca rzeszowskiego pisma literackiego „Fraza", Stanisław Dłuski, zauważa (na łamach „Nowego Nurtu"), zwłaszcza u debiutantów, powrót poezji bardziej nastawionej na sprawy osobiste niż społeczne: „Trzeba i warto podejmować spory o – mówię to z pewnymi zastrzeżeniami – wizje świata i wizje człowieka, o siebie i sens bytu, warto pytać o nasze rozpacze, zagubienia, które stały się od dawna wyzwaniem człowieka XX wieku. Potrzeba sporu bardziej światopoglądowego niż podpierania książek głosami znanych krytyków. Może zamiast czekać, aż krytyk od hierarchii ustali miejsce kolejnego debiutanta, warto się pokłócić o istotne sprawy, poszukać sensów głębokich". Odnotowuję ten głos, gdyż nie tylko został on wyeksponowany przez redakcję pisma, w którym jest opublikowany, ale także zdaje się sygnalizować próby reorientacji młodej poezji. A swoją drogą byłoby chyba interesujące poznać owe „pewne zastrzeżenia", o których wspomina autor.

2. Nie poczuwam się do miana „krytyka od hierarchii", staram się jednak na bieżąco śledzić to, co się w polskiej poezji dzieje. Nie jest to zadanie łatwe, gdyż książka poetycka jeśli nie znikła zupełnie z półek księgarskich, zepchnięta została w jakieś ledwo dostrzegalne „kąciki" – w jednym ze sklepów musiałem do regału z wierszami przebijać się przez parawan z kartkami pocztowymi. I tak zresztą jestem tu w sytuacji człowieka uprzywilejowanego – sporo tomików dostaję od autorów i wydawnictw, co nie jest bez znaczenia i z tego względu, iż książka, także poetycka, stała się towarem drogim (na przykład zrezygnowałem, choć z pretensją do samego siebie, z kupna tomu Anny Frajlich wydanego w Czytelniku – był zbyt drogi).

Przy czym wbrew pozorom ruch wydawniczy w dziedzinie poezji wcale mały nie jest. Pojawia się sporo wznowień współczesnej klasyki (jak choćby seria wydawnicza Łuku lub seria miniaturowych tomików redagowana bodaj przez Zbigniewa Jerzynę – obie przeznaczone dla szerokiej publiczności, publikowane wyraźnie z myślą o kolekcjonerach). Sporo też jest wydawnictw lokalnych, na ogół dofinansowywanych przez lokalne władze – tak dzieje się na przykład z seriami tomików wydawanymi przez poszczególne oddziały SPP (w Bydgoszczy czy Wrocławiu), publikacjami szczecińskiego Klubu 13 Muz, poznańskiego Obserwatora, lubelskich „Kresów" lub ostrołęckiej „Pracowni". O dotacjach brak informacji w dość prężnym Wydawnictwie „Miniatura" z Krakowa. Ministerstwo Kultury dopłaca do redagowanej przez Krzysztofa Karaska serii poetyckiej Wydawnictwa Przedświt. Jedno nie ulega wątpliwości – większość tomików poetyckich jest obecnie w Polsce dofinansowywana z zewnątrz. Dzieje się tak nawet w wypadku oficyn już osadzonych na rynku i, sądząc po ich produkcji, nie najuboższych – jak choćby w Wydawnictwie Dolnośląskim. Czy jest to model na najbliższe lata, trudno przesądzać. Jednakże najczęściej autor starający się w jakimś wydawnictwie o publikację swej książki słyszy niemal od razu pytanie: „A czy ma Pan(i) sponsora?". Być może także w przyszłości los poezji polskiej zależeć będzie od funduszów, jakie na nie przeznaczać będą urzędy wojewódzkie i miejskie...

Poza tym większość książek jest w księgarniach nieosiągalna. Jest to i winą kolportażu, i samych wydawców nie znajdujących środków na upowszechnienie swych pozycji. Przy czym zadziwia fakt, iż nagle, nie wiedzieć czemu, książka wydana w Krakowie osiągalna jest w Gdańsku, nie ma jej natomiast ani w Starej Stolicy, ani w Warszawie. Książki mają dziś w Polsce nie tylko własne losy, ale też chadzają własnymi drogami.

Poczyniwszy te zastrzeżenia, chciałbym teraz przedstawić swe refleksje z lektur poetyckich ostatnich dwóch, trzech lat. Zapewne nie uda mi się odtworzyć choćby w zarysie pełnego obrazu dziś powstającej poezji polskiej. Wątpię czy ktokolwiek w Polsce jest dziś w stanie całość tego obrazu ogarnąć – tym bardziej że wielu wydawców kpi sobie z ustawowego obowiązku dostarczania egzemplarzy obowiązkowych do głównych bibliotek krajowych, nie ma więc chyba takiego miejsca, w którym można by było całość tego dorobku przejrzeć. Orientowanie się według bibliografii zamieszczanych czy to w „Notesie Wydawniczym" czy w „Ex Librisie", „Nowych Książkach" lub „Gazecie Wyborczej" (dodatek o książkach, zresztą coraz mniej interesujący, rezygnujący, podobnie jak „Ex Libris", z prób choćby oceny, nie mówiąc już o promowaniu tego, co pojawia się w literaturze krajowej) jest zawodne – i tu nie ma wszystkich pozycji. Tak zatem poniższe uwagi dotyczą tylko tych pozycji, do których dane mi było dotrzeć.

3. Zawsze istnieje dla krytyka problem „omówień zbiorczych". Nie ma na to dobrej recepty, zwłaszcza takiej, która pozwoliłaby na opis zobiektywizowany. Pozostaje więc jedynie kierowanie się „własnym widzimisię". Można, rzecz jasna, czynić jakieś „przeglądy hierarchiczne" – czy to wedle klucza pokoleniowego, czy wedle jakichś „szkół" – lecz są to właśnie tylko przeglądy, rodzaj komentowanej bibliografii. Z drugiej strony każdy krytyk pragnie w takich panoramicznych ujęciach wychwycić nie tylko najbardziej interesujące dokonania indywidualne, lecz także podjąć próbę ustalenia zjawisk dominujących – czegoś, co można by nazwać poetycką tonacją czasu.

Panuje w zasadzie zgoda co do tego, że w ostatnich latach poezja – szerzej może: cała literatura – jakby zrezygnowała w zasadzie z tonacji obywatelskiej, odsunęła się od spraw społecznych, odrzuciła nade wszystko wszelkie „ideologiczne" zobowiązania i uwikłania. Nowa sytuacja społeczna jest też nową sytuacją literatury, mogącej się wreszcie wypowiadać pełnym głosem. Nie znaczy to, iż uwolniła się od pewnych mód i konwencji, że nie obawia się ryzyka przekraczania jakichś obyczajowych czy artystycznych tabu, że nie liczy się z opinią takiego lub innego „salonu" (na szczęście „salonów" coraz więcej, można się zatem swobodniej poruszać między nimi) – to są normalne uwikłania literatury na całym świecie i głosy mówiące, iż jest to nowy rodzaj „cenzury" zaświadczają jedynie o bezmyślności tych, od których pochodzą. Są, rzecz jasna, naciski różnych środowisk – w tym także katolickich – na wydawców i autorów, zmierzające do eliminowania tekstów uznanych przez nie za „niesłuszne", lecz to zjawisko sporadyczne i raczej nie mające szans się zinstytucjonalizować.

Odsunięcie się literatury od problematyki społeczno-politycznej wiązać należy chyba przede wszystkim z faktem rozpadu dwubiegunowego modelu życia literackiego kształtowanego przez napięcia ideologiczne. Świat kultury odzyskał swą wielobarwność, co sprawiło, iż literatura przestała być traktowana instrumentalnie nie tylko przez czytelników, lecz także przez samych twórców. Szczególnie wyczulona na



próby manipulacji, młoda literatura sprzeciwiała się już u progu lat dziewięćdziesiątych zarówno oficjalnemu modelowi „patriarchalnej swobody" oraz opozycyjnemu stylowi „twórczej walki" – ten drugi otrzymał niebawem, po zmianach politycznych, pogardliwe miano „etosu". Bunt przeciw „etosowi" stał się – najczęściej bezmyślną (choć z satysfakcją podtrzymywaną i pieszczoną przez niedawnych miłośników władzy) – modą kulturalną. Tu najgłośniejsze stały się wystąpienia środowiska skupionego wokół „bruLionu" – z jednej strony ucieczka z krainy „Akslop" (odwrócona „Polska"), z drugiej prowokacja obyczajowa (w stylu dość tradycyjnym) – ten bunt wypalił się dość szybko, tym bardziej że – przynajmniej w poezji – odwoływał się do wzorów sprowadzonych ze świata (czyżby znów potwierdzenie tezy Irzykowskiego o „plagiatowym" charakterze naszych artystycznych przeobrażeń?). W tym samym nurcie dominować zaczął sprzeciw wobec autorytetów: lekceważące opinie o Miłoszu, ale także o Barańczaku, nie należały do rzadkości. Z jednej strony zarzucano im „etos", z drugiej „przeestetyzowanie" (choć zaiste w wypadku Miłosza oba zarzuty wydają się co najwyżej zabawne). Trwało też gorączkowe poszukiwanie punktów odniesienia.

4. Obecnie wydaje się, że młoda zwłaszcza poezja taki punkt odniesienia znalazła. Myślę, iż nie bez znaczenia jest fakt opublikowania właśnie nakładem „bibLioteki" – oficyny

# poezji



Rys. Krzysztof Figielski

kręgu „bruLionu" – najnowszego tomu poetki starszej generacji, Krystyny Miłobędzkiej. Zbiór ten – *Przed wierszem* – to tomik zawierający całość dorobku tej autorki dotychczas pozostającej jakby w cieniu, na uboczu głównego nurtu życia poetyckiego (choć warto przypomnieć interesującą interpretację tej liryki dokonaną przed laty przez Barańczaka). Wydaje się, że przyznanie się do związków z tą akurat poetką nie jest przypadkowe. Z kilku względów. Po pierwsze – podobnie jak ceniony przez młodych Karpowicz – reprezentuje ona niejako „prywatną" linię poezji zwanej lingwistyczną. Po drugie – stoi rzeczywiście poza wszelkimi „salonami", zaś jej twórczość niesie w sobie sporą dawkę artystycznego ryzyka. Po trzecie wreszcie – jest to poezja w zdumiewający sposób odnajdująca harmonię między abstrakcją i konkretem.

Te wiersze budowane są nie ze zdań czy obrazów, lecz z pierwotnych wobec nich „porcji przeżycia lirycznego", jakby „pierwszej materii" poetyckiej, dzięki czemu możliwe jest nie tylko zakwestionowanie zdroworozsądkowej logiki postrzegania, lecz także wyzwolenie wypowiedzi z więzienia gramatyki. Wreszcie – i to może najważniejsze – to liryka doświadczenia całości, znajdująca pokrewieństwa między, zdawałoby się, najbardziej odległymi od siebie sferami ludzkiego (a i nie tylko ludzkiego) istnienia. „Wszechpokrewność" zjawisk – czy to ze sfery doświadczenia egzystencjalnego, czy z obszaru metafizyki – zbliża tę lirykę do modnej dziś ekofilozofii. To zaś, co może być, jak sądzę, w tej poezji najbliższe młodym, to dynamiczne powiązanie sprzeciwu i akceptacji, które najpełniejszy może wyraz znalazło w kilku wersach z cyklu „imiesłowy".

*to olśnienie*
*to jestnienie*
*jest nie nie*

Trudno powiedzieć czy publikacja tomu Miłobędzkiej w oficynie, w której dotychczas drukowane były przede wszystkim tomiki „bruLionowców" jest wskazaniem „mistrza", czy jedynie wskazaniem duchowego pokrewieństwa. Jedno nie ulega wątpliwości – jest wyjściem twórców tego kręgu poza przestrzeń własnego podwórka.

Jest to zarazem – paradoksalnie – zwrócenie się ku poezji w jej formie najczystszej, w sferę refleksji metapoetyckiej. Tytuł *Przed wierszem* jest – jak wszystko w liryce Miłobędzkiej – bardzo starannie dobrany. To jakby próba zejścia poniżej sfery sztuki gotowych formuł, zbliżenia języka wypowiedzi do na skroś indywidualnego i niepowtarzalnego „bycia sobą". Przy czym, co ważne – jej rozwiązanie ratuje indywidualizm przed skrajnością egotyzmu: jest propozycją dialogu z wszelkim „ty", jakie się w życiu pojawia, także z owym Ty kojarzonym z boskością.

5. O tyle to istotne, że „kłopoty z Bogiem" stanowią w polskiej poezji lat ostatnich jeden z podstawowych jej problemów. Można, oczywiście, wskazywać tu na twórczość Jana Twardowskiego (ostatnio ukazało się kilka zbiorów tego niesłychanie popularnego autora, w tym jeden przygotowany bez jego udziału) jako na przykład najbardziej widoczny – poety, który w modlitewnym skupieniu (nie pozbawionym zresztą swoistej lekkości a nawet humoru) sytuuje się „przed wierszem", przed zestetyzowanymi, a więc i niejako zinstytucjonalizowanymi formami wypowiedzi. I w tym wypadku chodzi raczej o owo metafizyczne „dawanie świadectwa" niż o „pisanie wierszy".

Warto jednak spojrzeć na to zjawisko w szerszym kontekście, którego obszar z jednej strony wyznacza „religijna" poezja Twardowskiego, z drugiej *Schizma* Marcina Świetlickiego. Gdzieś pośrodku sytuuje się tu tom Czesława Miłosza *Na brzegu rzeki* – to sprawozdanie, spowiedź czy raport dla Najwyższego z trudu życia i pisania. Ma rację Błoński, gdy szukając formuły dla tej poezji nazywa ją „dziękczynieniem", jednakże nie można tu pominąć problemu zwątpienia, niepewności, niejednoznaczności owego wyznania, w które wpisany jest ukryty spór twórczego „ja" poety z mocą kreacji boskiej. Tu spotyka się Miłosz w swych poszukiwaniach zbardziej niż on przepojonym goryczą istnienia i pisania Tadeuszem Różewiczem, którego ostatni tom – *słowo po słowie* – jest uzupełnionym przez nowe wiersze wyborem z całej twórczości, w której niepoślednie miejsce zajmuje dramatyczna formuła zamykająca wiersz „bez":

*„życie bez boga jest możliwe*
*życie bez boga jest niemożliwe"*

Przy okazji niejako trzeba zauważyć, iż zarówno poszukiwania Miłosza „formy bardziej pojemnej" – z odwołaniem do znanego wiersza *Ars Poetica*?, w którym „poetyckość" zostaje na poły zakwestionowana – i forma skrajnej prostoty wiersza Różewiczowskiego wciąż walczącego o „zmartwychwstanie" poezji w jakiś sposób się rymują. Kwestia „przemienienia" słowa nie jest tylko sprawą doświadczeń religijnych czy estetycznych, lecz także historycznych. Dziś, gdy czas na sumowanie doświadczeń tego stulecia, ten wymiar refleksji poetyckiej nie powinien być przeoczony.

W tym kontekście zastanawia najnowszy zbiór jednego z najciekawszych (choć „spóźnionego" w stosunku do swoich rówieśników), debiutanta ostatnich lat – *Góra Duchów* Józefa Kurylaka. W warstwie religijnej jest to tom demonstracyjnie wyznawczy. W szczególności uderza zakończenie wiersza *Ministrant:*

*Bo takie już przeznaczenie poetów*
*Z woli Wiekuistego Pana*
*że są tym drugim światłem*
*Obok kapłana*

Jak widać sprawa „porządku" czy hierarchii w relacjach sztuki i religii staje się jednym z ważniejszych problemów poezji lat ostatnich. I dość powszechnym: wystarczy sięgnąć (a to jeden z wielu przykładów) po tom *Razem, osobno* Macieja Cisły, poety o wyjątkowej wprost samoświadomości artystycznej, by odnaleźć ten sam temat, lecz już bardziej wyostrzony w atakach na religijne instytucje (w tym także Kościół): porządek religii zinstytucjonalizowanej, a więc ograniczającej wolność poszukiwań, zaprzeczony zostaje tutaj przez porządek swobody twórczej.

Jeszcze inaczej w tomie Piotra Matywieckiego *Poematy biblijne*, którego ostatni wiersz – *Odczytanie* – zaczyna się stwierdzeniem (wykorzystującym na „lingwistyczną" modlę wieloznaczność słów):

*Bóg otwiera świat –*
*i w otworzonym*
*tworzy człowieka*
*żeby otwierał, odwracał*
*karty otwartej Księgi.*

Pytaniem otwartym pozostaje, czy Księga rzeczywiście jest otwarta. I co znaczy „odwracanie" jej kart. Jedno nie ulega dla mnie wątpliwości: najnowsze poszukiwania polskiej poezji w dużej mierze skupiają się w większym stopniu niż dotąd na próbie odbudowania, odtworzenia utraconego horyzontu Księgi.

Problem wolnej woli, odpowiedzialności za swe życie nie tylko przed sobą, lecz także wobec wyższej instancji, wierność Księdze lub sprzeciw wobec jej nauk to tematy wciąż w tej twórczości powracające. Aż po tonację rezygnacji, jak w zakończeniu tomu *Nieczytelny charakter pisma* Adama Tadeusza Bąkowskiego:

*Nie widzę Ciebie, ale może jestem ślepy,*
*Nie słyszę Ciebie, lecz czyż nie mogę być głuchy?*
*Być może jesteś dobrotliwy, lecz ja nic o tym nie wiem.*
*Wierz mi, życie bez wiary jest trudniejsze,*
*nic więcej nie mam na swoją obronę.*
*Wymierz mi, Panie, sprawiedliwość:*
*ukarz mnie surowo.*
*(Psalm)*

Z tym że taka rezygnacja jest zarazem wyzwaniem.

6. Nie znaczy to, by problematyka dialektycznych związków wiary i twórczości wyczerpywała kwestie przez tę poezję podnoszone. Jest rzeczą oczywistą, że po zmianach politycznych w kraju na plan pierwszy twórczości literackiej wysunąć się musiały – nigdy zresztą nie zepchnięte z pola widzenia, lecz przytłumione przez okoliczności, w jakich kultura zmuszona była funkcjonować – zagadnienia o wymiarze bardziej uniwersalnym niż doraźnym. To, co do niedawna uznawane być mogło za błahe i marginalne, dziś odzyskuje swój właściwy wymiar. Co jednak ważne, nadal toczy się rozpoczęta zaraz po wojnie dyskusja na temat sposobu mówienia, form poetyckiego wyrazu. Tu, oczywiście, znów trzeba by powracać do Miłosza i Różewicza, wskazać na doświadczenia „lingwistów", wpisane zresztą w codzienność dzisiejszej liryki. Trwają też próby wyznaczenia lub zatarcia granicy między „życiem" i „poezją". W tej kwestii dość interesującym głosem jest drugi tom Andrzeja Niewiadomskiego – *Nibylec*, nawiązujący już tytułem do doświadczeń Leśmiana.

To, co interesujące w tej propozycji, to pytanie o możliwość uniknięcia estetyzacji czyli „obrastania w literaturę". Dlatego bohater tego tomu „budzi się poza wierszem" i proponuje:

*„Co najwyżej drobne narracje / jeśli już musisz konkretyzować / bez popadania w koleiny poprawnej składni".*
*(Poemat podróżny).*

„Drobne narracje" lub mowa milczenia, jak w paradoksalnym zakończeniu tomu Macieja Niemca *Małe wiersze:*

*„By przeżyć ten wiersz, muszę milczeć (...); / chcesz, by wiersz przeżył*
*ciebie, mów".*

Powraca tu na nowo formułowana kwestia śmierci poezji czy raczej już coś więcej: śmierci w poezji. „Poezja na śmierć" – oto pojawiająca się coraz częściej kwestia. Pojawia się przede wszystkim w twórczości pisarzy starszych – i to nie dziwi: życie ku śmierci, przywoływanie, zwłaszcza w kontekście twórczości, *memento mori* (w nie zawsze dopowiedzianej nadziei: *non omnis moriar*) należy do stałego repertuaru liryki doświadczonej przemijaniem ludzi, systemów i form. Ale zaskakuje w poezji autorów młodszych – jak w zamykającym tom Anny Janko *Zabici czasem długo stoją* wierszu *Z zapisków umarłej* czy w cyklu Urszuli M. Benki *Ostatniemu człowiekowi na ziemi w godzinę jego śmierci*. W tytułowym wierszu tego cyklu czytamy:

*Obojętnie, czy to pierwszy, czy ostatni*
*dzień*
*ludzkości na planecie, czy to pierwsze*
*spojrzenie myślące*
*w całym spazmie nowej świadomości, czy*
*bezładne*
*rozedrganie ślepych oczu – jak można nie*
*oszaleć*
*na myśl, że się jest albo będzie*
*tym wybrańcem – –*

To jeden z wielu głosów o tonacji apokaliptycznej, łączącej mit początku z mitem końca w kołowy cykl powtórzeń. Nie to jednak wydaje mi się ważne, lecz wzmianka o „spazmie nowej świadomości": przez świadomość śmierci, przez konieczność przemyślenia na nowo problemów własnej tożsamości.

7. Ten wymiar poszukiwań wydaje się dziś w polskiej poezji dominować. Przybiera zresztą różne kształty – od refleksji metapoetyckiej, próby ponownego zdefiniowania samego pojęcia poezji, aż po dążenie do określenia swego miejsca w świecie. Mamy w moim przekonaniu do czynienia z dyskretnym – to znaczy: unikającym tonacji manifestacyjnego wystąpienia – procesem przewartościowywania własnych postaw. Przy czym jest to proces wielopostaciowy. Najlepiej widoczny jest w twórczości poetów już dojrzałych, wydających w ostatnich latach swe retrospektywne wybory uzupełniane przez nowe wiersze. Tak jest w wypadku Miłosza, Różewicza, Wiktora Woroszylskiego czy Krzysztofa Karaska, tak też w wypadku tomów Urszuli Kozioł *Postoje słowa* czy Bogusławy Latawiec *nigdy całości*. Oba są rodzajem poetyckiego dziennika, przy czym wybór wierszy dokonany z całej twórczości konsekwentnie – podobnie jak u innych autorów prezentujących swe retrospektywy – ciąży ku wyeksponowaniu problematyki metafizycznej. Najpełniej oddaje to fragment wiersza B. Latawiec *Lata dziewięćdziesiąte:*

*Przez nasze pióra, rękopisy*
*twarze nasze w zbliżeniach*
*prószy gruboziarnista cisza*
*i sypią białe wiatry*

Ten typ autorskich reinterpretacji własnej poezji zderza się z próbami znalezienia uzasadnień dokonywanych przed laty wyborów. W wypadku refleksji metapoetyckiej jest to dążenie do wskazania wagi spraw ponaddoraźnych, przytłumionych niegdyś przez jazgot „historii spuszczonej z łańcucha". Kiedy indziej – jak na przykład w interesującym tomie Krzysztofa Gąsiorowskiego *Gemmy w kości policzkowej* – chodzi nie o poezję, lecz o problemy egzystencjalne. Dokonane tu rozliczenie z samym sobą (o ileż mądrzejsze niż w publikowanym na łamach „Nowego Nurtu" wywiadzie poety) niesie w sobie jednak coś, co jest może skazą nie tylko tego autora, lecz całej formacji, do której należy (nie jest przypadkiem, że zameldowała się ona niemal w komplecie na łamach „Wiadomości Kulturalnych", podobnie jak w stanie wojennym na łamach „Tu i Teraz") – chodzi mi o swoiście pojmowany „realizm" życiowy pozwalający na zawieszenie wartości etycznych zarówno w działaniach praktycznych („Realpolitik") i artystycznych („nie należy mieszać etyki z poetyką"). Niezależnie jednak od tej skazy ta próba autorozliczenia wydaje mi się interesująca zarówno jako zjawisko ze sfery życia publicznego, i jako rozpaczliwa próba ratowania swoiście pojmowanej „autonomii" poezji: to interesująca lekcja także dla młodych.

Inny rodzaj refleksji nad własną tożsamością odnajdziemy w nowych tomach – *Czeremasznik, Zimownik* – niesłusznie zepchniętego z pola widzenia krytyki Jerzego Harasymowicza. Poeta ten przechodził różne metamorfozy, teraz jakby powracał – uzupełniając je o refleksje nad śmiercią – do swych wierszy pierwszych, w bieszczadzkie, łemkowskie pejzaże. Nie byłoby w tym może nic zaskakującego, gdyby nie fakt, że demonstracyjnie – zwłaszcza w *Zimowniku* stylizowanym na ruskie byliny – podnosi sprawę ukraińskości swego bohatera, Kozaka Harasyma, teraz wolnego wreszcie, przez lata zaś niewolonego przez Lachów. To dziwaczne rozgałęzienie polskiej „szkoły ukraińskiej" – zwłaszcza w kontekście twórczości takich poetów jak Iwaszkiewicz czy zwłaszcza Łobodowski. Można zrozumieć, iż odnajdywanie własnych korzeni może stać się wstrząsem, nie wiadomo jednak dlaczego taka poezja rozbudza ponure resentymenty. W każdym razie – warto zwrócić uwagę na to zjawisko.

Tym bardziej, iż dokonuje się ono w kontekście podobnych poszukiwań. Odnajdywanie kresowych korzeni uderza w szczególności w poezji autorów młodszych: Aleksandra Jurewicza, Pawła Huelle, Tadeusza Żukowskiego czy Kazimierza Brakonieckiego. Pisałem o tym szerzej przy innej okazji, tu chciałbym jednak zwrócić uwagę na istotny element twórczości ostatniego z wymienionych autorów. Jest nim sprzężenie pamięci Kresów – zachowanej w mitach rodzinnych – z dążeniem do zakorzenienia w nowej przestrzeni, na obszarze Warmii i Mazur. Ta próba tożsamości wydaje się szczególnie interesująca, zwłaszcza że dotąd w kulturze blokowana. Typ historycznej refleksji, jaki tutaj dochodzi do głosu jest – w przeciwieństwie do tego, co prezentuje Harasymowicz, dążeniem do gaszenia nacjonalistycznych resentymentów, próbą odczytania uniwersalnego sensu ponurych doświadczeń tego stulecia. Otwierający najnowszy tom Brakonieckiego *Misterium* wiersz *Rowerowanie* wydaje się tu szczególnie interesujący, gdyż – przynajmniej w moim czytaniu – przywołuje pamięć powołanej do życia przez Andrzeja Bobkowskiego koncepcji „Kosmopolaka".

*Być na rowerze być rowerzycą rowerować*
*Ziemię (...)*
*ściągać z ludzi i granic wiosek i miast bliznę*
*narodzin*
*i dotykać ciałem jej bezkresnej surowej*
*użyteczności*
*zdejmować ją po omacku z zardzewiałych*
*grobów tatarskich*
*buddyjskich katolickich porosłych wiechciami*
*suchych głosów*
*jechać po Warmii po Śląsku po Mezopotamii*
*i Oceanii (...)*
*Rowerzyco matko bogów kole rzeczywistość*
*kochanko*
*trwaj we mnie a ja w tobie bo jesteśmy zwrotną*
*jednią*
*każdym Barczewem każdym Jerychem*
*każdym Rzymem i Limą*
*każdymi Skajbotami Królewcem Trokami*
*Brestem i Lubeką*

8. W tym powierzchownym z konieczności przeglądzie starałem się pochwycić główne przynajmniej przeobrażenia, jakie zachodzą dziś na polskiej Wyspie Poezji. Zapewne – nie udało mi się dostrzec wszystkiego, wszystkiego wyeksponować (jak choćby powrotu poezji wyobraźni wyzwolonej widocznego w nowych wierszach Janusza Stycznia, Mieczysława Machnickiego i Urszuli M. Benki – poetów uparcie odnawiających doświadczenie surrealistyczne). Podkreślić wypada jedno: nie chodziło mi w tym szkicu o budowanie jakichś hierarchii, nie mogłem uwzględnić wszystkich godnych uwagi autorów. Chciałem jedynie wskazać na te wątki pojawiające się dziś w naszej poezji, które uważam za najważniejsze, zaświadczające o dokonujących się przemianach i przewartościowaniach. I może zachęcić zarówno czytelników i krytyków do częstszego wstępowania w przestrzenie polskich wierszy. ■

# Powrót do miejsca urodzenia

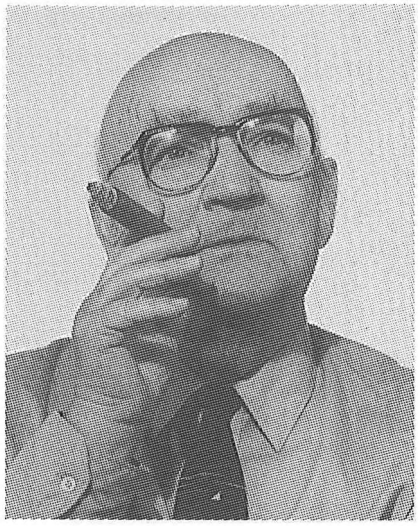


Foto: Stanisław Gadomski

Miarą zasług – jest miara pamięci. Tak w każdym razie być powinno – i było... nawet w szczególnie trudnych dla kultury w latach. Dziś w czasach powszechnej gonitwy za pieniądzem oraz postępującej degradacji wartości i dobrych obyczajów coraz rzadziej stać nas na bezinteresowną pamięć o ludziach szczególnych zasług. Zapominamy szybko, reagujemy zdawkowo, nie podtrzymujemy dziedzictwa. W pewnym stopniu dotyczy to także Wilhelma Szewczyka, którego nagła śmierć 8 czerwca 1991 roku oderwała niemal od biurka – pisarza i człowieka publicznej służby do ostatniego dnia życia. Także wokół niego narastać zaczęła pustka postępującego zapomnienia jeśli nie liczyć rocznicowych imprez o kameralnym zasięgu. Nie doczekał się przede wszystkim przez te lata żadnego wznowienia – bo nie ma książek Szewczyka w księgarniach, ani książki o nim.

W ostatnich latach życia Wilhelm Szewczyk szczególnie często – nie tylko piórem – powracał w rodzinne strony. Przy różnych okazjach odwiedzał „swą" Czerwionkę oraz miejsca szczególnie bliskie. Był człowiekiem wyjątkowo silnie przywiązanym do swych korzeni i robotniczego rodowodu, co manifestował przez wszystkie lata życia od pierwszych strof poetyckich i społecznych deklaracji rozległego pisarstwa, na które składa się ponad pół setki książek i 7 tysięcy publikacji prasowych.

Po raz ostatni – jak zapamiętano – odwiedził Wilhelm Szewczyk Czerwionkę 27 maja 1991, goszczony rzewnie i serdecznie w „Starej Piwnicy". Odbył wówczas także sentymentalną podróż po miejscach i zakątkach lat dzieciństwa i młodości – w tym do Czuchowa, wioski w granicach Czerwionki, gdzie się urodził i stał do niedawna dom, w którym przyszedł na świat (jakże barwnie, z humorem opisany).Ta ostatnia podróż miała aurę pożegnania, jakby pisarz żegnał się z rodzinnymi stronami.

Wilhelm Szewczyk wyjechał na stałe z Czerwionki na krótko przed wojną, gdy rozpoczął pracę w katowickiej Rozgłośni Polskiego Radia. Po wojennej odysei, w tym więziennej i pobycie w Generalnej Guberni, gdzie zajmował się tajnym nauczaniem (pseudonim okupacyjny — Władysław Kot), już w lutym 1945 dotarł na Śląsk i zamieszkał w Katowicach. Lecz z Czerwionką i domem rodzinnym utrzymywał nadzwyczaj bliskie więzi, a także z „kopalnią ojca" — Dębieńsko.

Właśnie „mała ojczyzna" (dzięki władzom gminy i miasta Czerwionka – Leszczyny) upomniała się o przywrócenie nie tylko literackiej obecności Wilhelma Szewczyka, organizując 8 czerwca – w dniu 5. rocznicy jego śmierci – cykl całodziennych uroczystości. Rozpoczęła je msza w jego intencji odprawiona przez metropolitę katowickiego arcybiskupa Damiana Zimonia. Piękna homilia, którą wygłosił, ukazywała wielorakie, głębokie związki Wilhelma Szewczyka z „małą ojczyzną" oraz jego służbę pisarską dla Śląska, którą przyszło mu pełnić w czasach totalitarnych ograniczeń, gdy nie było możliwe głoszenie pełnej prawdy oraz upominanie się o krzywdy rodzinnej ziemi i jej umęczonych pracą ludzi. Jednym z głównych wątków tej bardzo osobistej wypowiedzi była kwestia jedności myśli, słowa i moralnej postawy pisarza.

Na uroczystości poświęcone Wilhelmowi Szewczykowi zjechało do Czerwionki wielu gości – przybyli licznie literaci, godnie reprezentowane były dwa uniwersytety – Śląski i Opolski oraz środowiska naukowe obu tych miast, zjawili się przyjaciele z różnych kręgów i ośrodków nie tylko katowickiego województwa.

Wielkie zainteresowanie towarzyszyło wystawie poświęconej życiu i twórczości pisarza, którą współorganizowała córka prof. Grażyna Szewczyk. Znalazły się na niej rękopisy, pierwodruki, pierwsze wydania książek, zdjęcia i portrety rodzinne oraz pamiątki z prywatnych zbiorów. Szczególną uwagę skupiał ostatni stolik – na którym obok starej, wysłużonej maszyny do pisania spoczywało nie dopalone 8 czerwca 1996 roku cygaro.

Było ludnie, gwarno, ale był także czas skupienia i refleksji. Toteż kolejne głosy podczas Biesiady Literackiej ułożyły się w mozaikę barwnego portretu ukazującego Wilhelma Szewczyka w rozległej skali jego licznych zainteresowań i pasji. Horyzont tych wspomnień i wypowiedzi ogarniał czasy sprzed pół wieku — głosami Zdzisława Pyzika, przyjaciela z rybnickiego gimnazjum, Wojciecha Żukrowskiego i Aleksandra Widery, których przyjaźń z Wilhelmem Szewczykiem rozpoczęła się jeszcze w przedwojennych Katowicach literackich oraz Zbyszko Bednorza, związanego od początku z „Odrą" — pismem, które Wilhelm Szewczyk powołał do życia w lipcu 1945 roku.

W biesiadzie, podzieliło się wspomnieniami i refleksjami kilkanaście osób. Raz jeszcze okazało się, że był Wilhelm Szewczyk człowiekiem fascynującym, na którego wizerunek składa się wiele barw i odcieni, nie mówiąc już o pysznych anegdotach, którymi obrósł za życia. Lecz nie ma książki wspomnieniowej o nim, której obraz życia literackiego na Śląsku, licząc od debiutu, nigdy nie będzie pełny.

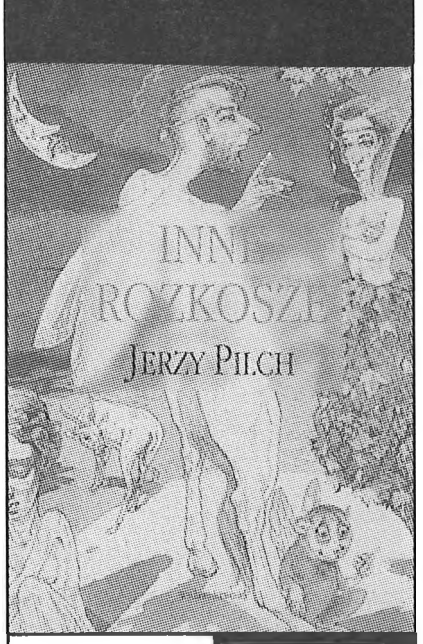
Trwałym, najważniejszym dorobkiem podwójnej rocznicy Wilhelma Szewczyka obchodzonej w tym roku – 80-lecia urodzin (5 stycznia 1916) i 5 rocznicy śmierci, było wydanie 3 książek, które zostały zaprezentowane podczas uroczystości w Czerwionce. Ukazały się nareszcie, dzięki Fundacji Wspierania Śląskiej Humanistyki, wiersze i poematy Wilhelma Szewczyka pt. „Nieustraszona rozmowa z samym sobą". Obszerny wybór esejów, tekstów publicystycznych i felietonów wydanych pod tytułem „Każdy ma swój życiorys" przedstawiło wydawnictwo „Struktura" Henryka Ślezionskiego. Niespodzianką wydawniczą był także bibliofilski druk Biblioteki Śląskiej pozostającego dotąd w maszynopisie dramatu Wilhelma Szewczyka o Biskupie Nankerze, przygotowany przez prof. Jana Malickiego. Pierwsze egzemplarze tych pozycji składane były w ręce arcybiskupa Damiana Zimonia, obecnego do końca uroczystości literackich.

Dzięki tym 3 książkom, przy wydaniu których szczególny udział miała jego córka — Wilhelm Szewczyk powraca jako pisarz. A nie ma jego książek, w tym wznowień, od 5 lat w księgarniach. To także miara stosunku do twórczości pisarzy rodzimych na skomercjalizowanym rynku wydawniczym, gdy pieniądz dyktuje prawa i obyczaje.

Tego dnia — jak to przewidywali organizatorzy — Wilhelm Szewczyk urodził się w Czerwionce na nowo. A są tu ludzie, jak burmistrz Marek Kornas, czy Henryk Fieler, niestrudzony zbieracz pamiątek po pisarzu; oni i inni, którzy podjęli trud upamiętnienia związków pisarza z rodzinną miejscowością. W planach jest także nadanie imienia Wilhelma Szewczyka zespołowi szkół. Trzeba jednak przybliżyć twórczość pisarza miejscowej młodzieży — a więc podjąć odpowiedni trud edukacyjny. Ta uroczystość wiele w tym dopomogła. Na sali obecna była także grupa młodzieży wsłuchana w opowieści o największym synu Czerwionki. Prezentujący twórczość pisarza Bernard Krawczyk pozyskał do współrecytacji kilka uczennic. Wybrane teksty komponowały się w sugestywny obraz rodzinnej miejscowości. Myślę, że był to dobry sposób, by Wilhelm Szewczyk stał się kimś bliskim nie tylko ludziom, którzy go znali.

Lecz ten gminny krąg pamięci nie może zastąpić szerszej obecności Wilhelma Szewczyka w kulturze nie tylko regionu. Bez jego licznych, wnikliwych tekstów, nie można znać i zrozumieć Śląska. Potwierdza to m.in. wybór esejów i felietonów (dokonany przez Grażynę Szewczyk i Wojciecha Janotę) „Każdy ma swój życiorys". To książka ważna i bliska. Lecz i czas już na tomy następne.

TADEUSZ KIJONKA




**JERZY PILCH:**
***Inne rozkosze*,**
**Wydawnictwo a5,**
**Poznań 1995,**
**s. 123**

# BEZPOSTACIOWIEC KULISTY

Książka Śląska

Jerzy Pilch napisał powieść o człowieku bez właściwości, co nie znaczy, iż podpowiadam jeszcze jeden trop: musilowski. *„Inne rozkosze"* są na wskroś przeniknięte Kunderą; oczywiście, rację ma krytyk, że jest to najlepsza polska powieść czeska. Dodać można, że jest to najlepsza książka Kundery napisana przezeń po polsku. Ale to jest odczucie nasze, i wcale nie jestem pewien, czy *Inne rozkosze* przetłumaczone na język czeski, odbierze Czech jako książkę czeską. W *Spisie cudzołożnic* czuło się bliskość Gombrowicza, w *Innych rozkoszach* – ostentacyjne pokrewieństwo z Kunderą, ale i Gombrowicz został przypomniany, mimochodem, wszak „aktualna kobieta" Pawła Kohoutka nazywa się Kotkowska, na co czuły na tego typu sygnały czytelnik reaguje jak koń dźgnięty ostrogą. I, rzeczywiście, doktor Oyermah już w następnym zdaniu pyta, czy zachodzi tu jakieś pokrewieństwo z Gombrowiczem (matka W.G. była z Kotkowskich), zwłaszcza że panna Kotkowska jest rodem z Kielecczyzny. Zgoda więc: Gombrowicz nie spuszcza oka z tej powieści, ale tym razem jest raczej obserwatorem. Ów dom w luterańskiej mieścinie na Ziemi Cieszyńskiej, z zamieszkującymi go ludźmi, czy raczej postaciami, czy raczej figurami, przypomina pensjonat z *Kosmosu*. Ale z drugiej strony, Jerzy Pilch wypowiada zdania, które wyglądają tak jakby były żywcem wyjęte na przykład z Milana Kundery, np.: „W ten sposób, chcąc nie chcąc, ten erotyczny prostaczek (inaczej Kohoutka nazwać nie sposób) zdobył niemałe doświadczenie seksualne. Tak, nawet my, starzy łóżkowi wyjadacze, musimy nie bez cienia zazdrości przyznać, iż Kohoutek poznał niemało kobiet". Gombrowicz i Kundera w jednym stoją domu.

Ale to nie są wyłącznie pełne wdzięku gry literackie. Perskie oko ponad tekstem. To też, ale jednak na uboczu. Jerzy Pilch ma swój własny świat, swoje terytorium: Ziemię Cieszyńską, Wisła, jej nazwa pada co prawda jedynie w języku niemieckim, w zdaniu ćwiczonym na wypadek, gdyby dobry luteranin z Ziemi Cieszyńskiej spotkał w niebie samego doktora Lutra; jest to świat w polskiej literaturze nie opisany (umiałbym wskazać jeden tylko poważny tekst: *Straszny czwartek w domu pastora* Karola Ludwika Konińskiego), ale to, co zdawać by się mogło, stanowi o odrębności tego świata w Polsce: odmienność wyznaniowa, luteranizm, nie jest dla autora *Innych rozkoszy* zagadnieniem pierwszorzędnym. Nie odbieram tych ludzi, z całą ich werbalnie manifestowaną ewangelickością, jako wyraźnie różniących się od katolików. Kazania, jakie mozolnie układa emerytowany Pastor, mógłby wygłaszać nawet bez poprawek ksiądz katolicki. Lokatorzy starego wiślańskiego domu kilka razy na dzień powtarzają, że są ewangelikami, jakby się bali, że ktoś może ich pomylić z katolikami. Obawy uzasadnione. Dla Jerzego Pilcha (a także dla Pawła Kohoutka) ma istotne znaczenie nie tyle sama odrębność wyznaniowa (Kohoutek nie jest „dobrym ewangelikiem", wszystko to mu wyraźnie ciąży), co rytualizacja życia w wielopokoleniowym domu Kohoutków. Może i śmieszna, ale znać w niej siłę, to jest coś, na czym Paweł Kohoutek mógł zbudować swoje życie. Tradycja, dziedzictwo, miejsce. Przez pokolenia – to samo miejsce, ten sam dom w tym samym miejscu świata – w stuleciu wygnania, przesiedleń, wyrywania z korzeniami – to silny atut, istotne dziedzictwo. Pytanie, czy Paweł Kohoutek potrafił roztropnie tym dziedzictwem rozporządzić. Odpowiedź jest dla Kohoutka nieprzychylna. Nawet nieśmiertelna maksyma ojca, w istocie bardzo luterańska: „Ale pamiętaj, że czeka cię nadludzki wysiłek w nieludzkich warunkach" („Była to jedna z najczęściej wypowiadanych i przekazywanych z pokolenia na pokolenie fraz w rodzinie Kohoutków") nie uformowała duszy Pawła Kohoutka. Owszem, pracuje ciężko, bo zawód weterynarza jest ciężki, ale Paweł Kohoutek czyniąc, co należy, by ulżyć wzdętej krowie, czy kobyle cierpiącej na kolkę, skupia się nie tyle na pracy, co na gospodyni, właścicielce cierpiącego zwierzęcia, czy najlepiej na jej dorodnej córce. Ten dom jest bastionem wolności w czasach stalinowskich (doktor Oyermah wygłasza tyrady w rodzaju: „Komuna, Panie Naczelniku, nie przetrwa najbliższych czterdziestu lat (...)", „(...) dożyjemy tych słodkich czasów, kiedy z Polski zdjęta zostanie czapka czekisty". Z tym że doktor Oyermah nie jest czytankowym dobrym Polakiem. To mądry Polak: „Dożyjemy czasów tak upojnej wolności, że o mało nas, Panie Naczelniku, na stare lata jasna krew nie zaleje"). Ten dom musiał być, jest także więzieniem dla Pawła Kohoutka. Z całą jego historią, z rytualizacją życia, z silnymi (aż nazbyt!) więzami (dosłownie!) rodzinnymi, z tajemnicami, o których wszyscy mówią, z miejscami, do których można uciec, by się skryć przed innymi, do których wszakże dociera nawet ledwie poruszająca się babka, z tymi zwłaszcza urodzinami babki, które urosły do rangi najważniejszego święta w roku, ważniejszego od wigilii – ten dom musiał być, jest więzieniem dla Pawła Kohoutka.

W tym domu, naturalnie, mógł poddać się powierzchownemu uformowaniu, ale ten dom (i jego lokatorzy) jest sprawcą pewnej skazy w naturze Pawła Kohoutka: „Kohoutka w ogóle można było nazwać człowiekiem z niewyraźną miną". Oto główny rys tej powieściowej kreacji Jerzego Pilcha: niewyraźna mina. Człowiek z niewyraźną miną. Musi się coś stać w życiu tego człowieka, by miał nieco wyraźniejszą minę. Brak wyraźnej miny, to jest ów musilowski brak przymiotów, brak właściwości. Ale i Tomasz, bohater *Nieznośnej lekkości bytu* był człowiekiem z niewyraźną miną. Trzeba było wstrząsu, by wyraz jego twarzy (twarz, co tu kryć, jest zwierciadłem duszy!) uległ pewnej zmianie. Przypadek Pawła Kohoutka jest o tyle cięższy, że jest to w gruncie rzeczy „bezpostaciowiec kulisty", coś, co z wnętrza krowy wydobywa doktor Oyermah, a czemu przygląda się Paweł Kohoutek i jest to jego pierwsze wtajemniczenie w sekrety sztuki weterynaryjnej. Ale i ten szczególny zawód! Człowiek bardzo silnie związany ze zwierzęciem. Paweł Kohoutek, przyglądając się doktorowi, który całą ręką tkwi w żywocie krowy imieniem Elizabeth, pomyślał: „(...) że na zawsze pozostanie pan zrośnięty z Elizabeth, że w prawdziwie mitologicznej wersji przeistoczy się pan w pół zwierzę, pół człowieka". Bohater *Innych rozkoszy* to „coś pomiędzy". Stwór niedorobiony. Trochę zwierzę, trochę człowiek. Stale przed najważniejszą decyzją, od której zależy, czy górę wezmą jego ludzkie, czy zwierzęce cechy.

I w to „pomiędzy", w tę dwoistość, Jerzy Pilch wrzuca tak zwaną „aktualną kobietę". Czyli co, czyli kogo? „Przyszłam, żebyś poznał, co to jest prawdziwa miłość" – cytuje aktualna Kobieta mistrza Kunderę (Księga śmiechu i zapomnienia). Zdaniem samego Pawła Kohoutka: „Mam wrażenie, doktorze, że to raczej pojawiło się samo życie w swym nieodgadnionym kształcie". Kobieta, czyli życie. Kobieta w amorficznym (amorphus globusus!) świecie Pawła Kohoutka jest zagadnieniem pierwszorzędnym: „Czy bliskość kobiet sprawia, że istnienie moje nabiera kształtu?". Kobieta, która pojawiła się w wiślańskim domu Kohoutków, jest ponowieniem w nowej epoce („Teraz, kiedy kraj wyzwolił się spod jarzma moskiewskiego") dawnego wzoru, niejakiej Akiko, która może być szansą, nadzieją, życiem albo śmiercią, niezależnie jednak od tego, czy „jarzmo" jest, czy go nie ma. Nic nie wskazuje na to, by „bezpostaciowiec kulisty" zyskał nową formę. Jest bowiem wielce prawdopodobne, że „brak wyraźnej miny", że „bezpostaciowość kulista" jest jedynie dostępną formą bytu, o którego nieznośnej lekkości pisał wszak Milan Kundera, sugerując zresztą, że życie jest gdzie indziej.

FELIKS NETZ

# Starty i falstarty

## Rocznik sześćdziesiąty, mój rocznik

**1. Mało znam** poezję Karola Maliszewskiego, jakoś nie dana mi była wcześniejsza lektura jego wierszy z tomów wydawanych przez ostatnią dekadę (przepisuję za słownikiem *Parnas bis*): *Dom i mrok* (1985), *Wiersz wolny* (1987), *Miasteczko – prośba o przestrzeń* (1988), *Będę przebywał wtedy jeszcze w Polsce* (1991), *Młody poeta pyta o* – (1994). Niewątpliwie coś przez to straciłem, ale – z drugiej strony – człowiek tyle naczytał się w swoim życiu wierszy, a tak mało pamięta, że może to i dobrze, iż Maliszewski objawia mi się swoją ostatnią książką jako „poeta nieznany". Tym dla mnie ciekawszy, że z tego samego, co ja, rocznika. A że rocznik ten jest w powszechnej świadomości czytelniczej raczej „białą plamą" (nie mówię tutaj o paru nazwiskach rzeczywiście głośnych), przeto tym łatwiej jest mi moje prześlepienie Maliszewskiego przyjąć do świadomości.

***2. Rocznik sześćdziesiąty grzebie w papierach*** (1996) to tytuł bardzo dobry na tom i na wiersz. W pewnym sensie także – dobre podsumowanie kondycji pokoleniowej owego „rocznika 60", który od kilku lat dominuje w refleksji krytycznoliterackiej na prawach mitu, jako „nowe zbawienie" dla poezji polskiej. Przytoczmy może ten wiersz, albowiem zawiera się w jego ironii coś bardzo ciekawego:

*Otworzyły się szuflady pękły*
*wysłużone plecaki*
*ze starego worka na śpiwór (bo spało się*
*gdzie*
*bądź) wypadł kłąb włosów dawno pochowanej*
*i stos karteluszek zapisanych*
*serdecznym pismem z przełomu*
*lat siedemdziesiątych osiemdziesiątych*
*bez akapitów bez znaków*
*przestankowych*
*(bo nie chciało się przestać) by dać sobą*
*świadectwo nędzy pielgrzymstwa*
*poniżenia*

*Rocznik sześćdziesiąty grzebie*
*w papierach*
*uczęszcza do poradni*
*wychowawczo-zawodowej*
*dla młodych literatów*
*i już nie zaczyna zdania od więc.*

Maliszewski tworzy w swoim tomiku *sui generis* mitologię naszego pokolenia. Nie wiem, czy jest to wciąż moja mitologia, niemniej odnajduję w wierszach poety z Nowej Rudy także to, co i mnie kiedyś w naszej generacji fascynowało. Dla mnie była to formacja poetów w pewnym sensie żądnych legendy, chociaż własnej – stworzyć nie potrafiła. Buntowaliśmy się przeciwko światu, lecz mimo wszystko było nam z tym światem (jaki był, taki był) dobrze. Owszem, czytywało się Babińskiego, Stachurę, Milczewskiego-Bruno, ale byli to święci przeklęci, do jakich równać się raczej nie chciało, chciało się natomiast o nich rozmawiać. Teraz odnajduję w kilku wierszach Maliszewskiego tamto zafascynowanie. I, przyznam, jestem już wobec niego obojętny. Nasz bunt jednak był buntem z lektury. Tak to dzisiaj widzę.

**3. Kilka wierszy** w tym tomie jest dla mnie niesłychanie ważnych. Przede wszystkim te, które dotyczą biografii. Nie biografii konkretnej, ale biografii wspólnej wielu ludziom nie wymienionym z imienia i nazwiska. Tutaj kwalifikowałbym, przede wszystkim, wiersze wojskowe Maliszewskiego. Oddał on w nich środowiskową dziwność tego czasu, który dla wielu takich jak ja musiał być czasem zupełnie straconym, jeśli w ogóle do zaakceptowania na dłuższą metę. Dalej – wiersze podróżnicze, o wycieraniu kątów w różnych częściach kraju, gdzie zawsze się było u siebie i nigdy u siebie się nie było. Teraz te wspomnienia powracają w zwielokrotnionym rytmie i człowiek ledwie może sobie z nimi poradzić, tak ich wiele. (To wszakże na prawach przypisu.)

**4. Maliszewski nie dba** o jeden kształt wiersza. Bardzo dobrze. Wie doskonale, że jakikolwiek formalizm poetycki jest rodzajem uciskającej maski, w której można zmieścić przez chwilę własną twarz, lecz później staje się on zwyczajną obrożą, zabraniającą mówić. Dlatego poeta wybiera formułę wiersza wariacyjnego, który dobrze czuje się i w narracji, i w komentującej poincie, i w epifanijnym obrazku. Poetycki reportaż, obrazek, epigramat, poemat introspekcyjny – te i inne gatunki odnajdują się właśnie w owej mowie różnej, sprzyjają konstrukcji świata oglądanego; widzianego w naoczności i stwarzanego w pamięci.

Maliszewski jest poetą tematu. W jego poezji temat odgrywa ważną rolę, jest on jak gdyby zewnętrzną otuliną, która skrywa to, co dla poety istotne. A istotne jest dlań życie, nie co innego, tylko właśnie życie. Zdaje się, że o niczym innym poeta mówić nie chce i nie umie. Żadna estetyzacja rzeczywistości nie wchodzi u niego w rachubę, żadne wzloty w krainy ułudy nie nabierają znaczenia. Świat, który jest jeden, poskręcany, dziwny, przepoczwarzający się, to – świat kłębka nerwów, jakim jesteśmy my sami. Powiedziałby za Mussetem Maliszewski: wszystko to jest ośrodkiem naszego bólu, nigdzie indziej nas nie szukajcie.

**5. Więc niewątpliwie, tak:** Karol Maliszewski jest poetą egzystencji. Jeżeli cokolwiek interesuje go w literaturze, to właśnie odzwierciedlenie w niej życia. Nie tyle ważne są poszczególne utwory, ile tkanka przeżytego czasu. Nie tyle istotna treść poetycka, ile treść egzystencji. Może tym tłumaczyć należałoby zatem fakt, iż w swoich tekstach Maliszewski jest w większym stopniu eklektykiem (czy może lepiej: synkretystą), niż dbałym o własny język, własny ton poetą pokoleniowym. Jako poeta pokoleniowy musiałby bowiem zaufać jakiemuś krojowi wiersza, jako autor wierszy o doświadczeniu egzystencjalnym – może z tego z powodzeniem zrezygnować.

Poetów pokroju Karola Maliszewskiego trudno zresztą omawiać w jednym ciągu z autorami, którzy poświęcają się wyłącznie „tworzeniu pięknych zdań". Autor *Rocznika sześćdziesiątego...* wszak bardzo wiele energii poświęca także komentowaniu najnowszej liryki polskiej. Wiem z własnego doświadczenia jak trudno być w takim przypadku akceptowanym. Często zadawanym pytaniem staje się wówczas to, kim się jest. Poetą czy krytykiem? Ja zawsze odpowiadam, że jest się tą samą osobą w dwóch wcieleniach, ale doskonale wiem, iż krytyk pomaga poecie w wyborze frazy równie często, jak przeszkadza w dojściu do samodzielnej formy. Czy tak jest i w wypadku Maliszewskiego?

**6. Jest w jego poezji** ton niepokojący, który zdefiniowałbym jako balansowanie na cienkiej linii emocji. Wiersz staje się wtedy raczej przelaniem impresji niż oddaniem myśli. Czy jest to wskaźnik owego nowego ekspresjonizmu, o którym kiedyś pisałem? Czy raczej może świadectwem niepogodzenia ze światem *ratio*, światem w gruncie rzeczy dominującym także w realizacjach nowej liryki. Co do tego nie mam pewności – i może dobrze, że nie mam.

Zbyt mało znam wiersze Karola Maliszewskiego, by wyrokować o jego całej twórczości. Ostatni jego tomik wierszy momentami bardzo dogłębnie odczułem, jakkolwiek znalazły się tutaj również utwory, o których bym nie przypuszczał, że wyszły spod tego samego pióra. Ale takie są już dziwne losy zawodu poetyckiego – jeżeli potrafimy złożyć czasem cztery interesujące linijki – znak, że i w nas samych tkwi jakiś zalążek wielkiej, aczkolwiek nieprzewidywalnej, świetności.

A wracając jeszcze do tytułu samego tomiku, powiedziałbym słowami Wyspiańskiego: *Tak się orze, tak się zwala /rok w rok, w każdym pokoleniu...* To nie tylko domena rocznika sześćdziesiątego, panie Karolu, owo grzebanie w papierach. W każdym razie – nie tylko tego rocznika.

MARIAN KISIEL

# Nie tak było ST-53 Jak było

Z niekłamanym zdumieniem przeczytałem w numerze 3(5) „Śląska" tekst Klaudiusza Jędrusika o grupie ST-53. Nie zdumiałem się bynajmniej samym tekstem, przecież Jędrusika znałem, lecz faktem zamieszczenia go w „Śląsku" bez jakiegokolwiek merytorycznego komentarza. Ostatecznie żyją jeszcze ludzie, którzy w sprawach tych bezpośrednio uczestniczyli, a także tacy, jak ja, którzy je pamiętają choć nieco z zewnątrz. Uważam tę publikację za godną pożałowania i dezinformującą, tym bardziej że przydano jej gazetowy podtytuł „Narodziny i śmierć legendarnej grupy artystycznej" i uzupełniono komentarzem, który dowodzi całkowitego braku dystansu wobec tekstu i zupełnego braku wiedzy o temacie. Za kilka czy kilkanaście lat, kiedy już zabraknie kogokolwiek, kto by owe sprawy znał z autopsji, autorzy historyczno-sztucznych opracowań będą się powoływali na ten minoderyjny elaborat, jako na miarodajne, „z pierwszej ręki", źródło.

O nieobecnych nie mówi się źle, chyba że „uobecniają się" sami lub z pomocą usłużnych życzliwych. Powiem zatem krótko: znałem Jędrusika od 1956 roku i nigdy do tej pory nie spotkałem podobnie namolnej, złośliwej i megalomańskiej osoby. Nie był to bynajmniej człowiek pozbawiony inteligencji, wszak cała ta inteligencja, którą posiadał, nakierowana była wyłącznie na to, aby sobie samemu i innym przedstawić siebie jako Jedynego i Wyłącznego Właściciela Racji i Prawdy. I ten tekst, który napisał, pełen błędów i świadomych przemilczeń, jest tego dobitnym dowodem.

Chociaż znałem wszystkich członków grupy ST-53, chociaż byłem nawet obecny na kilku czy kilkunastu spotkaniach grupy, nie jako ich uczestnik, ale jako mąż Urszuli Broll, chociaż uczestniczyłem w wielu rozmowach na temat grupy, to wszystko to miało miejsce w jej końcowym okresie istnienia a członkiem grupy przecież nigdy nie byłem. Sam sobie nie wydaję się zatem kompetentną wyrocznią. Zaskoczony tekstem, posłałem go Urszuli Broll. Gdy go przeczytała, uśmiała się. Między innymi rozbawiła ją niezmiernie wiadomość, jak to Jędrusik z Krzysztofiakem kupili willę w Szklarskiej Porębie. W istocie, był to dom pierwszej żony Hilarego. Takich „zabawnych" kawałków jest tam więcej, a najbardziej kłamliwa jest sugestia, że grupa zaczęła się od Jędrusika i na nim skończyła. On rozwiązał grupę. Mimo rozbawienia, nie było wcale łatwo namówić Urszulę, aby napisała o tym coś sama. Urszula ma swój spokojny rytm życia, swoje wspaniałe obrazy i swoich ileś tam kotów. I nie pozwala się byle czym wytrącać z tego rytmu. W końcu po długich namowach spisała swój zapamiętany obraz, unikając nawet mówienia wprost o niektórych faktach, jak na przykład o tym, że to tylko przez Nią Konrad Swinarski kontaktował się z grupą.

W liście do mnie, komentującym jej tekst, Urszula Broll napisała: „Klaudiusz niezwykle wyeksponował swoją rolę zniekształcając fakty. Jego córka jakiś rok temu napisała do mnie list, że zamierza wydać wspomnienia swego ojca o ST-53, że chętnie przyjechałaby do mnie do Przesieki, aby osobiście porozmawiać, włączyć w książkę także moje reprodukcje. Odpisałam, i tak odruchowo napisałam o początkach tej grupy, jak pojawił się Konrad. Od tego listu nie usłyszałam ani słowa. Po tym co przeczytałam w „Śląsku", rozumiem dokładnie dlaczego. Fakty totalnie nie pokrywają się z tym, co napisał Klaudiusz".

ANDRZEJ URBANOWICZ
(Tytuł listu pochodzi od redakcji)

*Od Redakcji: Wersję, którą przedstawił Klaudiusz Jędrusik, w końcu członek grupy ST-53, jest jego autorską wersją i trudno było nam — osobom spoza tej Grupy — wchodzić w spory z nieżyjącym autorem. Tekst wybitnej artystki Urszuli Broll zamieszczamy z satysfakcją, bo wiele wnosi do wiedzy o historii grupy ST-53. Andrzejowi Urbanowiczowi dziękujemy za pełną temperamentu reakcję — co także sobie wysoko cenimy u naszego znakomitego współpracownika.*

Wiele lat — aż czterdzieści — upłynęło od pierwszej oficjalnej wystawy grupy ST-53 w Katowicach. Ze skromnej dokumentacji, z recenzji paru krytyków, wyrasta ocena wystawy jakby ponad miarę tego, czym w istocie była. A była zwyczajnym pokazem roboczym prac, bez pretensji wykreowania czegokolwiek. Była natomiast odwagą w politycznym kontekście tamtego czasu. Jeden Julian Przyboś ujął właśnie ten aspekt bardzo wnikliwie i spojrzał na prace z tej perspektywy. Nie więcej, nie mniej.

Historia tej grupy rozpoczęła się w malutkiej uczelni przy ulicy Kościuszki w Katowicach, w filii krakowskiej Akademii. Była to willa, która poprzednio należała do jakiejś ambasady czy konsulatu. Już w swojej przestrzeni miała coś familijnego. Studentów było niewielu. Nie miałam żadnej przyjaźni znaczącej, która byłaby związana z moim rokiem studiów. Ale o dwa lata wyżej studiował Klaudiusz Jędrusik. Na swój sposób niezwykła osobowość. Był niewątpliwie spiritus movens tego pierwszego zalążka, z którego wyrosła później grupa.

Nie pamiętam kiedy i jak się to stało, ale zaczęłam systematycznie przebywać z ludźmi z jego roku. Klaudiusz, Świerzy, Napieralski i Sylwester Wieczorek, swoim stylem ubierania się — chodzili w kapeluszach — a także gitarą i winem, próbowali wsączyć leciutkie opary zgniłego zachodniego formalizmu w śmiertelną powagę realizmu socjalistycznego. I choć dawki te były delikatne, czułam się nimi oszołomiona i jakby przeniesiona w inny wymiar. Pamiętam, jakim objawieniem był dla mnie Turgieniew, którego opowiadania pożyczył mi któregoś dnia Klaudiusz. W tym czasie zostałam również wciągnięta do grupy zarobkowej, w której poznałam Zdzicha Stanka, Tadeusza Ślimakowskiego i chyba również wtedy Stefana Gaidę. Nie mieli oni wykształcenia plastycznego, ale malowali. To nas od razu połączyło poza jakimkolwiek układem. Także w tym okresie pojawiła się na moim roku Kasia Schiele. Szkoła Plastyczna w Łodzi zamknęła wydział i sporo studentów przeniosło się do Katowic. To Kasia przedstawiła mi Konrada Swinarskiego.

Zanim to nastąpiło, opowiedziała mi nieco o jego historii: pochodził ze Śląska, studiował u Władysława Strzemińskiego i pozostał z nim, pielęgnując go do końca, aż do jego śmierci, która nastąpiła niedawno. Wtedy po raz pierwszy dowiedziałam się jak brutalnie działa socrealizm. Dobrze pamiętam spacery i kilka spotkań z Konradem, było to w Kawiarni Wiedeńskiej w Katowicach, obecnie w tym miejscu stoi Skarbek. Od razu wyczułam potężny potencjał intelektualny Konrada, zupełnie innego rodzaju niż Klaudiusza. Konrad miał dużą wiedzę i, jak się wydawało, oschłą, logiczną strukturę. Była w nim jednak również wielka czułość wobec tego, co działo się wokół niego.

W pewnym liście pisanym z Berlina, gdzie przebywał na stypendium u Brechta, jest zdanie, które świetnie ujawnia to, co mnie najbardziej w nim poruszało i do niego zbliżało: „Poza tym miasto to (Berlin) robi wrażenie Łodzi. Poezja Mysłowic czy Rudy Śląskiej jest większa od każdego niemieckiego miasta. Znając problematykę Twoją — to co malować?". Ja zawsze kochałam Śląsk. Konrad miał jednak związaną ze Śląskiem również jakąś mroczną, nie do końca wyjaśnioną, sprawę okupacyjną, na ile rozumiałam jego pewne aluzje do tego czasu. Mówił, że któregoś dnia opowie mi szczegółowo tę historię. Nigdy do tego nie doszło.

Zaprosił mnie kiedyś do swoich ciotki i wuja, którzy mieszkali przy ulicy Żwirki i Wigury. Zatrzymywał się u nich, gdy przebywał na Śląsku, ale nie czuł się tam dobrze. Ciotka mówiła po niemiecku. Był niemal stale w trudnej sytuacji finansowej. Konrad, wraz ze skryptem *„Teorii widzenia"* Władysława Strzemińskiego, chętnie dał się wciągnąć do grupy moich przyjaciół. Któryż to był rok? Chyba pięćdziesiąty pierwszy lub pięćdziesiąty drugi. Przed nami był uczelniany letni plener w Tychach i udało się nam z Kasią przemycić tam Konrada. Nie dał od razu całej *„Teorii widzenia"*. W liście z października 53 jest zdanie: „Wstrzymałem się z odpowiedzią, bo miałem zamiar przesłać dalszy ciąg „Teorii widzenia". Oczywiście przyślę, ale trochę później. Heniek przeniósł się do Warszawy, ma egzemplarz i pożyczy, tylko mu prześlą z Wałbrzycha".

Konrad wniósł całkowicie nową dynamikę do pracy. Klaudiusz dopiero po pewnym czasie na tyle się zapalił do *„Teorii widzenia"*, że pozostał przy niej, na ile wiem, do końca. Ten całkowicie dogmatyczny sposób widzenia malarstwa był pewnie powodem odejścia Klaudiusza z grupy, jeszcze przed jej oficjalną, pierwszą wystawą w roku 1956. Zaczęliśmy, zainspirowani „prywatnymi studiami", podczas których po kolei przerabialiśmy impresjonizm, kubizm, itd. Powoli włączały się jednak nasze osobiste „widzenia i inspiracje".

Klaudiusz chciał szkółki do końca, chyba do końca życia. Zanim doszło do zerwania, była pierwsza wystawa w dopiero co ukończonym domku Sylwestra Wieczorka w Bradzie, w 1953 roku. Wtedy, rzec można, uformowała się grupa, odeszli Świerzy, Napieralski i Wieczorek, nie bardzo zresztą pamiętam z jakiego powodu. Jednak — a była to inspiracja Konrada Swinarskiego, który widział wielki sens poszerzania grupy o architektów, pisarzy, dziennikarzy — przyłączyli się moja siostra Krystyna Broll, poetka; Mara Obrembianka, koleżanka z naszej uczelni, późniejsza żona Mrożka; Hilary Krzysztofiak, który powrócił na Śląsk; Irena Bąk, która studia tkackie skończyła w Poznaniu. W tym składzie w roku 1954 zrobiliśmy drugą, nieoficjalną wystawę w mieszkaniu Mary Obremby przy ulicy Warszawskiej w Katowicach. Mieszkanie było obszerne, stare budownictwo. Jej wielki pokój podzieliliśmy prześcieradłami, tworząc w ten sposób „korytarze" ekspozycyjne.

Na tę wystawę udało się ściągnąć rysunki Strzemińskiego. Pojechaliśmy po nie do Łodzi w czwórkę: Krystyna Broll, Klaudiusz Jędrusik, Stefan Gaida i ja. Kasia Schiele wprowadziła nas do pracowni uczniów Strzemińskiego: Lecha Kunki, Stefana Krygiera i Stanisława Fijałkowskiego. Kunka i Krygier przyłączyli się do nas. Było wielkim przeżyciem spotkanie z nimi i z ich pracami. W trakcie tej wystawy poznałam Gabę Obrembę, bliźniaczą siostrę Mary. Przyjechała na wystawę wraz z mężem, Andrzejem Wajdą, który kończył studia reżyserskie.

W roku 1955 pojawił się w naszej grupie Andrzej Wydrzyński, który dał nazwę grupie i stał się jej jakby oficjalnym protektorem. To on nas wmanewrował w tę oficjalną wystawę w roku 1956, w Klubie Pracy Twórczej, przy Warszawskiej 37 w Katowicach. Zanim jednak do niej doszło, odbyło się jeszcze jedno bardzo znaczące spotkanie, które trwało dwa dni u mnie w domu, przy ulicy Klonowej. Z Łodzi przyjechali Kunka i Krygier a z Warszawy Bożena Kowalska. Dobrze pamiętam jakby odświętną aurę tego spotkania. W tym też czasie odchodził od nas Klaudiusz.

Po jego odejściu oczywiście mówiliśmy do siebie, ale już nigdy z nim nie prowadziłam rozmów, zatem nie wiem dlaczego tak a nie inaczej się stało. Myślę, że drażnił go Wydrzyński, którego sposób bycia był dość autorytarny. Konrad jednak łączył z nim pewne nadzieje i w liście z Berlina pisał mi: „O sobie mógłbym pisać wiele i szczegółowo — tym niemniej wydaje mi się, że najważniejsze to to, czego się nauczyłem i to, w jakim stopniu można by uzgodnić nasze dotychczasowe poszukiwania z tymi tutaj. To co robiliśmy dotychczas na pewno czyniliśmy jak najsłuszniej. Wysyłam część pism teoretycznych, które należałoby przedyskutować razem z Wydrzyńskim, przenosząc je na zagadnienie malarstwa. Praca nie jest łatwa, ale Krystyna na pewno pomoże".

Wystawa w roku 1956 była jakby wyjściem z podziemia w świat jeszcze nie całkiem przyjazny, ale już chwiejący się w swojej dotychczasowej wrogości. Pamiętam dokładnie spotkanie po wernisażu z Julianem Przybosiem, który przyjechał do nas, oraz z Tadeuszem Kantorem. Było to dla nas wielkim wydarzeniem, usłyszenie tego, co nam mówili, ukazując jakby jeszcze inną perspektywę. Podczas wystawy przesiadywaliśmy tam prawie wszyscy dzień w dzień. Pewnego dnia podszedł do mnie młody wysoki chłopiec o wielkich lśniących oczach. Zapytał, czy mógłby porozmawiać ze mną, jest przejazdem z Raciborza, także maluje i będzie zdawać do krakowskiej ASP. Rozmawialiśmy a później poprosił o następne spotkanie. Był to Andrzej Urbanowicz, mój przyszły mąż. I był to równocześnie początek mojego odejścia z tej grupy, jakkolwiek nasze spotkania jeszcze przez jakiś czas były równie intensywne co dawniej.

Te spotkania odbywały się u Zdzicha Stanka przy ulicy Drzymały w Katowicach, u Tadka Ślimakowskiego w Chorzowie, u mnie na Klonowej. Czasem wychodziliśmy na wspólny plener. Spotkania miały nastrój familijny — doskonale podejmowały nas żony naszych przyjaciół, Wanda Ślimakowska i Władzia Stanek — miały też niepowtarzalną siłę i inspirację. Noszę w sobie szereg „zdjęć" z tego okresu. Pamiętam, jak u Stanka słuchamy płyt z pieśniami Heleny Weigel, żony Brechta, pochodzącymi z *„Opery za trzy grosze"*, które podesłał nam Konrad. Było to olśnienie. Przeglądy obrazów, nasze wspólne rysowanie, malowanie, czytanie. Bez żadnych wątpliwości pojawienie się Konrada otworzyło furtkę do całkowicie innej przestrzeni niż ta, którą narzucała uczelnia. Trudno dziś uwierzyć jak było. Któregoś dnia wezwał mnie do swego gabinetu nasz dziekan, profesor Dołżycki i poufnym tonem wyjaśniał mi, że nasz politruk z KC, który wykładał historię sztuki pod kątem marksizmu-leninizmu, zobaczył mój obraz i uznał go za „kapitalistyczny", czyli formalistyczny i domaga się usunięcia mnie z uczelni. Mrugając do mnie, profesor Dołżycki wyjaśniał dalej, że jednak załatwił sprawę z tow. Grollem w ten sposób, że udzieli mi nagany i otrzymam dar łaski w postaci czasu na wykazanie się właściwym spojrzeniem na rzeczywistość. Kiedy po latach znowu ujrzałam ten obraz, nie mogłam wyjść ze zdziwienia. Był to portret Ślązaczki, całkiem poprawnie realistycznie namalowany portret, tyle że w cieniu zamiast lokalnego koloru ośmieliłam się przemycić jakieś przebłyski innego, żywszego koloru. Chyba tylko partyjne oko mogło być tak wyczulone na oznaki zgnilizny i rozpadu zachodniego stylu.

W tej całej opowieści — chcę zaznaczyć — poszłam wielkimi skrótami przez wspomnienia. Jest wiele innych miejsc i fragmentów, które jeszcze nie zanurzyły się w niepamięć. Wiele innych wspomnień tamtego czasu, tamtych ludzi i wydarzeń. Można powiedzieć, że był to czas wielkiej mocy i także w pewnym sensie odwagi, ponieważ byliśmy świadomi, gdzie jesteśmy i co to dla nas oznacza. Potrzeba serca i umysłu była jednak silniejsza niż wszystkie potencjalne zagrożenia. Mam wiele wdzięczności dla wszystkich moich dawnych przyjaciół z grupy za to, że byli, i za to, jacy byli.

URSZULA BROLL

**Artykuł U. Broll jest reakcją na opublikowane w nr. 3 „Śląska" wspomnienia K. Jędrusika.*

*(Red.)*

# Czytane po latach

# Zdobycie władzy

I *Zdobycie władzy* Miłosza i *Władza* Konwickiego epatują przede wszystkim jednoznacznością obietnicy, jaka zawiera się w tytułach, sygnalizujących *par excellence* polityczną materię powieści. Ta swego rodzaju naddeterminacja formuły tytułowej stawia nas wobec kwestii władzy i z tego punktu widzenia wszelkie różnice, dzielące obu autorów oraz ich teksty mogłyby ulec pewnemu zawieszeniu, na rzecz wiążących owe teksty niezliczonych podobieństw i symetrii: czasu powstania, intencji autorskiej, tematyki, perspektywy narracyjnej itd. Ważniejsze bowiem zdaje się pytanie ogólniejsze: jak owa obietnica, dodajmy powieściowa, „epicka" obietnica, przedstawienia władzy, może się spełnić?

Pytajmy zatem czym jest owa „władza" jako „przedmiot" literatury?

Dla funkcjonariusza władzy z powieści Miłosza jest ona „nowoczesnym systemem rządzenia", możliwym do spełnienia tylko pod warunkiem zaszczepienia zbiorowej świadomości czegoś, co najlepiej nazwać naturalizacją kultury. „Kiedy masy zaczynają rozumieć, że nikt nie jest odpowiedzialny, wpadają w apatię, modelować je nie jest już trudno. Maszyna społeczeństwa przedstawia się im jako konieczna, niezwyciężona, równie jak dla ludzi pierwotnych niezwyciężoną i tajemniczą wydawała się powódź, burza i jałowość gleby. Nowoczesny system rządzenia jest niemożliwy zanim nie wpoi się ludziom tego przekonania"[1]. W gruncie rzeczy ten mechanistyczny pogląd na istotę władzy należy do porządku zwanego dziś efektem rzeczywistości *(l'effet de réel)*, trafnie określonym przez Miłosza jako przedstawienie („maszyna społeczeństwa przedstawia się im"). Porządek natury nie jest w tym sensie, wbrew wyobraźni ideologa, „mechaniczny", bo cechuje go odwracalność: powódź i burza ustępują pogodzie, jałowości gleby można zaradzić nawożeniem. Tymczasem zasadniczym warunkiem władzy okazuje się to, co można by nazwać – w przeciwieństwie do cykli przyrody – jej nieodwracalnością. Tym historia miałaby się różnić od natury, zatem – gdy mowa o ludziach sprawujących władzę w Polsce międzywojennej, należałoby zawyrokować, że „powrót do władzy tej warstwy był niemożliwy; nie zdarza się to nigdy w historii" (s. 14). Sąd, jak wiadomo, fałszywy, nie biorący pod uwagę licznych „restauracji". Nieodwracalność jako efekt rzeczywistości rodzi lęk, przyrównywany do lęku człowieka pierwotnego. „W oczach spotykanych znajomych, w oczach wszystkich ludzi, widział strach – i ten strach był inny, nowy: nie bali się już tyle bezpośrednich niebezpieczeństw, ile czegoś co było jak nieznana, obwarowana zakazami groza u pierwotnych plemion" (s. 137). U podłoża takiego stanu tkwi ostatnia konsekwencja „apatii" i „nieodpowiedzialności": poczucie braku alternatywy; nieodwracalność władzy staje się przeto doświadczeniem o wymiarze ontologicznym. To co jest, „to w czym znaleźliśmy się" jest bytem, a wszystko poza nim jest niebytem, nie istnieje. Nie ma istnienia poza władzą. „Wiesz Bruno – powiada jedna z postaci *Zdobycia władzy* – że świat poza tym w czym znaleźliśmy się, przestał dla nas być realny" (s. 95). Zarazem jednak „realność" tak pojęta tworzy opozycję z „rzeczywistością", bo realność władzy, będąca w istocie totalną symulacją, *l'effet de réel*, nie jest równoznaczna z rzeczywistością. Przeciwnie: realność nieodwracalnego bytu władzy jest... zasłoną. Czy wyjście w „niebyt", poza żelazną kurtynę, niesie obietnicę zerwania zasłony? Takie pytanie przekracza możliwości wyobraźni. „Nie mógł wyobrazić siebie chodzącego ulicami Paryża: czym tam będzie, czy może inna aura ludzka, która go otoczy, zedrze nagle jakieś zasłony kryjące rzeczywistość?" (s. 151-152). Okazuje się zatem, że władza należy do porządku symulacji *(simulacrum)*, co Miłosz pointuje zabawnie odnotowując upodobanie jej ideologa do komedii Labiche'a, pojętej jako „humor nicości": to jego zagadka, obiekt fascynacji. „Jak można zbudować coś z nicości, było dla Wolina zawsze zagadkowe" (s. 128). Jak powiada Baudrillard, „władza chce być nieodwracalna jak wartość, jak ona kumulatywna i nieśmiertelna – dzieli więc wszelkie złudzenia z rzeczywistością i produkcją, chce należeć do porządku rzeczywistości i przechyla się w ten sposób na stronę wyobraźni i przesądnej wiary w samą siebie (pomagają jej w tym analizujące ją teorie, choćby miały ją kontestować)"[2].

Zepchnięta w strefę wyobraźni zarówno tych, co ją sprawują, jak i tych, którzy są jej podporządkowani, „władza" pozostaje w powieści Miłosza słowem przemilczanym, zastępowanym ciągiem synonimów.

Inaczej u Konwickiego, gdzie „władza" jest stale na ustach postaci. Charakterystyczne, że towarzyszy jej z reguły przydawka, która ją wyróżnia, jako „władzę ludową". Gdy, raz bodaj, mowa o innej władzy, przedwrześniowej, pojawia się *pluralis*, skojarzony najwyraźniej z intencją satyryczną („Widocznie władze nie znały rozmiarów mieszkań hutniczych, bo okazało się, że policjantów przybyło za dużo"[3]). Można by powiedzieć, że opozycja *singularis/pluralis* ukazuje rozproszenie władz przedwrześniowych i „jedność" władzy ludowej. Ciekawe, że „władza ludowa" pozostaje, metaforycznie mówiąc, w trzeciej osobie, w owej (jak chciał Benveniste) nie-osobie, zajmując w rozlicznych wypowiedziach miejsce zaimka „on" („ona").

„Wreszcie nie wytrzymał i walnął pięścią w stół. – Komu niemiła władza ludowa, kto tu wróg?! – i znacząco ujął w palce ołówek" (s. 534).

„Nie wchodźmy w szczegóły, jeden czy drugi człowiek zawinił, ale żeby przeciwko władzy ludowej wystąpić, uff!" (s. 550).

„Reakcja chwyta się najniewybredniejszych sposobów oczerniania władzy ludowej" (s. 85).

„Plotka podrywa zaufanie chłopa do władzy ludowej, i owszem" (s. 86).

Upraszczając, „władza" jest zawsze w wypowiedzi przedmiotem lub atrybutem: nawet tam, kiedy podmiotem zdania powinna być właściwie ona sama. „Dzisiaj inne czasy, my jesteśmy przy władzy" (s. 553).

Nikt zatem nigdy nie mówi w powieści 'ja/my władza', 'władza to my', co byłoby o tyle uzasadnione, że bohaterowie powieści są w większości ludźmi władzy. Warto zinterpretować charakterystyczny pod tym względem paralelizm pojawiający się, gdy mowa o jednym ze sprawujących władzę: „Na władzę ludową rękę podnosisz, Gałeckiego po głowie cepem bijesz?" (s. 180). Widać tu bowiem, jak władza oddziela się – poprzez mowę – od jej „nosiciela", nigdy nie utożsamiona z osobą, z podmiotem. Podobnie ma się rzecz z owym niekwestionowanym w powieści podmiotem dziejów, jakim jest Partia: „Partia jest dziś przy władzy" (s. 452).

Podmiot władzy jest zatem podmiotem, mówiąc psychoanalitycznie, rozłupanym na „ja" i Innego, przy czym miejsce owego Innego zajmuje właśnie władza. Widać to najwyraźniej w chwili, gdy celebrowany jest jeden z podstawowych obrzędów „władzy ludowej", partyjna krytyka za odstąpienie od aktualnej „linii politycznej".

„Mikołajowi ciężko było zrozumieć, że mówią o nim. Postępowanie jego, wypowiedziane sądy nabierały w ustach Korejwy oficjalnego znaczenia. Wydawało mu się, że słucha życiorysu obcego, nieznanego człowieka. Korejwa mówił logicznie i przekonywająco. W głuchej ciszy, przerywanej urywanymi zdaniami sekretarza, narastała milcząca solidarność zebranych z referatem. Mikołaj rozejrzał się szybko dokoła, żeby dostrzec życzliwość, uśmiech, którego mu nie skąpili przed chwilą, zanim rozpoczęło się posiedzenie. Ale ludzie jakby wrośli w krzesła, ukryli oczy, otoczyli się murem uroczystości. Mikołaj czuł rosnącą złość, tępą, bolesną złość" (s. 317).

Rozłupanie o jakim mowa zostaje w tekście udosłownione: rytuał kończy się odcięciem „władzy" („Ja, towarzysze, proponuję wniosek, żeby towarzyszowi Gałeckiemu udzielić nagany, zdjąć ze stanowiska drugiego sekretarza"), co oznacza zepchnięcie podmiotu do sytuacji nieomal nie-podmiotu – „ciała". „Wypchali go spomiędzy siebie jak nie przystające, pełne zadziorów ciało" (s. 325).

Jest zatem władza zawsze oddzielona od swego „nosiciela", metonimicznie odsunięta od swego podmiotu („Na władzę ludową rękę podnosisz, Gałeckiego po głowie cepem bijesz?"), zawsze znajdując się obok, nigdy nie nacechowana pełną obecnością, nigdy nie utożsamiona z „ja".

Dodajmy jeszcze, że we *Władzy* Konwickiego nie ma miejsca na nieświadomość: po jej stronie opowiada się zdyskredytowany promotor „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego". Innymi słowy, „nieświadomość" to tylko oznaka utraty „czujności" w walce klasowej. Ten nawias ideologiczny musimy nałożyć na następującą wypowiedź. „Już człowiekowi chcesz odmówić nawet jego ludzkiej nieświadomości? Za każdym człowiekiem widzisz gotowy schemat polityczny. (...) Życie biegnie swoim torem, każdego pchają jego własne sprawy, jego własna bieda. Nie zawsze to musi być zamierzona, chytra intencja." (s. 307). Imperatywem powieści jest to, co tutaj zostało zaprzeczone. Z pewnym uproszczeniem powiedzielibyśmy, że miejsce owej zdezawuowanej nieświadomości zajmuje władza, bo to ona jest nie „schematem", ale głęboką strukturą działań (rzekomo) przypadkowych, nieświadomych. Owa analogia z nieświadomością dotyczy kolejnego paradoksu władzy: będąc „gdzie indziej", obok, jest zarazem zupełną jednością. Chodzi mi o ideologiczną pointę powieści, gdy towarzysz Kociołek spostrzega ze zdziwieniem, że lokalne problemy, „sprawa pojedynczego człowieka", okazują się tożsame z konfliktem centralnym, tam w Warszawie (oskarżenie Gomułki o to samo „odchylenie"). Z perspektywy władzy nie ma „pojedynczego człowieka" (to samo mówi Miłosz: „oglądany z dystansu bladł indywidualny los", s. 150).

Jedność władzy i jej nieobecność, owo przesunięcie metonimiczne, czynią z niej Kod, symbolikę pozwalającą kształtować ego, poza władzą wydane na pastwę „pełnego zadziorów ciała". Tak samo jak w powieści Miłosza władza warunkuje porządek przedstawienia, determinuje byt. I jest równie nieodwracalna. Ale w *Zdobyciu władzy* jest naturalizacją kultury, we *Władzy* kulturalizacją natury (por. „Wydało mu się, że traktuje go jak mężczyznę, a nie jak funkcjonariusza komitetu. Nachmurzył się nieznacznie", s. 45).

KRZYSZTOF KŁOSIŃSKI

[1] Cz. Miłosz, *Zdobycie władzy*. Paryż 1987, s. 127. Stąd dalsze cytaty.

[2] J. Baudrillard, *Oublier Foucault*. Paris 1977, s. 61–62.

[3] T. Konwicki, *Władza*. Warszawa 1956, s. 189. Stąd dalsze cytaty.

Muzyka poważna, czyli muzyka jako sztuka, jako działanie w zamiarze i spełnieniu artystyczne, przez dziesięciolecia była bardzo silnym filarem podtrzymującym prestiż katowickiego Radia. Już w pierwszych kilkunastu latach w II Rzeczypospolitej, i zwłaszcza w ciągu czterdziestu pięciu lat PRL-u. Jakkolwiek i muzykę usiłowano poddać kontroli ideologicznej, wyznaczając jej stosowne miejsce w polityce propagandowo-kulturalnej, to jednak muzyka, dzięki temu, że nie wyraża niczego innego poza samą sobą, czyli muzyką, rozwijała się nieprzerwanie i bujnie. Środowisko muzyczne obfitowało w wielkie indywidualności, we wszystkich bez mała dyscyplinach, w kompozycji, w wykonawstwie instrumentalnym i wokalnym, szczycąc się świetnymi dyrygentami i wybitnymi pedagogami, najczęściej z własnym, liczącym się w kraju dorobkiem artystycznym.

Ci wszyscy wspaniali ludzie, ich działania artystyczne, tryumfy i codzienna praca w WOSPR-ze, w Operze Śląskiej, w Filharmonii Śląskiej, w Operetce Śląskiej w Gliwicach, w Akademii Muzycznej — mieli w katowickim Radiu wiernego sojusznika. Na to były pieniądze. Małe, większe, pewnie zawsze za małe, ale były. I miejsce tej muzyki na antenie nie podlegało kwestii.

I raptem — niemal w jednej chwili to wszystko mogło zniknąć z anteny katowickiego Radia. Mogło, jak zniknęło z anteny w innych ośrodkach regionalnych. Powiedzmy, że tu i ówdzie nie było to wstrząsem, bo nierzadko podnoszono na siłę lokalne, drugorzędne instytucje i postaci do rangi, do jakiej było im daleko. Ale spójrzmy, co ostało się po tym wstrząsie, gdy radio — każde, jako instytucja, jako — powiedzmy wprost: zakład zatrudniający ludzi, którym powinien zapewnić godziwy zarobek, stanęło przed dramatycznym wyborem: wysokie loty, czy chleb powszedni? Komercja czy sztuka. Uderzenie było bardzo silne. Jak dzisiaj wygląda Poznań? Muzyka poważna jest tam w postaci śladowej. Obronił się Kraków, także Wrocław. Ale Radio Katowice dzierży tu prym. Jest ośrodkiem radiowym, w którym muzyka poważna utrzymała się na antenie w proporcjach porównywalnych z latami dawnymi. Co już zakrawa na cud. Ale on w Katowicach się zdarzył.

Jak to przekłada się na tak zwaną ramówkę antenową?

Muzyka poważna obecna jest na antenie Radia Katowice każdego dnia od poniedziałku do niedzieli.

„Kronika Wydarzeń Muzycznych" Adama Rozlacha (poniedziałek 23.02 do 24.00) — jest to audycja autorska, która zawiera relacje z koncertów i spektakli muzycznych w Polsce, ale także, uwaga: w Europie i na świecie — zawsze z pierwszej ręki, recenzje, omówienia premier fonograficznych największych wytwórni płytowych, a także skrót informacji agencyjnych o działaniu największych światowych instytucji muzycznych, i organizowanych przez nie festiwali i koncertów. Autor tej audycji zaprasza do współpracy krytyków spoza Śląska: Tadeusza Kańskiego, Małgorzatę Pęcińską, Teresę Waśkowską. Ta audycja to jeden z filarów muzycznego programu Radia Katowice. Drugim jest z pewnością:

„Katowicki Magazyn Muzyczny — Res Musica" pod redakcją Henryka Cierpioła. Jest to odpowiednik poprzedniego programu w skali regionalnej, a więc relacjonuje to, co przedstawia Opera Śląska, WOSPR, Filharmonia Śląska i Akademia Muzyczna. Towarzyszy artystycznej edukacji muzycznej na Śląsku, prezentuje płyty z nagraniami najwybitniejszych śląskich muzyków, recenzje z książek muzycznych, informuje o działalności katowickiego oddziału Związku Kompozytorów Polskich, katowickiego oddziału Polskiego Związku Chórów i Orkiestr etc.

Audycja nadawana jest w każdy wtorek o 23.02 i trwa do 23.30.

Trzeci filar tej muzycznej konstrukcji to:

„Muzyczne Spotkania" Bogumiła Pasternaka, nadawane trzy razy w miesiącu, w niedzielę od 21.15 do 22.00. Jest to audycja poświęcona prezentacji sylwetek najwybitniejszych śląskich muzyków, w której jest miejsce na reportaże z najważniejszych imprez i festiwali organizowanych w regionie. Autor - sam muzyk i kompozytor - wypracował sobie żywą formułę tego programu, w którym jest muzyka, wydarzenie artystyczne i jego „sprawca" pokazany wielostronnie i barwnie. Że wspomnę świetny program o Lechu Majewskim, zrealizowany z okazji światowej prapremiery „Pokoju saren" w Operze Śląskiej.

Jak rzekłem, są to trzy filary muzyczne, które podtrzymują konstrukcję programu muzyki artystycznej na antenie Radia Katowice. Nie w ich cieniu, ale równocześnie z nimi są obecne na antenie „Pejzaże Muzyczne" — Adama Rozlacha (wtorek 21.15 — 22.00), w których panuje zasada: jak najmniej słów, jak najwięcej muzyki, a więc: krótko o utworze i jego dziele, za to na antenie cały utwór! W tej audycji prezentowane są również premiery płytowe największych producentów: Decca, EMI, DG, Sony, Naxos, Olimpia etc., a co ważne: materiały te w większości (ok. 90%) ukazują się w Polsce po raz pierwszy na antenie Radia Katowice!

W środę o godz. 23.02 do 23.30 Bogumił Pasternak prezentuje dwa razy w miesiącu śląskich gitarzystów, zaś o tej samej porze, na przemian z „Gitarowym muzykowaniem", Stanisław Wiera przedstawia: „Kronikę dźwiękową WOSPR w Katowicach". Ta audycja informuje o tym, co się dzieje w WOSPR-ze: koncerty, nagrania, rozmowy z solistami i dyrygentami współpracującymi z Orkiestrą, zamieszcza reportaże z zagranicznych wojaży i sesji nagraniowych. WOSPR był niegdyś zespolony administracyjnie z katowickim Radiem, dzisiaj, mimo, iż każde działa oddzielnie, ta znakomita Orkiestra nie przestała być bliska Radiu Katowice, jak wszystkim śląskim melomanom. Stąd też ta jej specjalnie poświęcona, stała audycja.

„Radiowa Śląska Trybuna Kompozytorów" — to program przygotowywany przez muzykologa Ryszarda Gabrysia, który omawia i prezentuje zdokumentowaną fonograficznie twórczość śląskiego środowiska kompozytorskiego, przy czym sama dokumentacja dokonywana jest na zlecenie Radia Katowice!



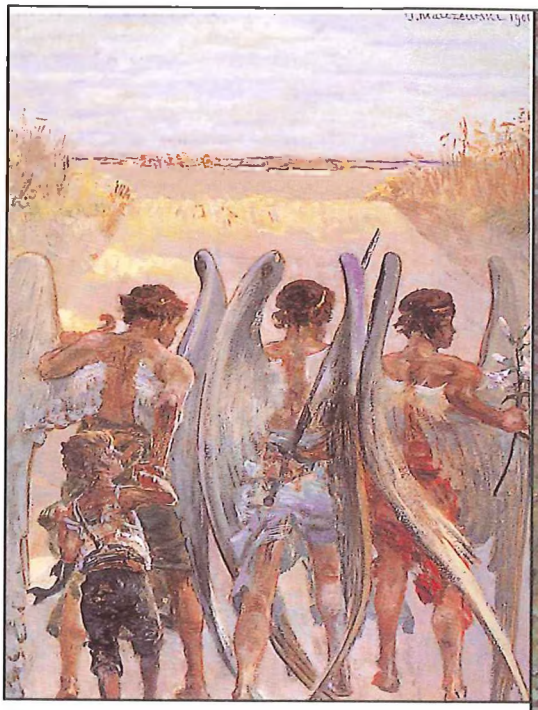
Reprod. Bogdan Kułakowski

Adam Rozlach w każdy piątek (23.02 — 24.00) w „Albumie Chopinowskim" pisze na antenie historię polskiej i światowej chopinistyki (ostatnio: Magaloff, Horowitz, Rubinstein). W niedzielę o godz. 9.00 zaprasza na kwadrans do „Muzycznego saloniku". Jest to audycja popularyzatorska, poświęcona prezentacji krótkich form muzycznych w rodzaju pieśni, miniatur instrumentalnych, arii operowych. Nie dla koneserów, lecz z zamiarem dotarcia do jak najszerszego kręgu odbiorców muzyki artystycznej. I wreszcie w niedzielę od 23.02 do 24.00 na antenie Radia Katowice audycja „Z kompaktowego Parnasu". Adam Rozlach przedstawia najwybitniejsze nagrania utrwalone przez solistów, zespoły i orkiestry zaliczane do ścisłej czołówki wykonawców muzyki poważnej. I znów przykład: jako główna pozycja — „Kwartet Smyczkowy d-moll KV 421 W. A. Mozarta, i Walce — Kaprysy na fortepian na cztery ręce — Maxa Regera.

Muzyka poważna jest to rzecz elitarna, i słuszna jest zasada, że to, co jest z natury swej elitarne, winno być najlepszej jakości. Prezentacji takiej muzyki musi towarzyszyć znawstwo, autorytet i rzetelne kryteria. Te same, równie wysokie wymagania — względem przyjaciół, jak obcych... Wedle zasady: jeśli prezentuje się na antenie to, co najlepsze na świecie, to obok może pojawić się również tylko to, co najlepsze na naszym, śląskim podwórku. Wśród seniorów i wśród młodych. Tu tylko zwrócę uwagę na nagrania promocyjne śląskich instrumentalistów: pianistów (Beata Bilińska), skrzypków (Szymon Krzeszowiec), wokalistów (Elżbieta Mazur, Sabina Olbrich).

To jest! To zostało obronione przez Radio Katowice, które wie najlepiej, że są obszary działania w kulturze, w których nikt go nie wyręczy, ani nie zastąpi. Bo tak rozumie swoją, przepraszam za górne słowo: misję.

FELIKS NETZ

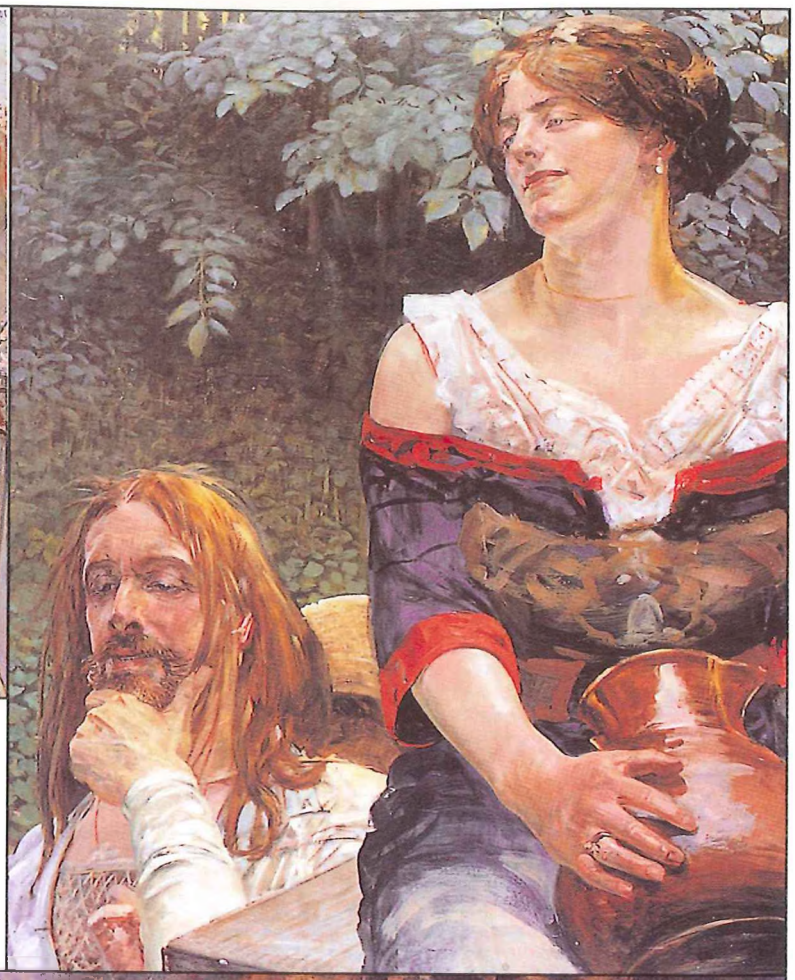


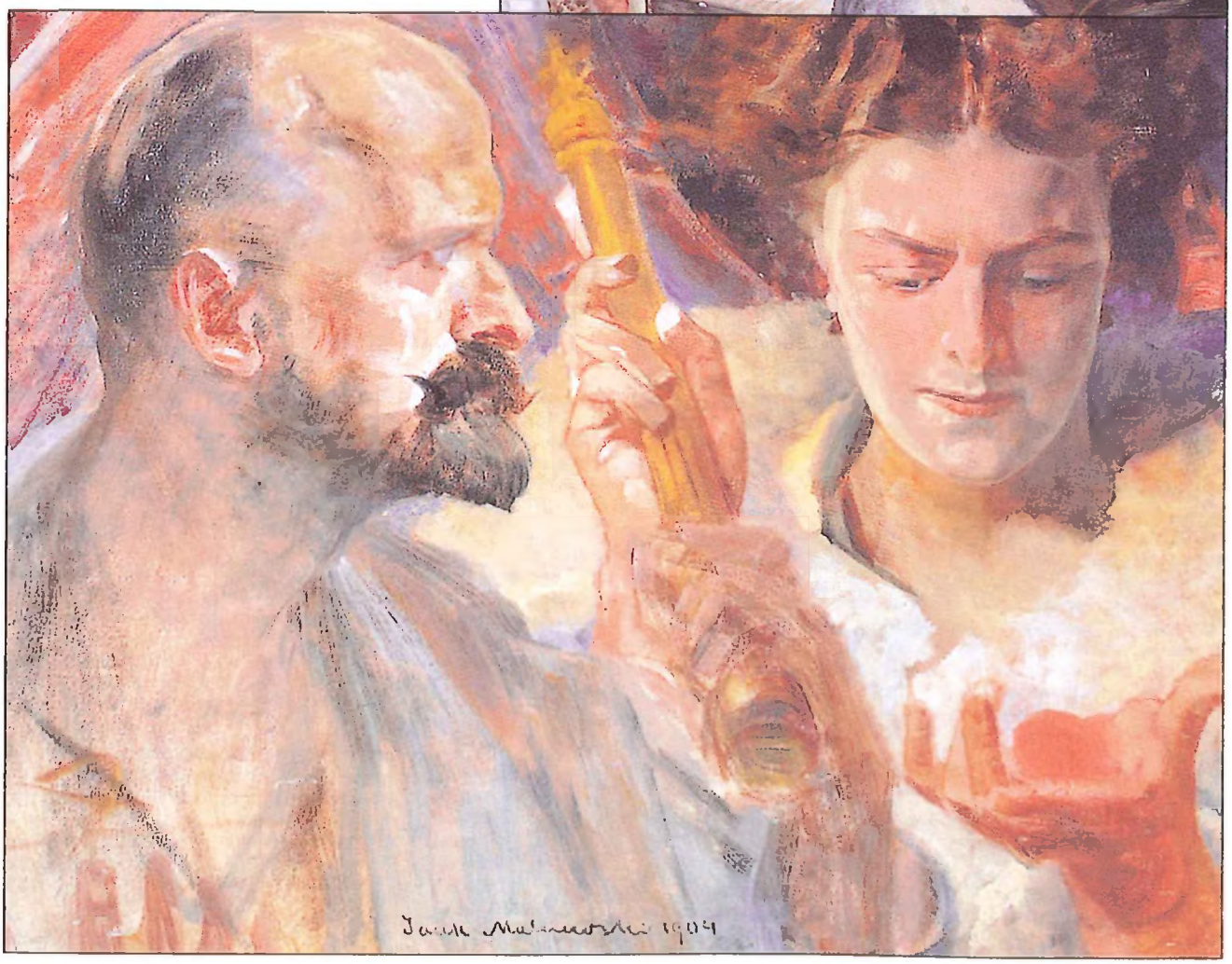
▲
„Trzej aniołowie z Tobiaszem", 1906, *ol., tekt., 32,2 x 24,4 cm.*

## JACEK MALCZEWSKI

„Chrystus i Samarytanka" *1912, ol., tekt., 92 x 72,5 cm.* ▶

„Autoportret z muzą trzymającą berło i serce", 1904, *ol., deska, 45x57,7.* ▼





# Symbol czy alegoria?

ANDRZEJ URBANOWICZ

Spotkanie z Jackiem Malczewskim rozpoczęło się dla mnie w przeddzień otwarcia jego ekspozycji w Muzeum Śląskim. Był to właśnie ostatni dzień trwania wystawy Stefana Żechowskiego w nieodległym przecież Zabrzu. Cicha i skromna wystawa, zorganizowana w zabrzańskim muzeum przez Panią Jadwigę Pawlas-Kos rozpoczynała się portretem Jacka Malczewskiego i również innym rysunkiem, będącym hołdem artysty artyście.

Twórczość Żechowskiego, od powojnia związanego poprzez żonę z Zabrzem, zmarłego w 1984 roku, wyrosła z młodopolskiej uczuciowości i stylistyki, a na jej kształt artystyczny – oprócz bezpośredniego mistrza Stanisława Szukalskiego – wpłynął mocno również Malczewski. Myślę, że to wielka szkoda, że Stefan Żechowski jest ciągle tak mało znany i rzadko pokazywany. Powodem tego niezasłużonego pozostawania w półcieniu jest pewnie charakter sztuki Żechowskiego. Trochę nierówna, nieco anachroniczna, będąca w sprzeczności z nowoczesnymi gustami powszechnie obowiązującymi wśród znawców, kultywująca rzadką dziś maestrię warsztatu, bardzo zresztą skromnego, tylko ołówek i czarna kredka. Wreszcie, od lat pięćdziesiątych zbyt erotyczna, aby brać ją poważnie. Niemniej, jest to twórczość niezwykle ciekawa, warta oglądania, warta także refleksji zarówno nad tym, co przedstawia, jak i nad jej miejscem w polskiej sztuce. Paradoksalnie, choć może nie tak „wielki" jak Malczewski, wydaje się Żechowski „żywszy" i mniej napuszony niż autor „Zatrutych studni".

Wystawa w Muzeum Śląskim w Katowicach prezentuje dzieła pochodzące ze zbiorów Lwowskiej Galerii Obrazów. Jest to więc ważna okazja do zapoznania się z pracami Malczewskiego dotąd wcale albo mało znanymi w Polsce. Ponieważ pochodzą one z całego okresu twórczości i zawierają niemal wszystkie istotne dla niego wątki tematyczne, jest wystawa ta świetnym przeglądem tego czołowego – jak się uważa – polskiego symbolisty.

Malarstwo Malczewskiego wyrosło z romantycznych tradycji poezji Juliusza Słowackiego, z malarstwa Grottgera i Matejki, którego zresztą był uczniem. W początkowym okresie twórczości artysta podejmuje tematy związane z dramatem patriotów polskich zesłanych na Syberię – później w inny sposób do tego wróci. Od roku 1888 pojawiają się płótna zapowiadające przekroczenie świata potocznie uznawanego za realny: wiejskie dziewczyny przekształcają się w rusałki, pojawiają się chimery, faunowie, centaury i harpie, satyrowie i bachantki, Thanatos i aniołowie. Problemy narodu, sztuki, religii i mitologii przewijają się przez całe malarstwo Malczewskiego, w którym również bardzo wyraźnie obecny jest i sam artysta poprzez swe nadzwyczaj liczne autoportrety i kryptoportrety. Oprócz autoportretów maluje również wiele portretów a ich łączenie z romantyczno-mitologiczną warstwą alegoryczną jest najbardziej charakterystyczną cechą jego twórczości.

Jednak związek Malczewskiego z symbolizmem jest dość luźny, raczej powierzchowny. Przyporządkowanie Malczewskiego temu nurtowi trzeba chyba przypisać naszej prowincjonalnej skłonności do znajdowania polskich odpowiedników dla światowych trendów sztuki, a także niedostatecznemu rozumieniu pojęcia symbol i brakowi zrozumienia samego symbolizmu, w zachodnim znaczeniu tego określenia. Symbolizm rozumiano tam bowiem, jako sztukę, która wchodzi w szczególny, intymny związek z wyobraźnią. Wyobraźnia twórcy mało się tutaj troszczy o ustalone reguły, o uświęcone wzory czy ogólnie obowiązujące odwołania. Zrywa z czasem historycznym, zanurzając się w czasie mitycznym. Właśnie ta zdolność do uczynienia marzenia kreatorem jest nowatorska i charakterystyczna dla symbolistów. I każdy z nich kultywował ją poprzez własną odrębność i anarchiczny indywidualizm. Aby określić to jeszcze inaczej: symbolistą w znaczeniu europejskim nie jest ten, który „symbolizuje", który problemy, choćby najbardziej poważne, ubiera w zawiłe rebusy znaczeń odwołujących się do religii, mitologii oraz spraw narodowych i społecznych. Takie działania i tego typu manipulacje określane są mianem alegorii i sztuki alegorycznej. Każda epoka wypowiada się przez pewne zespoły alegoryczne, zawierające określone – właściwe dla tego czasu – znaczenia, i fakt ten sprawia, że ludziom epok następnych nieco trudno jest wczuć się w to, „co też artysta chciał powiedzieć". Stąd tak często dzieła sztuki alegorycznej – niekiedy znakomite – wydają się nam martwe, puste, jakby uleciało z nich życie.

Symbol różni się zwykle od alegorii. Zawsze pozostaje pełen znaczenia, ponieważ jego sens nigdy nie został w sposób intelektualny do końca wyjaśniony. I nie dlatego przecież, że ktoś wzdragał się go wyjaśnić, lecz stąd, że jego znaczenie przerasta rozumienie zarówno artysty jak widza. Jest tajemnicą, której działanie jest wielostopniowe i wielostrefowe, ponieważ naturalnie i bez udziału woli wynurza się z głębi realności. Symboliści w tym znaczeniu, to przede wszystkim ci, którzy poddają się działaniu wyobraźni, nie kontrolowanego marzenia, ci, którzy stają się swego rodzaju medium dla ożywiającej nas wszystkich, tajemniczej i nigdy do końca nie poznanej rzeczywistości, będącej bliskiej transcendencji.

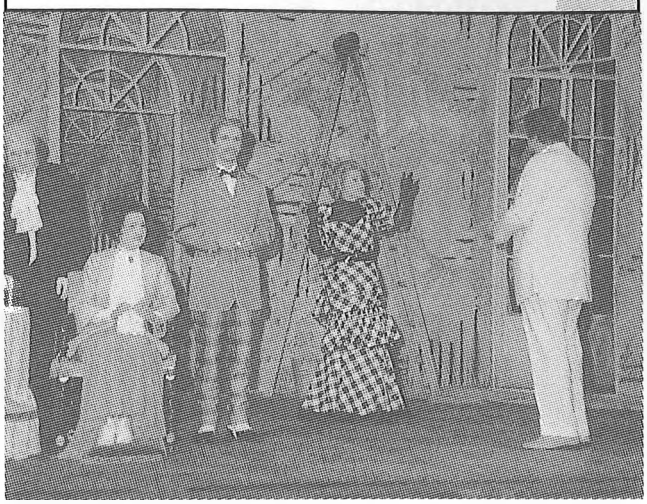
Te dwa – w poważnym stopniu przeciwstawne, mimo częstych wizualnych podobieństw – wątki nierzadko w dziele poszczególnego artysty przeplatają się i łączą. W dziele Malczewskiego – skądinąd godnym podziwu – dobitniej manifestuje się wątek alegoryczny. Wydaje mi się, że artysta nie tyle pozwalał obrazom wpływać na siebie – jak czynił to Wojtkiewicz, Ciurlonis a współcześnie czyni Beksiński – a raczej budował je i kontrolował w intelektualny sposób. Problemy narodowe, ludzkie lub artystyczne są ubierane w mityczny lub religijny kostium, zgodnie z modą i dla podniesienia ich wagi i znaczenia. Mnie osobiście nieco śmieszy, gdy Chrystus uporczywie pojawia się z twarzą artysty – która gdzie indziej pojawia się w postaci twarzy fauna – jakoś nie umiem w tych wizerunkach dostrzec postaci Jezusa z Nazaretu przynoszącego światu dobrą nowinę. Raczej pokazuje mi się niejaki Malczewski, który przebrał się za Jezusa, aby podnieść znaczenie artysty, aby zwrócić uwagę na niedocenienie przez świat i na swoje twórcze męki.

Wydaje się, że malarz nie mógł się do końca zdecydować, czy poddać się mitowi chrześcijaństwa, czy też bliższy jest mu świat centaurów i faunów. Istnieje też, powszechnie przemilczany, a chyba wart troskliwszych badań, wątek homoseksualny. Zauważamy, że kobiety, które się zresztą często w dziele Malczewskiego pojawiają, nierzadko nagie, mimo troskliwego zaznaczania ich drugorzędnych cech płciowych, w swoim charakterze są jakby aseksualne. A może jeszcze inaczej: są bardzo „męskie", zbyt męskie, aby w ogóle można odczuć ich kobiecość. Trochę to tak, jakby zatopiony w swej męskości mężczyzna, tą całą swoją fragmentaryczną męskością, postanowił wejść w ciało kobiety ignorując całkowicie fakt, że ciało to jest w istocie „naczyniem" i „obrazem" innych duchowych wartości. Myślę, że nie jest to tylko moje wrażenie, skoro Zofia Krzykowska, autorka wstępu do katalogu, omawiając obraz „Eloe" pisze, iż „unosi on na skrzydłach ciało Ellenai". Ta istotnie męska w charakterze postać, prezentuje jednak na wpół odkryte, niewątpliwie niemęskie piersi. Zresztą, również w poemacie „Anhelli", który stał się punktem wyjścia do tego obrazu, Eloe jest aniołem żeńskim, nie jako on, lecz jako ona, przez Słowackiego określanym.

Nie chciałbym, aby te uwagi zostały zrozumiane jako wrogość wobec orientacji homoseksualnej. To nie ma z tym nic wspólnego, chodzi mi tylko o aspekt pewnej nieszczerości, swoistej maskarady. A jeśli chodzi o mnie, to oczywiście wolę kobiety Żechowskiego. ■

TEATR

# Między epokami



*Cezariusz Chrapkiewicz (Firs), Grażyna Bułkowa (Raniewska), Włodzimierz Pohl (Jasza), Jadwiga Grygierczyk (Szarlota), Kazimierz Czapla (Łopachin).*

*Foto: Jerzy Zaręba, Krzysztof Kantyka*

Rzeczywistość „Wiśniowego sadu" Siergieja Danczenki zawieszona jest pomiędzy. Pomiędzy ułudą a prawdą; pomiędzy mitem a realnością; pomiędzy samoświadomością a samozakłamaniem; pomiędzy tanią egzaltacją a prawdziwym uczuciem; pomiędzy błazenadą a autentycznym bólem i cierpieniem; pomiędzy aktywizmem a bezczynnością.

Nade wszystko jednak pomiędzy starymi a nowymi laty. Także, a może przede wszystkim, w zakresie wyznawanych systemów wartości. Przyznać rację absolutną któremuś z nich znaczyłoby zachwiać swoistą opalizującą dialektyką spektaklu. Uczynić jednoznacznym obraz świata, który tej oczywistości jest pozbawiony. Tak jak Czechow. Tak jak życie. Dopiero otwarcie na te dwie odrębne perspektywy czasowe: odchodzącą (nie pozbawioną wszak, mimo wszystkich swych niedoskonałości, wdzięku i czaru, uroku nieco staroświeckiego bibelotu) i nadchodzącą – perspektywę jutra (rozsądną, trzeźwą i praktyczną, ale nierzadko przecież odpychającą, nawet momentami groźną) daje nam prawdę o kondycji ludzkiej. Dotyka istoty naszej rzeczywistości. Rzeczywistości Czechowa.

I nam – tak jak bohaterom „Wiśniowego sadu" – dany jest „międzyczas", wobec którego prędzej czy później musimy się jakoś określić, w nim odnaleźć. W tym sensie spektakl Danczenki, wybitnego ukraińskiego reżysera, byłby mocno zorientowany na naszą środkowowschodnio-europejską rzeczywistość. Mocno aktualizujący. Bardzo współczesny. Ze społecznym podtekstem.

Ów „międzyczas", owo „pomiędzy" wypełnia marzenie, tęsknota, nostalgia, nadzieja, ale i niespełnienie, niezrozumienie, poczucie zmarnowanego życia i najzwyklejsza, najtrywialniejsza nuda.

Wrażenie tymczasowości, przejściowości, wręcz prowizoryczności, potęguje scenografia. Opuszczane z nadscenia, z „przekłutymi" otworami drzwiowymi, pastelowe płaszczyzny ścian, obłażące z tapety bądź tynku (gdy akcja rozgrywać się będzie w przestrzeni otwartej zachowane fragmenty malowideł staną się – po wciągnięciu ścian – ukwieconymi konarami drzew o mgławicowych konturach), zachlapana, nosząca ślady znacznego zużycia wykładzina, na niej porozrzucane gazety, w prawym rogu sceny drabina i wiadro, nieliczne sprzęty obciągnięte białymi pokrowcami, to plastyczna realizacja motywu „opuszczonego gniazda".

Brzmieniowa warstwa przedstawienia – delikatna obecność muzyki: rosyjski romans gitarowy Leonida Grabowskiego i klasyczny walc rosyjski (wspaniała scena balu), efekty dźwiękowe: gwizd parowozu, stukot bryczki, świergot ptaków, bicie zegara – staje się zmysłowym wyznacznikiem upływającego czasu. Aż do nieuchronnego kresu – bezlitosnego stukotu siekiery, kładącego kres wszystkiemu co dawne. Umiera wiśniowy sad, umiera stary dom i umiera Firs (bardzo dobra przejmująca rola Cezariusza Chrapkiewicza). Wraz z jego odejściem – strażnika czasu i przestrzeni – kończy się jedna epoka, rozpoczyna druga. Epoka Łopachina, ale i epoka Trofimowa i epoka Jaszy. Nie ma w niej miejsca dla Raniewskiej, Gajewa, Simeonowa-Piszczyka (ciepła, wzruszająca kreacja Aleksandra Sokołowskiego). Szarlota (podobała mi się w tej roli – wszak niepierwszoplanowej Jadwiga Grygierczyk) nadal będzie ubarwiała świat dla siebie i dla innych, wnosiła weń element teatralizacji, karnawalizacji z całą świadomością gry. I nadal będzie nosiła w sobie dramat (aktorka dobrze wygrywa niuanse, niedopowiedzenia, jakie niesie ta rola).

Reżyser odmówił arystokratce Lubow Raniewskiej (Grażyna Bułkowa) formatu wielkiej damy, do czego przyzwyczaiły nas wcześniejsze realizacje dramatu. Jej egzaltacja ociera się o kabotynizm, uczucia są powierzchowne. Jest rzeczywiście „poniżej miłości". Żyje w nieustannym samozakłamaniu. W takim układzie niespodziewanie rośnie postać Łopachina (Kazimierz Czapla) – jest on głosem rozsądku w owym urokliwym, ale zupełnie niepraktycznym świecie. Obdarzony samoświadomością, pamięta nieustannie o swoich poddańczo-chłopskich korzeniach (motyw awansu społecznego został w tym spektaklu mocno wyeksponowany). Zna siłę i moc pieniądza. Stale liczy i kalkuluje. Ma duszę kupca. Ale zna także realną wartość pracy. I co najistotniejsze – trzeźwo ocenia samego siebie. Jest niewątpliwie inteligentny. Ale jest również – po Edkowsku – chamowaty, bezwzględny i groźny (doskonała scena, gdy informuje wszystkich o zakupie wiśniowego sadu). Słowa: „Idzie nowy obywatel, właściciel sadu wiśniowego", „Za wszystko mogę zapłacić!", „Niech wszystko będzie tak, jak ja chcę!" brzmią złowieszczo. Przypominają inne – właśnie z „Tanga" Mrożka. Ale jest w nim – Jermołaju – przecież i liryzm, i niespełnione uczucie (do Raniewskiej raczej aniżeli Warii).

MIROSŁAWA PINDÓR

**Antoni Czechow: „Wiśniowy sad". Reżyseria: Siergiej Danczenko. Scenografia: Andriej Aleksandrowicz-Doczewskij. Choreografia: Jerzy Waligóra. Premiera: 31 maja 1996 w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej.**

TEATR

# Szlachetna porażka

„Listy śpiewające" Agnieszki Osieckiej zakończyły sezon w zabrzańskim Teatrze Nowym i jednocześnie były swoistym pożegnaniem szefa artystycznego tej sceny, Wincentego Grabarczyka, który wprawdzie w spektaklu tym nie brał udziału, to przecież dopuścił go na scenę, wykazując tym samym dużą odwagę i zaufanie do Zbigniewa Stryja, utalentowanego aktora młodej generacji, który od pewnego czasu zgłasza aspiracje reżyserskie, nawet łączone - jak w tym przypadku - ze scenograficznymi. Zapewne przyjdzie jeszcze nieraz zadumać się nad tym, co udało się, a co nie Grabarczykowi, który - cóż tu kryć - przed paroma laty zastał Teatr Nowy w nie najlepszym stanie, to jednak pewne jest, że właśnie dzięki niemu udało się ściągnąć i zatrzymać paru takich ludzi jak właśnie Stryj.

Jest to jedna z ciekawszych postaci, jakie pojawiły się w śląskich teatrach w ostatnich latach. Reżyserii już popróbował, a teraz „poszedł na całość", deklarując w towarzyszącym spektaklowi programie: „Wiem! Taka moda, taki czas, taki trend. Wybuchy, pościgi, ciężki dowcip, »kawa na ławę« - nie trzeba myśleć, rozumieć, odczuwać... A może by tak na chwilę odpocząć, zadumać się i wzruszyć?".

No, i za tę szlachetną naiwność przyszło młodemu reżyserowi zapłacić. Kiedy siedziałem na jednym z „szeregowych" przedstawień „Listów śpiewających", ogarnęła mnie melancholia najgorszego rodzaju. Nie, nie spektakl to sprawił, lecz pustki wokół mnie. Niestety, ten wcale nie najgorszy spektakl jest dla nikogo. A jeśli już - to dla osób, które jakoś drogi do Teatru Nowego nie znają...

Estetyka lat 60., która Stryjowi wydała się tak inspirująca, okazuje się - niewielu już dziś obchodzi. Agnieszka Osiecka z tamtych lat nie zdołała poruszyć tej akurat publiczności. Ta poetyczność codzienności jest już niezrozumiała i przekorą niczego wygrać nie można. Inna rzecz, że za mało w tym spektaklu prawdziwego „zwykłego życia", a o nie chyba właśnie chodziło? To, co miało (zwłaszcza w pierwszej części) pokazać prozaiczność naszej codzienności przerodziło się w monotonię, z którą trudno było sobie poradzić. Monologizowanie Elki (Katarzyna Głąb) i Pani Amelii (Hanna Boratyńska), próbujących w listach słanych do siebie jakoś rozbić zaduch polskiej prowincji lat 60., staje się po kilkunastu minutach po prostu męczące. W pewnym momencie kończy się teatr, zaczyna - słuchowisko radiowe.

Trochę lepiej w części drugiej. Może dlatego, że więcej tu ruchu i czegoś na kształt akcji scenicznej? Może dlatego, że więcej tu muzyki? A może po prostu centralne postacie niosą zapis jakiegoś prawdziwszego, cichego „dramatu małżeńskiego" (Franciszek - Andrzej Lipski, Anna Maria - Jolanta Niestrój - Malisz), jakoś tam aktorsko wydobytego, wycieniowanego, niejednoznacznego? Ale i w tym przypadku próba przeciwstawienia się już nie tyle kulturze „wybuchów, pościgów i ciężkich dowcipów", by jeszcze raz odwołać się do słów reżysera, co kulturze „oper mydlanych" do udanych nie należy.

Dlaczego, skoro cała ta maszyneria sceniczna nieźle się porusza i nic specjalnie nie zgrzyta? Otóż - moim zdaniem - ten spektakl trafia w idealną próżnię. Jest wypreparowany. Pachnie naftaliną. To jest zapach, który z teatru wypędza widzów. Te wszystkie szlachetne próby, by wydobyć subtelne tony z naszej (?) codzienności, przynoszą mizerne owoce. Nic już na to nie poradzimy, że dzisiejszy widz woli brazylijski serial w tv niż anachroniczną, niestety, Osiecką, która w „Listach śpiewających" niczego nowego o nas samych powiedzieć nam już nie potrafi.

KRZYSZTOF KARWAT

**Agnieszka Osiecka: „Listy śpiewające", Reżyseria i scenografia: Zbigniew Stryj. Muzyka: Adam Sławiński, Marzena Mikuła-Drabek i Andrzej Kurylewicz. Teatr Nowy w Zabrzu. Premiera w czerwcu 1996 roku.**

# Muzyczny ekumenizm

MUZYKA

W dniach od 1 do 6 czerwca odbywał się w Skoczowie festiwal muzyczny pod nazwą „Panorama Muzyki Chrześcijańskiej". Imprezę zorganizowano silami tutejszego Urzędu Miejskiego oraz Parafii Katolickiej św. św. Piotra i Pawła i Parafii Ewangelicko-Augusburskiej p.w. św. Trójcy dla upamiętnienia pobytu Ojca św. Jana Pawła II w Skoczowie w czerwcu ubiegłego roku. Na „Panoramę" złożyły się koncerty muzyki religijnej różnych kręgów wyznaniowych, pokazy filmowe, spektakle poetyckie oraz wystawa malarstwa i grafiki artystów śląskich: Krystyny Filipowskiej, Eugeniusza Delekty i Norberta Witka. Intencją organizatorów festiwalu (funkcję dyrektora artystycznego sprawowała organistka związana z cieszyńską Filią Uniwersytetu Śląskiego, Bogumiła Dunikowska) było przybliżenie miejscowej publiczności osiągnięć polskiej sztuki sakralnej w wielu wymiarach, obejmujących nie tylko różne dyscypliny artystyczne, ale i rozmaite poziomy twórczości – od elitarnego do popularnego.

Festiwal rozpoczął się koncertem Akademickiego Chóru Politechniki z Gliwic pod dyrekcją Czesława Freunda i obchodzącej właśnie 15-lecie istnienia Śląskiej Orkiestry Kameralnej prowadzonej przez Jana Wincentego Hawela. W programie koncertu znalazło się Requiem Mozarta oraz nowy utwór Józefa Świdra – jednego z najczęściej wykonywanych współczesnych twórców muzyki chóralnej – „Praeludium-Musica sacra" na chór mieszany i organy. W wykonaniu utworu Mozarta uczestniczyli wybitni śląscy śpiewacy-soliści: Dorota Neumann, Barbara Markiewicz, Feliks Widera i Tadeusz Leśniczak. Na organach grała Bogumiła Dunikowska. Następnego dnia zaprezentowały się dwa chóry amatorskie z Zaolzia: „Moravian Children" z Holeszowa (dyrygent Karel Kośzarek) i „Harfa" z Czeskiego Cieszyna (dyrygent Alojzy Kopoczek). Artyści wykonali kilka utworów z żelaznego repertuaru muzyki religijnej od renesansu do współczesności. Wielkie zainteresowanie towarzyszyło prezentacji muzyki cerkiewnej, której dokonał wrocławski Zespół Kameralny Cerkwi Prawosławnej św. św. Cyryla i Metodego „Oktoich" prowadzony przez Grzegorza Cebulskiego. W drugiej części koncertu organista Marek Pilch wykonał kilka dziel Bacha i innych mistrzów muzyki na ten instrument, w tym również utwory cieszynianina Jana Gawlasa.

Koncert Poezji i Muzyki Religijnej wypełniły recytacje poezji Bronisławy Betlej w wykonaniu młodzieży ze skoczowskiego Liceum Ogólnokształcącego oraz recital klawesynisty Marka Toporowskiego, który zagrał arcydzieła z repertuaru mistrzów francuskiego i niemieckiego baroku. Układ programu wskazuje na to, iż wzięto pod uwagę związki wykonywanych kompozytorów z protestantyzmem (to tylko przypuszczenie).

Bardzo ciekawy był występ scholi gregoriańskiej z klasztoru oo. Bernardynów w Kalwarii Zebrzydowskiej pod dyrekcją Wiktoryna Krysy. Ten znany w kraju zespół wykonał najpiękniejsze utwory chorałowe: hymny, sekwencje, antyfony, fragmenty mszalne. Później na organach kościoła św. św. Piotra i Pawła improwizował Julian Gembalski.

W ewangelickim kościele św. Trójcy grali też przedstawiciele młodego pokolenia śląskich muzyków: Bogumiła Dunikowska (organy), Ewa Jaślar (harfa), Beata Raszkiewicz (sopran) i Adam Musialski (skrzypce). W ramach imprezy odbyło się również spotkanie z poetą Janem Twardowskim, któremu towarzyszyły recytacje jego wierszy w wykonaniu skoczowskiej młodzieży. Kulminacją zaś „Panoramy" była prezentacja muzyki chóralnej przez dwa chóry działające w cieszyńskiej Filii Uniwersytetu Śląskiego. Chór żeński Instytutu Pedagogiki Muzycznej pod dyrekcją Aleksandry Paszek-Trefon wykonał efektowną, pełną wyrazu „Missa angelica" Józefa Świdra, zaś Akademicki Chór „Harmonia", prowadzony przez Halinę Goniewicz-Urbaś, zaprezentował się w popularnym repertuarze religijnym od Wacława z Szamotuł, poprzez Brucknera do Świdra. Wszystkie koncerty i imprezy towarzyszące „Panoramie" cieszyły się ogromnym zainteresowaniem miejscowej i okolicznej publiczności, co dowodzi, że trafnie wybrano miejsce imprezy i pozwala mieć nadzieję, że będzie ona kontynuowana w przyszłości.

MAGDALENA DZIADEK

# Barwy tańca

TANIEC

Po raz trzeci Śląski Teatr Tańca zorganizował Międzynarodową Konferencję Tańca Współczesnego i Festiwal Sztuki Tanecznej. Od 14 do 23 czerwca przez Bytom przewinęło się 160 tancerzy, choreografów, krytyków i animatorów kultury z 30 krajów. Spore środki na to spotkanie organizatorzy w całości pozyskali od sponsorów.

Bytomska konferencja to liczne warsztaty, klasy mistrzowskie, seminaria, spotkania dyskusyjne. W tym roku warsztaty taneczne prowadzili: Amerykanie — Louise Klixbull (technika Marthy Graham), Sam Costa (taniec atletyczny), Morgan Thorson (contact imprivization), Robin Stihem (współczesna technika baletu), Tony Morales (technika Lastera Hortona) i Gretchen Pick (taniec gimnastyczny), Senegalczyk Assane Konte (taniec afrykański), Merenia Gray z Nowej Zelandii (taniec współczesny z elementami tańca maoryskiego), Marika Blossfeldt z Estonii (Kundelini Joga), Niemka Chirstine Brunel (technika z tradycji Folkwang) oraz Dorota Kędzior (technika Alexandra) i główny sprawca całego przedsięwzięcia, dyrektor ŚI.TT Jacek Łumiński (taniec współczesny w oparciu o polskie tradycje). Klasy mistrzowskie prowadzili zaś: Japonka Yoshiko Chuma, Merenia Gray, Sam Costa, Jonathan Hollander (USA) i Olga Roriz z Portugalii.

Serb Boris Caksiran poprowadził seminarium i warsztaty kostiumograficzne, których owocem stała się zbiorowa choreografia wywiedziona od... kostiumu. Gościem warsztatu „Tradycja i współczesność" była m.in. wielka znawczyni ruchu i gestu scenicznego Wanda Szczuka, a seminarium krytyków sztuki — m.in. recenzent „The Washington Post", George Jackson. Mówiono też o administracji i zarządzaniu kulturą, o sztuce i biznesie; spore zainteresowanie gości wzbudziły projekty społeczne Śląskiego Teatru Tańca realizowane poza środowiskiem zawodowym tancerzy, z dziećmi, młodzieżą i osobami starszymi, także z chorymi i niepełnosprawnymi.

Na głównej festiwalowej scenie wystąpili tancerze i zespoły z Polski, Austrii, Estonii, Izraela, Węgier, Litwy, USA, Kolumbii, Szwajcarii, Słowenii, Słowacji, Portugalii, Czech i Japonii. Kilka prezentacji zrealizowano w ramach programów współpracy międzynarodowej. Była też scena nieformalna i filialna w Krakowie.

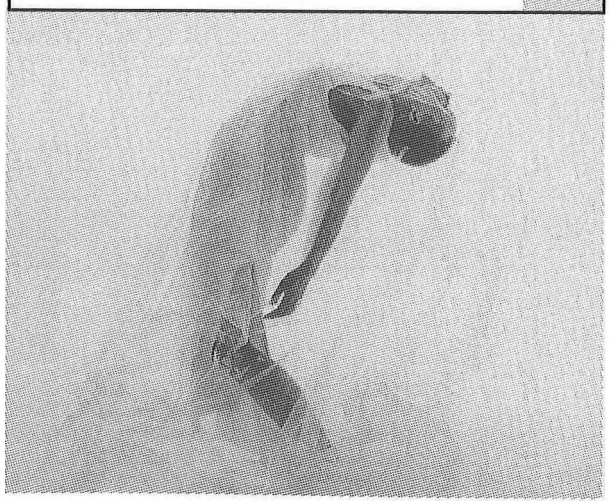


Foto: Dieter Kraus

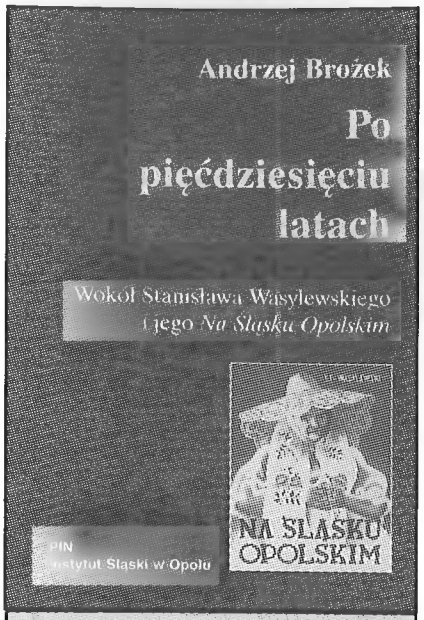
Mniej zorientowanego odbiorcę zaskakuje mnogość technik tańca współczesnego i rozmaitość estetyk jego scenicznych prezentacji, od plastycznego teatru ruchu, jaki uprawia litewska grupa Birutte Beneviciute Dance Company po ruchowe abstrakcje Minnesota Dance Exchange. Największe wrażenie w Bytomiu wzbudziły zespoły i artyści, którzy techniczne mistrzostwo, inwencję potrafiły połączyć z klarownością przekazu (niekoniecznie werbalnego). Do takich zaliczają się: austriacki Tanz Hotel, kolumbijska grupa Danza Cancierto.

Wśród gości festiwalu najbardziej doświadczonym zespołem była działająca już od 20 lat nowojorska Battery Dance Company Jonathana Hollandra, ale np. Olga Roriz w dwuletniej pracy swego zespołu z Belem rozwija kilkunastoletnie doświadczenia z legendarnego Gulbenkian Ballet czy pracy z Lisbon Dance Company. Grupy bardzo młode miały więc szansę zetknięcia się w Bytomiu z uznanymi artystami współczesnego tańca.

Na tym dość szerokim tle bardzo korzystnie wypadł młody zespół Śląskiego Teatru Tańca. Pod kierunkiem Jacka Łumińskiego bytomscy tancerze bardzo konsekwentnie wspinają się na wyżyny warsztatowego mistrzostwa a co najważniejsze wypracowują swój własny, niepowtarzalny styl, specyficzny język, który Jacek Łumiński wywodzi od polskich i żydowskich tradycji. Ma on swoistą głębię i jakieś niepowtarzalne piękno. Nie przypadkiem wielkim uznaniem cieszy się Śląski Teatr Tańca poza naszymi granicami. Ten sukces wypracowuje i podczas takich warsztatowych spotkań, jak doroczne konferencje.

MAREK SKOCZA

# Wasylewski po sześćdziesięciu latach




**Andrzej Brożek: *Po pięćdziesięciu latach. Wokół Stanisława Wasylewskiego i jego „Na Śląsku Opolskim”*. Wstępy: Michał Lis i Wiesław Lesiuk, Państwowy Instytut Naukowy – Instytut Śląski, Opole 1995, s. 101, 3 nlb.**

Dwa lata po śmierci profesora Andrzeja Brożka Państwowy Instytut Naukowy — Instytut Śląski w Opolu wydał wydobytą ze spuścizny uczonego pracę poświęconą Stanisławowi Wasylewskiemu i jego książce *Na Śląsku Opolskim*. Jest to inicjatywa ze wszech miar godna uznania, gdyż w sposób istotny dopełnia współczesny stan badań na temat Wasylewskiego, zaś dorobek Andrzeja Brożka pomnaża o pozycję niezwykle cenną.

Ponieważ dzieje owej publikacji są dość niezwykłe więc warto je opisać w największym skrócie. W roku 1987 Instytut Opolski obchodził trzydziestolecie swego istnienia; ponieważ w tym samym roku przypadała również 50 rocznica pierwszego wydania *Na Śląsku Opolskim*, podjęto postanowienie reedycji książki Wasylewskiego, i napisanie wstępu do reprintu powierzono prof. Andrzejowi Brożkowi. W zamierzeniu wydawcy wstęp miał mieć charakter popularny i zawierać podstawowe wiadomości o Wasylewskim oraz jego książce, ze szczególnym uwzględnieniem jej recepcji. Tymczasem Andrzej Brożek przygotował tekst, który mógłby właściwie zaistnieć autonomicznie i miał charakter wybitnie naukowego przedsięwzięcia, z profesjonalnym aparatem naukowym i bardzo głęboką analizą merytoryczną, głównie historyczną, ponadto ujawniał takie szczegóły z okresu prześladowania pisarza w PRL-u, na które ówczesna cenzura mogła się nie zgodzić. We wstępie *Od Wydawcy* Wiesław Lesiuk pisze: „Autor nie był skłonny do wprowadzenia zmian w myśl oczekiwań wydawcy, ten zaś nie odstąpił od swej koncepcji reedycji. Pertraktacje nie dały efektu pozytywnego, przeciwnie — zaistniała sytuacja doprowadziła do kilkuletniego zamrożenia wszelkich kontaktów między prof. A. Brożkiem i Instytutem Śląskim-Instytutem Naukowo-Badawczym w Opolu...”. Dodajmy, że posłowie, zgodnie z oczekiwaniami wydawcy napisał prof. Jerzy Pośpiech i książka ukazała się w planowanym terminie, przyjęta bardzo gorąco przez opinię publiczną. I na tym się rzecz pozornie zakończyła.

22 stycznia 1994 roku Andrzej Brożek zmarł; w jego papierach pośmiertnych pozostał gotowy do druku tekst *Po pięćdziesięciu latach. Wokół Stanisława Wasylewskiego i jego „Na Śląsku Opolskim”*. W jakiś czas potem, brat zmarłego, dr Krzysztof Brożek, zwrócił się do Opolskiego Instytutu z propozycją wydania opracowania w formie książkowej. Uzyskany na ten cel grant z Komitetu Badań Naukowych umożliwił przedsięwzięcie i oto w chwili obecnej — sześćdziesiąt lat po pierwszym wydaniu — otrzymał czytelnik niezwykle interesującą i starannie wydaną książkę, która nie tylko przynosi gruntowne omówienie biografii autora *Meluzyny, czyli panny ze śląskiego wiatru*, wyjaśniające te wszystkie meandry z jego niełatwego życia, które dotąd w sposób przedziwny zaciemniano, ale także daje gruntowną analizę zawartości *Na Śląsku Opolskim*, głównie zaś jej aspektów historycznych i politycznych (problematyka literaturoznawcza została, ze względów oczywistych pominięta) a dzieje wręcz pasjonującej recepcji książki doprowadza prawie aż do współczesności.

W biografii Wasylewskiego Brożek przede wszystkim dopełnił rzetelną informacją tragiczny okres powojenny, kiedy najpierw pisarza potępiono, uwięziono, a następnie pozbawiono praw publikowania. W dotychczasowych opracowaniach pisano przeważnie, że z atakiem wystąpił „delegat łódzki” i że to właśnie środowisko łódzkich literatów najbardziej prześladowało Wasylewskiego, nie ujawniając wszakże żadnych nazwisk, ani konkretnych faktów. Brożek dotarł do źródeł sprawy. Ujawnił przede wszystkim niezwykłe powiązania pisarza, którym interesował się sam gen. Grot-Rowecki, a następnie opisał szczegółowo opierając się na bardzo rzetelnej kwerendzie prasowej i archiwalnej, dzieje prześladowania autora *Na Śląsku Opolskim* w latach powojennych. Jest to relacja wstrząsająca. Stanisław Ryszard Dobrowolski, Adam Ważyk, Jan Szczawiej, Jan Kott — to główni prześladowcy Wasylewskiego. Andrzej Brożek nie ocenia ich zachowań — i słusznie, cytuje tylko ich wypowiedzi z tamtego okresu, one mówią same za siebie. Nie wiadomo i dziś już do tego nie dojdziemy, czy występowali oni z własnej inicjatywy, czy też „inni szatani byli tu czynni”. Andrzej Brożek sugeruje, że to klimat końca lat czterdziestych był głównym „sprawcą” tego ataku. Ale ujawnił też Brożek drugi biegun tej sprawy; piękne, szlachetne zachowania (także bardzo rzetelnie udokumentowane) Arki Bożka, Jana Wiktora, Wilhelma Szewczyka, który bronił Wasylewskiego, ryzykując przecież tym nawet likwidację „Odry”. I wypełnienie tej „białej plamy” w naszej wiedzy o Wasylewskim uznać należy za wielką zasługę Andrzeja Brożka.

Pasjonujące są też dzieje przygotowania do druku przez Wasylewskiego drugiego, poprawionego i uzupełnionego wydania *Na Śląsku Opolskim*, nad którym pracował pisarz w latach 1947-1948. Była to nowa (a właściwie dwie) wersja książki. Brożek odtworzył warsztat pracy pisarza, jego poszukiwania nowych źródeł i materiałów (np. w Administracji Apostolskiej Śląska Opolskiego) i in. Uczony dotarł do bardzo ważnych dokumentów biograficznych (m.in. znajdujących się w posiadaniu I. Kuźniewskiego, który dobrze znal pisarza) związanych z powstawaniem nowej redakcji *Na Śląsku Opolskim*. Niestety, poprawiony maszynopis zaginął, można więc tylko przypuszczać, jak miała wyglądać książka w udoskonalonym kształcie. W roku 1952 Wasylewski znów zaczął pracować nad nowym wydaniem dzieła, którego zachowany maszynopis Brożek omawia, a nawet przytacza zachowany plan całości. To są materiały bezcenne, to dopiero one dają wgląd w tajniki warsztatu, ukazują w sposób autentyczny trud pisarski, nieustanne dążenie do pełni doskonałości utworu.

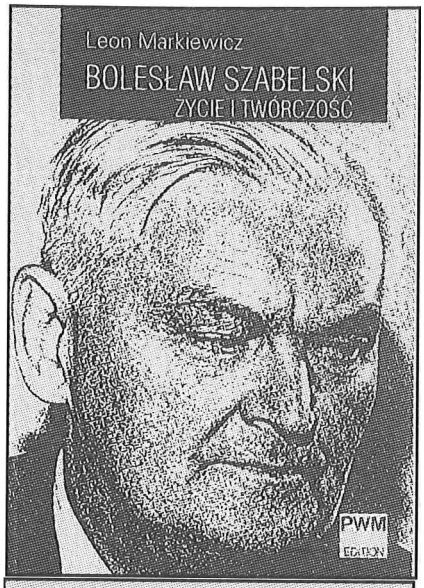
Z największą pasją jednak prof. Brożek odniósł się do zawartości historycznej książki Wasylewskiego, wychwytując zarówno drobne nieścisłości, jak i analizując obszernie te partie książki, które w jego odczuciu wymagały wyjaśnień, czy dopowiedzeń. Na stronach 53-4 pisał: „Przechodząc do tych fragmentów książki S. Wasylewskiego, które wzbudzają czy to niedosyt, czy też skłaniają do polemiki, trzeba w tym miejscu podjąć chyba trzy kwestie: rozwój świadomości narodowej na Śląsku w XIX i XX wieku, następnie powstania śląskie oraz plebiscyt i wreszcie niektóre aspekty codziennej rzeczywistości polsko-niemieckiej na międzywojennym Śląsku Opolskim”.

Otóż te trzy kwestie Brożek omówił w trzech obszernych rozdziałach, w których widać wyraźnie, jak ponosi go temperament historyka piszącego o sprawach, które dobrze zna i z którymi się utożsamia. Obszerny wykład historyczny właściwie tylko pośrednio wiąże się z materią książki. Po prostu uczony wychodząc od pewnych niejasności czy kwestii wątpliwych w książce Wasylewskiego przedstawia własne poglądy, zresztą solidnie udokumentowane i interesujące, choć z książką Wasylewskiego luźniej związane (najwyraźniej to widać na przykładzie Korfantego).

Dopowiedzeniem do wątku zasadniczego są dwa ostatnie rozdziały mówiące o losach Opolan w PRL-u i współczesnym stanie badań nad Opolszczyzną. Gorzkie to rozdziały, pisane z wewnętrzną irytacją, ale i bólem. W ten sposób książka zmarłego historyka jest czymś więcej niż refleksją na temat Stanisława Wasylewskiego i jego *Na Śląsku Opolskim*, jest syntezą losu opolskich Ślązaków napisaną ze znawstwem i uczuciem. I takie jest pośmiertne przesłanie Andrzeja Brożka.

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

# Szabelski w stulecie urodzin




Leon Markiewicz: **Bolesław Szabelski. Życie i twórczość**. Polskie Towarzystwo Muzyczne, Kraków 1995, s. 221, 3 nlb.

W grudniu bieżącego roku minie setna rocznica urodzin Bolesława Szabelskiego, jednego z najwybitniejszych symfoników polskich, twórcy śląskiej szkoły kompozytorskiej. Zbieg okoliczności, a raczej kryzys, który ogarnął ostatnio Polskie Wydawnictwo Muzyczne sprawił, że Szabelskiemu dostanie się pośmiertnie piękny prezent jubileuszowy: monografia Leona Markiewicza pt. *Bolesław Szabelski. Życie i twórczość*. Książka czekała na wydanie kilka lat. Najważniejsze, że publikacja doszła wreszcie do skutku — i to dzięki pomocy finansowej Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach.

Obszerna praca Leona Markiewicza (około dwustu stron tekstu z ilustracjami, katalog tematyczny dzieł kompozytora oraz bibliografia prac o jego muzyce) przynosi syntezę wiedzy o życiu i twórczości Szabelskiego. Napisana jest z rozmachem skłaniającym do porównań z klasycznymi pozycjami romantycznej biografistyki, której autorom idzie o odtworzenie rysów psychologicznych postaci i nakreślenie barwnego tła historycznego, mniej zaś o definicję Dzieła. Markiewicz koncentruje się wokół osoby Szabelskiego, pisze sporo o jego związkach rodzinnych, przyjaźniach, pracy, charakterze. Wrażenie „romantyczności" narracji książki pogłębia fakt, że autor nadał bohaterowi te same cechy, w które XIX-wieczni biografowie udrapowali postać Bacha. Pisze Markiewicz o introwertyzmie kompozytora, jego (pozornej) nieczułości na wypadki codzienności, absolutnym skoncentrowaniu na pracy, zapatrzeniu w sobie tylko znane ideały. Szabelski Markiewicza ma trudny charakter i niewielu raczej przyjaciół. Uznanie zdobywa powoli, w czym pomaga mu wrodzona cierpliwość i umiejętność wewnętrznego skupienia się. Działania kompozytora charakteryzuje z jednej strony perfekcjonizm, z drugiej — dążenie do odmieniania się, podążania za aktualnymi tendencjami i wynalazkami. Szabelski Markiewicza żyje w czasach o wiele ciekawszych niż Bach romantyków. Obserwacyjny talent autora monografii sprawił, że na kartach książki ożywają realia życia muzycznego Polski powojennej. Przewija się plejada wielkich osobistości świata kultury i polityki, przeplatają się różne stanowiska i poglądy, dźwięczą echa ważnych środowiskowych dyskusji i pomniejszych „afer". Pisarz rekonstruuje atmosferę epoki z zacięciem humorysty, stroniąc wszakże od „czarnego humoru" i otaczając przedstawiony świat lekką mgiełką sentymentu. Trudno się dziwić — przecież to także świat pisarza...

Książka Markiewicza zawiera niewiarygodną liczbę szczegółowych danych. Każdy cytat z recenzji prasowej, listu czy dokumentu opatrzony jest notą źródłową. Pieczołowicie dobrane materiały cechuje obiektywizm. Stanowią „hasła wywoławcze" różnych problemów związanych ze współczesną egzystencją muzyki Szabelskiego i jej społeczną recepcją. Nie podlegają żadnej wstępnej selekcji, np. z punktu widzenia „pozytywności" i „negatywności". Stąd obok entuzjastycznych recenzji przypomniane zostały przez Markiewicza sądy krytyczne na temat dzieł Szabelskiego, oprócz dowodów wielkości artysty także i te, które ilustrują jego rozmaite przywary.

Z tego, co powiedzieliśmy dotąd o książce Markiewicza można by wysnuć wniosek, że reprezentuje ona poczytny gatunek obyczajowego romansu. Tymczasem w rzeczywistości spełnia ona wymogi pracy naukowej. Fragmenty psychologiczne i przygodowe uzupełnione są fachowymi rozważaniami na temat własności estetycznych, stylistycznych i warsztatowych muzyki Szabelskiego. Wbrew przeważającemu we współczesnej muzykologii obyczajowi starannego oddzielania od siebie kwestii życia i twórczości, Markiewicz powraca do klasycznej konwencji pisarskiej przyznającej analizie dzieła miejsce obok biografii. Ten sposób ma swoje zalety. Pozwala uwypuklić wewnętrzną genezę przemian w twórczości, uwyraźnia ponadto ciągłość owych przemian i ich łączność z ogólnymi tendencjami muzyki danej epoki. Nade wszystko zaś pozwala uniknąć wielu powtórzeń, nawiązań i napomknień o tym, co było.

Odtwarzając drogę twórczą Szabelskiego używa Markiewicz dogodnego punktu odniesienia, jaki stanowią dzieje muzyki polskiej w dwudziestoleciu międzywojennym oraz PRL-u. Dzieje te rysują się plastycznie jako przechodzenie od tendencji do tendencji — od neoklasycyzmu i folkloryzmu do nowszych kierunków — dodekafonii, aleatoryzmu, sonoryzmu. Rozwojowi muzyki polskiej, jako formacji zależnej od wpływów europejskich towarzyszy dość ścisła logika. Inaczej niż na Zachodzie, zazwyczaj panuje u nas tylko jeden kierunek naraz. Stąd też łatwo rozpoznać ewolucję większości kompozytorów nazywając etapy w ich twórczości określeniami poszczególnych kierunków.

Leon Markiewicz klasyfikuje muzykę Szabelskiego jako reprezentantkę neoklasycyzmu (okres do lat 60.), a potem — postwebernowskiego serializmu (od 1962). Podział nie zawodzi — kolejna przynależność twórczości Szabelskiego do obydwu formacji jego ewidentna, oparta na przejęciu ich zasadniczych cech i założeń. Autor książki nie poprzestaje jednak na ogólnikowej kwalifikacji stylistycznej utworów kompozytora. Idąc dalej, podejmuje się zadania zdefiniowania indywidualności Szabelskiego, odgadnięcia tych właściwości dzieł, które koronują jego uznaną dziś powszechnie wielkość.

W ostatnich rozdziałach książki: *W głąb muzyki — próba syntezy* oraz *Casus Szabelski* odkrywa Markiewicz kilka rysów decydujących o odrębności muzyki kompozytora. Są to: ekspresja napięć dynamiczno-brzmieniowych, swoistość motywiki oraz upodobanie do stosowania kontrastów w płaszczyźnie brzmienia i formy. Wywody pisarza zilustrowane są przykładami nutowymi. Wiele przykładów znalazło się także poza tekstem głównym — w katalogu dzieł Szabelskiego, który zawiera wszystkie ważne informacje na temat struktury tematycznej, formy utworów, szczegółów ich powstania, a także dyskografii.

Markiewicz niewiele pisze o roli, jaką odegrał Szabelski sprawując przez wiele lat (od 1929 roku) funkcję pedagoga katowickiej uczelni muzycznej, m.in. na stanowisku dziekana wydziału kompozycji, teorii i dyrygentury (1963-67). Z klasy Szabelskiego wyszli uznani dziś kompozytorzy tacy, jak: Zbigniew Bargielski, Jan Wincenty Hawel, Edward Bogusławski, Aleksander Glinkowski, Ryszard Gabryś i sam Henryk Mikołaj Górecki. Wieść gminna niesie, że stosunek mistrza do najsławniejszego ucznia obfitował w napięcia i niepokoje. Byłożby czym karmić chciwą imaginację! Rozumiem, że Markiewicz pominął tę kwestię z przyczyn obiektywnych, tj. na skutek braku dostępu do źródeł.

Zagadnienie „szkoły Szabelskiego" nie zostało również rozwiązane przez Markiewicza na płaszczyźnie problematyki twórczości. Myślę, że rozwiązanie to nie było możliwe. Śląska szkoła twórców w sensie klasycznym (jednorodności estetyki, dążeń artystycznych, stylu bądź środków) po prostu nie istnieje. Każdy z uczniów Szabelskiego poszedł własną drogą. Dyktował ją zarówno dynamiczny rozwój nowych tendencji w polskiej muzyce lat 70., jak i (zwłaszcza w przypadku Góreckiego) presja potężnej indywidualności. O wielkości Szabelskiego jako pedagoga zawsze świadczył będzie fakt, że miał w gronie uczniów takich, którzy go przerośli.

Tego ostatniego wniosku nie sugeruje bynajmniej monografia Markiewicza. Autor zachował się w kwestii wartościowania osiągnięć Szabelskiego bardzo dyskretnie. Dyskrecja towarzyszy zresztą większości podjętych przez pisarza tematów, potęgując literacki walor tekstu. Rzeczowość, zwięzłość, zdrowy dystans — te cechy książki sprawiają, że czyta się ją dobrze, bez nadwerężania umysłu, ale i bez ulegania nudzie, towarzyszącej zazwyczaj pochłanianiu muzykologicznych „cegieł".

MAGDALENA DZIADEK

Książki

# Przypominane dziedzictwo

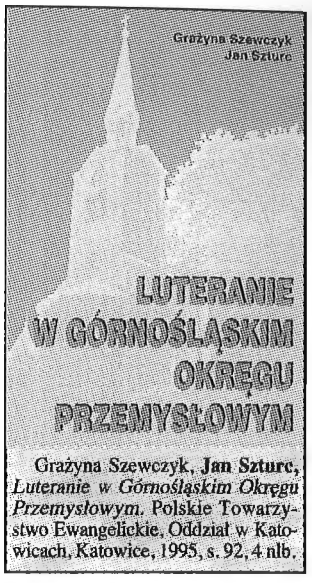
Na Śląsk poglądy Martina Lutra dotarły bardzo szybko (już zimą 1517/1518 roku) i znalazły tutaj znaczne poparcie, zwłaszcza wśród rajców miejskich Wrocławia. Wśród ówczesnych zwolenników reformacji wymienić należy zwłaszcza poetę, wykładowcę poetyki, retoryki i geografii, pedagoga oraz autora cenionych podręczników Wawrzyńca Korwina.

Również na terenie Górnego Śląska ruch ewangelicki dotarł dość wcześnie, znajdując możnego protektora w osobie Jerzego Hohenzollerna. Późniejsze burzliwe i tragiczne w skutkach wydarzenia (m.in. wojna trzydziestoletnia i bitwa pod Białą Górą) znacznie ograniczyły rzesze wyznawców kościoła ewangelickiego. Pod koniec XVIII stulecia w związku z gwałtownym rozwojem górnośląskiego przemysłu odnotować możemy jednak duży napływ ludności wyznania ewangelickiego. Przywołam tutaj jedynie, na zasadzie przykładu, postać Henryka Dietla, przemysłowca, fundatora licznych instytucji publicznych w Sosnowcu, który do Zagłębia Dąbrowskiego przybył w 1878 roku.

Fakty te, wraz z innymi, późniejszymi, zostają przypomniane przez Grażynę Szewczyk i Jana Szturca we wstępie do niewielkiej, lecz niezwykle bogatej treściowo książki *Luteranie w Górnośląskim Okręgu Przemysłowym*.

Zasadnicza część pracy obejmuje zarys dziejów parafii ewangelickich w Bytomiu, Miechowicach, Gliwicach, Zabrzu, Biskupicach, Chorzowie, Świętochłowicach, Wirku, Lipinach, Katowicach, Mysłowicach, Szopienicach, Siemianowicach Śląskich i Sosnowcu. Podstawowa trudność, przed którą stanęli autorzy to m.in. dotkliwe luki w materiałach archiwalnych (dotyczy to zwłaszcza wczesnych etapów rozwoju górnośląskich parafii), z konieczności oparto się więc na źródłach drukowanych, a najnowsze dzieje odtwarzano również na podstawie relacji ustnych. Opisy parafii wzbogaca znacznie interesujący materiał ilustracyjny, który wielokrotnie dokumentuje obiekty już nie istniejące, np. szkoły ewangelickie w Chorzowie.

Książkę uzupełnia *Kalendarium najważniejszych wydarzeń, Rys historyczny kościoła ewangelickiego na Górnym Śląsku*, obszerny wykaz literatury i czasopism, a także wykaz kościołów, kaplic i urzędów parafialnych oraz wizerunki kościołów autorstwa Piotra Murawy. Lekturę w pewnym stopniu utrudniać może brak indeksu nazwisk i spis ilustracji.




**Grażyna Szewczyk, Jan Szturc, *Luteranie w Górnośląskim Okręgu Przemysłowym*, Polskie Towarzystwo Ewangelickie, Oddział w Katowicach, Katowice, 1995, s. 92, 4 nlb.**

Pewną wątpliwość może budzić natomiast umieszczone w tytule publikacji określenie „Górnośląski Okręg Przemysłowy". Zresztą wątpliwości mają sami autorzy, używając w tekście m.in. określenia „aglomeracja katowicka", a także pisząc np. o parafii sosnowieckiej. Nie jest to jednak najistotniejsze.

Mimo że Grażyna Szewczyk i Jan Szturc deklarują, że jest to ujęcie popularnonaukowe, to jednak należy szczególnie podkreślić, iż książka gromadzi i znacznie porządkuje wiadomości dotąd rozproszone. Publikacja ta może i powinna zachęcić do pogłębionych, interdyscyplinarnych badań nad dziejami parafii ewangelickich na Górnym Śląsku.

Słusznie ks. Rudolf Pastucha, biskup diecezji katowickiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w przedmowie do książki napisał: „Jak Śląsk dla wielu znaczy węgiel i stal, tak określenie ewangelik kojarzy się z takimi wartościami jak uczciwość i sumienność. Bez ewangelików-luteran, ich parafii i kościołów, Śląsk byłby o wiele uboższy o przeróżne zdobycze kulturowe, społeczne i gospodarcze. Współczesny ewangelicyzm (luteranizm) na Śląsku, po drugiej wojnie światowej wprawdzie zdziesiątkowany, żyje i pełni swoją służbę w różnorakich dziedzinach życia. Czyni to powodowany świadomością wspólnej z innymi odpowiedzialności za budowanie rzeczywistości godnej człowieka obecnych czasów oraz umiłowaniem ziemi śląskiej, ojcowskiego domu".

DARIUSZ ROTT

# Księga pojednania

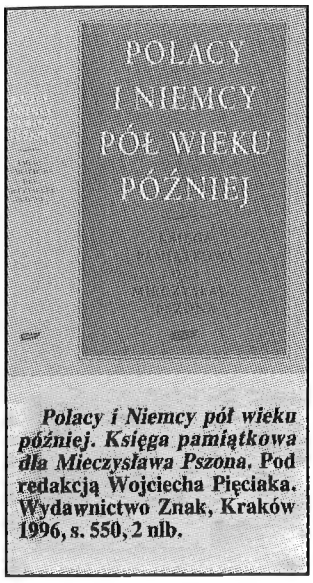
Potężną księgę *Polacy i Niemcy pół wieku później* przygotowali przyjaciele Mieczysława Pszona, redaktora „Tygodnika Powszechnego", na jego osiemdziesiąte urodziny. Tak się jednak stało, że jubilat zmarł trzy miesiące przed swoją rocznicą. Pozostała książka, w której znalazły się także jego wspomnienia.

Najpierw Jerzy Turowicz przypomina w przedmowie drogę życia Pszona, który ponad 30 lat spędził w redakcji „Tygodnika Powszechnego", w ostatnim okresie życia na stanowisku zastępcy redaktora naczelnego. Następnie „niezapomniane rozmowy" z Pszonem wspomina Władysław Bartoszewski, nawiązując do czasów wspólnej pracy na rzecz polsko-niemieckiego pojednania. I te właśnie kwestie, które zajmowały najwięcej bohatera książki w ostatnich dziesięcioleciach życia, są także jej osnową. Jest to bowiem księga o sprawach polsko-niemieckiego sąsiedztwa, a najwięcej księga polsko-niemieckiego pojednania.

W tej materii Mieczysław Pszon zasłużył się może najbardziej w przełomowych latach dochodzenia do polsko-niemieckich traktatów z 1990 i 1991 roku. Jako specjalny pełnomocnik premiera Tadeusza Mazowieckiego ds. negocjacji z Niemcami odegrał niezwykle istotną rolę w przygotowaniu pamiętnej wizyty kanclerza Helmuta Kohla w Polsce w listopadzie 1989 roku. Jak się teraz okazuje, to właśnie on podsunął Niemcom pomysł Mazowieckiego, by miejscem spotkania była Krzyżowa, skoro planowana wizyta na Górze św. Anny budziła w Polsce kontrowersje.

Sporo takich ciekawych, w tym i zakulisowych informacji znajdujemy w zamieszczonych na końcu tomu *Wspomnieniach* Pszona, które obejmują niemal pełną jego drogę życia, od urodzenia w 1915 aż do Krzyżowej w 1989 roku. Bardzo interesujące są w nich partie z okresu okupacji niemieckiej i powojennych czasów stalinizmu, gdy autor siedział w więzieniach za antykomunistyczną konspirację.

Księga zawiera teksty specjalnie dla niej napisane, jak i wcześniej już publikowane, jak choćby sławne przemówienie ministra spraw zagranicznych RP Władysława Bartoszewskiego na specjalnej sesji Bundestagu i Bundesratu z okazji 50. rocznicy zakończenia II wojny światowej. Znajdujemy w niej teksty aż kilkudziesięciu autorów, Niemców (tych nawet więcej) i Polaków, którzy w jakiś sposób zetknęli się z Mieczysławem Pszonem albo zajmowali się czy też zajmują się w dalszym ciągu problematyką polsko-niemieckiego sąsiedztwa. Nie sposób nawet wymienić ich nazwisk, bo lista zajęłaby kilkadziesiąt wierszy.




***Polacy i Niemcy pół wieku później. Księga pamiątkowa dla Mieczysława Pszona*. Pod redakcją Wojciecha Pięciaka. Wydawnictwo Znak, Kraków 1996, s. 550, 2 nlb.**

Jedynie dla przykładu powiem więc, że w rozdziale pierwszym, zatytułowanym *Początki*, niemieccy przyjaciele Pszona przypominają narodziny polsko-niemieckiego dialogu w trudnych dla jego prowadzenia latach sześćdziesiątych, a także rolę środowiska „Tygodnika Powszechnego" i samego Pszona w przełamywaniu panującej wówczas niechęci. Kolejne rozdziały i kolejne teksty poświęcone są różnym aspektom polsko-niemieckiego sąsiedztwa w przeszłości (w okresie II wojny światowej i tuż po niej), a potem przezwyciężaniu wzajemnej wrogości. I tak poprzez historię dochodzimy do znamiennego rozdziału, w którym „wróg staje się sojusznikiem", czyli do teraźniejszości.

Jest także w tym tomie fragment górnośląski, gdzie znalazły się teksty Krzysztofa Karwata, Doroty Simonides i Gerharda Bartodzieja. Tak więc Karwat w reportażu historycznym *Śląski żałobny kołacz* przedstawia tragedię wioski Boguszyce na Śląsku Opolskim, której mieszkańcy zostali wymordowani przez żołnierzy Armii Czerwonej w 1945 roku. Z kolei Simonides i Bartodziej (oboje senatorowie z województwa opolskiego) piszą o dzisiejszych sprawach polsko-niemieckiego współżycia na Opolszczyźnie.

W tych jakże rozmaitych tekstach najbardziej widoczna staje się droga przezwyciężania przeszłości. Widać w nich drogę tych środowisk w Polsce i w Niemczech, które pierwsze wyciągnęły wnioski z przeszłości, pragnąc zakończyć raz na zawsze z wrogością. Bo przecież jeszcze nie tak dawno w naszych stosunkach dominowały tony wrogości lub co najwyżej niechęci i rezerwy. Teraz to się zmieniło i zmienia. Myślę, że ta książka znakomicie przedstawia tę kwestię. Można więc o niej powiedzieć, że jest księgą dokumentującą proces polsko-niemieckiego pojednania. Albo po prostu: księgą pojednania.

JAN F. LEWANDOWSKI

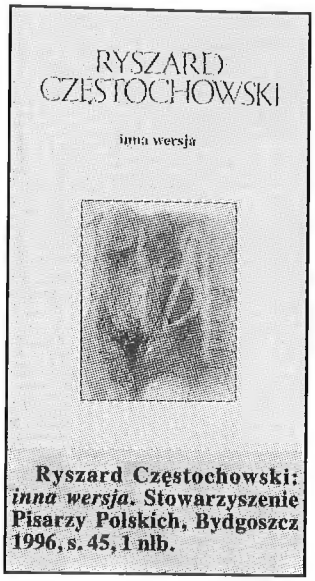
# „Nie umieliśmy pojąć jego obecności”

Poprzednia książka Ryszarda Częstochowskiego nosiła tytuł *mnie już nie ma* i chociaż jej nie znam, wyobrażałem sobie szarpiącą się postać, która problematyzuje istnienie, ciągle się waha i zastanawia co robić, by bardziej nie być albo być inaczej... Ukazał się właśnie trzeci tomik bydgoskiego poety. Na okładce — *inna wersja*, zaświtało mi skojarzenie z *Inną bajką* Rafała Wojaczka, twórcy równie wprawnie — lecz bardziej tragicznie — problematyzującego istnienie. Ten trop narzucił mi się sugestywnie, przymuszając do wyjątkowego potraktowania pierwszej, znacząco zatytułowanej, części zbioru — *Z zepsutej bajki*. Jedenaście wierszy z tej części zatrzymało na dłużej uwagę, ich zrozumienie wydało mi się konieczne w perspektywie odczytania całej książki, całości przesłania.

Bohater Częstochowskiego to swoista wersja „poety przeklętego”, artysty wyrzuconego poza nawias zbiorowości, ustawiającego się obok wielkich — w wędrówce — poprzedników. Padają nazwiska symbolizujące odmienność i stanowczość w egzystencjalnym wyborze: Julio Cortazar, Edward E. Cummings, Rafał Wojaczek. To z nimi toczy się rozmowa w utworze *Notatki z wędrówki*. W rozmowie z *Drogim panem Julio* możemy usłyszeć, że *włóczęga/przywiodła awanturnika na rue du tresor wyobraził/sobie patrząc w okna starych kamienic sylwetki/duchów*... Właśnie sylwetki duchów to najczęściej eksponowani bohaterowie tych wierszy. Zazwyczaj są to sylwetki wielkich duchów. Jeden z nich napisał kiedyś w liście do Pameli Wedekind — *Myśl o mnie jak o dziwaku, rozchwianym między kipiącym życiem towarzyskim i filozoficzną samotnością, nawiedzanym przez depresje i oszołomionym żądzą czynu*. Nie chciałbym tak myśleć o Ryszardzie Częstochowskim, nie chciałbym go utożsamiać z Klausem Mannem, ale właśne taka jest aura jego wierszy. Samotnictwo, szlachetne dziwactwo, rozchwianie, rozdarcie między naturą kontemplatywną a gorącą, burzliwą krwią. *Notatki z wędrówki* kończą się czymś w rodzaju autoportretu. Obok Cortazara, Cummingsa, Wojaczka pojawia się Częstochowski, jego bohater, który kieruje swe słowa do *Mojej Drogiej* i wypowiada między innymi to — *oczy/wtopiłem w mrok aby zobaczyć własną/obcą postać*...

Tajemnica własnej obcości, innej obecności w tłumie żywych, zabieganych ludzi, innej tożsamości w wierszu, który przygnieciony wielością znaczeń i odczytań chwieje się, umyka — zadośćuczynienie staje się iluzją, „porozumienie niemożliwe”. W wierszu *Joshua* mamy obraz kogoś takiego jak bohater. Wierszy ten ktoś nie pisał, ale był poetą, bo jest nim każdy, kto ucieka z tłumu, ze znaczącym uśmieszkiem wymyka się z objęć gromadnych mniemań: *słuchał muzyki i pustki naszych słów/a potem znikał za drzwiami/nie umieliśmy pojąć jego obecności*

Trudno pojąć obecność kogokolwiek z nas. Jeżeli zaczynamy myśleć o czyjejś obecności, to znaczy, że zauważamy jego istnienie. Przestaje być przezroczyste i instynktownie, postrzegane, zaczyna się zarysowywać, ciemnieć w świetle, ciążyć w powietrzu... Może tak właśnie artysta jawi się tłumowi? Ugniatający ciężar?




**Ryszard Częstochowski: *inna wersja*. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Bydgoszcz 1996, s. 45, 1 nlb.**

Jeżeli słowa są puste, pozostaje muzyka i hipnoza. Częstochowski chciałby stworzyć taką magię, w niektórych wierszach to się udaje. Bohater jest wtedy kapłanem, który uwodzi tłum, gdyż nie ma możliwości racjonalnego porozumienia, między "przeklętym" a społeczeństwem odwieczna przepaść, której nie zakleszczą kruche mosty wierszy. Pozostaje *msza na koniec wieku*, hipnotyzowanie słuchaczy: *rozum zblakł (...) bezwiednie pojąłem całość*.

Magia poetycka Częstochowskiego bierze się z irracjonalnych preferencji w przedstawianiu świata i losu, ale jeszcze lepiej — jak sądzę — daje się odczytać ze sposobu budowania wiersza jako gwałtownego zlepka sygnałów, znaków, semantycznych bodźców płynących z kilku naraz źródeł — z podświadomości i snu, ze spreparowanych cytatów z czytanych właśnie dzieł, z nagiej i dosłownej empirycznej obserwacji, z przekonań utrwalonej w nim pesymistycznej filozofii życia, depresyjnych skłonności, z impresjonistycznego obrazka zatrzymanej chwili, gdzieś zasłyszanego muzycznego refrenu. Wiersz Częstochowskiego — w swym najbardziej charakterystycznym wydaniu — jest zadziwiającą, muzyczną partyturą szeroko rozumianej intertekstualności, w niektórych wypadkach przesuniętą nawet w stronę zerwania z komunikatywnością, w stronę sprzecznych, prywatnych i gorących rozstrzygnięć jaźni zawikłanej w problem istnienia.

Ten projekt wziął się z utraconej wiary w bezpośredniość słowa, w jasną i prostą drogę znaczenia. Obecnie znaczenie wymaga dodatkowych dróg, mostów, podpór i animacyjnej pomocy, by ujawnić się w pełni, jeśli to w ogóle możliwe. Tak odczytuję ukryte tu założenie, jeden z przyczynków do rozumienia przesłania pierwszej części nowej książki Częstochowskiego. A mamy jeszcze siedemnaście wierszy części drugiej *Shimmy i inne rytmy synkopowane też* oraz siedemnaście trzeciej części - *Faits vos jeux-rien ne va plus*. Polecam je potencjalnemu czytelnikowi i już więcej nic nie powiem, nie odsłonię nawet rąbka tajemnicy. Życzę podobnej, a może jeszcze bardziej intensywnej, hermeneutycznej uczty. W imię pojmowania innej obecności.

KAROL MALISZEWSKI

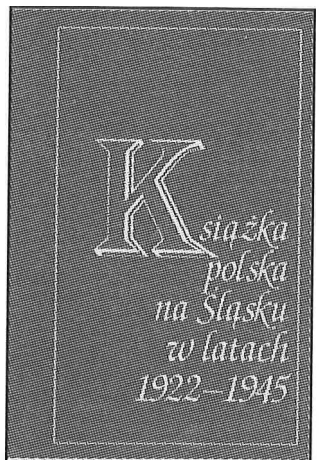
# Polska książka na Śląsku

Zakład Historii i Bibliotek Instytutu Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego od lat prowadzi badania nad dziejami książki polskiej na Śląsku. Gromadzone materiały i organizowane sesje naukowe mają przybliżyć zagadnienia związane ze śląskimi dziejami książki w XIX i XX wieku. Wydano dotąd cztery tomy materiałów z sesji naukowych. Ostatni z nich pt.: *Książka polska na Śląsku w latach 1922-1945* jest zbiorem ponad 20 artykułów o bardzo różnorodnej tematyce. Znalazły się w nim rozważania dotyczące szeroko pojętego życia kulturalnego, literatury, a także omówienie niektórych zagadnień językoznawczych. Wszystkie drukowane w tomie rozprawy, wygłoszone zostały podczas konferencji naukowej zorganizowanej w czerwcu 1994 roku.

We wstępie do nowego tomu *Książki polskiej* Maria Pawłowiczowa pisze: „Autorzy rozpraw pochodzą z różnych ośrodków naukowych kraju i reprezentują rozmaite dyscypliny (...). Tak więc zagadnienia związane z dziejami książki polskiej w okresie międzywojennym, jak i podczas okupacji zostały ukazane wieloaspektowo”. W krótkiej recenzji nie ma miejsca na szczegółowe omówienie wszystkich artykułów, które zasługują na uwagę badaczy i miłośników polskiej książki, zwłaszcza, że podjęte zostały tematy z różnych, czasem odległych od siebie dziedzin. Nowa publikacja zainteresuje zarówno literaturoznawców, jak i historyków, językoznawców, księgoznawców i archiwistów.

Historyk literatury z pewnością za bardzo ważny uzna otwierający nowy tom artykuł Marii Pawłowiczowej pt.: *„Nieznany kraj” Zofii Kossak w służbie integracji zmartwychwstałego państwa*. Dobrze się stało, że z różnych powodów pomijana twórczość autorki *Krzyżowców* znalazła się znów w kręgu zainteresowań badaczy literatury. Jak zauważa prof. Pawłowiczowa, Zofia Kossak, która wprawdzie nie pochodziła ze Śląska, ale z tym regionem związała znaczną część swojego życia, przyczyniła się do „włączenia Śląska w orbitę spraw ogólnopolskich”. Omawiając znaczenie *Nieznanego kraju* jako tekstu dającego syntezę śląskich dziejów, autorka artykułu omawia też poszczególne wydania tej książki.

W latach 1922—1945 ważną rolę w umacnianiu polskości na Śląsku odegrały czasopisma. Kilka interesujących rozpraw omawia zarówno popularne regionalne pisma periodyczne („Gazetę Siemianowicką”), jak i wydawnictwa specjalistyczne adresowane do wąskiego kręgu odbiorców (np. „Miesięcznik Pedagogiczny”, „Wiadomości Diecezjalne”), a nawet czasopisma szkolne. Zdzisław Janeczek udowadnia, że „Gazeta Siemianowicka” była w latach 1925—1931 nie tylko kroniką towarzyską, ale i „warsztatem pracy kulturalnej i ważną placówką narodową”. Maria Kalczyńska analizuje działalność edytorską wydawnictwa prasowego „Nowiny” w Opolu, a Weronika Pawłowiczówna podejmując temat promocji książek i czasopism w dwudziestoleciu międzywojennym eksponuje rolę „Wiadomości Diecezjalnych”, które w latach 1935—1939 omówiły ponad 1200 tytułów książek i czasopism. Bronisława Kulka analizuje publikacje z metodyki nauczania języka polskiego ukazujące się w „Miesięczniku Pedagogicznym” w latach 1922-1939. Był to periodyk, który, jak podkreśla autorka, na Śląsku Cieszyńskim stał się ogólnopolskim forum myśli pedagogicznej i starał się równocześnie dbać o zachowanie i kultywowanie tradycji regionu. W ten nurt włączyły się też czasopisma szkolne, które zwłaszcza w latach trzydziestych były szczególnie propagowane przez władze oświatowe. O ich roli piszą Irena Socha i Izabela Sikora, zaś Helena Synowiec analizuje język śląskich czasopism szkolnych redagowanych przez młodzież w latach 1929-1939.




***Książka polska na Śląsku w latach 1922—1945. Zarys problematyki*. Pod redakcją Marii Pawłowiczowej „Śląsk Sp. z o.o.”, Katowice 1995, s. 257, 1nlb.**

Przedmiotem zainteresowania badaczy stała się też książka i prasa polska w czasie II wojny światowej. Olga Wolińska charakteryzuje polską prasę podziemną, jej zawartość i sposób przekazywania informacji. Na uwagę zasługują rozważania Krystyny Heskiej-Kwaśniewicz o udziale harcerstwa w ratowaniu książki polskiej na Śląsku w latach okupacji niemieckiej. Jak podkreśla autorka, harcerze bronili nie tylko swoich miast, ale i słowa polskiego. Krystyna Heska-Kwaśniewicz przytacza wiele przykładów organizowania akcji ratowania książek i księgozbiorów, pisze też o bibliotekach łańcuszkowych, tajnych wypożyczalniach i o fascynacji polską literaturą, również tą pisaną i wydawaną podczas okupacji.

Obok omówionych artykułów należałoby jeszcze wymienić szkice na temat śląskiego piśmiennictwa historycznego i geograficznego, interesujący artykuł Wiesławy Bulandry pt.: *Opis obyczajów religijnych ludu śląskiego w okresie międzywojnia w latach 1922-1939*, a także uwagi o dziejach śląskiego introligatorstwa.

JOANNA JURGAŁA-JURECZKA

**Marek Piechota: *„Pan Tadeusz" i „Król Duch" – dwie koncepcje romantycznej epopei*. Wydawnictwo Szumacher, Kielce 1995, s. 45,3 nlb.**

Książeczka Marka Piechoty traktuje o dwóch dziełach polskiego romantyzmu, które – jak pisze sam autor – wymykają się porównaniu i łączenie ich w jednej wspólnocie wydaje się zabiegiem wysoce osobliwym. „A jednak dość łatwo odnaleźć płaszczyznę, na której podobieństwo twórczego zamierzenia obu poetów, przy całej świadomości wyboru odmiennych rozwiązań, okaże się oczywiste". Tą płaszczyzną jest epopeja romantyczna. Piechota wnikliwie omawia wyznaczniki gatunkowe epopei klasycystycznej i romatycznej, a na tle tej ostatniej – dwie koncepcje epopeiczności, uosabiane właśnie przez utwory Mickiewicza i Słowackiego. Autor pisze: „Powstawały one w obrębie tego samego, romantycznego prądu literackiego, z perspektywy stuleci w niewielkim odstępie czasu, a jednak – widać to wyraźnie – dzieli je niemal wszystko: światopoglądy autorów, obrane przez nich strategie wydawnicze, przyjęte postawy narratorów". Żaden z poetów nie chciał tworzyć epopei klasycystycznej, lecz przecież nie pozostali wobec jej technik narracyjnych obojętni. Mickiewicz stworzył epopeję narodową, Słowacki – filozoficzną. Że jednak i takie stwierdzenia są poniekąd uproszczeniem, warto wciąż przypominać. Książeczka Marka Piechoty mówi o owej osobliwości sądów kategorycznych bardzo przenikliwie. Warto namawiać do jej lektury. (m)

**Maciej Piotr Prus: *Czy ktoś o mnie pytał?* Oficyna Literacka, Kraków 1996, s. 48,4 nlb.**

Kto pamięta jeszcze Macieja Piotra Prusa, jednego z najlepiej zapowiadających się młodych poetów u schyłku lat siedemdziesiątych. Wydał wtedy zaledwie jeden malutki arkusz poetycki w Leszinowym „Pokoleniu, które wstępuje", później o nim słuch zaginął. Po niemalże dwudziestu latach znów wydał tomik – szczupły, refleksyjny, o bardzo lakonicznej frazie. Adresy pod wierszami wskazują na dosyć intensywną podróż poety po świecie. Czy odnalazł w dziwnych przestrzeniach tego, czego poszukiwał? A któż z nas odnajduje to, czego w istocie rzeczy nie zgubił? Bardzo głęboko odczułem owych 45 wierszy zebranych po latach w skromną książeczkę. Jeden z najważniejszych wierszy w *Czy ktoś o mnie pytał?* kierowany jest do przyjaciela z krakowskich lat studenckich. *List do Alka Rybczyńskiego* zaczyna się słowami: „Drogi Alku co znaczy/oswojenie przestrzeni", a kończy wielce wymownym pytaniem: „Czy jesteś blisko /Może już tylko z powietrza/twoje serce /nad horyzontem". Wystarczy przeczytać pozostałe wiersze w tym świetnym tomiku, iżby dowiedzieć się, że takie pytania kieruje się także do siebie. A może – przede wszystkim – do siebie? (m)

**Piotr Wilczek: *Spory o Biblię w literaturze Renesansu i Reformacji. Wybrane problemy*. Wydawnictwo Szumacher, Kielce 1995, s. 46,2 nlb.**

Wydana w serii Komisji Historycznoliterackiej katowickiego oddziału PAN, interesująca broszura o *Biblii*, „wyrastającej z niej teologii i myśleniu o niej przez wieki, więc także wypaczeniach i manipulacjach, którym poddawano refleksję biblijno-teologiczną w czasach stalinowskich" – jak deklaruje we wstępie autor. Książeczka została podzielona na dwie części. Pierwsza – *Biblia i Reformacja* – mówi o luterańskim i kalwińskim „reformizmie" biblijnym, erazmiańskim „rewolucjonizmie", wreszcie – polskich, poreformacyjnych przekładach *Pisma Świętego*. Rozdzialik jest króciutki, lecz zajmujący. W części drugiej: *Arianie – poeci biblijni*, Wilczek z prawdziwym znawstwem opisuje zarówno podstawowe założenia światopoglądu braci polskich, jak też wątpliwy „renesans" owych założeń w programach oświatowych i politycznych doby stalinizmu. Książeczka z pewnością godna jest polecenia, choć nie mogę wyrazić i pewnej uszczypliwości. Trochę mnie mianowicie razi w niej nadmierna emfaza badawcza, wyrażająca się w tym, iż „stalinizm" stanowi w dalszym ciągu dla autora monolit, z którym należy walczyć. Wilczek tu nie jest winny, takie nastały czasy: jeszcze przez wiele lat młodzi badacze będą jeździć na tej martwej od początku szkapie. Chociaż, czy ja wiem, może nadal trzeba powtarzać w kolo te same zaklęcia, by nie powtórzyły się dzieje sprzed lat? (m)

**Peter Mrass: *Górnośląski „Borsigwerk" (Das Oberschlesische „Borsigwerk", Oberschlesische Landesmuseum, Ratingen – Hösel)*, Muzeum Miejskie Zabrze 1995, s. 49,3 nlb.**

Starannie wydany katalog wystawy, która gościła najpierw w Essen, potem w Ratingen – Hösel, a na koniec w Zabrzu, przekonuje, że pożyteczna współpraca między polskimi i niemieckimi placówkami muzealnymi zajmującymi się Górnym Śląskiem stała się możliwa. Najpierw Peter Mrass przedstawia dzieje górnośląskiego Borsigwerku, czyli wielkiego koncernu górniczo-hutniczego w Biskupicach, założonego w połowie XIX stulecia przez pochodzącego z Wrocławia Augusta Borsiga. Należały do niego z czasem dwie kopalnie (obecne „Pstrowski" i „Ludwik") oraz zakłady hutnicze, a przy nich wyrosła spora kolonia familoków. Dzieje tego koncernu od początku naszego stulecia aż do lat czterdziestych znajdujemy także na ilustracjach (przeważnie fotografie), które stanowią zasadniczą część katalogu. W sumie ciekawy fragment z historii górnośląskiego przemysłu, o której wiemy ciągle tak niewiele. (JFL)

**Bolesław Matuszewski: *Nowe źródło historii. Ożywiona fotografia czym jest, czym być powinna*, Filmoteka Narodowa, Warszawa 1995, s. 222.**

Przygotowana przez Donatę Zielińską książka prezentuje ciągle jeszcze mało znane, pionierskie prace Bolesława Matuszewskiego, który już w 1898 roku widział w filmie „nowe źródło historii". Z tej racji można w nim widzieć pioniera archiwistyki i dokumentacji filmowej, a także po prostu teoretyka i filozofa kina, jeśli wolno posłużyć się takim określeniem. Znajdujemy w tomie zarówno obie klasyczne prace Matuszewskiego („Nowe źródło historii", „Ożywiona fotografia czym jest, czym być powinna"), jak i materiały dokumentacyjne o samym Matuszewskim. Informacje o nim prezentuje Zbigniew Czeczot-Gawrak, a potem wspomina Matuszewskiego profesor Jan Jacoby, który poznał go nawet w Warszawie w końcu lat dwudziestych. Do tego jeszcze komentarze i opinie prasy francuskiej i polskiej z roku 1898. Solidne opracowanie źródłowe, wprowadzające do obiegu sporo nowych faktów. (JFL)

**Monika Kopiec: *Dane*. Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1996, s. 40.**

O poetce (rocznik 1967) wypowiadano się ciepło. Janusz Drzewucki twierdził, że ma ona własny i rozpoznawalny styl, widział w niej nawet jakąś nadzieję w nowej poezji. Szymon Kantorski pisał: „Wiersze Moniki przypominają starą koronkę pełną fantazyjnych roślin i smoków, a gdzieniegdzie... jeleni nad strumykiem przy zachodzącym słońcu". Bardzo mi się podoba owo ostatnie stwierdzenie, bo w subtelnych słowach mówi o tym, co jest rzeczywistą domeną wierszy autorki *Danych*. Może narażę się na zarzut braku poetyckiego słuchu (z wiekiem mam coraz tępszy), ale dla mnie to jest kicz, wyobraźnia makatkowa, nic interesującego. Takich wierszy powstają tysiące, powstało miliony i powstawać będzie cale sterty przez tyle lat, przez ile pisać będą jeszcze poeci. Czym się tutaj zachwycać? Czego poszukiwać? Nie twierdzę, że Autorce nie uda się czasem coś ciekawego wymyślić, lecz to zbyt mało, iżby mówić o rozpoznawalnym stylu albo starej koronce. Otwierając książeczkę, czytam: „był zaledwie przelotem/na jaw liści szmery/wydobył rozstajne głogi/zaognił dystych źrenic/zakipiał tkliwie kłamię/obmył nów prysnął rosą/rozbujał temperament/ziewnął prowokująco /i tupnął bosą piętą/i sypnął pawiom proso /zawiązał wstążką święto/przycupnął by odpocząć//trzynastolatka z AIDS/zanim się stała wolna/złapała na zabawie/deszczowego amorka". Gdybym nie należał do ludzi, którzy gdy coś rozpoczynają – kończą, dalej bym nie czytał. Przeczytałem cały tomik. Stracona godzina. (m)

Anonim: *Abencerrag. Historia Abindarraeza i pięknej Haryfy*. Przekład i posłowie: Florian Śmieja. Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1995, s. 63, 5 nlb.

Edward Brzozowski: *To już 60 lat. Rzecz o lipińskiej „Jedenastce"*. Agencja Promocyjno-Wydawnicza „Zwiastun", Świętochłowice 1995, s. 73, 3 nlb.

Monika Kopiec: *Dane*. Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1996, s. 40.

Eugeniusz Kurzawa : *Zapis*. (Brak wydawcy), Zbąszyń 1996, s. 51, 1 nlb.

Jacek Łukasiewicz: *Mickiewicz*. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996, s. 247, 5 nlb.

Andrzej Nowak: *1995*. Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1996, s. 96.

Jerzy Pilch: *Inne rozkosze*. Wydawnictwo a5, Poznań 1995, s. 122, 2 nlb.

E. Szopa: *Didi*. Towarzystwo Zachęty Kultury, Katowice 1996, s. 284.

Wojciech Plocharski: *Trzydzieści i trzy. To co m.in. wpadło do głowy w latach 1984-94 i później. Wiersze, piosenki, ekspreski, tłumaczenia*. Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1996, s. 79, 1 nlb.

Jarosław Racięski, Edward Kabiesz: *Encyklopedia Dzikiego Zachodu*. Videograf II, Katowice 1996, s. 148, nlb.

Bernard Szczech: *Kościół św. Wawrzyńca w Mikulczycach w świetle zapisków parafialnych połowy XVIII wieku*. Wydawnictwo Muzeum Miejskiego, Zabrze 1995, s. 29, 3 nlb.

Bernard Szczech: *Księga dochodów (urbarz) kościoła Mariackiego w Bytomiu 1510-1688*. Wydawnictwo Muzeum Miejskiego, Zabrze 1995, strony nlb.

Bernard Szczech: *Testament Piotra Strzeli z Obrowca, dziedzica Wieszowy, Rokitnicy i Ptakowic z 1672 roku*. Wydawnictwo Muzeum Miejskiego, Zabrze 1996, s. 16, 2 nlb.

# WITRYNA NOWOŚCI

# BLOC -NOTES

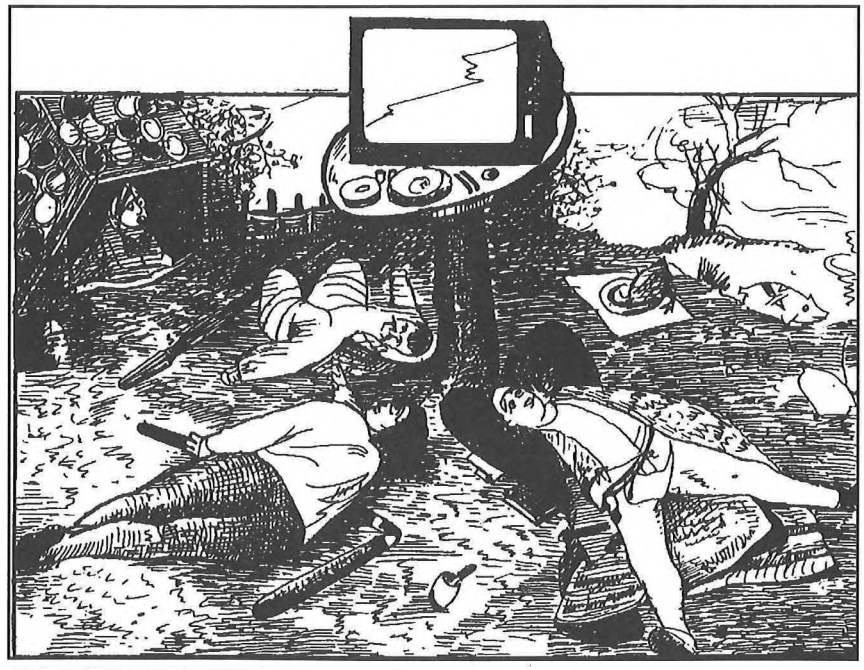
W „Dzienniku bez samogłosek", na swoje 65 urodziny Aleksander Wat zanotował: „Zimą Warszawa moskwicieje". Czemu tylko zimą? Chodzę za swoimi sprawami po późnowiosennej stolicy i znów przeżuwam brodaty dowcip: na warszawskim dworcu delegacja Francuzów do Moskwy spotkała się z wycieczką Rosjan udających się do Paryża, i wszyscy myśleli, że są już u celu podróży. Rogatki Europy. Panasonic oświetla budy z ciuchami, co oblazły stołeczny meczet, pardon — Pałac. Z okien Marriotta zajrzysz na największy bazar nowoczesnej Europy. Pięćdziesiąt kroków od wypucowanej przez prezydenta Święcickiego Chmielnej — szara brama podparta szarymi typami, prosto z Nowakowskiego. Socjalistyczne maniery wbite we wczesnokapitalistyczny garniturek, wszystko zalatuje zdrowym chuchem od Diora. Duszno — w połowie drogi między Paryżem Wschodu i Moskwą Zachodu. Ale to na wiosnę („urok warszawskiej wiosny jest nieprześcignięty") czekał z wytęsknieniem Wat, który z zimowej Warszawy wyniósł pod powiekami do Berkeley „brudne, czerniejące zwały śniegu, niskie, bure niebo, ludzi zakutanych w ciemny, szmatławy przyodziewek, przemykających ulicami". I zaraz odkrył powody swojego widzenia. „120 lat rosyjskiego ponowania zimą ujawnia się jak pismo sekretne". Więc to kategoria polityczna, historyczna zapanowała nad spojrzeniem estetycznym. A przecież bez względu na porę roku, bez względu na to czy żyjemy w PRL-u, czy mamy III RP, niewidzialna granica między Wschodem i Zachodem tnie zygzakami ulice, drzewa, twarze.

A utorki „Słownika pseudonimów — Kto był kim w drugim obiegu" zachęcają do lektury: „Ileż w niektórych podpisach dowcipu, wdzięku, pomysłowości!". Rację mają cztery pracowite panie z IBL-u. Także podziemnego patosu z jednej i bezczelnej dezynwoltury z drugiej strony, które wiele mówią o ówczesnym stanie ducha w Polsce. Pseudonim najdłużej funkcjonujący? Pelikan, którym Zbigniew Florczak opatrywał słane do Giedroycia teksty przez lat ponad dwadzieścia. Pseudonim, pod którym autor przekroczył 89 rok? Dawid Warszawski, czyli Konstanty Gebert i Maciej Poleski alias Czesław Bielecki. Pseudonim najdłuższy: Leon Mularczyk (dawniej Lejb Rosenschwantz z domu Masoner), którym podpisał się Adam Chajewski; on też posiadł najwięcej, bo 39 (!) pseudonimów. Najdowcipniejszy: Szczęsny Dzierżankiewicz lub Feliks Trzymałko — to bobrujący wśród książek najgorszych Stanisław Barańczak. Najbardziej egzaltowany: Maciej Chełmicki poetki Teresy Bojarskiej. Najbezczelniejszy: Duralex dra Lecha Falandysza. Najładniej brzmiący: Georgette d'Urbain Renaty Zwoźniakowej. Są i lapidarnie dramatyczne: Bezpartyjny (Krzysztof Kasprzyk) i rozbrajające: Hanys (Andrzej Roczniok) i sowizdrzalskie: S. Tylżycki (Jacek Maziarski), Jan Krasula (Janusz Kondratiuk) czy Kontrrewolucyjny Podziemny SASZA (Urszula Doroszewska). A Marcin Gugulski, późniejszy „rzecznik tysiąclecia", kreślił się G. Mruk albo Wincenty Nudziarz; czy nie był to pseudonim absolutnie najłatwiejszy do rozszyfrowania?

N a rysunku Mleczki sprzed dwudziestu lat, spłoszona pani pod spłoszonym panem — w łóżku. Wokół reflektory, kamery i gość na krzesełku z napisem: reżyser: Pan spod pościeli, bardziej niemiało niż stanowczo: Jeśli panowie w tej chwili sobie nie pójdą, zawołam milicję... Reżyser — zawód ciężki. Dwoje dorosłych ludzi, niechby i aktorów, ma udawać pożycie ku uciesze gawiedzi: ile tu trzeba inteligencji, znajomości psychologii i siły przekonywania, szczególnie (chyba) wobec piękniejszej połowy ujęcia. "Nie wiemy — kłopocze się w „Filmie" Jan Olszewski, po obejrzeniu „Szamanki" — co działo się na planie zdjęciowym, ale musiało dziać się coś, co w efekcie zrodziło taki a nie inny obraz filmowy". Cóż takiego się stało na planie filmu Żuławskiego, że erotyzm został zredukowany do zwilżonego potem i śluzem, kontaktu mięsa z mięsem? Podejrzewam podlany freudowską mitologią bełkot, grafomański jak sam film. Rola w nim młodej debiutantki, martwi się Olszewski, musiała być ciężką próbą. „Nie wiemy, czy wyszła z niej obronną ręką". Ba, gdybyż Iwona Petry miała przyjemność nie z teologiem kina, ale z mistrzem rubasznej bezczelności... Renata Dancewicz zwierzyła się w „Ekranie" Beno Rychterowi (Bełus z „Przepraszam czy tu biją" i setka innych rólek), że tak właśnie podszedł ją Kazimierz Kutz, tłumacząc rolę zakochanej w pułkowniku Kwiatkowskim-Marku-Kondracie: „Pani Reniu, pani tak sobie siedzi i w ogóle jest pani dumna, bo to pani facet, wszystkim rządzi, pięknie przemawia i pani wie, to jest pani ideał mężczyzny — on nie tylko pięknie mówi, ale i pięknie pierdoli".

W „Kulturze" relacja George'a Gömöriego z konferencji w Glasgow, poświęconej pamięci czeskiego emigracyjnego krytyka Igora Hajka. Tamże fragment wystąpienia Jana Culika, bohemisty z uniwersytetu w Glasgow, o recepcji niezależnej literatury czeskiej po roku 1989. Dwa zdania zdumiewające: oto tylko 3 procent Czechów regularnie czyta książki, głównie literaturę rozrywkową, „tymczasem żadna z książek Kundery, napisanych we Francji, nie ukazała się w jego ojczystym kraju". Przecieram oczy jedną ręką, drugą wykręcam numer przyjaciela, obeznanego w sprawach czeskich. O statystyce — mówi — się nie wypowiadam, bo jej nie znam, a ta na pierwszy rzut oka wydaje się zaniżona. Ale przypadek Kundery jest możliwy. Dlaczego? Bo w Czechach wszystko co nowe po 89 roku, wprowadzane jest odpaństwowo i odgórnie: kapitalizm, dekomunizacja, prywatyzacja, także wiele przejawów wolnej kultury. Skoro, co być może, żadne państwowe wydawnictwo nie wpadło na pomysł wydania emigracyjnych rzeczy Kundery, to prywatnym, komercyjnym, tym bardziej nie przyjdzie to do głowy. Czesi to mieszczanie, a mieszczanie z zasady nie wychodzą przed szereg. Odwrotnie niż Polacy. Ja: Czy ty nie sprowadzasz wszystkiego do stereotypów i polityki? Przecież my wydajemy emigracyjnych pisarzy nie tylko dlatego, że lwia część tego co się liczy powstała na emigracji właśnie, ale głównie przez to, że inny jest u nas model literatury. Że przez 120 lat zamiast państwa mieliśmy tylko literaturę, co nam przypominała dziedzictwo ojców naszych, krzepiła serca itepe, i ten nienormalny stosunek do pisarstwa pozostał nam do dziś. On: Nie ma sporu. Tylko pamiętaj, czym jest w takim razie normalna literatura. Dla przeciętnego Czecha różnica między, powiedzmy, Skvoreckym a Guenterem Grassem polegać będzie tylko na tym, że ten ostatni pisał po niemiecku.

MAREK BASTER



Według BRUEGEL'A rysował Eugeniusz Rzeżucha

# Na marginesie świąt

*Kto dziś pamięta, że jeszcze do niedawna i w kulturze obchodzono rozmaite święta: Dni Książki czy Dzień Działacza Kultury. Pierwsze z nich zmieniło swą formułę i w jakiś sposób dalej funkcjonuje (choć nie pod dawną nazwą). Jednak to maj pozostał miesiącem obfitującym w wydarzenia związane z promocją książki. Dziś — kiedy sytuacja rynku wydawniczego jest zupełnie inna niż przed kilkoma laty, a czytelnik nie musi zabiegać o książki, które znajdowały się raczej pod, niż na ladzie — to wydawcy stają się petentami i starają się o względy klienteli.*

*A co z działaczami kultury? Wymazano z pamięci to wstydliwie brzmiące określenie. Czy oznacza to, że ludzie ci — pasjonaci, poświęcający często gros swego wolnego czasu na upowszechnianie kultury — zniknęli z powierzchni ziemi? Nie. Tak jak nie zniknęły domy i ośrodki kultury, którym wróżono tragiczną przyszłość (głównie jako reliktom przeszłości). Dzisiaj w wielu miejscowościach, w których różnie obchodzono się z owymi reliktami, reaktywuje się ich działalność, bo okazuje się niezbędna i trudna do zastąpienia. Jak na razie niczego lepszego nie wymyślono. Powracają też ludzie. Przecież oni nadal związani są ze swym „miejscem na ziemi", ze swoją małą ojczyzną. Tylko nikt już ich nie nazywa działaczami kultury, nie rozdaje oficjalnych podziękowań (które często były jedyną formą zapłaty za pracę).*

*Nie przestały też istnieć biblioteki i bibliotekarze. Chociaż im zostało święto — Dzień Bibliotekarza i Bibliotek. Przy tej okazji mogą rozmawiać o tym co przed nimi, o nowych zadaniach w nowych sytuacjach, o pieniądzach przeznaczanych na uzupełnianie zbiorów. Na szczęście bibliotek nie pozostawiono wyłącznie zdanych na los samorządów. Nie wszędzie bowiem znalazłyby się fundusze na ich utrzymanie, a przecież w wielu miejscach pełnią rolę nie tylko wypożyczalni i czytelni, ale organizują życie kulturalne danej miejscowości. Często w nich znaleźli swe miejsce owi zapomniani działacze kultury — bo jak inaczej o nich można mówić?*

WIESŁAWA KONOPELSKA

# KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

## Tatczezna

Kolejna wystawa etnograficzna Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu nosi nazwę „Dawne na nowo odkrywane — Tatczezna" i prezentuje pochodzące z początków naszego stulecia wnętrza chałup kaszubskich rybaków i rolników.

Prezentowana ekspozycja pochodzi ze zbiorów Muzeum Miasta Gdyni. Zobaczyć można izbę średnio zamożnych Kaszubów, czyli pomieszczenie będące zarazem pokojem gościnnym, sypialnią, kuchnią i warsztatem pracy. Chaty takie stały przed laty w miejscu, gdzie w czasach międzywojnia wyrosła dzisiejsza Gdynia.

Niestety, nie zachował się ludowy strój kaszubski. Jedynym oryginalnym elementem jest kobiecy czepiec „złotnica" — haftowany złotą nicią.

Wystawę uzupełniają instrumenty ludowe, takie jak diabelskie skrzypce, burczybas, bazuna, kij grzechotkowy zwany „ryńczykiem" oraz tzw. maszkary towarzyszące obrzędom ludowym.

Ekspozycję w bytomskim Muzeum przygotowali Janina Łabanowska i Jacek Ostapkowicz. Autorką aranżacji jest Hanna Błaszkowska-Gregor.

## Nagrody „Inspiracji"

W galerii Extravagance w Sosnowcu rozstrzygnięty został II Ogólnopolski Konkurs Poetycki „Inspiracje", na utwór poetycki inspirowany dziełem sztuki plastycznej. Jury pod przewodnictwem prof. dra hab. Ireneusza Opackiego przyznało następujące nagrody i wyróżnienia: w kategorii *przed debiutem* nagrodę otrzymała Elżbieta Wiącek z Tarnobrzega, w kategorii *po debiucie* pierwsza nagroda przypadła Agnieszce Czajkowskiej z Krakowa, zaś jedna z dwóch równorzędnych trzecich nagród Pawłowi Barańskiemu z Sosnowca.

Dwie równorzędne nagrody specjalne, za wiersze inspirowane dziełem sztuki eksponowanym w galerii Extravagance, otrzymali Krzysztof Kostecki z Dąbrowy Górniczej i Bartosz Wieliński z Katowic; specjalne wyróżnienie 10- letnia Paulina Sawicz z Sosnowca.

Uroczystość wręczenia nagród odbyła się 23 czerwca br.

## Jubileuszowa gala „Karłowicza"

Wspólny koncert absolwentów, pedagogów i uczniów w dniu 15 czerwca w sali Filharmonii Śląskiej zakończył obchody jubileuszu 50-lecia Państwowej Szkoły Muzycznej im. Mieczysława Karłowicza w Katowicach.

W programie koncertu, uroczystości jubileuszowych znalazły się wykonania utworów Czesława Grabowskiego, L. Wisłockiego, W.A. Mozarta, A. Piazzolli, M. Karłowicza. Z towarzyszeniem specjalnie utworzonej na tę okazję Jubileuszowej Orkiestry Szkolnej pod dyrekcją Wojciecha Sąkóla wystąpili Marek Andrysek, Julian Gembalski, Henryka Januszewska, Rafał Jarczewski, Józef Stompel — artyści niegdyś związani ze słynnym „Karłowiczem", dziś znani nie tylko w kraju, ale i za granicą. Prezentował się również Zespół Kameralny Pedagogów, a także Kwartet Śląski i Zespół Śpiewaków „Camerata Silesia" pod dyrekcją Anny Szostak-Myrczek.

Z okazji jubileuszu wydano Księgę pamiątkową dokumentującą 50-lecie działalności Szkoły. Znalazły w niej swe miejsce ważne wydarzenia z życia Szkoły, osiągnięcia uczniów i absolwentów, sylwetki pedagogów, wspomnienia absolwentów (m. in. Ryszarda Gabrysia, Juliana Gembalskiego, Czesława Grabowskiego, Henryki Januszewskiej, Violetty Rotter-Kozery, Józefa Stompla) i profesorów, wśród których znajdowały się nazwiska Jana Wincentego Hawela, Stanisława Kotyczki, Mariana Łęgowskiego — wieloletniego dyrektora „Karłowicza", Waldemara Nabe. Szczególne miejsce zajmuje rozdział przypominający sylwetki znakomitych pedagogów, którzy odeszli: Bolesława Szabelskiego — znakomitego kompozytora, wymienianego obok H. M. Góreckiego czy W. Lutosławskiego, współtwórcy osiągnięć śląskiej organistyki, Konrada Bryzka — skrzypka, pedagoga, animatora życia muzycznego na Śląsku, dyrygenta związanego również z WOSPR, Ady Elektorowicz — pianistki, z jej klasy wyszedł artysta światowej sławy Józef Stompel, także znakomita akompaniatorka Filharmonii Śląskiej — Magdalena Kubzda-Zasada, kompozytorzy Czesław Grabowski i Stanisław Kotyczka (także przed laty dyrektor „Karłowicza"), Wilhelma Hallora — kontrabasista, Jana Edmunda Jurkowskiego — gitarzysta, Piotra Katarzyńskiego — flecista, Andrzeja Krzanowskiego — akordeonista i świetny kompozytor, współtwórca „Śląskiej Nowej Fali", Władysławy Markiewiczówny — pianistka, kompozytorka, także Adama Romana Mitscha, Nadziei Padlewskiej, Józefa Powroź-

# JEDNYM ZDANIEM

**■ Działający przy Miejskim Domu Kultury „Koszutka" w Katowicach Salon Literacki zapraszał wielbicieli poezji na Wieczór Świętojański, podczas którego prezentowali swe dokonania Dorota Stasikowska-Woźniak (autorka książki „Kleopatra", Krzysztof Baliński (tancerz Teatru Ekspresji, autor tomiku poezji „Sytuacje"), a także najmłodsi poeci Śląska.**

**■ „Ksiądz prof. dr Konstanty Michalski. Życie i działalność" — to temat sesji naukowej zorganizowanej 31 maja w Muzeum Śląskim przez Górnośląskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk.**

**■ Sosnowiecka galeria Extravagance zaprasza (do końca lipca) na wystawę malarstwa Andrzeja Czarnoty — prac inspirowanych pobytem artysty w Afryce.**

**■ 150. rocznica urodzin Henryka Sienkiewicza była tematem kolejnej ekspozycji przygotowanej przez Bibliotekę Śląską.**

**■ W Ośrodku Edukacji Kulturalnej Miejskiego Centrum Kultury w Mysłowicach odbyła się promocja książki „Sztuka - nie sztuka?", w której zawarte zostały materiały z konferencji naukowej zorganizowanej przez Galerię Sztuki „Na pograniczu", działającej przy MCK.**

**■ „Pojednanie i sprawiedliwość społeczna" były tematem V Sympozjum Naukowego, które odbywało się pod patronatem honorowym Metropolity Górnośląskiego abp. Damiana Zimonia, w Miejskim Domu Kultury w Piekarach Śląskich, w dniu 24 maja br., w przeddzień dorocznej pielgrzymki mężczyzn do „Matki sprawiedliwości i miłości społecznej".**

**■ 31 maja br. zainaugurowano tegoroczne „Dni Rudy Śląskiej" — imprezy cieszącej się dużym powodzeniem wśród mieszkańców — podczas której występowały kabarety, zespoły folklorystyczne, zespoły rockowe a także wybierano „Najgryfniejszą Rudziankę '96".**

**■ Wydarzeniem artystycznym Dni Kultury Francuskiej zorganizowanych w Miejskim Ośrodku Kultury w Rudzie Śląskiej, był recital Jeana Claude'a Meurrisse'a, artysty pochodzącego z Normandii, który zaprezentował rudzkiej publiczności fragmenty klasycznych dramatów francuskich.**

niaka, Ludwika Smolińskiego i wielu innych wspaniałych pedagogów, uczestniczących w życiu muzycznym nie tylko naszego regionu.

Patronat Honorowy nad jubileuszem PSM im. Mieczysława Karłowicza sprawowali wojewoda katowicki Eugeniusz Ciszak i prezydent miasta Katowice Henryk Dziewior.

## Wszystko o Zegadłowiczu

Zakład Literatury Współczesnej Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej Uniwersytetu Śląskiego oraz Fundacja „Czartak" w Gorzeniu Górnym, były organizatorami popularnonaukowej konferencji poświęconej grupie „Czartak" i twórczości Emila Zegadłowicza.

W programie znalazły się referaty magistrantów prof. zw. dr. hab. Włodzimierza Wójcika, obchodzącego jubileusz 40-lecia pracy dydaktycznej, naukowej i pisarskiej, a także pięćdziesięciolecia kontaktu z rodzinnym gniazdem autora „Uśmiechu". Obrady prowadzili dr Marian Kisiel z Zakładu Literatury Współczesnej UŚl. i Adam Zegadłowicz — kustosz Muzeum Emila Zegadłowicza.

Konferencja odbyła się w dniu 29 maja br. w Muzeum Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym.

## Czas przemian

Z okazji Dnia Bibliotekarza i Bibliotek przypadającego 13 czerwca, w sali Sejmu Śląskiego odbyła się uroczysta sesja poświęcona bibliotekom publicznym w czasie przemian.

W programie sesji znalazły się wystąpienia dr Łucji Ginko (Polityka kulturalna województwa katowickiego w zakresie książki i czytelnictwa), dra Stanisława Czajki (Biblioteki publiczne po utworzeniu samorządów. Osiągnięcia i trudności), mgr Krystyny Kuźmińskiej (Tendencje zmian w organizacji bibliotek publicznych), dra Jerzego Maja (Biblioteka a samorządy — zadania i kompetencje) i prof. dr. hab. Zbigniewa Żmigrodzkiego (Rola współczesnej biblioteki publicznej).

Organizatorami sesji byli Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Zarząd Okręgu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich w Katowicach.

## Duchowość konstrukcji

W Galerii Sztuki Współczesnej katowickiego BWA otwarto 14 czerwca br. wystawę rysunku i malarstwa Andrzeja Desperaka „Przestrzeń mroczna. Przestrzeń świetlista".

Twórczość Andrzeja Desperaka obejmuje różne obszary ekspresji plastycznej, jest mistrzem takiego przedstawiania postaci ludzkiej, że zarówno sposób jej wykadrowania jak i sposób jej artykulacji plastycznej, czynią z zarysu postaci ludzkiej wyjątkowo silnie działającą, syntetyczną formę — to ocena Wojciecha Skrodzkiego, autora komentarza pomieszczonego w katalogu wystawy.

Prace Desperaka to kompozycje malarskie często bogate kolorystycznie, czasem jednak ciążące ku czarnawym rozwiązaniom monochromatycznym. Desperak to twórca niezwykle oryginalny, tworzący bogate „duchowe konstrukcje".

## Pełnia sezonu w chorzowskim skansenie

Chorzowski Górnośląski Park Etnograficzny, czyli popularny skansen, zainaugurował kolejny sezon swej działalności - w tym roku mający szczególny, jubileuszowy charakter. Od 20 lat można w nim oglądać stare budownictwo wiejskie regionu śląskiego i beskidzkiego, poznawać tradycyjne zajęcia ludności wiejskiej, uczestniczyć w wielu imprezach plenerowych organizowanych latem. Od kilku lat z powodzeniem funkcjonuje tu karczma „U Brożka", wokół której zbierają się miłośnicy folkloru, muzyki country, a od czasu do czasu operetkowych melodii.

W zawrotnym tempie rekonstruowany jest zabytkowy (tzw. ludowy barok) kościółek pw. Św. Józefa Robotnika, przeniesiony tu niemałym wysiłkiem z Kłokocina — dzielnicy Rybnika. Bolączką dyrektora skansenu — Jana Heindenreicha — jest brak wyposażenia kościółka, które zaginęło w trakcie przeprowadzki obiektu. Jedyne wyposażenie wnętrza stanowi — jak na razie — czternaście stacji męki Pańskiej. Kościółek będzie normalnie funkcjonującą świątynią, w której jako pierwszy mszę św. odprawi arcybiskup Damian Zimoń.

Sezon wystawienniczy w skansenie zapoczątkowały dwie wystawy: „Bielszowickie malowanie" — z okazji 30 lecia Zespołu Plastycznego działającego przy kopalni „Bielszowice" (prace Juliusza Marcisza, Jerzego Sowy, Franciszka Ochmana, Jana Linka, Mariana Gawlika, Władysława Lucińskiego, Jerzego Sekuły, Marka Idziaszka, Jerzego Sewiny, Wilhelma Pietrka, Emila Brzeziny, Zbigniewa Dyla, Czesława Chodziuka, Grzegorza Haiskiego, Huberta Przegędzy, Stefana Wieczorka, Albina Stefaniuka, Hieronima Miszczka i Anieli Demczyk-Begier) i „Śląskie kościółki drewniane" — rysunki Krystyny Jędrzejowskiej-Nowak i malarstwo na szkle Romualda Nowaka. Państwo Nowakowie od lat zajmują się dokumentowaniem zabytków architektury i pomników przyrody — nie tylko śląskiej.



*Krystyna Jędrzejowska-Nowak i Romuald Nowak podczas wernisażu swoich prac.*
*Foto. Antoni Kreis*



*Kościółek w Borowej Wsi. Rysunek K. Jędrzejowskiej-Nowak.* *Reprod. Antoni Kreis*

---

**■ We foyer Operetki Śląskiej w Gliwicach otwarta została wystawa prac konkursowych studentów Politechniki Śląskiej, której tematem była koncepcja urbanistyczna Teatru Miejskiego w Gliwicach.**

**■ W zabrzańskiej Bibliotece Miejskiej (przy ul. Banachiewicza) otwarto wystawę szkiców i rysunków z podróży po Francji autorstwa rosyjskiego artysty mieszkającego w Siemianowicach Śl., Georgija Safronowa.**

**■ W Teatrze Nowym w Zabrzu Robert Dudzik — aktor i reżyser — prezentował monodram swojego autorstwa pt. „Cisza, czyli żart filozoficzny".**

**■ W zawierciańskiej galerii „Centrum", mieszczącej się w Miejskim Ośrodku Kultury, swoje prace fotograficzne, będące plonem podróży do Maroka, prezentowali Paweł Cebo i Lesław Romanek.**

**■ „Skiza" Gabrieli Zapolskiej w reżyserii Andrzeja Mrozewskiego wystawił Teatr Zagłębia w Sosnowcu.**

**■ Chorzowska galeria „Atelier" dokonała swego rodzaju eksperymentu, prezentując podczas majowej wystawy kwiatów „Wiosna '96" w WPKiW w tzw. Kapeluszu czyli na około 600 m kw. prace malarskie Anity Rotter-Pucz.**

**■ Podczas Międzywojewódzkiego Przeglądu Chórów Szkół Muzycznych I i II stopnia organizowanym przez Centrum Edukacji Artystycznej, Oddział Górnośląski w Katowicach, pierwsze i drugie miejsce zajęły zespoły reprezentujące Szkołę Muzyczną z Chorzowa.**

**■ W chorzowskim Teatrze Rozrywki odbyła się prapremiera śpiewogry „Rodzinny album Erwina Respondka" autorstwa Michała Smolorza.**

**■ 15-lecie działalności estradowej obchodził rudzko-zabrski kabaret RAK, który tworzą Krzysztof Hanke, Marian Makula i Grzegorz Poloczek.**

**■ Jubileusz 10-lecia reaktywowania okręgu Polskiego Związku Chórów i Orkiestr obchodzono w Zabrzu, gdzie z tej okazji w sali sesyjnej Urzędu Miejskiego w Gliwicach odbył się uroczysty koncert, inaugurujący zarazem „Wiosnę gliwicką '96".**

**■ Gościem sosnowieckiej galerii Extravagance był znakomity poeta, prozaik i dramaturg — Ernest Bryll.**

**■ Od pięciu lat działa w chorzowskim Miejskim Domu Kultury „Batory" Klub Promocji Poetyckich, podczas których red. Maciej M. Szczawiński prezentuje poezje najmłodszego pokolenia — ostatnio odkrywał talenty poetyckie Macieja Meleckiego z Mikołowa i Damiana Siwczyka z Gliwic.**

**■ Owocem współpracy Wydziałów Kultury Urzędów Miejskich w Zawierciu i Siemianowicach Śl. była II wystawa poplenerowa prac plastycznych artystów z tych miast.**

**■ Z okazji 25. rocznicy śmierci śląskiego kompozytora F. Lubricha (1888-1971) w kościele Zmartwychwstania Pańskiego w Katowicach odbył się okolicznościowy koncert, podczas którego utwory kompozytora wykonywał m.in. Chorzowski Chór Ewangelicki.**

# OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

## Nagrody artystyczne



Foto: Krystyna Turwid

*Laureaci nagród artystycznych wojewody opolskiego za 1995 r.*

21 czerwca w sali kameralnej Opolskiej Filharmonii zostały wręczone doroczne Nagrody Artystyczne wojewody opolskiego za rok 1995. Otrzymali je: Jan Berdak za twórcze poszukiwania w fotografii artystycznej, Grażyna Misiorowska i Lucyna Pączek-Nowak za znaczące kreacje aktorskie, Andrzej Czyczyło za wyjątkowo trafną satyrę graficzną oraz osiągnięcia scenograficzne, Maria Bereźnicka-Przyłęcka za twórcze dokonania w dziedzinie malarstwa i tkaniny artystycznej, Jerzy Kozarzewski — nagroda pośmiertna za dokonania poetyckie i kontynuację norwidowskiej myśli w poezji, Wilhelm Przeczek za krzewienie kultury polskiej na Zaolziu oraz własne bogate dokonania poetyckie, Elżbieta Trylnik za artystyczne dokonania muzyczne w środowisku akademickim, Adam Zbiegieni za twórcze dokonania w sztuce użytkowej.

Podczas spotkania z przedstawicielami środowisk twórczych i animatorów kultury zostały wręczone po raz pierwszy honorowe tytuły „Mecenas Kultury Śląska Opolskiego '96" (dyplom plus kolorowa grafika Leszka Ołdaka). Otrzymały je Zakłady Cementowo-Wapiennicze „Górażdże" S.A. w Choruli, Nadodrzańskie Zakłady Przemysłu Tłuszczowego S.A. w Brzegu, Bank Śląski w Katowicach i Oddział Banku w Opolu.

Uroczystość wręczenia nagród artystycznych wojewody opolskiego i honorowych tytułów Mecenasa Kultury Śląska Opolskiego była również okazją do rozmów i wymiany poglądów o aktualnej kondycji środowisk twórczych i sytuacji kultury w regionie.

## Literackie związki

Od ponad dwudziestu lat opolskie środowisko literackie utrzymuje serdeczne związki z polskimi pisarzami na Zaolziu. Wyraża się to udziałem w seminariach, zjazdach, spotkaniach autorskich literatów z drugiej strony Olzy organizowanych na Śląsku Opolskim. Te częste kontakty przerodziły się w literackie przyjaźnie. Pisarze z Zaolzia chętnie przyjeżdżają do Opola, Brzegu, Gogolina, Kędzierzyna-Koźla. Poeci opolscy bywają w Jabłonkowie, Czeskim Cieszynie, Bystrzycy n/Olzą, Trzyńcu.

Ostatnio swój jubileusz 60. urodzin obchodził w Opolu Wilhelm Przeczek, poeta, tłumacz, publicysta i dramaturg z Bystrzycy, laureat nagrody artystycznej wojewody opolskiego. W dniach 19-21 czerwca gościł w opolskim regionie również Kazimierz Kaszper, poeta, pracownik naukowy Uniwersytetu Ostrawskiego, dziennikarz „Głosu Ziemi Cieszyńskiej". Gość Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego spotkał się z czytelnikami Miejskiej Biblioteki w Gogolinie, młodzieżą zespołu Szkół Budowlanych w Brzegu, miłośnikami literatury w klubie Akademickim w Opolu oraz członkami zarządu opolskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

## Tańczą, śpiewają, recytują

Coraz wyraźniej wpisuje się w kalendarz imprez kulturalnych mniejszość niemiecka województwa opolskiego. Imprezy te są organizowane przez ZG TSKN w Gogolinie bądź też przez niektóre koła mniejszości niemieckiej. Do takich udanych imprez zaliczyć można II Konkurs Recytatorski, który przebiegał pod hasłem „Młodzież recytuje poezję śląską". Wzięło w nim udział ok. 800 wykonawców poezji w języku niemieckim i polskim.

Po eliminacjach rejonowych w finale wojewódzkim, który odbywał się 16 czerwca w Teatrze im. J. Kochanowskiego w Opolu wzięło udział 26 młodych recytatorów. W kategorii do lat 15. pierwsze miejsce wyrecytowała Benita Wodera z Bogacicy. W kategorii powyżej lat 15. pierwszą nagrodę otrzymała Joanna Biel ze Strzelec Opolskich.

W tym samym dniu w Leśnicy odbywał się V Przegląd zespołów Dziecięcych i Młodzieżowych Mniejszości Niemieckiej. W leśnickim finale wystąpili laureaci przeglądów w Dobrodzieniu, Leśnicy, Łubnianach i Reńskiej Wsi.

W kategorii zespołów wokalno-instrumentalnych dwie równorzędne pierwsze nagrody otrzymały zespół dziecięcy „Biedronki" z Roszkowickiego Lasu oraz zespół Szkoły Muzycznej w Leśnicy. W kategorii wokalno-tanecznej zwyciężył zespół „Quellehen" z Nowej Wsi razem z dziećmi z koła DFK w Leśnicy. W grupie zespołów tanecznych zwyciężyła „Karolinka" z Walc. W kategorii grup wokalnych drugie miejsca wyśpiewały (pierwszego nie przyznano) dzieci z zespołu „Miki Maus" z Izbicka oraz zespół z Osowca.

## Wiatraki '96

Wojewódzkie władze kulturalne Opolszczyzny dużą uwagę poświęcają kulturze ludowej. Wspomagają pomocą merytoryczną i finansową organizatorów imprez folklorystycznych i kierowników zespołów artystycznych. Pomoc ta i partnerskie współdziałanie zaowocowały m.in. pięknie rozwijającym się opolskim Świętem Pieśni Ludowej, którego final co dwa lata ma miejsce w Gogolinie, mieście Karolinki. „Estrady folkloru" i ich finał w Gogolinie są udaną artystyczną manifestacją opolskich chórów, kapel, zespołów pieśni i tańca, gawędziarzy, zespołów wokalnych o ludowym rodowodzie.

Od 1992 roku, co dwa lata na przemian z Opolskim Świętem Pieśni Ludowej, odbywa się również Wojewódzki Przegląd Amatorskiej Twórczości Artystycznej zwany popularnie „Wiatrakami", gdyż ich wojewódzki finał odbywa się w skansenie w Opolu-Bierkowicach pod zabytkowymi wiatrakami.

## Edukacja regionalna

*O potrzebie edukacji regionalnej, zwłaszcza dzieci i młodzieży, mówi się z różnym natężeniem głosu od dawna. Po roku 1956 pojawiły się nawet w szkołach „Czytanki śląskie" z utworami śląskich pisarzy. Opracowano regionalne wkładki do nauki historii Śląska, geografii. Szczególnie mocno dyskutowano nad formułą edukacji regionalnej w kręgu działaczy miłośnickich, zafascynowanych historią regionu.*

*Pamiętam tę radosną euforię nauczycieli w odkrywaniu przeszłości śląskiej ziemi, jej kulturowej tradycji i ludzi zasłużonych, budzicieli polskości. Pamiętam też słowa jednego z działaczy społecznego ruchu regionalnego, wypowiedziane podczas jednego ze zjazdów Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego, towarzystwa nawiązującego w swojej działalności do ideowego dziedzictwa Związku Polaków w Niemczech i Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich. Słowa te brzmiały mniej więcej tak: „Kto nie potrafi pokochać swojej wsi, miasteczka, regionu, ten też nie potrafi miłować swojej Ojczyzny".*

*Prorocze były to słowa. Jakże wymownie brzmią dzisiaj, kiedy ze słownika pojęć obywatelskich wykreślone zostało słowo „patriotyzm, patriota, patriotyzm lokalny", kiedy w podręcznikach historii Polski tak mało miejsca poświęca się dramatycznej historii Śląska, walkom o narodowe przetrwanie, śląskim powstaniom. Wygląda to tak, jakbyśmy się wstydzili śląskiej tożsamości. To prawda, że programy nauczania dają możliwość wprowadzenia w proces dydaktyczny tematyki regionalnej, ale ilu nauczycieli korzysta z takiej możliwości?*

*Uczestnicząc w maju w Głubczycach w wojewódzkim finale XXV Turnieju Wiedzy o Śląsku Opolskim (od trzech lat zwanego Regionalnym Turniejem Historycznym), pomyślałem sobie, jak to dobrze, że istnieje grupa pasjonatów, którzy wbrew niesprzyjającym okolicznościom, wbrew wiecznym malkontentom, z uporem turniej ten organizują w szkołach podstawowych, zawodowych i średnich. Jak to dobrze, że znajdują się sponsorzy atrakcyjnych nagród. Jak to dobrze, że przy opolskim Towarzystwie Kulturalno-Oświatowym skupiła się spora grupa nauczycieli entuzjastów, którym się chce swój wolny czas poświęcić na rzecz małych ojczyzn, że usiłują zainteresować swoich uczniów przeszłością i dniem dzisiejszym regionu.*

*Chciałbym wierzyć, że z każdym rokiem krąg regionalistów będzie się poszerzać, że coraz więcej mieszkańców Śląska będzie ciekawych jego korzeni.*

TADEUSZ SOROCZYŃSKI

## JEDNYM ZDANIEM

**■ Nagrodę Prezydenta Opola za osiągnięcia w kulturze otrzymali: Kazimierz Kowalski, obchodzący w sierpniu br. 70. rocznicę urodzin i 50-lecie pracy twórczej, pisarz i dziennikarz radiowy z Opola oraz Danuta Lasowska-Mazur i Michał Mazur, założyciele i opiekunowie zespołu artystycznego „Pech", działającego przy Młodzieżowym Domu Kultury w Opolu.**

**■ W zabytkowym, pełnym architektonicznych perełek Paczkowie odbywały się IX Ogólnopolskie Spotkania Zespołów Scenicznych Ochotniczych Straży Pożarnych.**

**■ Prawie 7 tysięcy osób bawiło się 2 czerwca w opolskim amfiteatrze podczas „Opolskiej nocy kabaretowej".**

**■ Istniejący przy wojewodzie opolskim Parlament Dziecięco-Młodzieżowy Opolszczyzny uhonorował 9 osób medalem „Serce Dziecku".**

**■ Teatrzyk Stefana Giełdona z Nowego nad Wisłą za przedstawienie „O siedmiu krasnoludkach i niespodziewanym gościu" zdobył główną nagrodę podczas XXX Wojewódzkich Spotkań Teatrów Lalkowych w Strzelcach Opolskich.**

**■ Konrad Mientus, emerytowany strażak i animator kultury z Dańca k. Ozimka z okazji 70. rocznicy urodzin otrzymał nagrodę pieniężną Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego.**

**■ W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Kędzierzynie-Koźlu, podczas spotkania autorskiego z Joanną Papuzińską, podsumowano konkurs „Na szlakach przygody — przewodnik po mieście i okolicy".**

**■ W Domu Plastyka w Paczkowie otwarto wystawę pt. „Krótka historia pożarnictwa".**

**■ Zwyciężczynią finałowego programu „Szansa na sukces" została Anna Świątczak, słuchaczka Studia Piosenki przy Radiu w Opolu.**

**■ 8 czerwca w Miejskim Ośrodku Kultury kilkadziesiąt par rywalizowało o tytuł mistrzów Opola w tańcu towarzyskim.**

# Bielskie antytezy

*Na ustach wszyskich Polaków Bielsko-Biała bywa co najmniej dwa razy w roku — Fiat Auto Poland ogłasza kolejną podwyżkę cen swych wyrobów. Stolica Podbeskidzia znana jest od lat z produkcji najmniejszych na świecie samochodów, więc upodobania bielszczan do miniaturyzacji musiały w końcu przenieść się z przemysłu motoryzacyjnego do innych dziedzin życia. W miejscowym klubie sportowym „Stal" ćwiczy najsilniejszy człowiek świata. Tonaż, który podnosi Andrzej Stanaszek, ma się do jego postury jak cena małego fiata do ciężaru tego samochodu: jest odwrotnie proporcjonalny.*

*Odwiedzając podczas wakacji Bielsko-Białą warto pamiętać, że rzadko kto tak jak bielszczanie potrafi łączyć sprzeczności. Stolica Beskidów nie kojarzy się jednak na co dzień wyłącznie z problemami polskiej motoryzacji czy kieszonkowymi atletami. Bliższe milionom naszych obywateli są wyroby licznych bielskich producentów wódek. Każdy zapewne ma dobrze w pamięci przyjemności ich używania znane pod nazwą syndromu dnia poprzedniego. W żadnym mieście świata nie ma tylu wytwórni wysokoprocentowych alkoholi co w grodzie nad Białą. Pewnie dlatego istnieje tu zaledwie jedna (skromniutka) izba wytrzeźwień, a bielszczanie w sposób szczególny upodobali sobie dzieci.*

*Działają tu bowiem artyści z kilku scen lalkowych — prywatnych i komunalnych — oraz producenci filmów dla najmłodszych. „Banialuka" organizuje co dwa lata największy w świecie festiwal teatrów lalek; ze Studia Filmów Rysunkowych natomiast wyruszyli w pełną niebezpieczeństw podróż po wszystkich kontynentach najbardziej znani polscy globtroterzy — Bolek i Lolek.*

*O ile jeszcze do niedawna Bielsko-Biała słynęła z najbardziej dziarskich mężczyzn — mistrzów pięści, o tyle dziś słynne jest z urody dziewcząt; w ciągu ostatniego dziesięciolecia bielszczanki aż trzykrotnie zdobywały koronę najpiękniejszej polskiej panny.*

*Kilka lat temu istniała jeszcze jedna dziedzina życia publicznego, z której znana była stolica Beskidów. Bielsko-Biała miało wśród patronów ulic zdecydowanie najwięcej tzw. internacjonalistów i czciło też nazwami ulic pamięć trzech radzieckich marszałków. Główne szlaki samochodowe wiodły ulicami Marksa, Woroszyłowa, Armii Czerwonej, Lenina, Dymitrowa, Dzierżyńskiego, Koniewa i Greczki. Rok 1989 położył kres radosnej nomenklaturowej twórczości. Wydaje się, że odtąd bielszczanie spoglądają już z dystansem na swych bohaterów, w tym herosów nowej epoki.*

JAN PICHETA

# BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

## Skrzynecki w spódnicy

25 miniatur tkackich pt. Stajnia Dominiki prezentowała w czerwcu w bielskim Ratuszu Halina Gocyła-Kocybowa. Była to jej pierwsza ekspozycja od paru lat.

Mieszkająca obecnie w Straconce artystka ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie studiowała tkactwo pod kierunkiem Stefana Gałkowskiego. W czasach krakowskiej młodości przyjaźniła się z Zofią Kucówną. W latach swej kariery pedagogicznej uczyła m.in. podstaw sztuki plastycznej jednego z najwybitniejszych polskich rzeźbiarzy Jerzego Mitoraja. Artystka jest żoną znanego muzyka, kompozytora i dyrygenta – Tadeusza Kocyby.

W bielskim Ratuszu Halina Gocyła-Kocybowa przedstawiła rzadko spotykane dzieła plastyczne – miniatury tkackie inspirowane sztuką swej wnuczki Dominiki. Prace spotkały się z niezwykle ciepłym przyjęciem publiczności, oczarowanej także towarzyskim talentem artystki, do której przylgnęło miano Skrzyneckiego w spódnicy.



*Halina Gocyła-Kocyba podczas wernisażu swej wystawy w bielskim Ratuszu przyjmuje gratulacje od innej artystki ze Straconki – bielskiej radnej – Anny Bińczak-Hańderek. Z prawej wnuczka artystki – Dominika.*
*Fot. Jan Picheta*

## Artyści odznaczeni

Z okazji zakończenia udanego sezonu list gratulacyjny do dyrektora Teatru Polskiego w Bielsku-Białej Marka Gaja przesłał wojewoda bielski, prof. Marek Trombski. Odznaczono również niektórych artystów. Złoty Krzyż Zasługi otrzymali Małgorzata Kozłowska i Ryszard Paluch. Srebrny wręczono Kazimierzowi Czopli a brązowy Jerzemu Dziedzicowi. Zasłużonymi dla województwa bielskiego zostali Rudolf Bizoń i Mieczysław Górkiewicz.

## Dlaczego odchodzą?

Czworga artystów nie ujrzymy na bielskiej scenie dramatycznej od września br. Do Wrocławia wybrali się już obiecująca aktorka młodego pokolenia Magdalena Nieć oraz jej rówieśnik – Włodzimierz Pohl. Po dwóch udanych sezonach w Teatrze Polskim Niecówna otrzymała propozycję pracy w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu. W jej ślady podążył Pohl, który ma zamiar pracować w tamtejszej telewizji lub filmie.

W przyszłym sezonie nie wystąpi także laureatka dwóch Złotych Masek, inna aktorka młodego pokolenia – Barbara Guzińska, która – jak wieść niesie – zrezygnowała z pracy w teatrze, przynajmniej na jakiś czas, wskutek nieporozumień z dyrektorem Markiem Gajem.

Znacznie bardziej intratną propozycję otrzymała w Rzeszowie Beata Zarembianka. Od nowego sezonu występować będzie w rodzinnych stronach za większe pieniądze i w korzystniejszych warunkach wychowywać będzie potomka.

Młodych, ładnych i zdolnych artystek szczególnie żal...

Sporo zamieszania i bardzo różne reakcje wywołała rezygnacja z usług znanego bielskiego scenografa i reżysera Andrzeja Łabińca. Dyrektor Teatru Lalek „Banialuka" Aleksander Antończak nie przedłużył z nim umowy o pracę w nadchodzącym sezonie. Antończak tłumaczy swą decyzję koniecznością oszczędzania. W teatrach – jego zdaniem – brak już etatów kierownika plastycznego. Dyrektor „Banialuki" chciałby natomiast zatrudnić młodą i zdolną artystkę, najchętniej po szkole białostockiej. Z Łabińcem gotów jest podpisać umowę o dzieło. Taka forma współpracy nie interesuje z kolei tego ostatniego, który gorycz – jak to określa – „wylania" rekompensuje sobie aranżując w Budapeszcie wystawę pn.: „50 lat scenografii polskiej". Ekspozycję zorganizowało Międzynarodowe Stowarzyszenie Lalkarzy POLUNIMA oraz polskie Ministerstwo Kultury i Sztuki.

## JEDNYM ZDANIEM

■ **Parę tysięcy widzów obserwowało na Błoniach podczas Dni Bielska-Białej koncerty zespołów Soultraum's Blues Brothers Band oraz Chio i The Gipsy's, któremu towarzyszyła jedna z najlepszych tancerek flamenco Nina Corti.**

■ **Prace Józefa Hałarda, Janusza Karbowniczka, Elżbiety Kura oraz Tomasza Lubaszki reprezentowały artystów ze środowiska bielskiego i katowickiego podczas ekspozycji pt. „Północ-Południe", zorganizowanej w czerwcu w Galerii Bielskiej BWA.**

■ **Niewidomy recytator z Bielska-Białej, Antoni Szczuciński zdobył trzecie miejsce, a Anna Mośko wyróżnienie podczas Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego.**

■ **Dyrektorka Wojewódzkiego Centrum Wychowania Estetycznego Dzieci i Młodzieży oraz szefowa młodzieżowego teatru „Heliotrop" na 22-lecie zespołu wystawiła dwie premiery „Bielsze nad śnieg" do tekstów Tadeusza Nowaka oraz „Komedyjki" na motywach utworów Stanisława Barańczaka, Ewy Lipskiej i Wisławy Szymborskiej.**

■ **Podczas Święta Trzech Braci w Cieszynie i Czeskim Cieszynie wystąpili nie tylko legendarni trzej bracia, lecz także legendarny już Józef Broda z Koniakowa, który towarzyszył Warszawskiemu Kwartetowi Saksofonowemu.**

■ **W Domu Muzyki Bielskiego Centrum Kultury otwarto wystawę dzieł malarskich nestora bielskich plastyków, Jana Grabowskiego, który zaprezentował kilkadziesiąt płócien.**

■ **10-lecie istnienia obchodził chór „Polana" z Polanki Wielkiej.**

■ **Ukazał się tom wierszy Andrzeja Goleca pt. „Va banque".**

# ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

## Odszedł autor „Godek śląskich"

*Nie ma chyba na Zaolziu człowieka, który chociażby raz w życiu nie przeczytał książki Józefa Ondrusza pt. „Godki śląskie". Wydany po raz pierwszy w roku 1956 zbiór opowiadań, opowieści wierzeniowych i baśni cieszyńskich okazał się prawdziwym bestsellerem i przyjęty został miło nie tylko przez dzieci, ale i dorosłych czytelników. Poszerzone i wzbogacone „Godki śląskie" ukazały się później kilkakrotnie w ostrawskim wydawnictwie „Profil" i stały się podstawowym artykułem eksportowym tej oficyny wydawniczej. Najobszerniejsze jednak wydanie podań, baśni i opowiadań ludowych zebranych przez Ondrusza pokazało się w 1984 roku, gdy Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydała książkę pt. „Cudowny chleb", zawierającą aż 180 wątków. W roku ubiegłym Towarzystwo Nauczycieli Polskich w RC podjęło starania o wznowienie tej ostatniej publikacji i miałaby się ona pojawić na półkach księgarskich w sierpniu br. Niestety, autorowi nie było dane dożyć tej chwili. Zmarł nagle 27 maja w wieku 78 lat.*

*Dr Józef Ondrusz urodził się w Darkowie 18 marca 1918 roku i tu spędził całe życie. W 1937 roku ukończył seminarium nauczycielskie w Ostrawie i rozpoczął pracę pedagogiczną. W czasie II wojny światowej ukrywał się przed Niemcami i trochę jakby dla zabicia czasu zwrócił zainteresowania w kierunku przysłów ludowych. Zaczął je spisywać, a po wyzwoleniu zajął się szeroko zakrojoną pracą folklorystyczną. Wynikiem tych prac była wydana w roku 1954 książka pt. „Przysłowia i powiedzenia ludowe ze Śląska Cieszyńskiego". Dzieło to zwróciło na siebie uwagę folklorystów polskich i w roku 1960 ukazała się w Polsce wzbogacona do 8566 pozycji i uzupełniona słownikiem praca pt. „Przysłowia i przymówiska ludowe ze Śląska Cieszyńskiego". Te dwie publikacje zapewniły Ondruszowi stałe miejsce wśród paremiografów polskich.*

*Chodząc od domu do domu w poszukiwaniu przysłów, początkujący folklorysta spotkał wielu narratorów, którzy wprowadzili go w świat tradycyjnej literatury ludowej. Zaczął zamieszczać zapisane u nich utwory na łamach czeskocieszyńskiego „Zwrotu", kontynuując zapoczątkowany przez Leona Derlicha cykl „Żywe teksty". Próbując nadrobić istotną lukę w cieszyńskim piśmiennictwie (stwierdził, że nie istniał w tym czasie jakikolwiek zbiór cieszyńskich podań), wydał J. Ondrusz wspomniane już „Godki śląskie", których celem była popularyzacja folkloru. W roku 1963 zaś pokazały się „Śląskie opowieści ludowe", którym przyświecały cele dokumentacyjno-naukowe.*

*J. Ondrusz był także autorem wielu podręczników dla polskich szkół na Zaolziu, publikował na łamach „Zwrotu", „Głosu Ludu", „Jutrzenki", „Ogniwa", Kalendarzy Śląskich, znany był jako bibliofil i zbieracz ekslibrisów. Po przejściu na emeryturę wycofał się z aktywnego życia zawodowego, nie zaniechał jednak swych prac badawczych — dowodem tego może być „Słownik pijacki", przygotowany wraz z żoną Anną i córką Haliną, a wydany w Beskidzkiej Oficynie Wydawniczej w roku 1992.*

*Na początku marca br. wyjechał do Anglii, do córki i wnuka. Miał powrócić do rodzinnego Darkowa 27 maja. Niestety dzień powrotu był także dniem jego śmierci.*

JACEK SIKORA

## Polak w Parlamencie RC

Zaolziańscy Polacy będą mieć swojego przedstawiciela w Izbie Poselskiej czeskiego parlamentu. Mandat w wyborach, które odbywały się w RC w dniach 31 maja i 1 czerwca, uzyskał startujący z 11 pozycji na liście Obywatelskiej Partii Demokratycznej (ODS) Wawrzyniec Fójcik, starosta gminy Cierlicko, a zarazem prezes Rady Polaków. W zamieszkiwanych przez polską mniejszość powiatach frydecko-misteckim i karwińskim zdobył on 5020 głosów preferencyjnych (1756 i 3264). Jego jedyny poważny rywal, Stanisław Gawlik, dyrektor Domu Polskiego w Ostrawie i lider ruchu politycznego „Coexistentia Wspólnota", który ubiegał się o mandat z listy ruchu politycznego „Niezależni" (2. pozycja), zgromadził w obu powiatach zaledwie 696 głosów preferencyjnych (296 i 400). S. Gawlik nie zakwalifikował się do parlamentu, podobnie jak cały ruch „Niezależni", który zdobył tylko 0,5 proc. głosów.

W. Fójcik (ur. 29.11.1959) pochodzi z Trzanowic, jest wychowankiem polskiej szkoły podstawowej w Gnojniku, absolwentem Wydziału Eksploatacji i Ekonomiki Transportu Kolejowego w Wyższej Szkole Transportu w Żylinie. Członkiem ODS jest od 1992 roku, od 1993 jest członkiem Rady Polaków, a od ub. roku jej przewodniczącym.

Podczas przedwyborczej dyskusji z S. Gawlikiem W. Fójcik powiedział m.in.: *„Będąc posłem chciałbym konsekwentnie zabiegać o zapewnienie wszystkich praw obywatelskich naszej grupie narodowej. Jako prezes Rady Polaków nie miałem możliwości egzekwowania prawa, ale jako starosta skutecznie występowałem w obronie naszych interesów. Gdy inni trąbili do świata o dyskryminacji i pisali petycje do Strasburga, ja w Cierlicku w ogóle nie dopuściłem do siebie myśli o możliwości uniesamodzielnienia polskiego przedszkola czy zamknięcia polskiej podstawówki. Słyszałem, że w niektórych urzędach gminnych czy miejskich nie można dogadać się po polsku, a w moim urzędzie większość personelu umie po polsku nie tylko mówić, ale i poprawnie pisać".*



Foto: Franciszek Baton

*Wawrzyniec Fójcik (z prawej) w rozmowie z byłym ambasadorem RP w Pradze, Jackiem Baluchem.*

## Muzyka bez granic

W pierwszą majową sobotę w Domu PZKO w Nawsiu odbył się koncert nazwany przez organizatorów symbolicznie „Muzyka bez granic" – jego bohaterami były dwa chóry mistrzowsko prowadzone przez Aleksandrę Paszek-Treton, nawiejska „Melodia" oraz chór Instytutu Pedagogiki Muzycznej Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. Oba chóry zaprezentowały ambitny program, na który złożyły się utwory kompozytorów polskich, czeskich i słowackich, zgodnie z hasłem przewodnim imprezy – „Beskidy bez granic".

Koncert i towarzysząca mu loteria miały być przykładem promocji terenów granicznych Polski, Czech i Słowacji, nic więc dziwnego, że wśród gości muzycznego wieczoru znaleźli się również przedstawiciele Urzędów Powiatowych we Frydku-Mistku oraz Czadcy (Słowacja), jak również wielu polskich, słowackich i zaolziańskich firm sponsorujących imprezę. Jak się dowiedzieliśmy, głównymi nagrodami w loterii były m.in. kilkudniowe pobyty w miejscowościach wczasowych w Polsce oraz kolacja we dwoje w Czadcy.

## „Talinki 96"

Zespoły MK PZKO w Olbrachcicach „Drops" i „Dropsik" oraz zespół „TK 5" z polskiej szkoły w Trzyńcu zostały laureatami II Konkursu Teatrzyków Dziecięcych „Talinki '96", który odbył się na przełomie kwietnia i maja w Teatrze Cieszyńskim. Głównym organizatorem przeglądu była Sekcja Kultury Teatralnej ZG PZKO, a prezesem jury był Adam Radosz z Miejskiego Centrum Kultury w Mysłowicach.

Jak powiedział członek jury, Marek Michałek, zespoły przedstawiały wielką różnorodność, tak tematyczną, jak i inscenizacyjną, a poziom prezentowanych sztuk jury oceniło jako solidny. Mankamentem okazały się podobno głównie problemy z dykcją i wyraźne wpływy gwary.

„Drops" i „TK 5" wezmą udział w krośnieńskim „Turnieju Uśmiechu", natomiast „Dropsik" w XII Wojewódzkich Konfrontacjach o Uśmiech Dziecka w Mysłowicach.

## Szkolnictwo polskie na Zaolziu

W marcu 1992 roku Sekcja Historii Regionu ZG PZKO zorganizowała seminarium poświęcone polskiemu szkolnictwu na Zaolziu od czasów austriackich po lata współczesne. Materiały występujących prelegentów przygotowane zostały do druku i wydane w publikacji pt.: „Szkolnictwo polskie na Zaolziu" przez Instytut Nauk Pedagogicznych Uniwersytetu Opolskiego oraz ZG PZKO.

W publikacji znalazły miejsce przede wszystkim trzy zasadnicze materiały seminaryjne „Polskie szkolnictwo w międzywojennej Czechosłowacji" dr. Edwarda Buławy, „Szkolnictwo polskie po II wojnie światowej" dr. Józefa Macury oraz najobszerniejszy referat pt. „Problemy organizacyjno-ustrojowe szkolnictwa polskiego na Zaolziu w latach 1962–1990", opracowany przez prof. Zenona Jasińskiego z Opola.

Publikacja jest cennym przyczynkiem do ewentualnego kompleksowego opracowania ważnego tematu, jakim bezspornie jest historia polskiego szkolnictwa na Zaolziu. Szkoda tylko, że książka wydrukowana została bez korekty redaktorskiej, co jest powodem licznych błędów, rażących szczególnie w nazwach i nazwiskach czeskich.

## JEDNYM ZDANIEM

■ **Z dwudniową roboczą wizytą przebywał na początku maja na Zaolziu prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska", prof. Andrzej Stelmachowski.**

■ **Do 27 maja można było oglądać w „Galeryjce Na Pięterku" w Domu Polskim w Ostrawie wystawę prac zaolziańskiej plastyczki, członkini SLA, Moniki Milerskiej.**

■ **Konsul Generalny RP w Ostrawie, Bernard Błaszczyk, był 2 maja gospodarzem uroczystości obchodów Święta Konstytucji Trzeciego Maja, które odbyły się w sali „Pod białymi orłami" w ostrawskim Domu Polskim.**

■ **Zespół Regionalny „Górole" z Mostów koło Jabłonkowa gościł u siebie w ramach przebiegającego w dniach 1 — 5 maja we Frydku-Mistku 2. Międzynarodowego Festiwalu Folklorystycznego zespół „Pisanka" ze Lwowa.**

■ **Działający przy Gimnazjum Polskim w Czeskim Cieszynie Zespół Folklorystyczny „Zorómbek" (kier. Leszek Kalina) wziął 3 maja udział w Festiwalu Zespołów Gimnazjalnych w Otrokowicach na Morawach.**

■ **Klub Twórców Ludowych ZG PZKO zorganizował we frysztackim oddziale Biblioteki Regionalnej w Karwinie w ramach imprezy „Maj nad Olzą" wystawę rzeźby i malarstwa ludowego.**

■ **Swoje jubileusze obchodziły polskie szkoły podstawowe w Hawierzowie-Błędowicach (85-lecie), Oldrzychowicach-Równi (90-lecie) oraz w Karwinie-Nowym Mieście (45-lecie istnienia).**

■ **Scena Polska Teatru Cieszyńskiego wystawiła sztukę węgierskiego pisarza Akosa Kortesza „Wdowy" (reż. Josef Janik). Premiera odbyła się 11 maja.**

■ **Na Katedrze Polonistyki i Folklorystyki Uniwersytetu Ostrawskiego rozpoczęły się 16 maja obrony prac magisterskich i egzaminy państwowe.**

■ **24 maja odbył się w cieszyńskiej Galerii „Miejsce" wernisaż wystawy fotografii mieszkającego w Wiedniu Gregora Semrada pt. „Zamki, pałace i dwory Księstwa Cieszyńskiego".**

■ **Jak poinformowali dziennikarzy przedstawiciele Agencji Petarda, na trzecim festiwalu rockowym „Noc pełna gwiazd", który odbędzie się pod koniec czerwca w Trzyńcu, przedstawi się również polski zespół „Oddział Zamknięty".**

■ **Ostatnią w tym roku premierą Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego była sztuka Jana Drdy „Igraszki z diabłem" (reż. Rudolf Moliński)**

# Glossy górnośląskie



## Żongler planetarny

Z upływem dziesięcioleci przesuwa się już w strefę cienia świetna przecież poezja Juliana Tuwima. Sądzę też, że niewiele osób pamięta o Tuwimie – zbieraczu osobliwości. O różnych dziwnościach, dziwactwach i ciekawostkach pisywał on między innymi w końcu lat czterdziestych na łamach pisma popularnonaukowego „Problemy" w cyklu „Cicer cum caule" (Groch z kapustą). W kilka lat po śmierci Poety wydano te felietony w trzech książkowych tomach. W obszernym tym materiale znajdujemy tylko jeden silesiak, za to osobliwy wielce. Uwagę Tuwima przyciągnął cienki, ośmiostronicowy druczek, wydany w Katowicach w roku 1923. Miał tytuł „Centrologia", a jego autorem był Adolf Kirschenzweig. Nieznany autor tłumaczył się na wstępie, że chociaż jest Polakiem – musiał napisać tę pracę po niemiecku, ze względu na Immanuela Kanta. Fragmenty książeczki podamy za chwilę w przekładzie Juliana Tuwima, który odczuł w niej „patos grozy, powiew kosmicznego obłędu". Nie wątpimy przy tym, że wielkim translatorem będąc, zrobił wszystko, by idąc przez splątany gąszcz wywodów autora przekazać nam sens (?) jego przesłania.

„Ja, Adolf Kirschenzweig, zajmuję się od lat 20 żonglowaniem ciałami niebieskimi. Urodzony w XIX stuleciu, przeznaczony dla XX-go, stworzyłem w 21 roku swego życia centrologię, napisaną w 22 roku dwudziestego wieku, wydaną w 23-im, tj. w 450 rocznicę urodzin Kopernika... nie jestem uczonym, raczej trochę filozofem, specjalnie zaś artystą: żonglerem planetarnym. Od wczesnej młodości czuję nieprzepartą skłonność do żonglowania. Starałem się naśladować wszystkich lepszych żonglerów. Do występów i zarobkowania nie miałem nigdy talentu. Filozof, który we mnie siedzi, przeszkadzał mi. Dlatego poświęciłem się żonglowaniu ciałami niebieskimi i stąd ów stan nieszczęśliwy, w jakim się po 25 latach pracy znajduję: chory, biedny, odrzucony przez bliskich, znienawidzony i prześladowany przez wszystkich. Chwytam się więc ostatniej deski ratunku i zwracam się do wszystkich myślących ludzi, przede wszystkim do wyznawców Kanta z okrzykiem: słuchajcie, co żongler planetarny może dać nauce!... Dwie ostatnie litery słowa Kopernik stanowią inicjały Immanuela Kanta. Dwie pierwsze litery nazwiska Kant są mymi inicjałami. Dwie pierwsze litery nazwiska Kirschenzweig są inicjałami Kanta Immanuela. Jestem tedy trzecim w ich rzędzie. Kopernik dał nam prawdziwy świat, Kant pokazał, czym ten świat jest, centrologia powie, dlaczego jest tak, jak to Kant pokazał. Stwierdzam więc: 1) że centrum w kole istnieć nie może, 2) że nie centrum znajduje się w kole, lecz odwrotnie: koło w centrum".

W tym miejscu komentował Tuwim: „Nieszczęśliwy szaleniec podaje następnie szereg obłąkanych dowodów prawidłowości swego odkrycia i kończy wstrząsającą w swej beznadziejności skargą:"

„Obwieszczam to światu, lecz zanim Kant nie uzna i nie przyjmie wywodów moich, muszę nadal w budach jarmarcznych żebrać żonglowaniem na chleb codzienny".

O tym, by wielki Immanuel te wywody przyjął, jakoś nie słyszeliśmy.

## Ziemi wstrząśnienia

Opuśćmy sfery astralne. Spośród zjawisk ziemskich budziło pełne lęku zainteresowanie rzadko w Polsce występujące trzęsienie ziemi. Pierwsze dokładnie opisane miało miejsce 22 sierpnia 1785 roku. Odczuł je pod Krakowem autorytet nie byle jaki, bo Jan Śniadecki – „sekretarz Szkoły Głównej Koronnej i w tejże Matematyki Wyższej i Astronomii Professor". Do jego opisu tego zjawiska na łamach „Pamiętnika historyczno-politycznego" redakcja dodała następującą notatkę:

„Doniesienia z innych krajów potwierdzają także to zbliżanie się trzęsienia ziemi ku naszym od tylu wieków spokojnym stronom. W Cieszynie tegoż samego dnia 22 sierpnia, około siódmej godziny postrzeżono ten straszny fenomen, od którego zwierciadła z ścian pospadały, kawa w filiżankach bardzo się ruszała i okna drżały, w niektórych domach fiołki z miejsc swoich były poruszone. O tejże samej godzinie dało się odczuć trzęsienie w Skoczowie, Bielsku i innych miastach Śląska Górnego (...)".

Minęło zaledwie pół roku i oto nad ranem 27 lutego 1786 roku znów zatrzęsło – może nawet silniej – w wielu miejscowościach Górnego Śląska. W Wodzisławiu około pierwszej w nocy poczęły nagle w wielu domach trzeszczeć i skrzypieć dachy, belki, ściany i drzwi. Trwał ten hałas do trzeciej rano. O wpół do czwartej nastąpiło nowe wstrząśnienie, które trwało około 5 minut. „Wszystkie budynki chwiały się, sprzęty, które się w nich znajdowały, bądź to wolno leżące, bądź też przymocowane, mocno się poruszały, okna, szkła i naczynia brzęczały, a ludzie nagle zbudzili się ze snu. Każdy uciekał czym prędzej z domu. Powietrze było przy tym czyste i jasne, niebo pogodne i gwiaździste.

W Głubczycach poczuto trzęsienie ziemi o $4\frac{1}{2}$ rano; kto spał, przebudził się skutkiem kołysania się łóżek, a kto nie spał słyszał przerażający szum. W wielu domach szklanki i filiżanki brzęczały, a dzwon na wieży ratuszowej dzwonił".

*(za Franciszkiem Godulą – „Ziemia Śląska").*

## Lompa i oberwanie

Na koniec wreszcie o zjawisku atmosferycznym, nie tak rzadkim wprawdzie jak trzęsienie ziemi, ale też budzącym przerażenie. Przywołuję ten opis – sporządzony piórem Józefa Lompy w liście do Józefa Ignacego Kraszewskiego – by zwrócić uwagę na walory pióra Lompy-reportera, nestora dziennikarstwa śląskiego. Godna zauważenia jest też pointa poniższego tekstu.

„Dnia 16 (lipca 1861 roku) wieczorem o godzinie 11-tej byliśmy tu (w Woźnikach) niemało przestraszeni. Po całodziennym skwarze powstała nagła burza, którąby właściwie oberwaniem się chmury nazwać można. Gwałtowna nawałnica szumiąca coraz rzęsistszym deszczem trwała blisko godzinę. Cała atmosfera wśród okropnej ciemności, w ogniu elektryczne drganie, lecz nie błyskawice, bez grzmotu przedstawiała. Huk w powietrzu przytłumiony trwał nieustannie. Mieszkańcy wybiegli na ulice z latarniami. Obok mego domu, gdzie się cztery ulice krzyżują, powstał ryczący strumień, którego fale do domów się garnęły. Strumień ten (...) toczył ze sobą drzewa budulcowe i zatarasował mój dom. Było tu niebezpieczeństwo, że nurt poboczny chlew i przejazd mego domu z drzewa ze sobą do pobliskiej rzeki, tu się poczynającej Małej Panwie, ze sobą zabierze. Następującego poranku widzieliśmy okropne spustoszenia. W pobliskim młynie zerwała woda grobel stawu i zabrała wszystkie ryby, obaliła część murowanego gmachu i uniosła ze sobą na kilkadziesiąt stajeń wał dębowy, do któregoby cztery konie w zaprzęg potrzeba. Wicher poobalał najwyższe topole. Gwałtowne fale pozbierały mosty. (...) Na naszym smętarzu złamał wiatr krzyż i grubą lipę, która według tradycji pięć wieków przetrwała. Na polach wielkie szkody. Zboża leżą jak na pokosach, łąki zamulone, siana spławione. (...) W lesie miejskim i dominialnym leży kilkaset najgrubszych dębów i budulcowego drzewa złamanego i z korzeniami powalonego. (...) W Miasteczku o dwie mile stąd połamał wiatr przy kościółku drewnianym trzystoletnie lipy. Wiek ich liczono od założenia tu grodu i nadania miejscu przywileju miejskiego r. 1561. (...) Lipy, co u dawnych Słowian, szczególnie w Polsce, jako drzewa uświęcone wielce poważane były, zwłaszcza że diabeł w powrozy święcone z łyka lipowego skręcone, spętany, takich potargać nie zdołał, lipy musiał mściwy bies w tej burzy łamać, tak nasz lud uważa".

WOJCIECH JANOTA



# Listy spod kapelusza

**Droga moja,**

*rododendrony w Parku Kościuszki kwitną fioletowo, surfinie zwisają krwiście, rzęsiście z balkonu don Gila. Tylko mój ci balkon zielenią, ni innym kwieciem nie kwili. Zaniedbałam go byłam, co do mnie niepodobne, ale w tym roku prawdziwe. Jest upalnie i czerwcowo, i nareszcie tak, jak lubię. Każdą wolną chwilę staram się spędzać wśród zieleni, ale jak się domyślasz tych chwil mam niewiele, więc na spacery pozostają wieczory, co też ma swoje dobre strony, bo wtedy nawet w Katowicach rozchodzą się zapachy temu miastu obce.*

*Dzisiaj chłopiec, którego moja córuchna ćwiczy w angielskim, wypytywał mnie, czy oglądałam taki, siaki i owaki program w telewizji. Zaprzeczyłam. Popatrzył na mnie podejrzanie i spytał: – A co? Ma pani karę? Na szczęście, dla mnie to nie kara. Powoli zaczynam rozumieć, co miał na myśli Wiliam Wharton, mówiąc, że uciekał z Ameryki do Europy, aby chronić swoje dzieci przed zgubnym wpływem telewizji.*

*A mnie ciągle się wydaje, że w Polsce najwięcej jest poetów: tych, którzy się dobrze zapowiadali i zbyt wiele z tego nie wyszło, tych, którzy się zapowiadają i walczą, próbując znaleźć jakiegokolwiek czytelnika (w pisanie do szuflady nie wierzę) i tych, którym się nie udało, więc pozostało im tylko potwierdzanie w sobie przekonania, że może i wierszy najlepszych nie piszą, ale piszą dla siebie i dla swojej poetyckiej duszy, która pozostanie poetycką, choćby już żadnego dobrego wiersza nie sklecila. Jednego znam tylko twórcę, który mówi, że nie jest poetą i nigdy nim nie był, choć wydał trzy tomiki wierszy, uznanych za najciekawsze w swoim czasie. Jest nim Włodzimierz Paźniewski, autor wydanych ostatnio esejów, zebranych w książkach – „Gramatyka rozproszenia" i „Deportacja ogrodu". Wysyłam, czytaj powoli, choćby nie wiem jak Cię w środku gnało. Zastanawiam się, czy dlatego pan Paźniewski nie uważa siebie za poetę, bo... jak pisze w eseju o Salvatore Quasimodo (cytując zresztą Bismarcka): „Zawsze starczy trochę pieniędzy, by kupić poetę lub prostytutkę"?*

*I tak, droga moja, sezon teatralny (i ogólnie: kulturalny) się kończy, ale póki co, każdy chce go zamknąć mocnym uderzeniem. Dobrze napisałam – uderzeniem a nie wydarzeniem. Wydarzeń się nie spodziewam, przynajmniej w teatrze. Tak mi podpowiada moja intuicja i moja obserwacja teatru w ogóle. Można liczyć na Teatr Korez: czechowowskiego Niedźwiedzia i Oświadczyny w ich wykonaniu, na pewno odległym od obowiązującego do niedawna schematu interpretacyjnego. I jak zwykle na Festiwal a part.*

*Na razie w Katowicach wszyscy podziwiają Malczewskiego w Muzeum Śląskim ze zbiorów Muzeum we Lwowie. – Malczewski power – stwierdziła moja młodsza córka, która tego melancholijnego faceta z brodą uznała za swego kumpla. Na wystawę poszła niechętnie, wybierając pomiędzy nią a lekturą „Nad Niemnem". Wróciła wyjątkowo zadowolona, stwierdzając, że może pójść raz jeszcze, byle tylko nie czytać o wiotkich kibiciach, podrapanych dłoniach Justyny, gorsetach i globusach histericusach.*

*Do sosnowieckiej galerii Extravagance wernisaż malarstwa Andrzeja Czarnoty przyciągnął tłumy. Trzeba przyznać, że ten artysta oryginalnie aranżuje nie tylko samą wystawę, ale również jej otwarcie. Obrazy przedstawiały Afrykę. Afrykę Czarnoty. Tę, prawdziwą lub wyobrażoną, której – jak mówi artysta – kolor zobaczył w Maroku, zapach poczuł w fabryce hawańskich cygar, a dźwięki usłyszał na campingu pod Paryżem. Czarnota zarówno w instalacjach, jak i w malarstwie jest Odysem, który zawsze wraca do swej Itaki (czytaj: pracowni, gdzie to, co przeżyte może stać się barwną plamą lub konkretnym kształtem).*

*Czeka mnie jeszcze noc świętojańska w Salonie Literackim, gdzie oprócz stałej dawki literackich spotkań mają być szaleństwa i niespodzianki, nawiązujące do dawnych obyczajów. Tak przynajmniej sugeruje zaproszenie, w którym cytuje się Pliniusza Najmłodszego z jego dziełem „De gustibus Polonorum libri XVIII" – „Utarł się bowiem tej nocy u Lechitów obyczaj wznosłość z bezecnościami łączyć". Zarówno cytat, jak i jego autor to zapewne jedna z niespodzianek - dowcipów, bo nie przypominam sobie, by takowy ktoś naprawdę istniał.*

*Przyznasz, że wyjątkowo jestem dzisiaj konkretna, pisząc o tym, czegoś zawsze spragniona, a więc wieści z miasta nad Rawą, o czym mało kto już pamięta (że nad Rawą). No, może wyjątkiem jest Michał Smolorz, który na krótko przed premierą swojego musicalu pt. „Krótka rozprawa między farorzem a Smolorzem" – w zawiesistych resztkach owej rzeki się wykąpał.*

*Pozdrawiam Cię jaśminowo.*

MARTA FOX

*w czerwcu 1996 roku, w Katowicach jeszcze*

# Drowniak czyli Nikifor

Z końcem maja 1996 roku w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu otwarta została wystawa obrazów słynnego, krynickiego malarza-prymitywisty, zatytułowana „Nikifor". Tworzą ją obrazy ze zbiorów Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie. Właściwie jest to fragment głośnej warszawskiej wystawy z końca ubiegłego roku, poświęconej setnej rocznicy urodzin Epifana Drowniaka, przezwanego Krynickim.

W 1993 roku Muzeum Górnośląskie zawarło porozumienie o współpracy z PME w Warszawie. Pierwszym efektem współdziałania była wystawa malarstwa Włodzimierza Czerwa „Mściciel słowiańskich bogów", zrealizowana przez wyżej wspomniane muzea oraz Muzeum Śląskie w Katowicach i w tych placówkach eksponowana od listopada 1994 do września 1995.

Wystawa obrazów Nikifora jest tylko przeniesieniem na Śląsk części znakomitej, warszawskiej ekspozycji. Dobre i to. W Bytomiu brak odpowiedniej przestrzeni ekspozycyjnej dla tak dużej wystawy. Znaczna część prac musiała wrócić do swoich właścicieli, którzy nie wyrazili zgody na ich przeniesienie. W grę wchodziła po prostu obawa o cenne, lecz nader kruche dzieła krynickiego mistrza.

I tak oto mamy możliwość oglądania, po paroletniej przerwie, na Śląsku wyrafinowane kompozycyjnie i kolorystycznie dzieła Nikifora. Ekspozycji towarzyszy wydany przez Państwowe Muzeum Etnograficzne katalog, który musiał być aż trzykrotnie dodrukowywany. Został też w całości zarejestrowany przez sieć INTERNET. Co spowodowało tak wielkie zainteresowanie?

Katalog ten m.in. zawiera obszerny tekst, dotyczący biografii krynickiego artysty, prostujący, będące dotąd w obiegu publicznym, przekłamania, których autorem był Andrzej Banach. Materiał ten, będący efektem badań, przeprowadzonych przez niżej podpisanego, przywraca Nikiforowi imię i nazwisko, datę i miejsce urodzenia, a także przywołuje wiele zupełnie nieznanych i wstydliwie przemilczanych perypetii, jakie przytrafiły się za życia, ale i po śmierci Nikifora.

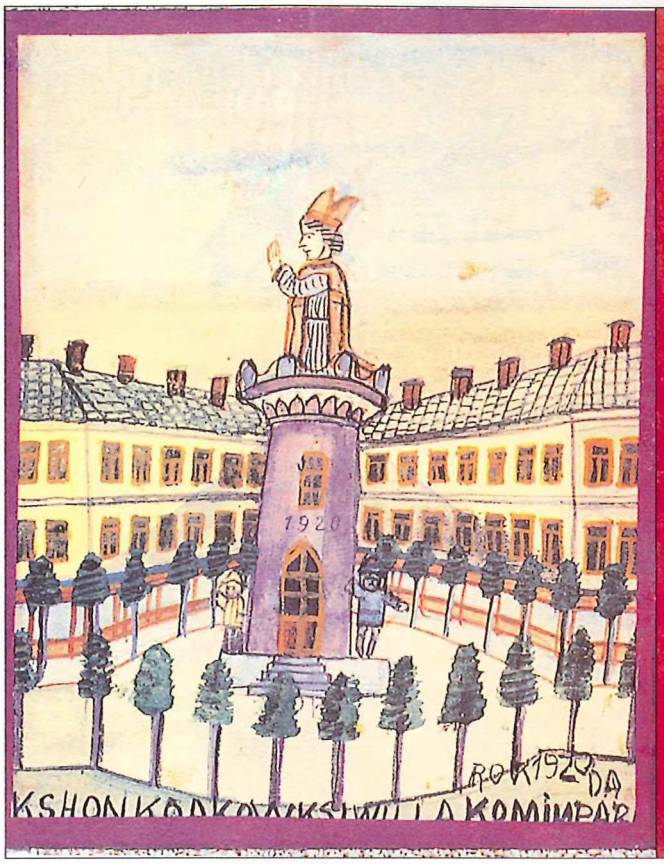
W rzeczywistości artysta nazywał się Epifan Drowniak i urodził się 21 maja 1895 r. w Krynicy Wsi (obecnie Krynica Dolna). Matką była Jewdokia Drowniak. Ojciec nieznany. Ochrzczono go następnego dnia w grecko-katolickiej cerkwi w Krynicy Wsi, a imię dano mu z kalendarza. Jego metrykę odnalazł już pod koniec lat pięćdziesiątych Paweł Stefanowski, łemkowski etnograf i badacz. Fakt ten został zbagatelizowany, a z inicjatywy Banacha nadano malarzowi nibynazwisko „Krynicki". Imię „Nikifor" utarło się zastępczo, bowiem Epifan był dla Łemków imieniem od dawna archaicznym i niespotykanym. Matka była niemową, tułali się więc po służbie wśród obcych — kto miał zapamiętać Epifana?

Przed wojną pobratymcy nie traktowali jego sztuki na serio, ale po wojnie, kiedy w ramach niechlubnej akcji „Wisła" wysiedlono ich, a Nikifor ostał się w Krynicy i sławę wielką w świecie zdobył, stał się łemkowskim, narodowym „świętym". Był zawsze mocno uczuciowo związany z cerkwią grecko-katolicką i ze sztuką bizantyńską, która była jego natchnieniem i wzorcem estetycznym. Specjalnym uwielbieniem otaczał ikonę. Nawet w obrazach o treści świeckiej, w pejzażach, scenkach rodzajowych, szczególnie pejzażach miejskich — to bizantyńskie źródło natchnienia jest wyczuwalne dla każdego i oczywiste dla znawców sztuki. Szczególną rolę odgrywa w jego obrazach gama kolorystyczna i hierarchiczny sposób komponowania.

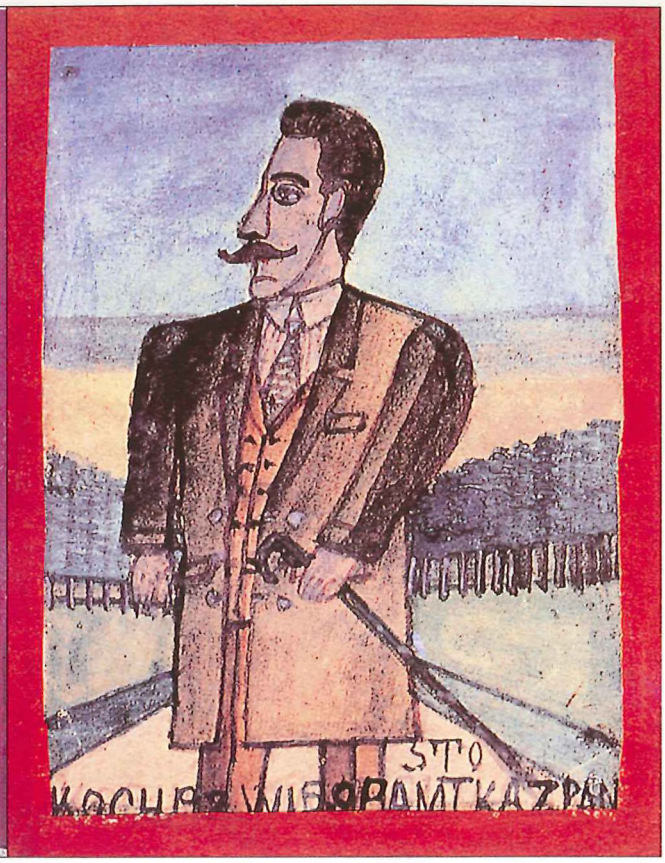
Ten skromny, ubogi i nieuczony człowiek osiągnął sławę nie spotykaną! Epifan Drowniak jest jedynym artystą-malarzem pochodzącym z Polski, uznanym na całym świecie: ponad trzysta wystaw w renomowanych galeriach! Ani Matejko, ani Fałat, Chełmoński, Rodakowski, czy inni współcześni twórcy, choćby Tadeusz Kantor, nie pobili tego rekordu!

SEWERYN A. WISŁOCKI

**NIKIFOR. Obrazy ze zbiorów Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie. Muzeum Górnośląskie w Bytomiu. Wernisaż maj, 1996 r.**




„Pomnik biskupa, *akwarela, 24x19 cm.*

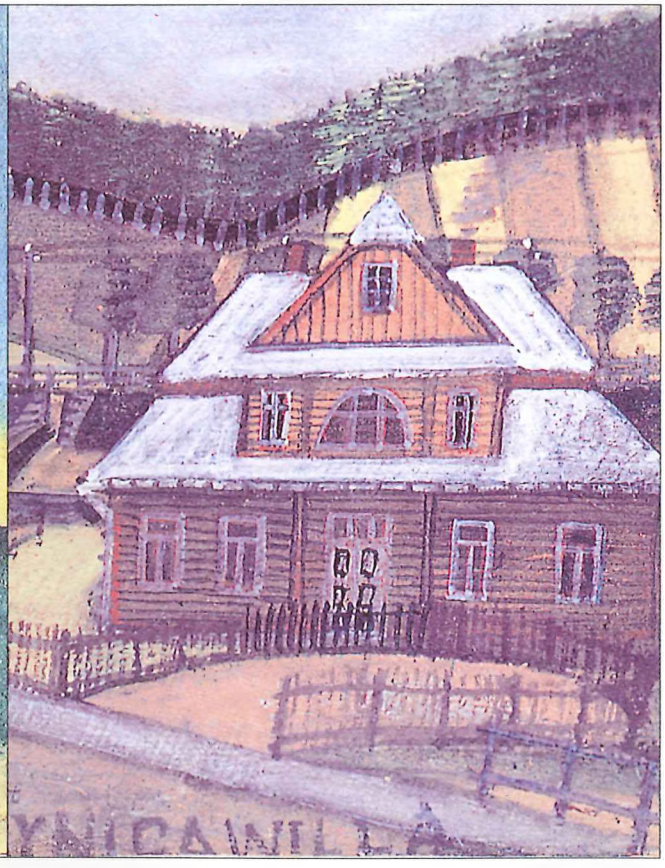


„Portret mężczyzny", *akwarela 22x17.2 cm.*

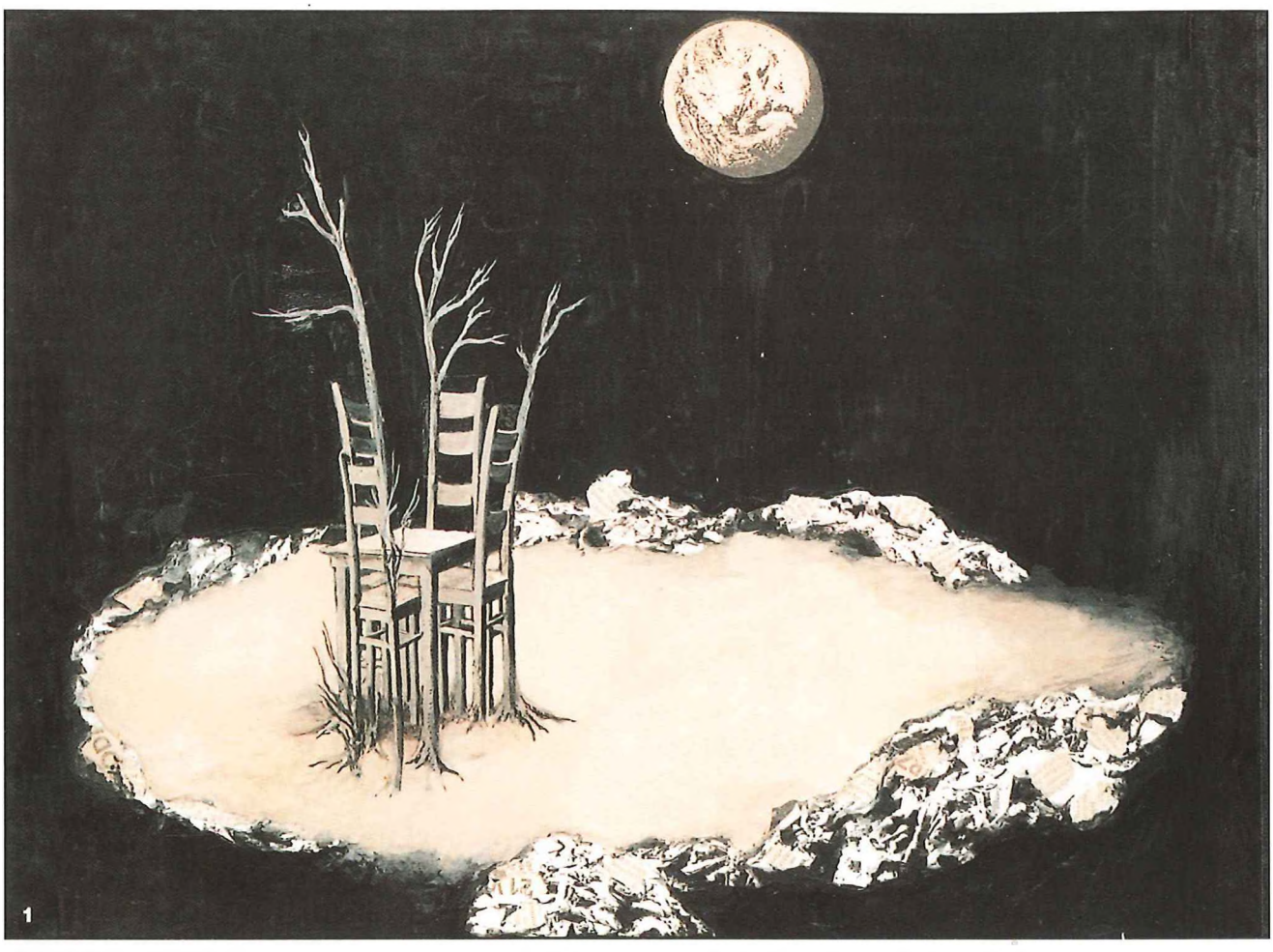
„Świątek – autoportret", *akwarela 13.5x11 cm.*




„Willa w Krynicy", *akwarela 27x18 cm.*



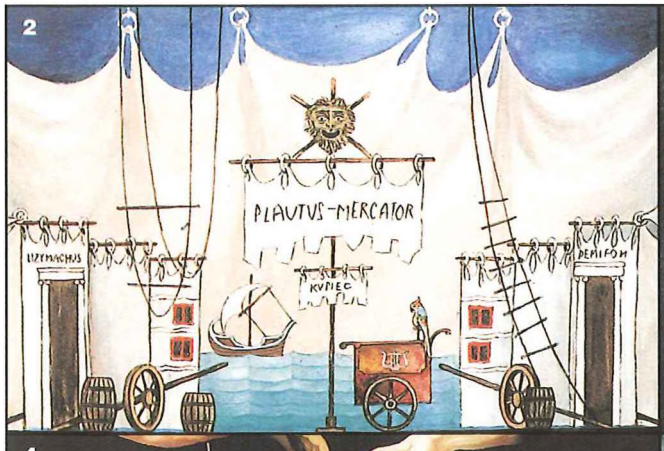
Reprod. Jerzy Myszkowski

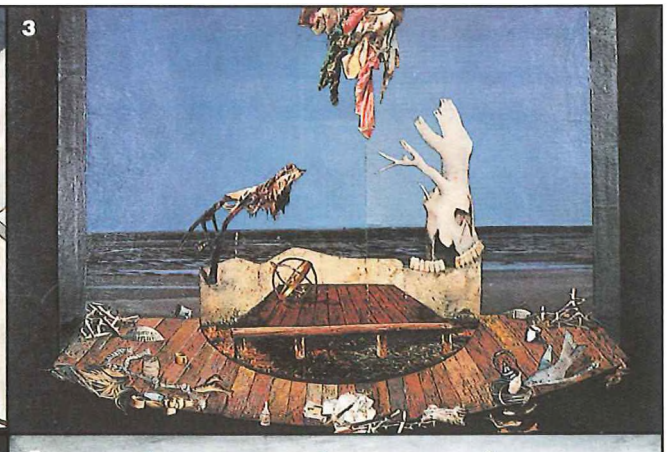


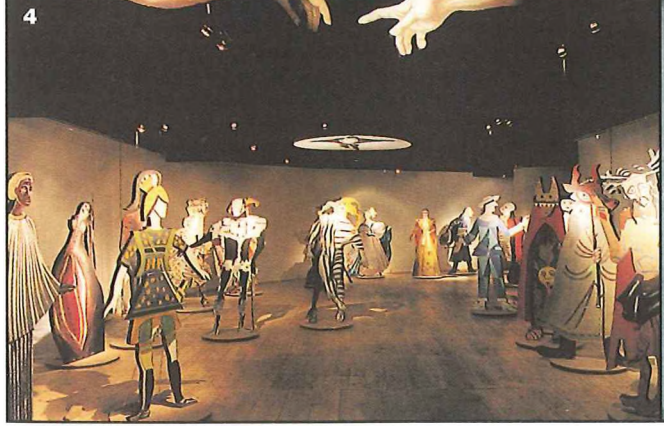
JERZY MOSKAL

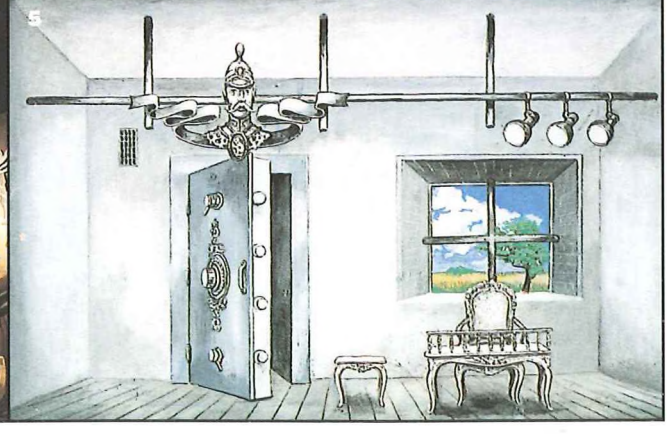
Foto. Andrzej John

1. Projekt scenografii do „Czekając na Godota" Becketa
2. Projekt scenografii do „Kupca" Plauta
3. Projekt scenografii do „Burzy" Szekspira
4. „Postać" spektakl z cyklu „... a to teatr właśnie... "
5. Projekt scenografii do „Policji" St. Mrożka





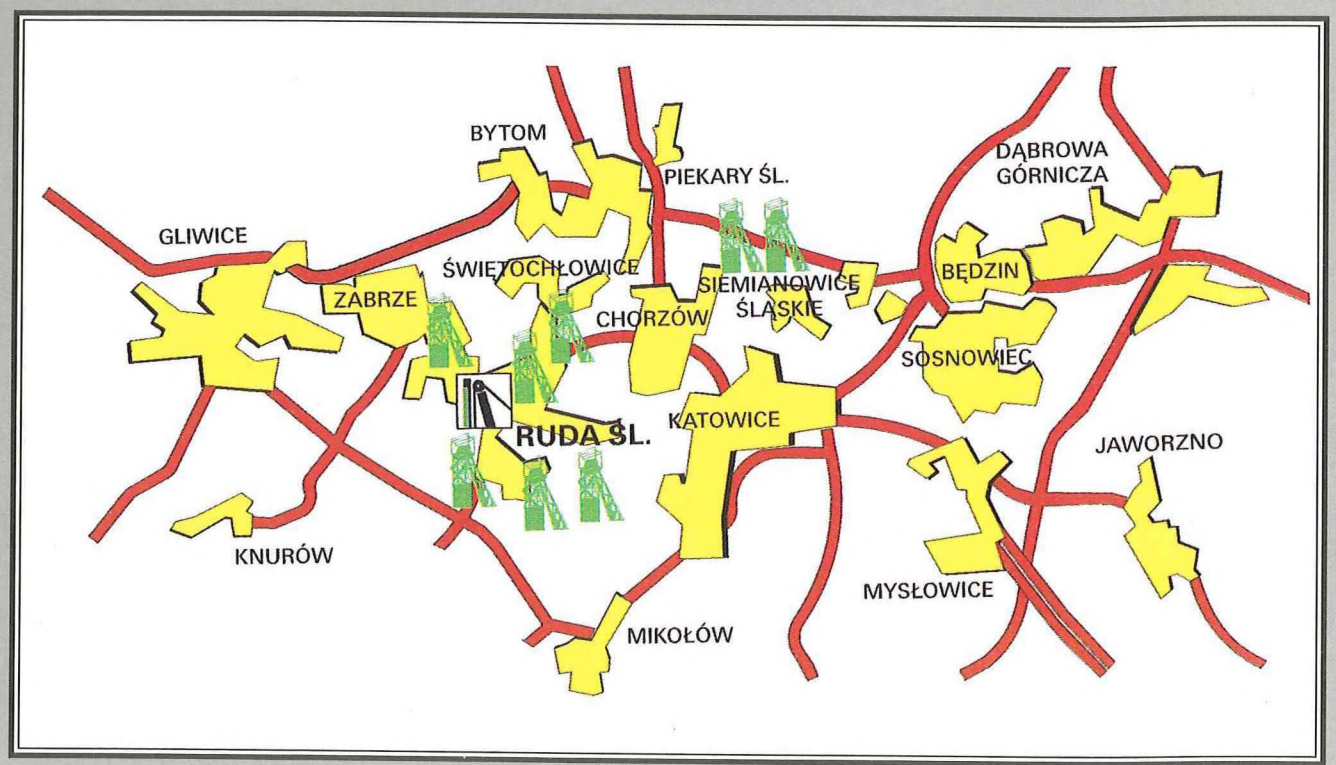


# RUDZKA SPÓŁKA WĘGLOWA

## SPÓŁKA AKCYJNA

oferuje najwyższej jakości węgiel kamienny

- kęsy
- kostkę
- orzech
- groszek
- miały





**RUDZKA SPÓŁKA WĘGLOWA S.A.**
**ul. Kokota 168, 41-711 Ruda Śląska**
**tel.: (0-32) 420-261; 420-844; 420-928; 1716-190; 1716-198**
**tlx: 314-785; 314-796**
**fax: 420-875**

351674

# WĘGLOKOKS S.A.



**FIRMA Z TRADYCJĄ**
**45 letnim rodowodem - w fazie nowoczesnych przekształceń, nowych celów.**

**WĘGLOKOKS S.A.**
**40-085 KATOWICE**
**ul. Mickiewicza 29**
**tel. 58 24 31**
**tlx 31 56 41**
**fax 51 54 53**

*W STAŁEJ OFERCIE:*

EKSPORT WĘGLA I KOKSU
na korzystnych warunkach
i gwarantowane dostawy na rynki krajowe

*PONADTO ZAPEWNIAMY:*

- import maszyn i urządzeń górniczych
- import gazu ziemnego
- import magnetytu dla górnictwa
- import usług dla górnictwa
- pośrednictwo w leasingu maszyn i urządzeń górniczych

WĘGLOKOKS S.A.

zapewnia rozliczenia wzajemnych zobowiązań
również na zasadzie kompensaty bieżącymi
dostawami węgla na eksport